

Terry Pratchett

Potworny regiment

Przełożył

Piotr W. Cholewa



trident





Polly ścięła włosy przed lustrem. Miała trochę wyrzutów sumienia z powodu tego, że nie ma z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Powinny przecież być jej chwałą i dumą; wszyscy powtarzali, że są piękne, ale do pracy i tak zakładała na nie siatkę. Zawsze sobie mówiła, że się u niej marnują. Uważała jednak, by długie złociste loki wylądowały na kawałku płótna, rozłożonym w tym właśnie celu.

Jeśli już przyznałaby się do jakiejś silniejszej emocji, to tylko do czystej irytacji, że strzyżenie było wszystkim, czego potrzebowała, by udawać młodego chłopca. Nie musiała nawet bandażować sobie piersi, co – jak słyszała – należało do standardowych praktyk. Natura zadbała o to, by w tych okolicach Polly nie miała prawie żadnych problemów.

Skutek działań nożyczek okazał się... nierówny, ale nie gorszy od innych męskich fryzur, jakie widywała. Ujdzie. Czuła wprawdzie chłód na karku, ale tylko w części z powodu utraty długich włosów. Także z powodu Spojrzenia.

Znad łóżka przyglądała się jej księżna.

Był to marny drzeworyt, ręcznie pokolorowany, głównie na czerwono i niebiesko. Przedstawiał bezbarwną kobietę w średnim wieku; jej obwisły podbródek i trochę wylupiaсте oczy budziły cyniczne wrażenie, że ktoś ubrał w suknię wielką rybę. Artyście udało się w tej

dziwnie obojętnej twarzy oddać coś jeszcze; niektóre portrety wodzą oczami za patrzącym, a ten miał oczy, które spoglądały przez patrzącego na wylot. Taką twarz można było znaleźć w każdym domu. W Borogravii człowiek dorastał pod okiem księżnej.

Rodzice mieli taki obrazek w pokoju, a mama – kiedy jeszcze żyła – co wieczór przed nim dygała. Polly odwróciła portret twarzą do ściany. Jakaś myśl w głowie zawołała „Nie!”, ale została uciszona. Polly podjęła decyzję.

Włożyła na siebie ubranie brata, zawartość płóciennej ściereczki przesypała do małej sakiewki, którą wcisnęła na dno worka, pod zapasową odzież, położyła na łóżku list, chwyciła worek i wyszła przez okno. W każdym razie Polly weszła na parapet, ale stopy, które wyładowały miękko na ziemi, należały już do Olivera.

Kiedy przemknęła przez dziedziniec gospody, brzask zmieniał właśnie świat ciemności w świat monochromatyczny. Księżna przyglądała się jej z szyldu. Ojciec był wielkim lojalistą, przynajmniej do śmierci matki. W tym roku nie odmalował szyldu, a jakiś przypadkowy ptak ulżył sobie w locie i sprawił, że księżna miała zeza.

Polly sprawdziła, czy wózek werbownika nadal stoi; jaskrawe proporce poszarzały i zwisały ciężko, mokre po nocnym deszczu. Sądząc po wyglądzie tego wielkiego i grubego sierżanta, minie jeszcze kilka godzin, zanim ruszy w drogę. Miała dość czasu. On chyba nie będzie się spieszył ze śniadaniem.

Wymknęła się przez furtkę w murze na tyłach i ruszyła w górę. Ze szczytu wzgórza popatrzyła na budzące się dopiero miasteczko. Dymy wznosiły się już z kilku kominów, ale że to ona zawsze wstawiała pierwsza i wypędzała z łóżek służące, gospoda jeszcze spała. Wiedziała, że wdowa Clambers została na noc (albowiem „za bardzo padało, żeby mogła wracać do domu”, jak tłumaczył ojciec); Polly miała nadzieję, że dla jego dobra zostanie już na stałe. W miasteczku nie brakowało wdów, a Eva Clambers była niewiastą o dobrym sercu i prawdziwą mistrzynią wypieków. Długa choroba żony i nieobecność Paula wiele ojca kosztowały. Na szczęście powoli wracał do siebie. Stare kobiety, które przez całe dni tylko patrzyły ponuro z okien, mogły sobie szpiegować, irytować się i marudzić; robiły to od tak dawna, że nikt już ich nie słuchał.

Trochę dalej dym i para wznosiły się już nad pralnią Szkoły Zawodu dla Dziewcząt. Budynek wyrastał groźnie na końcu miasteczka, wielki i szary, z wysokimi, wąskimi oknami, zawsze milczący. Kiedy Polly była mała, dowiedziała się, że tam właśnie trafiają Złe Dziewczynki. Natura tej „złości” nie została wyjaśniona, a w wieku pięciu lat Polly miała niejasne wrażenie, że polega na niechodzeniu do łóżka, kiedy rodzice jej każą. W wieku lat ośmiu dowiedziała się, jakie ma szczęście, że nie trafiła tam za kupienie dla brata pudełka z farbami.

Odwróciła się i ruszyła między drzewa, gdzie już śpiewały ptaki.

Musiała zapomnieć, że kiedykolwiek była Polly. Musiała myśleć jak młody mężczyzna – to najważniejsze. Puszczać bąki głośno i z satysfakcją z dobrze wykonanej pracy, ruszać się

jak marionetka, której obcięto kilka przypadkowych sznurków, nikogo nie obejmować, a jeśli spotka przyjaciela, wałnąć go pięścią. Kilka lat pracy w barze dostarczyło jej dosyć materiału obserwacyjnego. I z łatwością mogła nie kołysać biodrami – tutaj natura także okazała się oszczędna.

Musiała jeszcze opanować chód młodych mężczyzn. Kobiety przynajmniej kołyszą tylko biodrami. Młodzi mężczyźni kołysali wszystkim, licząc od ramion w dół. Chyba usiłują zajmować jak najwięcej miejsca, myślała. Dzięki temu wyglądają na większych – tak jak kocury, które stroszą ogon. Wiele razy widziała to w gospodzie. Chłopcy starali się udawać dużych, by się bronić przed innymi dużymi chłopcami. Jestem zły, jestem wściekły, jestem twardzielem, wypiję kufel piwa z lemoniadą, mama kazała mi wrócić do domu przed dziewiątą...

Po kolei... łokcie odstają od ciała, jakby niosła dwa worki mąki... gotowe. Ramiona kołyszą się w przód i w tył, jakby przeciskała się przez tłum... gotowe. Dłonie nieco zaciśnięte, poruszają się, jakby obracały dwie niezależne korbki umocowane do pasa... gotowe. Nogi przesuwają się naprzód luźno, jak u małpy... gotowe...

Wszystko działało przez kilka sążni, a potem chyba coś pomyliła, bo wskutek powstałego mięśniowego chaosu wywróciła się w krzak ostrokrzewu. Potem zrezygnowała z dalszych prób.

Burza wróciła, kiedy Polly maszerowała traktem; burzom zdarzało się przez wiele dni krążyć po górach. Ale przynajmniej tak wysoko ścieżka nie zmieniała się w rzekę błota, a na drzewach pozostało dość liści, by trochę dziewczynę osłonić. Zresztą i tak nie miała czasu, żeby przeczekać gdzieś złą pogodę. Czekala ją długa droga. Werbownicy przepłyną rzekę promem, ale wszyscy przewoźnicy znali Polly z widzenia, a strażnik zechce obejrzeć pozwolenie na podróż, którego Oliver Perks oczywiście nie ma. To oznaczało, że musi nadłożyć drogi aż do trollowego mostu w Tübz. Dla trolli wszyscy ludzie wyglądają tak samo, a byle kawałek papieru wystarczy za przepustkę, bo przecieżtrolle nie umieją czytać. Potem może zejść przez sosnowe lasy do Plün. Wózek musi się tam zatrzymać na noc, ale poza tym było to jedno z tych miejsc, które istniały tylko dla uniknięcia zakłopotania z powodu dużej pustej powierzchni na mapie. W Plün nikt jej nie znał. Nikt tam nie jeździł. To była zapyziała wiocha.

I właśnie takiej potrzebowała. Werbownicy się tam zatrzymają, a ona się zaciągnie. Była pewna, że ten wielki gruby sierżant razem z oślizłym kapralem nie zauważyli nawet dziewczyny, która obsługiwała ich w gospodzie. Nie dysponowała przecież, jak to mówią, konwencjonalną urodą. Kaprał próbował szczypanąć ją w pośladek, ale raczej odruchowo, jakby przeganiał muchę; zresztą nie było tam wiele do szczypania.

Usiadła na wzgórzu powyżej promu i zjadła spóźnione śniadanie – zimne ziemniaki i kielbasę. Patrzyła, jak wózek przepływa przez rzekę. Nikt za nim nie maszerował. Tym razem nikogo w Munz nie udało się zwerbować. Ludzie trzymali się z daleka. Zbyt wielu młodych

chłopców odeszło przez ostatnie kilka lat i nie dość ich powróciło. A z tych, którzy wrócili, często nie powróciło dość niektórych z nich. Kaprał mógł sobie walić w ten wielki bęben. W Munz kończyli się synowie – prawie tak samo szybko, jak przybywało wdów.

Było gorąco i duszno; żółty ptak podlatywał za nią od krzaka do krzaka. Nad błotem z zeszłej nocy unosiła się para. Polly dotarła do trollowego mostu, przecinającego rzekę, płynącą tu wąskim wąwozem. Była to smukła, pełna gracji konstrukcja, zbudowana, jak mówiono, bez żadnej zaprawy. Mówiono też, że ciężar mostu tym mocniej utrzymuje go w skale. Mówiono, że to jeden z dziwów świata, ale bardzo niewielu ludzi w okolicy dziwiło się czemuśkolwiek, a o świecie mieli słabe pojęcie. Aby przekroczyć most, trzeba było zapłacić jednego pensa albo sto sztuk złota, jeśli ktoś prowadził kozła¹. W połowie drogi Polly wyjrzała przez balustradę i daleko w dole zobaczyła wózek sunący powoli wąską drogą tuż nad spienioną rzeką.

Po południu droga prowadziła cały czas w dół, przez ciemny sosnowy las po drugiej stronie wąwozu. Polly nie spieszyła się i przed zachodem słońca dotarła do gospody. Wózek zjawił się tu wcześniej, a sądząc z wyglądu, sierżant postanowił nie marnować czasu. Nikt nie walił w bęben, jak zeszłego wieczoru, nikt nie krzyczał: „Wstępujcie, moi chłopaczkowie! Czeka was wspaniałe życie w Piersiach i Tyłkach”.

Zawsze toczyła się jakaś wojna. Zwykle był to konflikt graniczny, narodowy odpowiednik narzekania, że sąsiad nie przyciął jak należy żywopłotu. Czasami chodziło o coś poważniejszego. Borogravia była krajem miłującym pokój, ale otoczonym zdradzieckimi, przebiegłymi i wojowniczymi nieprzyjaciółmi. Musieli być zdradzieccy, przebiegli i wojowniczy, bo w przeciwnym razie byśmy z nimi nie walczyli, prawda? Zawsze toczyła się jakaś wojna.

Ojciec Polly był w wojsku, zanim przejął gospodę Pod Księżną od dziadka Polly. Niewiele o tym opowiadał. Wracając, przyniósł swój miecz, ale zamiast powiesić go nad kominkiem, używał do grzebania w ogniu. Czasami zjawiali się starzy przyjaciele, a po zamknięciu gospody na noc, siadali przy ogniu, pili i śpiewali. Mała Polly szukała jakichś pretekstów, żeby zostać i posłuchać ich piosenek, ale to się skończyło, kiedy jednego z bardziej interesujących słów użyła przy mamie. Teraz była już starsza i podawała piwo, więc uznawano zapewne, że zna te słowa albo i tak wkrótce się dowie, co znaczą. Poza tym mama odeszła tam, gdzie brzydkie słowa nie mogą już jej urazić i w teorii nigdy nie są wypowiadane.

Te piosenki były częścią jej dzieciństwa. Znała na pamięć „Świat stanął na głowie”, „Diabeł będzie mi sierżantem” i „Johnny poszedł w wojak” oraz „Dziewczę, które zostawiłem”. A kiedy alkohol płynął przez dłuższy czas, mogła się nauczyć „Pułkownika Pierdoły” i „Szkoda, że ją pocałowałem”.

Oczywiście, była też „Słodka Polly Oliver”. Ojciec śpiewał ją, kiedy Polly była mała i

¹ Trolle nie są może zbyt błyskotliwe, ale też nie zapominają szybko.

smuciła się albo przestraszała, a ona śmiała się wtedy po prostu dlatego, że w piosence pojawiało się jej imię. Słowa znała na pamięć, zanim jeszcze wiedziała, co znaczy większość z nich. A teraz...

...Pchnęła drzwi. Sierżant z kapralem spojrzeli nad nią znad poplamionego blatu stołu. Kufle znieruchomiały w połowie drogi do ust. Odetchnęła głęboko, podeszła do nich i spróbowała zasalutować.

– Czego chcesz, mały? – burknął kapral.

– Chcę się zaciągnąć, sir!

Sierżant uśmiechnął się szeroko, od czego jego blizny poruszyły się dziwnie, a wstrząsy objęły wszystkie podbródki. Słowo „tęgi” nie stosowało się do niego, gdyż słowo „gruby” przeciskało się do przodu, by zwrócić powszechną uwagę. Sierżant nie miał talii. Miał równik. Miał grawitację. Gdyby upadł w dowolnym kierunku, toby się zakołysał. Słońce i alkohol spaliły mu twarz do barwy czerwieni, w której małe ciemne oczka połyskiwały jak odbłyски światła na klindze. Obok, na stole, leżały dwa staromodne kordy – broń mająca więcej wspólnego z tasakiem niż z mieczem.

– Tak po prostu? – zapytał.

– Tajest!

– Naprawdę?

– Tajest!

– I nie chcesz, żebyśmy najpierw upili cię do nieprzytomności? Wiesz, to taka tradycja.

– Nie, sir!

– Nie mówiłem ci o wspaniałych możliwościach awansu i kariery, co?

– Nie, sir!

– A wspomniałem, że ten świetny czerwony mundur sprawi, że będziesz musiał odganiać dziewczyny kijem?

– Raczej nie, sir!

– A wyżywienie? Każdy posiłek to prawdziwy bankiet, kiedy z nami maszerujesz! – Sierżant klepnął się po brzuchu, wzbudzając kołysania w regionach zewnętrznych. – Jestem tego żywym dowodem!

– Tak, sir! Nie, sir! Chcę tylko wstąpić do wojska, żeby walczyć o mój kraj i o honor księżnej, sir!

– Naprawdę? – zdumiał się kapral.

Ale sierżant jakby nie słyszał. Zmierzył Polly wzrokiem od stóp do głów, a Polly nabrała przekonania, że nie jest ani tak pijany, ani tak głupi, jak się wydaje.

– Słowo honoru, kapralu Strappi, mam wrażenie, że stoi przed nami prawdziwy, staroświecki patriota! – Małe oczka wpatrywały się w twarz Polly. – No to trafiłeś we właściwe miejsce, mój chłopcze! – Z poważną miną przysunął sobie jakieś papiery. – Wiesz, kim jesteśmy?

– Dziesiąty Pieszy, sir. Lekka piechota, sir. Znani jako Piersi i Tyłki, sir – odpowiedziała Polly, niemal osłabła z ulgi. Najwyraźniej przeszła jakiś test.

– Słusznie, chłopcze. Dobrzy, weseli Serożercy. Najznakomitszy regiment ze wszystkich w najznakomitszej armii świata! I ostro chcesz do nas wstąpić, co?

– Ostro jak musztarda, sir!

Polly czuła na sobie podejrzliwy wzrok kaprała.

– Zuch chłopak.

Sierżant odkorkował butelkę atramentu i zanurzył w niej czubek pióra. Dłoń zawisała nad papierami.

– Nazywasz się?

– Oliver, sir. Oliver Perks.

– Wiek?

– Siedemnaście skończę w niedzielę, sir.

– Tak, akurat... – mruknął sierżant. – Jeśli ty masz siedemnaście lat, to ja jestem wielką księżną Annagovią. Przed czym uciekasz, mały, co? Jakaś młoda panna chce założyć rodzinę?

– Ktoś by mu musiał pomóc... – wyszczerzył zęby kapral. – Przecież piszczy jak mały chłopak.

Polly wyczuła, że zaczyna się rumienić. Ale przecież młody Oliver też by się zarumienił, prawda? Łatwo sprawić, by chłopcy się rumienili. Polly potrafiła do tego doprowadzić samym spojrzeniem.

– Zresztą to nieważne – uznał sierżant. – Postaw znaczek na tym dokumencie, pocałuj księżną i jesteś moim chłopakiem, rozumiesz? Nazywam się sierżant Jackrum. Będę twoją matką i ojcem, a ten tutaj kapral Strappi będzie dla ciebie jak starszy brat. Codziennie zjesz u nas stek i bekon, a gdyby ktoś cię próbował wyciągnąć, to będzie musiał ciągnąć i mnie, bo złapię cię za kołnierz. I słusznie możesz pomyśleć, że nikt nie da rady uciągnąć tak wiele, panie Perks. – Gruby kciuk stuknął w kartkę papieru. – Tutaj.

Polly sięgnęła po pióro i złożyła podpis.

– Co to jest?! – zawołał kapral.

– Mój podpis – wyjaśniła Polly.

Usłyszała otwierające się za nią drzwi i odwróciła się niespokojnie. Kilku młodych ludzi... to znaczy, poprawiła się, kilku innych młodych ludzi wcisnęło się do wnętrza. Rozglądali się nerwowo.

– Umiesz czytać i pisać? – zdziwił się sierżant. Zerknął na nowo przybyłych, a potem znów na Polly. – No tak, widzę. Ładne, okrągłe litery... Materiał na oficera, jak nic. Dajcie mu szylinga, kapralu. I obrazek, naturalnie.

– Robi się, sierżancie. – Kapral Strappi podniósł obrazek z uchwytem, podobny do lusterka. – Zróbcie dzióbek, szeregowy Nerds.

– Perks, sir – poprawiła go Polly.

– Niech będzie. Pocałujcie księżnę.

Nie była to dobra kopia słynnego portretu. Obraz za szkłem wyblakł, a coś dziwnego, jakby mech albo co, rosło wewnątrz pęknięć w szkłe. Polly musnęła je wargami, wstrzymując przy tym oddech.

– Aha – mruknął Strappi.

Wcisnął jej coś do ręki.

– Co to jest? – Polly spojrzała na niewielki prostokąt papieru.

– To weksel. Ostatnio nie stoimy najlepiej z szylingami – wyjaśnił sierżant, a Strappi skrzywił się niechętnie. – Ale oberżysta postawi ci kufel piwa, z łaski jej wysokości.

Przyjrzał się młodym ludziom.

– Jak już pada, to leje – stwierdził. – Wy, chłopcy, też chcecie się zaciągnąć? Coś podobnego, nawet nie musieliśmy uderzyć w bęben. To pewnie niezwykła charyzma kaprała Strappiego. Podejdźcie bliżej, nie ma się czego wstydzić. Który będzie następny?

Polly spojrzała na kolejnego rekruta – ze zgrozą, choć miała nadzieję, że dobrze ją ukrywa. W półmroku nie widziała go zbyt dobrze, gdyż ubrany był na czarno, ale nie w elegancką, stylową czerń, ale w czerń zakurzoną, w jakiej człowieka kładą do trumny. I sądząc z wyglądu, chłopak był właśnie tym człowiekiem. Całe ubranie miał w pajęczynach, a czoło przecinał mu rząd szwów.

– Jak ci na imię, chłopcze? – zapytał Jackrum.

– Igor, fir.

Jackrum przeliczył szwy.

– Wiesz, coś mi mówiło, że właśnie tak – stwierdził. – I widzę, że masz już osiemnaście.

– „Przebudźcie się!”.

– Bogowie... – Komendant Samuel Vimes zasłonił oczy dłońmi.

– Przepraszam, wasza łaskawość? – zaniepokoił się konsul Ankh-Morpork w Zlobenii. – Czy wasza łaskawość źle się czuje?

– Przypomnij mi, młody człowieku, jak ci na imię... Przykro mi, ale od dwóch tygodni jestem w podróży, nie dosypiam, a przez cały dzień muszę poznawać osoby o trudnych nazwiskach. To źle wpływa na mózg.

– Clarence, wasza łaskawość. Clarence Buziak.

– Buziak... – powtórzył Vimes, a z jego miny Clarence wyczytał wszystko.

– Obawiam się, że tak, sir.

– W szkole umiałeś się bić?

– Nie, wasza łaskawość, ale nikt nie mógł mnie prześcignąć w biegu na pięćdziesiąt sążni. Vimes się roześmiał.

– No cóż, Clarence, każdy hymn państwowy, który zaczyna się od „Przebudźcie się”, na pewno prowadzi do kłopotów. Nie uczyli was tego w kancelarii Patrycjusza?

– Eee... Nie, wasza łaskawość.

– No cóż, sam się przekonasz. Mów dalej.

– Oczywiście, sir. – Clarence odchrząknął. – Borogroviański hymn państwowy – zaczął po raz drugi.

Przebudźcie się, przepraszam waszą łaskawość, synowie Matczyzny!

Dość już picia wina z kwaśnych jabłek.

Drwale, chwycicie swe topory!

Farmerzy, dobijcie wroga narzędziem używanym poprzednio do załadunku buraków!

Zniweczcie ohydne podstępny naszych nieprzyjaciół!

W ciemność maszerujemy ze śpiewem

Przeciw całemu światu zbrojnie atakującemu,

Ale widzimy już złocisty blask na szczytach gór!

Nowy dzień jest jak wielka, ogromna ryba!

– Ehm... Ten ostatni fragment... – Vimes nie rozumiał.

– To dosłowne tłumaczenie, wasza łaskawość – odparł nerwowo Clarence. – Zwrot oznacza coś w rodzaju „niezwykłych możliwości” czy „wspaniałego sukcesu”, wasza łaskawość.

– Kiedy nie występujemy publicznie, Clarence, zupełnie wystarczy „sir”. „Wasza łaskawość” służy tylko po to, by zrobić wrażenie na miejscowych. – Vimes przesunął się na niewygodnym krześle, opierając brodę na dłoni. I skrzywił się nagle. – Dwa tysiące trzysta mil – rzekł, zmieniając pozycję. – A na miotle zawsze jest strasznie zimno, choćby leciała całkiem nisko. Potem barka, potem dylizans... – Znów się skrzywił. – Czytałem twój raport. Myślisz, że to możliwe, by cały naród stracił rozum?

Clarence milczał. Uprzedzono go, że będzie rozmawiał z drugim najpotężniejszym człowiekiem w Ankh-Morpork, nawet jeśli ów człowiek zachowuje się jak ktoś, kto nie ma o tym pojęcia. Rozklekotane biurko w tym zimnym pokoiku na wieży do wczoraj należało do głównego odźwiernego garnizonu Kneck. Na porysowanym blacie piętrzyły się papiery, a całe ich stosy leżały za krzesłem Vimesa.

Sam Vimes – według Clarence’a – wcale nie wyglądał na diuka. Raczej na strażnika, którym – jak rozumiał – był rzeczywiście. Trochę to irytowało Clarence’a Buziaka. Ludzie na szczycie powinni wyglądać tak, jakby tam było ich miejsce.

– To bardzo... interesujący problem, sir – przyznał. – Chodzi panu o to, że ludzie...

– Nie ludzie, ale naród – poprawił go Vimes. – Borogravia wygląda, jakby całkiem straciła rozum. Sądzę, że ludzie radzą sobie, jak mogą, żyją i wychowują dzieci... A muszę przyznać, że w tej chwili też wołałbym się tym zająć. Wiesz chyba, o co mi chodzi. Bierzesz ludzi, którzy na oko niczym się nie różnią od ciebie i ode mnie, ale kiedy połączysz ich wszystkich razem, dostajesz wielkiego szaleńca z granicami państwowymi i hymnem.

– Fascynująca idea, sir – zapewnił dyplomatycznie Clarence.

Vimes rozejrzał się po pokoju. Ściany były z surowego kamienia, okna wąskie... i panował wściekły chłód, nawet w ten słoneczny dzień. Całe to marne jedzenie, tłuczenie się na miotle, sypanie w niewygodnych łóżkach... A potem nocne podróże krasnoludzkimi barkami po ich tajnych kanałach pod górami – bogowie tylko wiedzą, jaką wyrafinowaną dyplomację zastosował Vetinari, żeby to uzyskać, choć owszem, Dolny Król winien był Vimesowi jedną czy drugą przysługę...

...i wszystko to dla tego zimnego zamku nad tą zimną rzeką między tymi głupimi kraikami i ich głupią wojną. Wiedział, co chciałby zrobić. Gdyby to byli ludzie bijący się na ulicy, wiedziałby, jak się zachować. Stuknąłby ich głowami, może przymknął na noc w areszcie... Ale państw nie da się stuknąć głowami..

Vimes przysunął sobie jakieś papiery, przejrzał je, a potem odrzucił.

– Do demona z tym – powiedział. – Co się tam dzieje?

– Jak rozumiem, pozostały jeszcze nieliczne ogniska oporu w trudniej dostępnych regionach twierdzy, ale są właśnie tłumione. Praktycznie rzecz biorąc, twierdza jest w naszych rękach. To był bardzo sprytny podstęp, wasza... sir.

Vimes westchnął.

– Nie, Clarence. To był prymitywny i ograny podstęp. Wprowadzenie do fortecy naszych ludzi przebranych za praczki nie powinno się udać. Na litość bogów, przecież trzech miało wąsy!

– Borogravianie są dosyć... staromodni w takich kwestiach, sir. A przy okazji, wydaje się, że w dolnych kryptach mamy zombi. Straszne stwory. Mam wrażenie, że przez stulecia pochowano tam wielu borograviańskich wyższych oficerów.

– Naprawdę? A co teraz robią?

Clarence uniósł brwi.

– Chodzą i się kołyszają, sir. Tak myślę. Jęczą. Jak to zombi. Coś musiało ich rozbudzić.

– Prawdopodobnie my – uznał Vimes. Wstał, przeszedł przez pokój i szarpnięciem otworzył ciężkie, wysokie drzwi. – Reg! – zawołał.

Po chwili zjawiał się kolejny strażnik. Zasalutował. Miał szarą twarz i Clarence nie mógł nie dostrzec, że salutującą dłoń i rękę trzymały razem liczne szwy.

– Poznałeś już funkcjonariusza Shoe, Clarence? – zapytał uprzejmie Vimes. – Należy do mojego personelu. Nie żyje od ponad trzydziestu lat i kocha każdą ich minutę, Mam rację, Reg?

– Tak jest, panie Vimes. – Reg uśmiechnął się, odsłaniając rząd brązowych zębów.

– W piwnicy jest paru twoich ziomeków, Reg.

– Oj... Chodzą i się kołyszają, co?

– Obawiam się, że tak, Reg.

– Zejdę i pogadam z nimi – obiecał Reg.

Zasalutował i wyszedł, z niewielką tylko sugestią rozkołysania.

– On jest, ehm... pochodzi z tych stron? – zapytał Clarence, który wyraźnie zbladł.

– Ależ nie. Z nieodkrytej krainy... – odparł Vimes. – Jest martwy. Ale trzeba mu przyznać, że go to nie powstrzymuje. Nie wiedziałeś, że mamy w straży zombi, Clarence?

– Ehm... nie, sir. Od pięciu lat nie byłem w mieście. Jak rozumiem, wiele się zmieniło.

I to na gorsze, zdaniem Clarence’a Buziaka. Funkcja konsula w Zlobenii była nietrudna i zostawiała dość czasu, by zajmować się własnymi sprawami. A potem wzdłuż całej doliny wyrosły nagle wielkie wieże semaforowe i okazało się, że Ankh-Morpork jest oddalone ledwie o godzinę. Przed sekarami list potrzebował dwóch tygodni, by pokonać tę trasę, więc nikt się nie przejmował, jeśli odpowiadał na niego dzień czy dwa później. Teraz ludzie oczekiwali odpowiedzi następnego dnia. Właściwie to był nawet zadowolony, kiedy Borogravia zniszczyła kilka tych nieszczęsnych wież. A potem rozpętało się piekło.

– Różni służą u nas w straży, Clarence – oświadczył Vimes. – I wszyscy są nam wściekle potrzebni zwłaszcza teraz, kiedy Borogravianie i Zlobenci tłuką się na ulicy z powodu jakiejś durnej kłótni sprzed tysiąca lat. Są gorsi niż krasnoludy i trolle! Wszystko dlatego, że czyjaś pra-do-umptej-potęgi babka dała w twarz czyjemuś pra-jak-wyżej wujowi! Borogravia i Zlobenia nie mogą się nawet dogadać co do wspólnej granicy. Wybrały sobie rzekę, która co wiosnę zmienia koryto. I nagle wieże sekarowe znajdują się na borograviańskim gruncie, a przynajmniej błocie, więc ci idioci palą je z powodów religijnych!

– Ehm... Tu chodzi o coś więcej, sir – zauważył Buziak.

– Tak, wiem. Znam historię. Ta doroczna bójka ze Zlobenią to tylko lokalne derby. Borogravia walczy ze wszystkimi. Dlaczego?

– Duma narodowa, sir.

– Z czego? Przecież tutaj nic nie ma! Mają parę kopalni tłuszczu i są niezłymi farmerami, ale trudno tu znaleźć przykłady wspaniałej architektury, wielkie biblioteki, słynnych kompozytorów, jakieś bardzo wysokie góry czy wspaniałe krajobrazy. Jedyne, co można o tym miejscu powiedzieć, to że nie jest żadnym innym. Co Borogravia ma takiego specjalnego?

– Wydaje się, że jest specjalna, bo jest ich. Oczywiście, sir, nie można też zapominać o Nugganie. To ich bóg. Przyniosłem panu „Księgi Nuggana”.

– Przejrzałem ją sobie w mieście, Clarence. Wydaje się dość głu...

– To nie było najnowsze wydanie, sir. A podejrzewam, że tak daleko stąd nie mogło być zbyt hm... aktualne. Tutaj mam bardziej bieżące. – Buziak położył na biurku niedużą, ale grubą książeczkę.

– Aktualne? Co to znaczy: aktualne? – zdziwił się Vimes. – Pismo święte jest... spisane. To rób, tego nie rób, nie požądaj wołu bliźniego...

– Ehm... Nuggan na tym nie poprzestaje. On no... aktualizuje nakazy. Głównie Obrzydliwości, prawdę mówiąc.

Vimes otworzył książeczkę. Była wyraźnie grubsza od tej, którą przywiózł ze sobą.

– To coś, co nazywają Żywym Testamentem – tłumaczył Buziak. – One... no, można chyba powiedzieć, że „umierają”, kiedy zostaną wywiezione z Borogravii. Potem już nie są uzupełniane. Ostatnie Obrzydliwości znajdzie pan na końcu, sir – dodał.

– Święta księga z dodatkami?

– Właśnie tak, sir.

– Oprawiona jak skoroszyt?

– Tak jest, sir. Ludzie wstawiają czyste kartki, a Obrzydliwości... się pojawiają.

– Znaczy: magicznie?

– Chyba raczej znaczy: religijnie, sir.

Vimes otworzył księgę w przypadkowym miejscu.

– Czekolada? – zdziwił się. – Nie lubi czekolady?

– Tak, sir. To Obrzydliwość.

– Czosnek? Właściwie ja też go nie lubię, więc akceptuję. Koty?

– O tak. Naprawdę nie lubi kotów, sir.

– Krasnoludy? Stoi tu wyraźnie: „Krasnoludzia rasa, która cześci Złoto, jest Obrzydliwą w oczach Nuggana”. On chyba oszalał. Co się tu potem dzieło?

– Och, krasnoludy, które tu mieszkały, zablokowały szyby swoich kopalni i zniknęły, wasza łaskawość.

– Można się było spodziewać. Potrafią wyczuć kłopoty.

Tym razem pozostawił waszą łaskawość bez komentarza. Widział, że Buziak czerpie satysfakcję z rozmowy z diukiem.

Przerzucił jeszcze kilka kartek.

– Kolor niebieski?

– Zgadza się, sir.

– Co jest obrzydliwego w niebieskim? To tylko kolor! Niebo jest niebieskie!

– Owszem, sir. Gorliwi nugganicy starają się ostatnio nie patrzeć w górę. Ehm... – Buziak był wyszkolonym dyplomatą. Pewnych rzeczy wolał nie mówić wprost. – Nuggan, sir... hm... jest dość... zgryźliwy – wykrztusił.

– Zgryźliwy? – powtórzył Vimes. – Zgryźliwy bóg? Znaczy co, skarży się na to, że dzieci hałasują? Protestuje przeciwko głośnej muzyce po dziewiątej wieczorem?

– No... Dociera tutaj „Puls Ankh-Morpork”, sir, w końcu. I tego... moim zdaniem, no... Nuggan jest całkiem podobny... do tych ludzi, którzy piszą do ich działu listów. Wie pan, ci, którzy podpisują się „Zdegustowani mieszkańcy Ankh-Morpork”...

– Aha, chodzi ci o to, że naprawdę jest obłąkany – stwierdził Vimes.

– Och, nigdy by mi o coś takiego nie chodziło – zaprotestował pospiesznie Buziak.

– A co robią kapłani?

– Niezbyt wiele, sir. Myślę, że dyskretnie ignorują co bardziej... skrajne Obrzydliwości.

– Chcesz powiedzieć, że Nugganowi nie podobają się krasnoludy, koty i niebieski kolor, a są jeszcze bardziej obłąkane przykazania?

Buziak zakaszał uprzejmie.

– No dobra – ustąpił Vimes. – Bardziej skrajne przykazania?

– Ostrygi, sir. Nie lubi ostryg. Ale to żaden kłopot, bo nikt tutaj nigdy nie widział ostrygi. Aha, i dzieci. Dzieci też uznał za Obrzydliwość.

– Ale zakładam, że ludzie wciąż je tu robią?

– O tak, wasza łas... przepraszam. Tak, sir. Ale czują się winni. Szczekające psy to następna. Koszule z sześcioma guzikami. I ser. No i... Ludzie tak jakby, no... unikają tych trudniejszych. Nawet kapłani zrezygnowali chyba z prób ich tłumaczenia.

– No tak. Chyba rozumiem dlaczego. Czyli mamy tu do czynienia z krajem próbującym żyć według przykazań boga, który, w opinii mieszkańców, może nosić kalesony na głowie... Czy kalesony też są Obrzydliwością?

– Nie, sir. – Buziak westchnął. – Ale to prawdopodobnie tylko kwestia czasu.

– Więc jak sobie radzą?

– Ostatnimi czasy ludzie modlą się głównie do księżnej Annagovii. W każdym domu wisi jej portret. Nazywają ją Małą Matką.

– A tak, księżna. Mogę się z nią spotkać?

– Nikt się z nią nie spotyka, sir. Od ponad trzydziestu lat nie widział jej nikt prócz służących. Prawdę mówiąc, sir, ona prawdopodobnie już nie żyje.

– Tylko prawdopodobnie?

– Nikt naprawdę nie wie. Oficjalna wersja głosi, że księżna jest w żałobie. To smutna historia, sir. Młody książę zginął tydzień po ślubie. O ile wiem, zabiła go dzika świnia podczas polowania. Księżna zamknęła się w starym zamku w PrinceMarmadukePiotre-AlbertHansJosephBernhardtWilhelmsbergu i nie pokazuje się publicznie. Oficjalny portret namalowano chyba, kiedy miała około czterdziestu lat.

– Żadnych dzieci?

– Żadnych, sir. Po jej śmierci ród wygaśnie.

– I oni się do niej modlą? Jak do bogini?

Buziak westchnął.

– Przecież włączyłem to do mojego raportu, sir. Rodzina królewska w Borogravii zawsze miała taki quasi-religijny status. Są głowami Kościoła, a chłopci modlą się do nich w nadziei, że wstawią się u Nuggana. Są jakby... świętymi za życia. Niebiańskimi pośrednikami. Szczerze mówiąc, te państwka tak właśnie funkcjonują. Żeby cokolwiek załatwić, trzeba znać odpowiednich ludzi. A przypuszczam, że łatwiej się modlić do kogoś na obrazku niż do boga, którego nie widać.

Przez dłuższą chwilę Vimes przyglądał się konsulowi. A kiedy się odezwał, przeraził go do szpiku kości.

– Kto ma dziedziczyć? – zapytał.

– Sir?

– Według następstwa monarchii, panie Buziak. Jeśli księżna nie będzie siedzieć na tronie, kto go zajmie?

– Hm... To niewiarygodnie skomplikowane, sir, z powodu małżeństw w ramach rodu i różnych systemów prawnych, które na przykład...

– A na kogo warto postawić, panie Buziak?

– Hm... na księcia Złobeńskiego Heinricha.

Ku zdumieniu Buziaka Vimes się roześmiał.

– I pewnie się martwi o zdrowie cioci, co? Poznałem go dziś rano, prawda? Trudno powiedzieć, żebym go polubił.

– Ale jest przyjacielem Ankh-Morpork – przypomniał z wyrzutem konsul. – Napisałem o tym w raporcie. Wykształcony. Bardzo się interesuje sekarami. Ma wielkie plany co do swojego kraju. Kiedyś mieli tu nugganitów, ale zakazał tej religii i szczerze powiem, że nikt chyba nie protestował. Chce, żeby Złobenia się rozwijała. I bardzo podziwia Ankh-Morpork.

– Tak, wiem. Sprawia wrażenie obłąkanego, prawie tak jak Nuggan... No dobrze, czyli mamy chyba do czynienia ze skomplikowaną intrygą, żeby wykluczyć Heinricha. Jak są tu sprawowane rządy?

– Prawie wcale. Trochę zbierania podatków i to właściwie wszystko. Przypuszczamy, że któryś z wyższych urzędników dworu ciągnie wszystko, jakby księżna ciągle żyła. Jedyne, co jeszcze jako tako działa, jest armia.

– No dobrze, a co z policją? Wszyscy potrzebują glin. Oni przynajmniej chodzą twardo po ziemi...

– O ile mi wiadomo, nieformalne komitety obywatelskie pilnują przestrzegania praw nugganicznych.

– O bogowie... Różni wścibscy podglądacze i wigilanci... – Vimes wstał i wyjrzał przez wąskie okno na równinę w dole. Zapadła noc. Ogniska w obozie przeciwnika tworzyły w ciemności demoniczne konstelacje. – Powiedzieli ci, po co mnie tu przysłali, Clarence?

– Nie, sir. Moje instrukcje mówią tylko, że ma pan... dopilnować spraw. Księżę Heinrich nie jest z tego powodu przesadnie szczęśliwy.

– No cóż, interesy Ankh-Morpork są przecież interesami wszystkich miłujących pieniądze... przepraszam, chciałem powiedzieć: miłujących wolność ludzi na całym Dysku – stwierdził Vimes. – Nie możemy pozwolić na istnienie kraju, który zawraca nasze dyliżanse pocztowe i przewraca wieże semaforów. To zbyt kosztowne. Rozcinają kontynent na połowy, są jak zwężenie w klepsydrze. Mam doprowadzić konflikt do „satysfakcjonującego” rozwiązania. I wyznam szczerze, Clarence, że zastanawiam się, czy w ogóle warto atakować Borogravię. Taniej wyjdzie posiedzieć i poczekać, aż sama się rozleci. Chociaż, jak zauważyłem... gdzie jest ten raport... a tak... najpierw umrze z głodu.

– To niestety prawda, sir...

Igor stał przy stole werbowników i milczał.

– Nieczęsto się was widuje ostatnio – zauważył sierżant Jackrum.

– No... Skończyły się wam świeże mózgi, co? – spytał złośliwie kapral.

– Spokojnie, kapralu, naprawdę nie ma potrzeby – uspokoił go sierżant i usiadł wygodnie na skrzypiącym krześle. – Wielu znam chłopców chodzących po tym świecie na nogach, których by nie mieli, gdyby nie przyjazny Igor w pobliżu. Prawda, Igorze?

– Tak? Bo ja akurat słyszałem o ludziach, którzy budzili się i odkrywali, że przyjazny Igor w środku nocy zwinął im mózg i prysnął, żeby go przehandlować. – Kapral patrzył wrogo na Igora.

– Obiecuję, że pański mózg jest przede mną całkowicie bezpieczny, kapralu – zapewnił Igor.

Polly parsknęła śmiechem, ale natychmiast umilkła, widząc, że absolutnie nikt jej nie wtóruje.

– I jeszcze spotkałem sierżanta, który mówił, że jakiś Igor przyszył człowiekowi nogi tyłem do przodu – dodał kapral Strappi. – I na co się takie przydadzą żołnierzowi, co?

– Może iść naprzód i cofać się równocześnie – odparł spokojnie Igor. – Fierzancie, znam fystkie te hiftorie i fą tylko złośliwymi ofczerftwami. Chcę fluzyc mojej ojczyźnie. Nie fukam kłopotów.

– Jasna sprawa – zgodził się sierżant. – My też nie. Postaw znaczek i obiecaj, że nie będziesz grzebał przy mózgu kaprała Strappiego, jasne? Co, następny podpis? Niech mnie, mamy tu prawdziwy uniwersytet rekrutów, nie ma co. Dajcie mu tekturowego szylinga, kapralu.

– Dziękuję – powiedział Igor. – I chciałbym też przetrzeć obrazek, jeffi można.

Wyjął z kieszeni ściereczkę.

– Przetrzeć? – zdziwił się Strappi. – To dozwolone, sierżancie?

– A po co chcesz go wycierać, mój panie? – zapytał sierżant.

– Żeby ufunać niewidzialne demony – wyjaśnił Igor.

– Nie widzę tu żadnych niewidzia... – zaczął Strappi i urwał.

– Pozwólcie mu, dobrze? – mruknął Jackrum. – To takie ich zabawne przyzwyczajenia.

– Nie wydaje się to słuszne... – burczał Strappi. – Praktycznie zdrada...

– Nie rozumiem, czemu to źle, że od czasu do czasu wyczyści się staruszkę – uciął sierżant. – Następny. Och...

Igor starannie wytarł obrazek i cmoknął go szybko. Potem stanął obok Polly i rzucił jej zakłopotany uśmiech. Ona jednak patrzyła na kolejnego rekruta.

Był niski i szczupły, co nie zaskakiwało w kraju, gdzie nie wystarczało żywności, by się utuczyć. Miał jednak na sobie kosztowny, czarny strój arystokraty, a nawet broń. Sierżant

trochę się więc zaniepokoił. Człowiek mógł sobie narobić kłopotów, jeśli nieodpowiednio zwrócił się do kogoś takiego... Ktoś taki mógł przecież mieć ważnych przyjaciół.

– Na pewno trafił pan we właściwe miejsce, sir? – zapytał.

– Tak, sierżancie. Chcę się zaciągnąć.

Sierżant Jackrum wiercił się niepewnie.

– Oczywiście, sir, ale nie jestem pewien, czy taki dżentelmen...

– Weźmiecie mnie, sierżancie, czy nie?

– Rzadko się zdarza, sir, żeby taki dżentelmen zaciągał się jako zwykły żołnierz... – mamrotał sierżant.

– W rzeczywistości, sierżancie, chodzi wam o to, czy ktoś mnie ściga. Czy wyznaczono cenę za moją głowę? Odpowiedź brzmi: nie.

– A może tłum chłopów z widłami? – wtrącił kapral Strappi. – To przecież wampir, sierżancie! Każdy się zorientuje! Czarnowstążkowiec! Proszę spojrzeć, nosi odznakę!

– Na której jest napisane „Ani kropli” – przypomniał spokojnie młody człowiek. – Ani kropli ludzkiej krwi, sierżancie. Abstynencja, którą utrzymuję od dwóch lat, dzięki Lidze Wstrzemięźliwości. Oczywiście, jeśli ma pan jakieś obiekcje, sierżancie, wystarczy mi je przekazać na piśmie.

Co było sprytnym posunięciem, uznała Polly. Takie ubranie kosztuje sporo pieniędzy. Większość wampirzych rodów należała do starej arystokracji. Nigdy nie wiadomo, kto był czyimi krewniakiem... a właściwie nawet kto był z kim spokrewniony. Spokrewnieni mogli o wiele bardziej zaszkodzić niż zwykli pospoliccy krewniacy... Sierżant spoglądał na ciągnącą się przed nim wyboistą drogę...

– Trzeba iść z duchem czasów, kapralu – uznał, postanawiając nie wybierać się tą drogą. – A bez wątplenia potrzebujemy rekrutów.

– No tak, ale przypuśćmy, że nocą zechce wyssać ze mnie całą krew? – zaprotestował Strappi.

– Najpierw będzie musiał poczekać, aż szeregowy Igor skończy szukać waszego mózgu, nie? – zirytował się Jackrum. – Proszę tu podpisać, sir.

Pióro skrzypiało na papierze. Po minucie czy dwóch wampir odwrócił kartkę i pisał dalej po drugiej stronie. Wampiry mewają długie imiona.

– Ale możecie mnie nazywać Maladictem – powiedział, wrzucając pióro z powrotem do kałamarza.

– Bardzo jestem wdzięczny, muszę przyznać, si... to znaczy szeregowy. Dajcie mu szylinga, kapralu. Dobrze, że nie srebrnego, co? Cha, cha!

– Tak – zgodził się Maladict. – Rzeczywiście dobrze.

– Następny!

Polly zobaczyła, jak przy stole staje chłopak z farmy, w spodniach przewiązanych sznurkiem. Patrzył na pióro w kałamarzu z tym oburzonym zdumieniem kogoś, kto staje

wobec technicznej nowinki.

Odwrociła się do baru. Oberżysta przyglądał jej się na sposób wszystkich złych oberżystów. Jak zawsze powtarzał jej ojciec, jeśli ktoś prowadzi gospodę, to albo lubi ludzi, albo wpada w obłąd. Co dziwne, niektórzy z tych obłąkanych najlepiej potrafią zadbać o swoje piwo. Sądząc po zapachu w sali, ten do nich nie należał.

Oparła się o bar.

– Jedno piwo proszę – rzuciła.

I patrzyła smętnie, jak oberżysta ponuro kiwa głową i podchodzi do wielkich beczek. Z góry wiedziała, że piwo będzie kwaśne, a wiadro na zlewki pod kurkiem codziennie jest przelewane z powrotem, że czop nie jest wkładany, i jeszcze... no tak, piwo podawali tu w skórzanych kubkach, których chyba nigdy nie myli.

Jednak kilku nowych rekrutów dopijało już swoje piwo z wyraźnie słyszalnymi oznakami zadowolenia. Byli przecież w Plün. Wszystko, co pomagało człowiekowi o tym zapomnieć, prawdopodobnie warto było wypicia.

– Niezłe piwo, nie? – odezwał się jeden z nich.

A stojący obok beknął i odpowiedział:

– Najlepsze jakie piłem, pewno.

Polly powąchała kufel. Zawartość cuchnęła jak coś, czego nie podałaby świniom. Wypiła łyk i całkowicie zmieniła opinię: owszem, podałaby to świniom. Ci chłopcy nigdy w życiu nie pili piwa, tłumaczyła sobie. Pewnie jest tak, jak mówił tato: na wsiach trafiają się chłopcy gotowi iść do wojska, by dostać niezamieszkaną parę spodni. Tacy pili te pomyje i udawali, że smakuje im jak mężczyznom: Hej, niezłe żeśmy sobie dali wczoraj w nocy, co, chłopaki? A zaraz potem...

O bogowie... To jej przypomniało. Jak tutaj będzie wyglądała wygodka? Ta męska na podwórzu, w domu, była dostatecznie straszna. Co rano Polly wylewała tam dwa wielkie cebry wody, starając się przy tym nie oddychać. Na kamiennej podłodze rósł dziwaczny zielony mech. A przecież Pod Księżną to była dobra gospoda. Miała klientów, którzy zdejmowali buty, zanim kładli się do łóżek.

Zmrużyła oczy. Ten głupi dureń przed nią, człowiek, który zmuszał jedną długą brew do wykonywania pracy normalnych dwóch, serwował im pomyje i cuchnący kwas, choć niedługo mieli iść na wojnę...

– To piwo – oznajmił Igor – fmakuje jak końskie fiki.

Polly cofnęła się o krok. Nawet w takim barze jak ten była to mordercza uwaga.

– Aha, znasz się na tym, co? – Barman pochylił się groźnie nad chłopakiem. – Piłeś już końskie siki, co?

– Tak – odparł Igor.

Barman podstawił mu pięść pod nos.

– No to posłuchaj uważnie, ty sepleniący mały...

Szczupłe ramię w czerni pojawiło się z zadziwiającą prędkością, a biała dłoń chwyciła barmana za przegub. Pojedyncza brew zmarszczyła się z bólu.

– No więc sytuacja jest taka – rzekł chłodno Maladict. – Jesteśmy żołnierzami księżnej, zgoda? Powiedz tylko „aargh”.

Musiał ścisnąć palce. Barman jęknął.

– Dziękuję. A ty jako piwo podajesz ciec, którą najlepiej opisuje termin „cuchnąca woda” – ciągnął Maladict tym samym spokojnym, cichym głosem. – Ja oczywiście nie piję... końskiego moczu, ale mam bardzo dobrze rozwinięty zmysł węchu i doprawdy wolałbym nie wymienić głośno wszystkiego, co wyczuwam w tym płynie. Powiedzmy więc tylko „szczurze odchody” i zostawmy tę kwestię, zgoda? Jęknij tylko. Zuch.

Na końcu baru jeden z nowych rekrutów zwymiotował. Maladict z satysfakcją pokiwał głową.

– Odbieranie zdolności bojowej żołnierzowi jej łaskawości w czasie wojny to zdrada – powiedział. Pochylił się. – Karana, oczywiście... śmiercią. – Słowo to wymówił z niejaką przyjemnością. – Jednakże... gdybyś przypadkiem miał tu gdzieś inną beczkę piwa, wiesz, porządnego, które trzymasz dla przyjaciół, jeśli masz jakichś przyjaciół, to z pewnością moglibyśmy zapomnieć o tym drobnym incydencie. A teraz puszczonej twoją rękę. Po twojej brwi poznaję, że jesteś myślicielem. No więc jeśli myślisz, żeby rzucić się na mnie z wielkim kijem, chciałbym, żebyś pomyślał również o czymś innym. Pomyśl o tej czarnej wstążeczce, jaką noszę. Wiesz, co oznacza, prawda?

Barman skrzywił się i wymamrotał:

– Liga Wstrzemięźliwości...

– Tak jest! Brawo. I kolejna myśl, jeśli zostało jeszcze trochę miejsca. Złożyłem ślubowanie, że nie będę pił ludzkiej krwi. Co nie oznacza, że nie mogę kopnąć cię w rozkrok tak mocno, że całkiem ogłuchniesz.

Zwolnił uchwyt. Barman wyprostował się powoli. Pod barem na pewno trzymał krótką drewnianą pałkę – Polly była tego pewna. W każdej gospodzie taką mieli. Nawet ojciec miał. Jak twierdził, była bardzo pomocna w czasach pełnych niepokoju i chaosu.

Zobaczyła, jak drgają nerwowo palce niezdrętwiałej dłoni.

– Nie próbuj – ostrzegła. – On nie żartuje.

Barman się uspokoił.

– Drobnie nieporozumienie, panowie – mruknął. – Podtoczyłem nie tę beczkę, którą chciałem. Bez urazy.

I poczłapał na zaplecze. Jego dłoń niemal widocznie mrowiała.

– Powiedziałem tylko, że to końskie fiki – rzekł Igor.

– Nie będzie już sprawiał kłopotów – uspokoiła Maladicta Polly. – Od teraz stanie się twoim przyjacielem. Doszedł do wniosku, że nie może cię pobić, więc postanowił zostać

twoim najlepszym kumplem.

Maladict obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– Ja to wiem – stwierdził. – Ale skąd wiesz ty?

– Pracowałem kiedyś w gospodzie. – Serce Polly zabiło szybciej, jak zwykle, kiedy kłamstwa czekały na wypowiedzenie. – Można się nauczyć odczytywać ludzi.

– A co robiłeś w gospodzie?

– Stałem za barem.

– Jest w tej dziurze jeszcze jedna gospoda?

– Nie, skąd. Nie pochodzę z tej okolicy.

Polly jęknęła w duchu, słysząc własny głos. Czekala na pytanie: „To czemu przyszedłeś aż tutaj, żeby się zaciągnąć?”. Ale nie nadeszło. Maladict wzruszył tylko ramionami.

– Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek pochodził z tej okolicy.

Jeszcze dwóch rekrutów stanęło przy barze. Wyglądali tak samo – zakłopotane, trochę wyzywające miny, niedopasowane, za duże ubrania. Wrócił Brew, dźwigając niewielki antałek. Ostrożnie ułożył go na koźle i delikatnie wbił kurek. Wyjął spod lady prawdziwy cynowy kufel, napełnił i nieśmiało podsunął Maladictowi.

Wampir machnął ręką.

– Igorze? – zapytał.

– Zofianę przy końskich fikach, jefli ci to nie przekadza – odparł Igor. Rozejrzał się w nagle zapadłej ciszy. – Przecież nie mówiłem, że mi nie fnakują... – Przesunął swój kufel po lepkiej ladzie. – Jefcze raz to famo...

Polly wzięła świeży kufel i powąchała. Potem wypila łyk.

– Nieźle – stwierdziła. – Przynajmniej smakuje jak...

Drzwi otworzyły się gwałtownie, wpuszczając odgłosy burzy. Do wnętrza wsunęło się mniej więcej dwie trzecie trolla, które potem zdołało jakoś przeciągnąć pozostałą część.

Polly nie miała nic przeciwko trollom. Czasami spotykała je w lesie, siedzące wśród drzew albo człapiące wytrwale po ścieżkach w drodze do tego, czym zajmują siętrolle. Nie były przyjazne, były... zrezygnowane. Świat ma w sobie ludzi i trzeba się z tym pogodzić. Nie są warci niestrawności. Nie można zabić ich wszystkich. Nie da się ich obejść... Nadeptywanie ich nie działa na dłuższą metę.

Niekiedy jakiś farmer wynajmowałtrolle do wykonania ciężkich zadań. Czasem się pojawiały, czasem nie. Czasem przychodziły, krążyły po polu i wyrwały pnie drzew jak marchewki, a potem znikaly, nie czekając na zapłatę. Wiele tego, co robią ludzie, zdumiewałotrolle. I odwrotnie. Na ogół starali się nie wchodzić sobie w drogę.

Jednak nieczęsto widywałatrolle aż tak... trolliczne. Ten wyglądał raczej jak głąz, który przez długie stulecia leżał w wilgotnym sosnowym lesie. Porastał go mech. Zasłony szarych porostów zwisały z głowy i brody. W jednym uchu miał ptasie gniazdo, a za sobą ciągnął prawdziwą trollową maczugę zrobioną z wyrwanego drzewka. Był niemal wcieleniem trolla z

dowcipów, tyle że nikt się nie śmiał.

Ukorzeniony koniec drzewka stukał o podłogę, kiedy troll – obserwowany przez rekrutów i przerażonego kaprała Strappiego – przyczłapał do stołu.

– Chcem siem zaciągnąć – oznajmił. – Chcem spełnić obowiązek. Dawać szylinga.

– Jesteś trollem! – wybuchnął Strappi.

– Nie, nie. Spokojnie, kapralu – upomniął go sierżant Jackrum. – Nie pytaj, nie zdradzaj.

– Nie pytać? Nie pytać? To przecież troll, sierżancie! Ma szczeliny. Trawa mu rośnie pod paznokciami! To troll!

– Jasne – stwierdził sierżant. – Zapiszcie go.

– Chcesz walczyć razem z nami? – zapiszczał Strappi.

Trolle nie mają wyczucia przestrzeni osobistej, a w tej chwili tona tego, co – praktycznie rzecz biorąc – było odmianą skały, pochylała się nad stołem i kapralem.

Troll przeanalizował pytanie. Rekruci stali w milczeniu, z kufłami znieruchomiałymi w połowie drogi do ust.

– Nie – odpowiedział w końcu. – Chcem walczyć z armią. Bogowie zachowajcie... – Troll umilkł i popatrzył na sufit. Czegokolwiek tam szukał, nie było chyba widoczne, więc popatrzył na własne stopy porośnięte trawą. W końcu uniósł wolną rękę i poruszył palcami, jakby coś liczył. – ...Księżną – dokończył. Czekanie trwało długo. Stół zatrzeszczał, kiedy troll położył na blacie rękę dłonią do góry. – Dawać szylinga.

– Ale mamy tylko te kawałki papie... – zaczął kapral Strappi, lecz sierżant Jackrum wbił mu łokieć w żebra.

– Słowo honoru, kapralu, czy wyście oszaleli? – syknął. – Za wciągnięcie trolla dostaniemy premię jak za dziesięciu ludzi!

Drugą ręką sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął srebrnego szylinga i położył go ostrożnie na wielkiej dłoni.

– Witamy w nowym życiu, przyjacielu! Zapiszę tylko twoje imię, dobrze? No więc jak?

Troll przyjrzał się sufitowi, stopom, sierżantowi, ścianie i stołowi. Polly zauważyła, że porusza ustami.

– Karborund? – spróbował.

– Tak, prawdopodobnie – zgodził się sierżant. – A może zechciałbyś zgo... skosić trochę wło... mchu? Mamy takie przepisy...

Ściana, podłoga, sufit, stół, palce, sierżant.

– Nie – odparł Karborund.

– Jasne. Jasne. Jasne – uspokoił go sierżant pospiesznie. – To właściwie nie jest przepis jako taki, ale raczej sugestia. Niemądra, co? Zawsze mi się tak wydawało. Cieszę się, że mamy cię wśród nas – dodał z przekonaniem.

Troll polizał monetę, która zaśniła w jego dłoni jak diament. Rzeczywiście, zauważyła Polly, trawa rosła mu pod paznokciami... Podeszedł do baru. Stojący rozstąpili się natychmiast,

ponieważ trolle nigdy nie muszą czekać za pijącymi, machać pieniędzmi i próbować pochwycić wzrok barmana.

Karborund rozłamał monetę na połowy i rzucił obie na kontuar. Brew przełknął ślinę. Wyglądał, jakby chciał powiedzieć: Jesteś pewien?”, tyle że nie było to pytanie, jakie barmani kierują do klientów ważących powyżej pół tony. Karborund zastanowił się chwilę i rzekł:

– Daj drink.

Brew kiwnął głową, zniknął na chwilę na zapleczu i wrócił, niosąc kufel z podwójnym uchwytem. Maladict kichnął. Polly zaczęła łzawić – taki zapach wyczuwa się przez zęby. Oberża mogła podawać gościom nędzne piwo, ale ten płyn był czystym octem, od którego szczypało w oczy.

Brew wrzucił połówkę srebrnej monety do naczynia, po czym wyjął z szuflady miedzianego pensa i wzniosł nad spienionym kuflem. Troll skinął głową. Z odrobiną ceremonii, jak kelner wrzucający do koktajlu małą parasolkę, Brew upuścił miedziaka do kufła.

Ciecz zapieniła się mocniej. Igor przyglądał się z zaciekawieniem. Karborund chwycił naczynie w dwa palce każdej z wielkich dłoni, po czym jednym haustem przełknął całą zawartość. Przez moment stał nieruchomo, a potem ostrożnie postawił kufel na ladzie.

– Zechciejcie, panowie, trochę się odsunąć – mruknął Brew.

– A co się stanie? – zainteresowała się Polly.

– Różnie to na nich działa. Wygląda na to, że ten... a nie, już załatwiony...

W godnym podziwu stylu Karborund padł na plecy. Nie było żadnego uginania kolan, żadnej dziewczynskiej próby zamortyzowania upadku. Po prostu zmienił pozycję ze stojącej z ręką wyciągniętą przed siebie na leżącą z ręką sterczącą w górę. Zakołysał się nawet parę razy, kiedy już uderzył o podłogę.

– Nie mają głowy do takich drinków – stwierdził Brew. – Typowe dla takich młodych byczków. Przychodzą tutaj i próbują zgrywać wielkiego trolla, zamawiają Elektryczny Powalacz i nie wiedzą, jak go wypić.

– Wróci do siebie? – zapytał Maladict.

– Raczej nie przed świtem. Mózg przestał mu działać.

– Dla niego to niewielka różnica – uznał kapral Strappi. – No dobra, ofermy! Spicie w tej szopie na tyłach. Praktycznie wodoszczelna i prawie bez szczurów! Wymarsz o świcie! Jesteście teraz w wojsku!

Polly leżała w ciemności na posłaniu z gnijącej słomy. Nie było mowy, żeby ktokolwiek się rozbierał. Deszcz bębnił o dach, a wiatr dmuchał przez szczelinę pod drzwiami mimo prób Igora, by zatkać ją słomą. Porozmawiali chwilę dość chaotycznie. Z tej rozmowy Polly dowiedziała się, że szopę zamieszkują wraz z nią „Stukacz” Halter, „Kukuła” Manickle, „Łazer” Goom i „Loff” Tewt. Maladict i Igor chyba nie zyskali sobie łatwych do powtórzenia

przydomków. Ona sama za powszechną zgodą została Ozerem.

Ku jej lekkiemu zdziwieniu chłopiec przedstawiający się jako Łazer wyjął z tobołka nieduży portret księżnej i niepewnie zawiesił go na starym gwoździu. Nikt nie powiedział ani słowa, kiedy zaczął się do niej modlić. Tak właśnie powinno się robić.

Mówili, że księżna nie żyje...

Pewnej nocy Polly zmywała właśnie, kiedy usłyszała rozmowę mężczyzn. A nieszczęśliwa jest kobieta, która nie potrafi podsłuchiwać i robić hałasu równocześnie.

Nie żyje, mówili, ale ludzie w PrinceMarmadukePiotreAlbertHansJosephBernhardt-Wilhelmsbergu to ukrywają. Dlatego że nie miała dzieci, a w rodach panujących ludzie bez przerwy zawierają małżeństwa ze swoimi kuzynami i babciami, więc książęcy tron przypadłby księciu Heinrichowi ze Zlobenii! Tak jest! Możecie uwierzyć? No bo niby czemu nikt jej nigdy nie widział, co? I przez te wszystkie lata nie namalowali nowego portretu? Daje do myślenia. Pewnie, powtarzają nam, że jest w żałobie z powodu młodego księcia, ale to się przecież wydarzyło siedemdziesiąt lat temu! Podobno pochowali ją w sekrecie i...

Ale wtedy właśnie ojciec przerwał brutalnie. Są takie rozmowy, po których człowiek woli, by nikt nie pamiętał, że w ogóle przebywał w tym samym pomieszczeniu.

Żywa czy martwa, księżna troszczyła się o swych poddanych.

Rekruci próbowali zasnąć.

Od czasu do czasu ktoś bekał albo głośno puszczał wiatry. Polly reagowała kilkoma własnymi fałszywymi czknięciami. Zdawało się, że skłania to do większego wysiłku innych śpiących, aż dach grzechotał i kurz opadał w dół, nim wszyscy się wreszcie uspokoili. Raz czy dwa słyszała, jak ktoś wychodzi chwiejnie na ciemność i wiatr, w teorii do wygodki, ale biorąc pod uwagę męską niecierpliwość w takich sprawach, prawdopodobnie do celu o wiele bliższego. Raz, budząc się i zapadając w niespokojny sen, miała wrażenie, że słyszy czyjś szloch.

Uważając, by za głośno nie szeleścić, wyjęła wytarty, poskładany, zaczytany i poplamiony list od brata. Przeczytała go w świetle samotnej, migoczącej świecy. Został otworzony i ciężko okaleczony przez cenzorów, a także nosił pieczęć księstwa. Brzmiał tak:

Kochani!

Jesteśmy w [REDACTED], który jest [REDACTED] z takim [REDACTED]ącym czymś z gałkami. We [REDACTED] ruszamy do [REDACTED] i bardzo dobrze, ponieważ już [REDACTED] stąd. Dbam o siebie. Jedzenie jest [REDACTED]. [REDACTED] będziemy [REDACTED] przy [REDACTED] ale mój kumpel [REDACTED]ek mówi, żeby się nie przejmować, wszystko się skończy do [REDACTED] i wszyscy dostaniemy medale.

Uszy do góry!

Paul

Pismo było wyraźne, przesadnie staranne i kształtne, jak u kogoś, kto musi pomyśleć nad każdą literą. Polly wolno złożyła list. Paul marzył o medalach, bo błyszczały. Minął już niemal rok od czasu, kiedy każdy werbownik, jaki pojawił się w okolicy, odjeżdżał z ponad połową batalionu. Ludzie żegnali żołnierzy chorągiewkami i muzyką... Teraz czasami powracały mniejsze grupki. Tym, którzy mieli szczęście, brakowało tylko jednej nogi czy ręki. Nikt nie machał chorągiewkami.

Rozłożyła inną kartkę – to była odezwa. Zatytułowana: „Od Matek Borogravianek!”. Matki Borogravianki bardzo stanowczo pragnęły posłać swych synów na wojnę ze Złobeńskim Najeźdźcą i używały bardzo licznych wykrzykników, by o tym poinformować. Co było dziwne, gdyż matki w Munzu wcale nie były zachwycone myślą, że ich synowie idą na wojnę; zdarzało się, że starały się zaciągnąć ich z powrotem. Mimo to do każdego domu trafiło po kilka egzemplarzy tej odezwy. Była bardzo patriotyczna. To znaczy: mówiła o zabijaniu cudzoziemców.

Polly nauczyła się w pewnym zakresie czytać i pisać, ponieważ gospoda była duża, a w każdym dużym przedsięwzięciu należy rejestrować i liczyć różne rzeczy. Matka nauczyła ją czytać, co było dopuszczone przez Nuggana, a ojciec przypilnował, żeby umiała też pisać, co dopuszczone nie było. Kobieta, która potrafi pisać, jest Obrzydliwością dla Nuggana, jak twierdził ojciec Jupe; cokolwiek napisze, z definicji będzie kłamstwem.

Polly nauczyła się mimo to, ponieważ Paul się nie nauczył, przynajmniej nie w zakresie niezbędnym do prowadzenia gospody tak popularnej jak Pod Księżną. Paul potrafił czytać, jeśli mógł powoli przesuwając palcem wzdłuż linijek; litery stawiał w ślimaczym tempie, myśląc przy tym i sapiąc, jakby składał jakieś drobne ozdoby. Był duży, łagodny i powolny; mógł podnosić antalki z piwem, jakby to były zabawki, ale nie czuł się panem domu, kiedy przychodziło do papierów. Ojciec napomynał Polly – bardzo delikatnie, ale bardzo często – że będzie musiała go wspierać, gdy nadejdzie czas, by przejął Księżną. Jeśli nikt mu nie powie, co robić, jej brat będzie stał tylko i gapił się na ptaki.

Na jego prośbę przeczytała mu całe „Od Matek Borogravianek!” łącznie z fragmentami o bohaterach i o tym, że nie ma lepszego losu, niż zginąć za swój kraj. Teraz tego żałowała. Paul robił to, co mu się powiedziało. Niestety, także wierzył w to, co mu się powiedziało.

Schowała papier i znów zasnęła, ale po pewnym czasie zbudził ją pęcherz. No trudno... Przynajmniej tak wcześnie rano nikt nie będzie jej przeszkadzał.

Sięgnęła po swój tobolek i jak najciszej wyszła na deszcz.

W tej chwili krople opadały głównie z drzew, które gięły się i szumiały na wietrze, wiejącym przez dolinę. Chmury zasłoniły księżyc, ale światła wystarczało, by rozróżnić budynki oberży. Pewna szarość sugerowała, że to, co w Plün uchodziło za świt, już się zbliża. Odnalazła męską wygodkę, która w samej rzeczy cuchnęła brakiem dokładności...

Wiele planowania i ćwiczeń złożyło się na ten moment. Sytuację ułatwiała konstrukcja

spodni, staromodnych i zaopatrzonych w obszerne klapy zapinane na guziki – a także eksperymenty, których Polly dokonywała zwykle wcześniej rano, przy okazji sprzątania. Krótko mówiąc, odkryła, że przy zachowaniu ostrożności i dbałości o szczegóły kobieta może siusiąc na stojąco. Z pewnością udawało się to w domu, w wygodce oberży, zaprojektowanej i zbudowanej tak, by uwzględniać pewien brak celności klientów.

Wiatr wstrząsał mokrym budynkiem. W ciemnościach myślała o cioci Hattie, która około sześćdziesiątych urodzin zrobiła się trochę dziwna i uparcie oskarżała przechodzących mężczyzn, że zaglądną jej pod spódnicę. Jeszcze gorsza stawała się po kieliszku wina; opowiadała wtedy swój jedyny dowcip: „Mężczyzna staje, żeby to zrobić, kobieta siada, a pies podnosi łapę. Co to jest?”. A potem, kiedy wszyscy byli nazbyt zakłopotani, by odpowiedzieć, krzyczała tryumfalnie „Podają rękę!” i zasypiała. Ciocia Hattie sama w sobie była Obrzydliwością.

Polly z poczuciem euforii zapięła spodnie. Miała wrażenie, że przekroczyła most – a radość wzmacniało dodatkowo odkrycie, że zachowała suche nogi.

– Pst! – powiedział ktoś nagle.

Bardzo dobrze, że zdążyła już się wysiusić. Panika natychmiast zaciśnęła jej wszystkie mięśnie. Gdzie oni się schowali? Przecież to tylko gnijąca stara szopa! Pewnie, jest tu kilka kabin, ale sam zapach sugeruje, że las na zewnątrz jest dużo lepszym rozwiązaniem. Nawet w taką deszczową noc jak dzisiaj. Nawet z dodatkowymi wilkami.

– Tak? – wyjąkała, po czym odkasznęła i zapytała grubszym głosem: – Tak?

– Przydadzą ci się – usłyszała szept.

W cuchnącym mroku dostrzegła coś wysuwającego się ponad ścianką kabiny. Nerwowo wyciągnęła rękę i dotknęła palcami miękkiego przedmiotu – było to welniane zawiniątko. Obmacała je szybko.

– Skarpety? – zdziwiła się.

– Tak. Noś je – rzekł szorstko ten ktoś.

– Dziękuję, ale mam kilka par... – zaczęła Polly.

Usłyszała ciche westchnienie.

– Nie, nie na nogach. Wciśnij je z przodu spodni.

– To znaczy jak?

– Słuchaj – tłumaczył cierpliwie szeptacz. – Nie wybrzuszasz się tam, gdzie nie należy. To dobrze. Ale też nie wybrzuszasz się tam, gdzie powinnaś. Rozumiesz? Niżej.

– Och... Ale ja... No, myślałam, że nikt nie zauważy... – Poczula, że twarz jej zapłonęła.

Została wykryta. Ale nie nastąpiła wrzawa ani krzyki, ani też żadne gniewne odwołania do Księgi Nuggana. Ktoś jej pomagał. Ktoś, kto ją widział..

– To zabawne – stwierdził szeptacz. – Ale to, czego brakuje, zauważają łatwiej niż to, co jest. Ale tylko jedna para, pamiętaj. Nie przesadzaj z ambicją.

Polly się zawahała.

- Hm... Czy to takie oczywiste?
- Nie. Dlatego dostałaś te skarpety.
- Chodzi o to, że... że nie jestem... że ja...

– Właściwie nie – uspokoił ją głos w ciemności. – Dobrze sobie radzisz. Zachowujesz się jak wystraszony chłopak, który udaje dużego i odważnego. Ale mogłabyś trochę częściej dłużyć w nosie. Taka sugestia... Mało co interesuje młodego człowieka bardziej niż zawartość jego nozdrzy. A teraz za to wszystko muszę cię prosić o przysługę.

Ja o żadną nie prosiłam, pomyślała Polly rozniewana, że ktoś uznał ją za wystraszonego chłopaka, choć sama była pewna, że zachowuje się jak swobodny, bywały w świecie młodzian. Spytała jednak spokojnie:

- O co chodzi?
- Masz jakiś papier?

Polly bez słowa wyjęła spod koszuli „Od Matek Borogravianek!” i wyciągnęła do góry. Usłyszała zapaloną zapalkę i poczuła zapach siarki, który tylko poprawił ogólną sytuację.

– Coś podobnego! Widzę przed sobą tarczę herbową jej łaskowości księżnej... – oznajmił szeptacz. – No cóż, nie pozostanie przede mną zbyt długo. Zmykaj... chłopcze.

Polly wybiegła w noc zaszokowana, oszołomiona, zmieszana i niemal uduszona. Dotarła do drzwi szopy. Ledwie jednak zdążyła zamknąć je za sobą i wciąż mrugała w mroku, kiedy znów otworzyły się gwałtownie, wpuszczając do wnętrza deszcz, wiatr i kaprała Strappiego.

– No już, ruszać się! Puście te... zresztą wy to nawet tego byście nie znaleźli... buce i wiązcie onuce! Hop, hop, hop, hej ho, hop, hop...

Wokół Polly zaroilo się nagle od biegających i padających rekrutów. Ich mięśnie musiały bezpośrednio reagować na rozkazy, ponieważ żaden mózg nie byłby zdolny tak szybko zbudzić się do działania. Kapral Strappi, posłuszny działaniu praw zachowania podoficerów, reagował, czyniąc chaos jeszcze bardziej chaotycznym.

– Wielkie nieba, banda staruszek radziłaby sobie lepiej od was! – krzyczał z satysfakcją, gdy rekruci miotali się dookoła, szukając płaszczy i butów. – Myć się! I golić! Każdy w regimencie ma być gładko ogolony! To rozkaz! Ubierajcie się! Łazer, mam na ciebie oko! Ruszać się, ruszać! Śniadanie za pięć minut! Ostatni nie dostanie parówki! Rany, co za zbieranina!

Czterech mniej znanych jeźdźców – Panika, Dezorientacja, Ignorancja i Wrzask – przejęło władzę w szopie, ku obscenicznej uciechy kaprała Strappiego. Polly jednak wymknęła się na zewnątrz, wyciągnęła z tobołka niewielki blaszany kubek, zanurzyła w kadzi z wodą, ustawiła na beczce pod ścianą i zaczęła się golić.

To także ćwiczyła. Cały sekret tkwił w starej, bardzo starannie stępionej brzytwie. Potem niezbędny był tylko pędzel i mydło. Wystarczyło nałożyć sobie na twarz dużo piany, a potem ściągnąć tę pianę brzytwą – i człowiek był ogolony. Na pewno porządnie ogolony, sir, proszę sprawdzić, jaka gładka skóra...

Była już w połowie tego golenia, kiedy rozległ się wrzask tuż koło jej ucha.

– Co wy tutaj wyprawiacie, szeregowy Nerds?!

– Perks, sir! – odpowiedziała, wycierając nos. – Golę się, sir! Nazywam się Perks, sir!

– Sir? Sir? Nie jestem żaden sir, Nerds. Jestem piekielnym kapralem, Nerds. To znaczy, że zwracacie się do mnie „kapralu”, Nerds. A golicie się w oficjalnym regimentowym kubku, którego nie pobralście! Jesteście dezerterem, Nerds?

– Nie, s... kapralu!

– Czyli złodziejem?

– Nie, kapralu!

– To skąd wzięliście ten demoniczny kubek, Nerds?

– Od martwego człowieka, sir... kapralu!

Głos Strappiego, i tak wzniesiony do krzyku, stał się wrzaskiem wściekłości.

– Jesteście szabrownikiem?

– Nie, kapralu. Ten żołnierz...

...umarł niemal w jej ramionach, na podłodze gospody.

Oddział powracających bohaterów liczył sobie sześciu ludzi. Mieli poszarzałe twarze; musieli cierpliwie wędrować całymi dniami, kierując się do małych wiosek w górach. Polly naliczyła u nich razem dziewięć rąk i dziesięć nóg. I dziesięć oczu.

Ale w pewnym sensie gorzej było z tymi pozornie całymi. Zawsze mieli te swoje cuchnące płaszcze szczelnie zapięte, jakby służyły im zamiast bandażu na tej niewyobrażalnej szarpaninie pod spodem. I roztaczali wokół zapach śmierci.

Bywalcy gospody zrobili im miejsce i rozmawiali cicho, jak ludzie zebrani w świętym miejscu. Jej ojciec, zwykle niezbyt skłonny do sentymentów, dyskretnie wlał do każdego piwa szczodłą porcję brandy i odmówił przyjęcia zapłaty. Okazało się, że ci ludzie niosą listy od żołnierzy, którzy nadal walczą, a jeden z nich miał list Paula. Przesunął go po stole do Polly, kiedy stawiała przed nimi potrawkę, a potem, bez wielkiego zamieszania, umarł.

Pozostali odeszli następnego dnia. Zabrali ze sobą – by przekazać jego rodzicom – blaszany medal, który żołnierz niósł w kieszeni, oraz oficjalną, wystawioną przez księstwo pochwałę dodaną do odznaczenia. Cała była wydrukowana, łącznie z podpisem księżnej, a nazwisko tego człowieka wpisano w wolne miejsce, dość ciasno, gdyż było dłuższe od typowych. Ostatnie kilka liter ściśnięto niemal razem.

Takie drobne szczegóły zapadają w pamięć, kiedy umysł wypełnia bezkierunkowa, rozszarzona do białości wściekłość. Poza listem i medalem ten człowiek pozostawił po sobie tylko blaszany kubek i – na podłodze – plamę, której nie dało się wyszorować.

Kapral Strappi wysłuchiwał niecierpliwie lekko zredagowanej wersji tej historii. Polly widziała, jak pracuje jego umysł: ten kubek należał do żołnierza, a teraz należy do innego żołnierza – takie były fakty w tej sprawie i niewiele mógł na to poradzić. Dlatego też wycofał

się na bezpieczniejsze grunty ogólnych złorzeczeń.

– Wydaje ci się, że jesteś sprytny, Nerds?

– Nie, kapralu.

– Aha... Czyli jesteś głupi, tak?

– No... zaciągnąłem się, kapralu – odparła potulnie Polly.

Za plecami Strappiego ktoś parsknął.

– Mam cię na oku, Nerds – rzekł Strappi, chwilowo pokonany. – Wystarczy jeden fałszywy krok, nic więcej...

Odszedł.

– Ehm... – odezwał się jakiś głos obok Polly.

Obejrzała się. Stał przy niej kolejny chłopak w znoszonym ubraniu i z nerwową miną, która nie do końca skrywała wrzący w nim gniew. Był dość mocno zbudowany i rudowłosy, choć obcięty tak krótko, że był to raczej meszek na głowie.

– Jesteś Stukacz, tak? – upewniła się.

– Tak. I... mógłbym pożyczyć sprzętu do golenia?

Polly spojrzała na podbródek tak pozbawiony zarostu jak kula bilardowa. Chłopak się zaczerwienił.

– Kiedyś trzeba zacząć, nie? – mruknął wyzywająco.

– Brzytwę trzeba naostrzyć – poinformowała Polly.

– W porządku. Wiem, jak się to robi.

Polly bez słowa wręczyła mu kubek i brzytwę, po czym skorzystała z okazji, gdy wszyscy byli zajęci, i wymknęła się do wygodki. Tylko chwilę zajęło jej umieszczenie skarpet na właściwym miejscu. Trudniej było je umocować, ale udało się, gdy rozwinęła jedną ze skarpet i wsunęła koniec za pasek. Wydawały się dziwnie ciężkie jak na niewielkie zawiniątko wełny.

Trochę niezgrabnym krokiem wróciła do gospody, by sprawdzić, jaką zgrozę niesie ze sobą śniadanie.

Przyniosło trochę stęchłych końskich sucharów i kielbasy oraz bardzo słabe piwo. Porwała kawałek kielbasy, suchara i usiadła.

Jedzenie końskich sucharów wymagało skupienia. Ostatnio częściej się je spotykało – chleb zrobiony z mąki mielonej razem z suszonym grochem, fasolą i kawałkami warzyw. Kiedyś przeznaczony był tylko dla koni, żeby utrzymać je w dobrej formie; teraz rzadko kiedy widziało się na stole coś innego, a i końskich sucharów było coraz mniej. Żeby przegryźć się przez taki suchar, niezbędny był czas i dobre zęby, całkowity brak wyobraźni przydawał się natomiast, by zjeść dzisiejszą kielbasę. Polly usiadła z boku i skupiła się na żuciu.

Jedyny poza tym obszar spokoju otaczał szeregowego Maladicta, który pił kawę tak, jakby był młodym człowiekiem wypoczywającym w kawiarni na chodniku, z miną kogoś, kto

dokładnie zaplanował sobie życie. Skinął Polly głową.

Czy to on był w wygodce? – zastanowiła się. Wróciła akurat, kiedy Strappi zaczął wrzeszczeć, a wszyscy biegali w kółko, wchodzili i wychodzili. To mógł być każdy. Czy wampiry korzystają z wygodki? Korzystają czy nie? Czy ktokolwiek ośmielił się zapytać?

– Dobrze spałeś? – spytał Maladict.

– Nieźle. A ty?

– Nie mogłem wytrzymać w tej szopie, ale pan Brew uprzejmie pozwolił mi skorzystać ze swojej piwnicy – odparł wampir. – Trudno się pozbyć starych przyzwyczajeń. A przynajmniej – dodał – starych i akceptowalnych przyzwyczajeń. Nigdy nie czułem się dobrze, nie wisząc głową w dół.

– I masz kawę?

– Zawsze biorę ze sobą własny zapasik. – Maladict wskazał śliczny zestaw do parzenia, srebrny ze złoceniami. – A pan Brew bardzo grzecznie zagotował dla mnie trochę wody. – Uśmiechnął się, odsłaniając dwa długie kły. – Zdziwiałeś, Oliver, jak wiele można osiągnąć zwykłym uśmiechem.

Polly kiwnęła głową.

– Eee... Igor to twój przyjaciel? – spytała.

Przy sąsiednim stoliku Igor położył kielbaskę, zapewne surową, którą zdobył w kuchni, i przyglądał się jej uważnie. Dwa druty prowadziły z niej do kufła okropnego, octowego piwa, które bulgotało.

– Nigdy w życiu go nie widziałem – zapewnił wampir. – Oczywiście jeśli już poznasz jednego, to jakbyś poznał wszystkich. Mielśmy Igora w domu. To doskonali pracownicy. Niezawodni. Godni zaufania. I oczywiście bardzo wprawni w zszywaniu różnych rzeczy, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Te szwy dookoła głowy nie wyglądają profesjonalnie – zauważyła Polly, która zaczynała mieć już dość tej demonstrowanej przez Maladicta swobodnej wyższości.

– Te? To taki Igorowy zwyczaj. Chodzi o wizerunek. Coś jak... barwy plemienne, rozumiesz. Igory lubią, kiedy je widać. Ha... służył u nas kiedyś taki, który miał szwy dookoła szyi. Bardzo był z nich dumny.

– Naprawdę? – rzuciła słabym głosem Polly.

– Naprawdę. A najzabawniejsze, że to nawet nie była jego głowa!

Igor trzymał teraz w dłoni strzykawkę i z zadowoleniem obserwował kielbaskę. Przez moment Polly miała wrażenie, że kielbaska się poruszyła...

– Dość płaszczenia tyłków, pora się ruszać, pętaki! – wrzasnął kapral Strappi, wkraczając dumnie do pokoju. – Zbiórka! To znaczy: ustawić się w rzędzie, ofermi! Ty też, Nerds! I pan, panie wampirze, czy zechce pan uczestniczyć w lekkiej porannej żołnierce? Na nogi! I gdzie ten przeklęty Igor?!

– Tutaj, fir – odezwał się Igor, stojący trzy cale za kręgosłupem Strappiego.

Kapral odwrócił się błyskawicznie.

– Skąd się tu wzięłeś?! – ryknął.

– To taki dar, fir.

– Nigdy więcej nie próbuj za mną stawać! Dołącz do reszty! A teraz... Bacność! – Strappi westchnął demonstracyjnie. – To znaczy: stanąć prosto. Jasne? Jeszcze raz, ale z uczuciem! Aha, widzę, na czym polega kłopot. Masz portki, które bez przerwy stoją na spoczynku! Będę musiał chyba napisać do księżnej i powiedzieć, że powinna zażądać zwrotu pieniędzy! I co się pan tak uśmiecha, panie wampirze?

Strappi zatrzymał się przed Maladictem stojącym w bezbłędnej postawie zasadniczej.

– Cieszę się, że jestem w wojsku, kapralu!

– Tak, akurat... – burknął Strappi. – No to nie będziesz się tak...

– Wszystko w porządku, kapralu?

W drzwiach stanął sierżant Jackrum.

– Najlepsze, czego mogliśmy się spodziewać, sierżancie! – westchnął kapral. – Trzeba by ich wszystkich wyrzucić, słowo daję. Bezwartościowi, zupełnie bezwartościowi...

– Spokojnie, chłopcy! Wszyscy spocznij! – rzucił Jackrum, nie tak całkiem przyjaźnie spoglądając na kaprała. – Dzisiaj wyruszamy do Plotzu, gdzie spotkamy się z innymi grupami werbunkowymi, a wy dostaniecie mundury i broń, szczęściarze. Ktoś z was używał kiedyś broni? Ty, Perks?

Polly opuściła rękę.

– Tylko trochę, sierżancie. Brat mi pokazywał, kiedy przyjeżdżał na przepustkę. I niektórzy ze starszych w tym barze, gdzie pracowałem, też dawali mi... wskazówki.

Rzeczywiście, dawali, bo zabawnie było patrzeć na dziewczynę wymachującą mieczem. Byli jednak przy tym dość uprzejmi, kiedy akurat się nie śmiali. Uczyła się szybko, ale uważała, by pozostać niezgrabną jeszcze długo, choć zaczęła już wyczuwać klingę – ponieważ używanie miecza także było „dziełem Mężczyzny”, a jeśli zajmowała się tym kobieta, była Obrzydliwością dla Nuggana. Starzy żołnierze na ogół dość swobodnie podchodzili do Obrzydliwości. Polly była zabawna, dopóki była bezużyteczna, i bezpieczna, dopóki zabawna.

– Ekspert, co? – Strappi uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Prawdziwy geniusz szermierki, co?

– Nie, kapralu – odparła potulnie Polly.

– I dobrze – uznał Jackrum. – Ktoś jeszcze...

– Jedną chwilę, sierżancie! Tak sobie myślę, że wszystkim nam się przyda parę instrukcji od fehmistrza Nerdsa – oświadczył Strappi. – Mam rację, chłopcy?

Zabrzniał chóralny pomruk i nastąpiły wzruszenia ramion ludzi, którzy od pierwszego rzutu oka potrafili rozpoznać wrednego drania, ale – zdradziecko – cieszą się, że nie do nich się przyczepił.

Strappi dobył miecza.

– Proszę mu pożyczyć jeden z pańskich, sierżancie – poprosił. – Spokojnie. To tylko trochę zabawy, nie?

Jackrum z wahaniem spojrział na Polly.

– Co ty na to, chłopcze? – zapytał. – Nie musisz.

Muszę, wcześniej czy później, stwierdziła Polly w duchu. Świat pełen jest takich jak Strappi. Jeśli człowiek się przed nimi cofa, oni napierają. Trzeba ich powstrzymać na samym początku.

Westchnęła.

– W porządku, sierżancie.

Jackrum wyjął zza pasa jeden ze swoich kordów i wręczył go Polly. Broń wydawała się zadziwiająco ostra.

– Nie robi ci krzywdy, Perks – rzucił, spoglądając na uśmiechniętego drwiąco Strappiego.

– Ja też postaram się go nie skrzywdzić – odparła i natychmiast przeklęła samą siebie za tę idiotyczną brawurę. To pewnie skarpety przez nią przemawiały.

– No to świetnie. – Strappi cofnął się o krok. – Zobaczymy, Nerds, z czego jesteś zrobiony.

Z ciała, pomyślała Polly. Które łatwo przeciąć.

Strappi machnął szablą tak, jak to robili tamci starzy wojacy: nisko, na wypadek gdyby miał do czynienia z jednym z tych, którzy wierzą, że celem starcia jest uderzenie w ostrze przeciwnika. Zignorowała klingę, ale czujnie obserwowała jego oczy, co nie było szczególnie pociągające. Strappi nie zabije jej ani nie zrani śmiertelnie w obecności sierżanta. Spróbuje zrobić coś, co zaboli i sprawi, że wszyscy będą się z niej śmiali. Ten typ tak właśnie działał, nieodmiennie. W każdej gospodzie wśród stałych bywalców zdarzał się jeden czy dwóch podobnych.

Kapral bardziej agresywnie sprawdził jej obronę i raz czy dwa, czystym przypadkiem, udało jej się odbić klingę. Ale szczęście nie będzie wiecznie jej sprzyjać, a gdyby miała dać przyzwoity pokaz walki, Strappi załatwi ją szybko i sprawnie.

I wtedy przypomniała sobie bełkotliwą radę Dziaśłaka Abbensa, byłego sierżanta, którego miecz pozbawił lewej ręki, a cydr wszystkich zębów. „Dobry siurmierz nie lubi walczyć z żółtodzióbem, mała. A to dlatego, że nijak nie wi, co ten drań zrobi?”.

Szeroko cięła mieczem. Strappi musiał zablokować i przez chwilę klingi się zwały.

– To jest najlepsze, co potrafisz, Nerds? – zadrwił kapral.

Polly wyciągnęła rękę i chwyciła go za koszulę.

– Nie, kapralu – powiedziała. – Ale to już tak.

Szarpnęła mocno, spuszczając przy tym głowę.

Zderzenie zaboląło mocniej, niż miała nadzieję. Usłyszała jednak, że coś chrupnęło – i to

coś nie należało do niej. Odstąpiła trochę chwiejnie. Z kordem w gotowości...

Strappi osunął się na kolana. Krew obficie płynęła mu z nosa. Kiedy wstanie, ktoś zginie na pewno.

Zdyszana Polly bez słów zaapelowała wzrokiem do sierżanta Jackruma, który założył ręce na piersi i niewinnie wpatrywał się w sufit.

– Założę się, że czegoś takiego nie nauczyłeś się od brata, Perks – stwierdził.

– Nie, sierżancie. Od Działaka Abbensa, sierżancie.

Jackrum spojrzał na nią z uśmiechem.

– Jak to? Starego sierżanta Abbensa?

– Tak, sierżancie!

– To imię z przeszłości! Jeszcze żyje? Co słyszeć u tego starego opoja?

– No... jest dobrze zakonserwowany, sierżancie – odparła Polly, wciąż próbując uspokoić oddech.

Jackrum parsknął śmiechem.

– Tak, w to wierzę – stwierdził. – Zawsze był najlepszy w barowych bijatykach. I założę się, że to niejedyna sztuczka, którą ci pokazał, co?

– Nie, sir.

Inni mężczyźni karcili staruszkę, że opowiada jej takie historie, a Działak tylko chichotał do swojego kufła cydru. Polly zresztą potrzebowała dłuższego czasu, zanim odkryła, co znaczą „rodzinne klejnoty”.

– Słyszałeś, Strappi? – zwrócił się sierżant do kaprała, który kłął i chlapał krwią na podłogę. – Wychodzi na to, że miałeś szczęście. Zapamiętajcie na przyszłość, chłopcy: Nie ma nagród za uczciwą walkę w ścisku, jak niedługo się nauczycie. No dobra, koniec zabawy. Przyłóżcie sobie na nos zimny kompres, kaprału. To zawsze wygląda gorzej, niż jest w rzeczywistości. I koniec sprawy dla was obu! To rozkaz! Rada dla mądrych. Zrozumiano?

– Tak, sierżancie – odpowiedziała posłusznie Polly.

Strappi stęknął tylko.

Jackrum obejrzał się na pozostałych rekrutów.

– W porządku. Jeszcze ktoś z was, chłopaki, machał kiedyś żelastwem? Rozumiem. Widzę, że musimy zacząć powoli i pracować nad sobą...

Strappi stęknął znowu. Można go było podziwiać. Na kolanach, z krwią spływającą pomiędzy palców dłoni osłaniającej rozbity nos, znalazł jednak siły, by komuś w choćby drobnym stopniu uprzykrzyć życie.

– Feregofy Krfojica ba biecz, ferzabcie – poinformował oskarżycielskim tonem.

– Umiesz walczyć? – zapytał Maladicta sierżant.

– Właściwie nie, sir. Nigdy nie ćwiczyłem. Noszę go dla ochrony, sir.

– Jaką ochronę daje ci miecz, którego nie potrafisz używać?

– Nie mnie, sir. Innym ludziom. Widzą miecz i mnie nie atakują – tłumaczył cierpliwie

wampir.

– No tak, mój chłopcze, ale gdyby spróbowali, nie umiałbyś nim walczyć.

– Nie, sir. Prawdopodobnie skończyłoby się na urwaniu im głów. Tak właśnie rozumiem ochronę, sir. Ich, nie moją. Chociaż Liga Wstrzemięźliwości urządziłaby mi prawdziwe piekło, gdybym coś takiego zrobił.

Sierżant przyglądał mu się przez chwilę.

– Dobrze pomyślane – wymamrotał.

Coś stuknęło za nimi i przewrócił się stolik. Troll Karborund usiadł, jęknął i zwałił się z powrotem. Przy drugiej próbie udało mu się zachować pozycję pionową. Oburącz chwycił się za głowę.

Kaprała Strappiego, który zdążył wstać, własna wściekłość uczyniła nieustraszoną. Ruszył do trolla wyniośle, choć z wielką szybkością, i stanął przed nim, wibrując ze złości. Krew wciąż ściekała mu z nosa lepкими pasemkami.

– Ty pęťaku! – wrzasnął. – Ty...

Karborund wyciągnął rękę i ostrożnie – choć bez widocznego wysiłku – podniósł kaprała za głowę. Przysunął go do jednego zaskorupiałego oka, obrócił w jedną i w drugą stronę.

– Jestem w wojsku? – zahuczał. – Koprolitowo...

– To atak na fťarfego fťofiem – rozległ się stłumiony głos kaprała.

– Postaw kaprała Strappiego, proszę – odezwał się sierżant Jackrum.

Troll stęknął i opuścił Strappiego na podłogę.

– Przepraszam – powiedział. – Myślałem, że to krasnolud.

– Żądam, żeby aresztować fęgo fypa... – zaczął Strappi.

– Nie, kapralu, wcale nie – uspokoił go Jackrum. – To nie jest właściwy moment. Wstawaj, Karborund, i do szeregu. Słowo honoru, spróbuj jeszcze raz tej sztuczki, a będą kłopoty. Zrozumiano?

– Tak, sierżancie – burknął troll i wstał, podpierając się dłońmi.

– No i dobrze. – Sierżant cofnął się. – Otóż dzisiaj, moi szczęśliwi chłopcy, nauczycie się czegoś, co nazywamy marszem...

Opuścili Plün, wchodząc w deszcz i wiatr. Godzinę po tym, jak zniknęli za zakrętem doliny, szopa, w której spali, w tajemniczy sposób spłonęła.

Znane były lepsze próby marszu, i to dokonywane przez pingwiny. Sierżant Jackrum jechał z tyłu na wózku i wykrzykiwał instrukcje, a rekruci maszerowali, jakby nigdy w życiu nie musieli się przedostać z jednego miejsca do drugiego. Sierżant krzykiem skłonił ich do rezygnacji z rozkołysanego kroku, potem zatrzymał wózek i dla niektórych wygłosił zaimprovizowany wykład o koncepcjach „prawej” i „lewej”. I tak, stopniowo, zesłi z gór.

Polly z mieszanymi uczuciami wspominała te pierwsze dni. Cały czas maszerowali, ale była przyzwyczajona do długich spacerów i miała porządne buty. Spodnie przestały obcierać.

Mgliste słońce zadało sobie trud świecenia. Nie marzli. Byłoby wspaniale, gdyby nie kapral.

Zastanawiała się, w jaki sposób Strappi – którego nos miał teraz kolor śliwki – zamierza sobie radzić z sytuacją. Okazało się, że zamierza rozwiązać ten problem, udając, że w ogóle nic się nie zdarzyło. A także omijając Polly z daleka.

Innych za to nie oszczędzał, choć był wybredny. Maladicta zostawiał w spokoju, podobnie jak Karborunda – cokolwiek by powiedzieć o Strappim, z pewnością nie był samobójcą. Igor go zdumiewał. Niski człowieczek wykonywał każdą bezsensowną pracę, jaką kapral dla niego wymyślił – a wykonywał ją kompetentnie i szybko, zachowując się przy tym jak ktoś zadowolony, że może się przydać. Kapral wydawał się całkiem tego nie pojmować.

Czepiał się za to innych, zwykle bez żadnego powodu. Przemawiał do nich, aż popełnili jakąś trywialną pomyłkę, a wtedy im wymyślał. Jego ulubionym celem stał się szeregowy Goom, lepiej znany jako Łazer. Łazer był chudy jak patyk i nerwowy, miał wylupiane oczy, a przed posiłkami głośno dziękował księżnej za łaski. Pod koniec pierwszego dnia Strappi samym wrzaskiem potrafił skłonić go do wymiotów... a potem się śmiał.

Tylko że – jak zauważyła Polly – nigdy nie śmiał się naprawdę. Słyszeli tylko chrapliwe bulgotanie śliny w gardle, odgłos zbliżony do „ghnssssh”.

Obecność tego człowieka potrafiła zepsuć każdy moment. Jackrum rzadko się wtrącał. Często jednak obserwował Strappiego, a raz, kiedy Polly pochwyciła jego wzrok, mrugnął porozumiewawczo.

Pierwszego wieczoru Strappi wykrzyczał z wózka namiot, wykrzyczał jego stawianie, a po kolacji złożonej z czerstwego chleba i kielbasy wezwał ich krzykiem przed tablicę, by tam na nich pokrzyczeć. Na tablicy wypisał „O CO WALCZYMY”, a z boku dołożył 1, 2 i 3.

– Uważać teraz! – powiedział i stuknął tablicę kijem. – Niektórzy uważają, że powinniście, chłopcy, wiedzieć, czemu prowadzimy tę wojnę. Jasne? No to do roboty. Punkt pierwszy. Pamiętacie miasto Lipz? W zeszłym roku zostało brutalnie zaatakowane przez złobeńskie wojska. Ich żołnierze...

– Przepraszam, ale wydawało mi się, że to my zaatakowaliśmy Lipz – wtrącił Kukuła. – Prawda, kapralu? W zeszłym roku mówili...

– Próbujecie być sprytni, szeregowy Manickle? – zapytał Strappi, wymieniając najcięższe przewinienie ze swojej listy.

– Chciałem tylko wiedzieć, kapralu – wyjaśnił Kukuła.

Był krępy, prawie pulchny. Należał do takich osób, które krzątają się i próbują być pomocne w nieco irtujący sposób, wyręczając innych w drobnych pracach, które tamci spokojnie mogliby wykonać sami. Było w nim coś dziwnego, choć trzeba pamiętać, że siedział w tej chwili obok Łazera, który miał w sobie dość dziwaczności dla wszystkich, co prawdopodobnie jest zaraźliwe...

...i zwrócił na siebie uwagę kaprała. Czepianie się Kukuły nie było zabawne, ale Łazer – tak, Łazer zawsze wart był wrzasku.

– Słuchacie mnie, szeregowy Goom?!

Łazer, który siedział nieruchomo i z zamkniętymi oczami wznosił twarz ku górze, ocknął się nagle.

– Eee, kapralu... – wydukał, gdy Strappi przed nim stanął.

– Pytam, czy słuchacie, Goom!

– Tak, kapralu!

– Doprawdy? A co takiego usłyszeliście, jeśli wolno spytać? – zapytał Strappi głosem lepkiem jak miód z kwasem.

– Nic, kapralu. Ona nic nie mówi.

Strappi z rozkoszą nabrał tchu.

– Jesteś bezużyteczną, bezwartościową kupą...

Zabrział pewien dźwięk. Był cichy, nieokreślony, jeden z tych, jakie słyszy się codziennie; dźwięk, który wykonywał swoje zadanie, ale nigdy nie oczekiwał, że będzie – na przykład – pogwizdywany jako fragment interesującej sonaty. Był to odgłos kamienia sunącego po metalu.

Po drugiej stronie ogniska Jackrum opuścił swój kord. W drugim ręku trzymał osełkę.

Spojrzał na wpatrzony w siebie oddział.

– Co...? Ach. Muszę dbać o ostrze – wyjaśnił z niewinną miną. – Przepraszam, kapralu, że przerwałem wam wywód. Kontynuujcie.

Prymitywny, zwierzęcy instynkt przetrwania przyszedł z pomocą kapralowi, który zostawił Łazera i wrócił do Kukuły.

– Owszem, my też zaatakowaliśmy Lipz...

– Zanim to zrobili Złobeńcy? – zainteresował się Maladict.

– Słuchacie czy nie? Mężnie zaatakowaliśmy Lipz, by odzyskać ten fragment terytorium Borogravii. A potem te zdradzieckie brukwiojady ukradły nam miasto z powrotem...

Polly odwróciła się nieco, rozczerowana, że zniknęła bezpośrednia perspektywa zobaczenia Strappiego z odrąbaną głową. Wiedziała, co się działo w Lipzu. Polowa weteranów, którzy przychodzili napić się z jej ojcem, atakowała to miasto. Ale nikt od nich nie wymagał, żeby chcieli... Po prostu ktoś krzyknął: „Do ataku!”.

Kłopoty brały się z rzeki Kneck. Wła się po szerokiej, żyznej równinie niczym rzucony na ziemię kawałek sznurka. Ale niekiedy gwałtowny przybór czy nawet przewrócone drzewo sprawiały, że rzeka strzelała jak bat, przerzucając swe rozległe skręty o całe mile od oryginalnego koryta. A stanowiła granicę międzypaństwową.

Polly powróciła do rzeczywistości akurat na czas, by usłyszeć:

– ...ale tym razem wszyscy stoją po stronie tych drani! A wiecie dlaczego? Z powodu Ankh-Morpork! Ponieważ nie pozwoliliśmy, żeby ich dyliżanse pocztowe przejeżdżały przez naszą matczyną, ponieważ zburzyliśmy ich wieże sekarowe będące Obrzydliwością dla Nuggana. Ankh-Morpork to bezbożne miasto...

– Słyszałem, że mają tam ponad trzysta miejsc kultu – wtrącił Maladict.

Strappi patrzył na niego z wściekłością, niezdolny do jakiegokolwiek wypowiedzi. Dopiero po chwili odzyskał grunt pod nogami.

– Ankh-Morpork jest miastem bluźnierczym – poprawił się. – Trującym jak jego rzeka. Obecnie ledwie się nadaje dla ludzi. Wpuszczają tam wszystkich: zombi, wilkołaki, krasnoludy, wampiry, trolle... – Przypominał sobie, kto go słucha. – Co w pewnych przypadkach jest słuszne, oczywiście. Ale to miasto cuchnące, lubieżne, rozwiązłe i zatłoczone. I właśnie dlatego księżę Heinrich tak bardzo je kocha! Zdobyli go sobie, kupili tanimi zabawkami, bo Ankh-Morpork tak właśnie to rozgrywa, żołnierze! Kupują was, a potem... czy musicie mi stale przerywać? Niby jak mam was czegoś nauczyć, jeśli stale zadajecie pytania?

– Zastanawiałem się tylko, dlaczego jest takie zatłoczone, jeśli tak jest tam niedobrze – odezwał się Stukacz.

– To dlatego, szeregowy, że mieszkają tam zwyrodnialcy! Przysłali tu regiment, żeby pomóc Heinrichowi podbić naszą matczyną! Ponieważ zszedł on ze ścieżki Nuggana i przyjął bezboż... bluźnierczość! – Strappi był wyraźnie zadowolony, że udało mu się ominąć zasadzkę. – Punkt drugi. Oprócz swoich żołnierzy Ankh-Morpork przysłało tu Vimesa Rzeźnika, najgorszego człowieka w tym mieście występku. On nie cofnie się przed niczym, by nas zniszczyć!

– Słyszałem, że Ankh-Morpork się rozgniewało, bo zwaliliśmy te ich semafony – wtrąciła Polly.

– Stały na naszym suwerennym terytorium!

– Należało do Zlobenii, dopóki...

Strappi gniewnie pogroził jej palcem.

– Słuchaj no, Nerds! Nie można być wielkim krajem, takim jak Borogravia, nie zyskując przy tym wrogów! Co prowadzi nas do punktu trzeciego, Nerds, bo widzę, że cały czas uważasz się za spryciarza. Jak wy wszyscy, widzę to dobrze. No to bądźcie sprytni w takiej kwestii: nie wszystko musi się wam podobać w waszym kraju. Może nie jest idealny, ale jest nasz. Może się wam wydawać, że nasze prawa nie są najlepsze, ale są nasze! Może i góry nie należą do najpiękniejszych i najwyższych, ale to nasze góry. Walczymy o to, co należy do nas, żołnierze!

Strappi położył dłoń na sercu.

*Przebudźcie się, synowie Matczyzny,
dość już picia wina z kwaśnych jablek...*

Dołączyli, na różnych poziomach głośności. Nie było innego wyjścia. Człowiek musiał, nawet jeśli tylko otwierał i zamykał usta. Musiał, nawet jeśli powtarzał tylko „na, na, na”.

Polly, będąca taką właśnie osobą, która w podobnych momentach rozgląda się dyskretnie, zobaczyła, że Kukula śpiewa bezbłędnie, a Strappi ma prawdziwe łzy w oczach. Łazer wcale nie śpiewał – modlił się. Jeden z co bardziej zdradzieckich regionów w głębi umysłu Polly uznał to za całkiem niezłe rozwiązanie.

Ku powszechnemu zdumieniu Strappi odśpiewał – już sam – całą drugą zwrotkę, której nikt nawet nie pamiętał. A potem rzucił im pełen wyższości uśmiešek mówiący: Jestem bardziej patriotyczny od was”.

Potem starali się wypaść z takimi wygodami, jakich mogły dostarczyć dwa kocy. Przez dłuższy czas leżeli w milczeniu. Strappi i Jackrum mieli własne namioty, ale wszyscy instynktownie wyczuwali, że kapral z pewnością podkłada się i podsłuchuje przy płóciennych ścianach.

Po godzinie, kiedy deszcz zabębnił o płótno, odezwał się Karborund.

– No dobra, myślę, że zrozumiałem. Jak ludzie som groophar gupie, to bijemy siem o groophar gupote, bo to nasza gupota. A to dobrze. Zgadza siem?

Kilka osób z oddziału usiadło nagle, zaskoczonych tym stwierdzeniem.

– Zdaję sobie sprawę z faktu, że powinienem wiedzieć takie rzeczy, ale co właściwie znaczy „groophar”? – spytał z wilgotnej ciemności Maladict.

– Tego... Kiedy tak, no, tata troll i mama troll...

– Dobrze, jasne, zgoda, chyba zrozumiałem, dziękuję – przerwał Maladict. – A tutaj, przyjacielu, mamy do czynienia z patriotyzmem. Mój kraj, na dobre czy złe.

– Powinieneś kochać swój kraj – dodał Kukula.

– Dobra, ale którą część? – zapytał z kąta namiotu Stukacz. – Poranne słońce nad górami? To potworne jedzenie? Te przekłete bezsensowne Obrzydliwości? Cały mój kraj z wyjątkiem tego kawałka, na którym stoi Strappi?

– Przecież jest wojna!

– Tak. I właśnie dlatego robią z nami, co chcą! – westchnęła Polly.

– Ale ja tego nie kupuję – oświadczył Stukacz. – To tylko sztuczki. Każą ci siedzieć cicho, a kiedy już wkurzą jakiś inny kraj, to ty musisz za nich walczyć! Bo ten kraj jest twój tylko wtedy, kiedy chcą, żebyś dał się zabić!

– Wszystkie dobre kawałki tego kraju są w tym namiocie – zabrzmiał głos Łazera.

Zapadła pełna zakłopotania cisza.

Deszcz wciąż padał. Po chwili namiot zaczął przeciekać. W końcu ktoś zapytał:

– A co się dzieje, no... kiedy ktoś się zaciągnie, ale potem stwierdzi, że jednak nie chce?

To był Kukula.

– To się chyba nazywa dezercja i ścinają ci głowę – odpowiedział Maladict. – W moim przypadku byłaby to niedogodność, ale ty, drogi Kukuło, przekonałbyś się, że całkowicie uniemożliwia ci to życie towarzyskie.

– Ja w ogóle nie całowałem tego nieszczęsnego obrazka – oznajmił Stukacz. –

Odwrociłem go, kiedy Strappi nie patrzył, i pocałowałem od tyłu.

– I tak powiedzą, że całowałeś księżnę – uznał Maladict.

– P-pocałowałeś k-księżnę w tyłek? – zapytał przerażony Łazer.

– W tył obrazka, jasne? Przecież to nie był jej prawdziwy tyłek. Przecież bym go nie pocałował, gdyby był prawdziwy.

Z różnych zakątków namiotu zabrzmiały nieokreślone parsknięcia i sama sugestia chichotu.

– To było nieg-godziwe – syknął Łazer. – Nuggan w niebiosach w-widział, że to r-robisz!

– To tylko obrazek, nie? – mruknął zakłopotany Stukacz. – Zresztą co za różnica? Od przodu czy od tyłu, tkwimy tutaj razem, a nie widzę żadnego steku ani bekonu!

Coś zahuczało im nad głowami.

– Ja się zaciągiem, żeby zobaczyć ciekawe zagraniczne miejsca i poznać erotycznych ludzi – oświadczył Karborund. Skłonił ich do chwili zastanowienia.

– Maf chyba na myfli egzotycznych – odezwał się Igor.

– No tak, takich – zgodził się troll.

– Ale oni zawsze kłamią – oznajmił ktoś i Polly uświadomiła sobie, że to ona. – Kłamią przez cały czas. O wszystkim.

– Święta prawda – zgodził się Stukacz. – Walczymy za kłamców.

– Wiesz, może to i kłamcy – warknęła Polly, dość udanie naśladując jazgot Strappiego. – Ale to nasi kłamcy!

– Spokojnie, dzieciaki – upomniął ich Maladict. – Spróbujmy trochę się przespać, co? A oto dla was szczęśliwy krótki sen od wujka Maladicta. Niech wam się przyśni, że ruszamy do bitwy, a kapral Strappi nas prowadzi. Czy to nie będzie zabawne?

– Znaczą, idzie przed nami? – upewnił się po chwili Stukacz.

– Widzę, że pojmujesz, Stuk. Tuż przed wami. Na hałaśliwym, zatłoczonym, chaotycznym polu bitwy, gdzie och, jak wiele może się zdarzyć wypadków.

– A my będziemy mieli broń? – zapytał Kukula tęsknie.

– Oczywiście, że będziecie mieli broń. Jesteście żołnierzami. A przed wami jest nieprzyjaciół.

– To piękny sen, Mal.

– Prześpij się z tym, mały.

Polly odwróciła się na drugi bok i próbowała ułożyć wygodniej. To wszystko kłamstwa, myślała sennie. Niektóre są tylko przyjemniejsze od innych. Ludzie widzą to, co ich zdaniem powinni widzieć. Nawet ja jestem kłamstwem. Ale mnie to jakoś uchodzi.

Ciepły wiatr zrywał liście z jarzębin, kiedy rekruci maszerowali między wzgórzami. Był poranek następnego dnia i góry zostawili za sobą. Polly uprzyjemniała sobie czas, rozpoznając ptaki w żywopłotach. Taki miała zwyczaj. Znała większość z nich.

Nie chciała zostać ornitologiem. Ale ptaki sprawiały, że Paul się ożywał. Cała ta... powolność jego myślenia w obecności ptaków zmieniała się w błyskawicę. Nagle znał ich nazwy, zwyczaje, środowisko, potrafił gwizdać ich piosenki, a kiedy Polly odłożyła na pudełko farb od jakiegoś podróznego z gospody, namalował strzyżyka tak realnego, że człowiek niemal go słyszał.

Ich mama jeszcze wtedy żyła. Awantura trwała przez kilka dni. Wizerunki żywych stworzeń były Obrzydliwością w oczach Nuggana. Polly zapytała, dlaczego zatem wszędzie wiszą portrety księżnej, i dostała za to lanie. Obrazek został spalony, a farby wyrzucone.

To było straszne. Mama zawsze była łagodną kobietą, a przynajmniej tak łagodną, jak może być ktoś gorliwie pobożny, kto usiłuje nadążyć za kaprysami Nuggana. Umierała powoli między portretami księżnej, pośród ech niewysłuchanych modlitw. Jednak przy każdej okazji z umysłu Polly wypełzało zdradziecko inne wspomnienie: wściekłość i krzyki, gdy mały ptaszek wydawał się trzepotać skrzydłami w płomieniach.

Na polach kobiety i starcy zbierali zniszczone nocnym deszczem kłosy, w nadziei że zdołają coś uratować. Polly nigdzie nie zauważyła żadnych młodych mężczyzn. Spostrzegła, że inni rekruci zerkają na grupy zbieraczy, i zastanowiła się, czy myślą o tym samym.

Na drodze aż do południa nie spotkali nikogo. Maszerowali wtedy pośród niskich pagórków; słońce odpędziło chmury i przynajmniej na chwilę wróciło lato – wilgotne, lepkie i trochę nieprzyjemne, jak gość, który nie chce wrócić do domu.

Czerwona plama w oddali urosła w większą plamę, a ta zmieniła się w luźną grupę mężczyzn. Gdy tylko Polly zobaczyła tych ludzi, wiedziała, czego się spodziewać. Sądząc po reakcjach, pozostali rekruci nie wiedzieli. Nastąpiła chwila zamieszania i niepokoju, kiedy idący zderzali się ze sobą. A potem oddział zszedł na bok i patrzył.

Trzeba było czasu, by poranieni ludzie zrównali się z nimi, i czasu, by ich minęli. Dwaj chyba sprawni mężczyźni ciągnęli za sobą wózek, na którym leżał trzeci. Inni kuśtykali o kulach, mieli ręce na temblakach albo nosili czerwone kurtki z pustym rękawem. Najgorsi chyba byli ci podobni do człowieka z gospody: z poszarzałymi twarzami, patrzący prosto przed siebie, z kurtkami szczelnie zapiętymi mimo upału.

Jeden czy dwóch rannych zerknęło na mijanych rekrutów, ale w ich oczach nie było żadnego wyrazu prócz straszliwej determinacji.

Jackrum szarpnął lejce.

– No dobra, dwadzieścia minut odpoczynku – mruknął.

Igor obejrzał się i skinął na grupę rannych sunących powoli drogą.

– Profę o zgodę na zbadanie, czy da fię cof dla nich zrobić, fierzancie.

– Już niedługo będziesz miał dość okazji, chłopcze.

– Fierzancie... – Igor wydawał się urażony.

– Dobrze, niech będzie. Przyda ci się jakaś pomocna dłoń?

Kapral Strappi zaśmiał się złośliwie.

– Jakaf afyfta na pewno byłaby przydatna – odparł z godnością Igor.

Sierżant popatrzył na swój oddział i kiwnął głową.

– Szeregowy Halter, wystąp. Znaie się na leczeniu?

Rudowłosy Stukacz zrobił krok naprzód.

– Zarzynałem świnię dla mojej mamy, sierżancie.

– Doskonale! To lepiej niż wojskowy chirurg, słowo honoru daję. Ruszajcie. Ale pamiętajcie, dwadzieścia minut!

– Tylko niech Igor nie przynosi żadnych pamiątek! – zawołał Strappi i znowu parsknął swoim chrapliwym śmiechem.

Pozostali chłopcy usiedli na trawie obok drogi. Jeden czy dwóch zniknęło w krzakach. Polly wyruszyła w tym samym celu, ale odeszła sporo dalej. Wykorzystała też okazję, by poprawić ułożenie skarpet. Kiedy nie uważała, miały tendencję do przesuwania się w górę.

Zamarła, słysząc szelest za plecami. Ale uspokoiła się natychmiast. Była ostrożna. Nikt nie mógł niczego zauważyć. Co z tego, że ktoś jeszcze przyszedł się wysuszyć? Ona zwyczajnie przecisnęła się przez krzaki do drogi, nie zwracając uwagi...

Loft aż podskoczył, gdy Polly rozsunała gałęzie. Twarz miał czerwoną jak burak, spodnie wokół kostek...

Polly nie mogła się powstrzymać. Może przez skarpety. Może przez błagalny wyraz twarzy Loft. Kiedy ktoś nadaje sygnał „Nie patrz”, oczy kierują się własną wolą i wędrują tam, gdzie są niepożądane. Loft odskoczyła, wlokąc za sobą spodnie.

– Nie, czekaj, w porządku... – zaczęła Polly, ale było już za późno. Dziewczyna zniknęła.

Polly patrzyła teraz na gęstwinę krzaków i myślała: Niech to licha! Jest nas dwie! Ale co bym powiedziała potem? „Nie martw się, ja też jestem dziewczyną. Możesz mi zaufać. Możemy się zaprzyjaźnić. Aha, i jeszcze dobra rada na temat skarpet”...

Igor i Stukacz wrócili spóźnieni, bez słowa. Sierżant Jackrum się nie odezwał i oddział ruszył dalej.

Polly maszerowała z tyłu, obok Karborunda. Co oznaczało, że może mieć na oku Loft, kimkolwiek była. Po raz pierwszy Polly naprawdę się jej przyjrzała. Łatwo ją było przeoczyć, gdyż zawsze kryła się w cieniu Stukacza. Była niska – choć teraz, kiedy okazało się już, że jest płci żeńskiej, można by sensownie użyć słowa „niewysoka” – smagła i ciemnowłosa. Wydawała się też dziwnie pochłonięta sobą i zawsze maszerowała ze Stukaczem. Kiedy się zastanowić, to spała też blisko niego.

Aha, no więc tak... Podążyła za swoim chłopakiem, odgadła Polly. Co jest dość romantyczne, ale bardzo niemądre. Teraz, kiedy wiedziała już, że należy spojrzeć poza ubranie i fryzurę, stawało się jasne, że Loft jest dziewczyną, i to dziewczyną, która nie zaplanowała wszystkiego dostatecznie dokładnie.

Loft szeptała coś Stukaczowi, który rzucił Polly spojrzenie pełne nienawiści i sugestii groźby.

Nie mogę jej powiedzieć, myślała Polly. Powtórzy mu. Nie mogę sobie pozwolić na to, by wiedzieli. Za wiele poświęciłam. Nie tylko obciąłam włosy i włożyłam spodnie. Ja planowałam...

A tak... plany.

To wszystko zaczęło się jako dziwny kaprys, ale rozwijało się jako plan. Na początku Polly zaczęła uważnie obserwować chłopców. Kilku z nich zareagowało z nadzieją, przez co później doznało rozczarowania. Polly przyglądała się, jak chodzą, wsłuchiwała w rytm tego, co wśród chłopców uchodziło za rozmowę, dostrzegała, jak wymierzają sobie ciosy na powitanie. To był całkiem nowy świat.

Już wcześniej miała – jak na dziewczynę – całkiem niezłe muskuły, ponieważ prowadzenie dużej gospody polega głównie na przenoszeniu różnych ciężkich rzeczy. Podjęła się też pewnych ciężkich prac, od czego ładnie stwardniały jej dłonie. Nosila nawet pod spódnicą stare spodnie brata, żeby się do nich przyzwycząić.

Za coś takiego kobietę mogła czekać chłosta. Mężczyźni ubierali się jak mężczyźni, a kobiety jak kobiety; robienie tego na odwrót było „błuznierczą Obrzydliwością dla Nuggana”, jak twierdził ojciec Jupe.

Temu zapewne zawdzięczała swój dotychczasowy sukces, uznała, człapiąc przez kałużę. Ludzie nie spodziewali się kobiety w spodniach. Dla przypadkowego obserwatora męskie ubranie, krótkie włosy i trochę rozkołysany krok wystarczały, żeby uznać kogoś za mężczyznę. Aha, i dodatkowa para skarpet.

Ta sprawa też ją niepokoiła. Ktoś o niej wiedział, tak jak ona wiedziała o Loft. Wiedział i jej nie zdradził. Z początku podejrzewała Brew, ale wątpiła – powiedziałyby o niej sierżantowi, taki to był typ. W tej chwili sądziła, że to raczej Maladict, pewnie dlatego że przez cały czas wydawał się wszystko wiedzieć...

Karbor... Nie, był wtedy nieprzytomny, a poza tym... Nie, na pewno nie troll. Igor seplenil. Stukacz? W końcu wiedział o Loft, więc może... Nie, bo dlaczego chciałby pomagać Polly?

Tak, przyznanie się przed Loft niosło same zagrożenia. Najlepsze, co może zrobić, to spróbować dopilnować, żeby dziewczyna nie zdradziła i siebie, i jej.

Słyszała, jak Stukacz szepcze do Loft:

– ...właśnie umarł, więc uciął mu jedną nogę i rękę, i przyszył ludziom, którzy potrzebowali, tak jakby cerował rozdarcie w materiale! Powinnaś to zobaczyć! Nie było widać, jak rusza palcami! I miał mnóstwo maści, które zwyczajnie...

Głos Stukacza ucichł. Strappi znów przyczepił się do Łazera.

– Ten Strappi działa mi na granie – mruczał Karborund. – Chcesz, żebym ściągnął z niego głowem? Mogem zrobić, żeby to wyglądało jak wypadek.

– Lepiej nie – odparła Polly, ale przez chwilę z rozkoszą wyobrażała sobie tę scenę.

Dotarli do zbiegu dróg – szlak od gór łączył się z tym, co uchodziło za główny trakt. Był

zatłoczony. Wózki, taczki, ludzie poganiający stadka krów, staruszki dźwigające na plecach cały swój majątek, ogólna bieżąca świnia i dzieci... wszystko to zmierzało w jedną stronę.

I to w stronę przeciwną do kierunku marszu oddziału. Ludzie i zwierzęta omijali grupkę niczym strumień opływający niewygodną skałę. Rekruci zwarli szyki. Mieli do wyboru albo to, albo dać się rozdzielić krowom.

Sierżant Jackrum stanął na wozie.

– Szeregowy Karborund!

– Tajest! – huknął troll.

– Do przodu!

To pomogło. Strumień płynął nadal, ale tłum rozstępował się w większej odległości z przodu i obchodził oddział z daleka. Nikt nie chce się zderzyć z trollem, nawet idącym powoli.

Ludzie odwracali się za nimi. Jakaś starsza kobieta podbiegła na moment, wcisnęła Stukaczowi w rękę czerstwy bochenek chleba i powiedziała: „Biedni chłopcy”, nim tłum porwał ją dalej.

– Co się tu dzieje, sierżancie? – zapytał Maladict. – Oni wyglądają na uchodźców!

– Takie gadanie wzbudza tylko Obawę i Zniechęcenie! – krzyknął kapral.

– Aha... Chce pan powiedzieć, że ci ludzie po prostu wyjeżdżają na wakacje wcześniej, żeby uniknąć tłoku? Przepraszam, trochę mnie zmylili. Głównie ta kobieta niosąca na plecach całą stertę siana. Mijaliśmy ją przed chwilą.

– A wiesz, co może cię czekać za odszczekiwanie starszemu stopniem?! – wrzasnął Strappi.

– Nie. Proszę zdradzić, czy coś gorszego niż to, przed czym uciekają ci ludzie.

– Podpisałeś, panie Krwiopijco! Masz słuchać rozkazów!

– Zgadza się. Ale nie przypominam sobie, żeby ktoś rozkazywał mi nie myśleć!

– Dość tego! – warknął Jackrum. – Wystarczy tych krzyków! Karborund, jeśli ludzie nie robią przejścia, masz ich rozepchnąć. Słyszysz?

Maszerowali dalej. Po chwili ścisk trochę się zmniejszył i to, co było rzeką uchodźców, zmieniło się w strumyczek. Od czasu do czasu mijala ich jakaś rodzina albo samotna, spiesząca się kobieta obciążona torbami. Jakiś staruszek z wysiłkiem pchał taczkę wyładowaną brukwią.

Oni zabierają nawet plony z pól, pomyślała Polly. I każdy prawie biegł. Jakby wierzył, że wszystko ułoży się lepiej, kiedy dogoni ludzką masę przed sobą. A może kiedy tylko minie oddział rekrutów.

Ustąpili z drogi starej kobiecie, zgiętej wpół pod ciężarem białą-czarnej świni. A potem został już tylko trakt, błotnisty i zryty koleinami. Z pól po obu stronach wstawała popołudniowa mgła, spokojna i wilgotna. Po gwarze, jaki robiła kolumna uciekinierów, cisza nizinnej okolicy zdawała się przytłaczać. Jedynym odgłosem było tupanie i plusk błota pod

butami rekrutów.

– Mogę zadać pytanie, sierżancie? – odezwała się Polly.

– Słucham, szeregowy.

– Jak daleko jest stąd do Plotz?

– Nie musi im pan mówić, sierżancie! – zawołał Strappi. – Jakies pięć mil – wyjaśnił Jackrum. – Tam dostaniecie z magazynu mundury i broń.

– To tajemnica wojskowa, sierżancie! – jęknął kapral.

– Możemy zamknąć oczy, żeby nie wiedzieć, co nosimy – zaproponował Maladict. – Co pan na to?

– Przestańcie, szeregowy Maladict – upomniął go sierżant. – Maszerujcie i pilnujcie języka.

Brnęli dalej. Droga była coraz bardziej błotnista. Dmuchał wiatr, ale zamiast przegnać mgłę, skrzył ją nad polami w dziwaczne, wilgotne i nieprzyjemne kształty. Słońce zmieniło się w pomarańczową kulę.

Polly zobaczyła, jak coś dużego i białego trzepocze nad polem, niesione wiatrem. Z początku myślała, że to jakaś nieduża czapla, która spóźniła się z odlotem, ale to coś wyraźnie szarpał wiatr. Raz opadło niżej, a potem, szarpnięte mocniejszym podmuchem, owinęło się na twarzy Strappiego.

Kapral wrzasnął. Loft chwycił.. chwyciła ten trzepoczący przedmiot, który okazał się wilgotny. Rozerwał się jej w dłoni, a większa część spadła z otrząsającego się kaprala.

– To tylko papier – stwierdziła.

Strappi zamachał rękami.

– Wiedziałem – rzekł. – I nikt cię nie pytał.

Polly sięgnęła po rozerwany kawałek. Papier był cienki i poplamiony błotem, ale rozpoznała na nim słowo „Ankh-Morpork”. Miasto bluźniercze... A geniusz Strappiego polegał na tym, że wszystko, co uznawał za niedobre, automatycznie stawało się atrakcyjne.

– „Puls Ankh-Morpork”... – przeczytała głośno, zanim kapral wyrwał jej kartkę z dłoni.

– Nie możesz przecież wszystkiego czytać, Nerds! – krzyknął. – Nie wiesz, kto to pisał! – Rzucił podarte kartki i wdeptał je w błoto. – Idziemy dalej! – rzekł.

Poszli dalej. Kiedy oddział znowu mniej więcej wpadł w rytm, kiedy wszyscy patrzyli tylko na swoje buty albo na mgłę przed sobą, Polly uniosła dłoń do piersi i spojrzała na kawałek papieru, który mokry pozostał jej w ręku, kiedy wyrwano resztę.

„Nie poddamy się Sprzymierzonym” mówi księżna (97)

William deWorde donosi z doliny Kneck, 7 sektobra

Złobeńscy żołnierze wspierani przez lekką piechotę
lorda Venturiego zdobyli twierdzę Kneck dziś ra

po zażartej walce twarzą w tw
to piszę, jej arsenały, które
kierowane na niedobit
były siły Borogravii
Jego łaskawość komendant sir Samuel V
wypowiedział się dla „Pulsu” co do...
kapitulacja została odrz
pogląd dowództwa sprz
banda sztywnych durni, nie
na papierze.
Panuje przekona
w rozpaczliwej sy
– zasięg klęski gł
poprzez ca
Nie ma alte
Inwaz

Wygrywali przecież, prawda? Więc skąd się wzięło słowo „kapitulacja”? I co to za Sprzymierzeni?

Widziała, że nawet Jackurnowi kapral działa na nerwy. Strappi zachowywał się z pewną wyższością, jakby... skarpetowością, jak gdyby w rzeczywistości on tu dowodził. Może chodziło tylko o jego ogólną niesympatyczność, ale...

– Kapralu!

– Słucham, Nerds – odparł Strappi. Nos ciągle miał bardzo czerwony.

– Wygrywamy tę wojnę, prawda? – zapytała. Zrezygnowała już z prób poprawiania go.

I nagle każde ucho w oddziale zaczęło pilnie nasłuchiwać.

– Tym się nie przejmuj, Nerds. Twoje zadanie to walczyć.

– Tak jest, kapralu. Czyli... będę walczył po stronie zwycięzców, tak?

– Aha... Mamy tu kogoś, kto zadaje za dużo pytań, sierżancie – oznajmił Strappi.

– Racja. Nie zadawaj pytań, Perks – rzucił Jackrum z roztargnieniem.

– To znaczy, że przegrywamy – stwierdził Stukacz.

Kapral Strappi zwrócił się ku niemu.

– To znowu budzenie Obawy i Zniechęcenia! – wykrzyknął. – Czyli wspieranie wroga!

– Tak jest. Wystarczy tego, szeregowy Halter – wtrącił Jackrum. – Jasne? A teraz...

– Halter, aresztuję cię za...

– Kapralu, można rzucić słówko w pańskie kształtne niczym muszla ucho? – warknął sierżant. – A wy, zatrzymać się!

Zaczął gramolić się z wózka.

Potem przeszedł jakieś pięćdziesiąt stóp z powrotem po trakcie. Kapral podążył za nim, oglądając się gniewnie na rekrutów.

– Mamy kłopoty? – zainteresował się Stukacz.

– Zgadnij – odparł Maladict.

– Na pewno – wtrącił Kukula. – Strappi zawsze coś znajdzie, żeby cię za to dorwać.

– Kłóć się – zauważył Maladict. – To dziwne, nie sądzicie? Kapral powinien przecież słuchać rozkazów sierżanta.

– Ale wygrywamy, prawda? – dopytywał się Kukula. – Znaczą: wiem, że jest wojna, ale... mamy dostać broń, tak, a potem... przecież muszą nas wyszkolić, tak? I pewnie do tego czasu wszystko się skończy, tak? Wszyscy mówią, że wygrywamy.

– Podczas dzisiejszej modlitwy wieczornej zapytam o to księżną – obiecał Łazer.

Reszta oddziału spojrzała po sobie. Wszyscy mieli podobne miny.

– Tak, Łaz – zgodził się Stukacz łagodnie. – Tak właśnie zrób.

Słońce zachodziło szybko, na wpół ukryte we mgle. Tutaj, na błotnistej drodze między mokrymi polami, nagle zrobiło się tak zimno, że bardziej się chyba nie da.

– Nikt nie mówi, że wygrywamy, może oprócz Strappiego – oświadczyła Polly. – Mówią tylko, że wszyscy mówią, że wygrywamy.

– Ci ludzie, których Igor... naprawiał, wcale tego nie mówili – stwierdził Stukacz. – Powtarzali tylko: Biedaki, zwilibyście, jakbyście mieli trochę rozumu.

– Dzięki, że nam o tym opowiadasz – mruknął Maladict.

– Wygląda, jakby wszyscy nas żalowali – zauważyła Polly.

– Tak, no... ja też żałuję, a przecież jeftem nami – wtrącił Igor. – Niektórzy z tych ludzi...

Podszedł Strappi.

– Dobra, dobra, przestańcie gadać głupoty! – krzyknął.

– Kapralu... – rzucił cicho sierżant, wracając na wózek.

Strappi znieruchomiał na moment, po czym mówił dalej głosem ociekającym od syropu i sarkazmu:

– Bardzo przepraszam. Sierżant i ja bylibyśmy wdzięczni, gdybyście wy, dzielni bohaterowie, zechcieli uprzejmie dołączyć do nas na nieco lekkiego marszu... Doskonale. Później planujemy zajęcia z haftu. Lewą nogą naprzód, panienki!

Polly usłyszała, jak Stukacz gwałtownie wciąga powietrze. Oczy Strappiego błysnęły złośliwą satysfakcją.

– Och, ktoś tu nie lubi być nazywanym panienką, co? Coś podobnego! Szeregowy Halter, wiele musicie się jeszcze nauczyć, co? Jesteście mazgajową panienką, dopóki nie zrobimy z was mężczyzny, jasne? A ja aż boję się myśleć, ile czasu to zajmie! Marsz!

Ja wiem, pomyślała Polly, kiedy ruszyli. Trzeba jakichś dziesięciu sekund i pary skarpet. Jedna skarpeta i można zrobić Strappiego.

Plotz okazał się podobny do Plün, ale gorszy, ponieważ był większy. Deszcz znów zaczął padać, kiedy wmaszerowali na wybrukowany rynek. Wydawało się, że pada zawsze. Budynki były szare, a przy ziemi poplamione błotem. Woda przelewała się z rynien, wylewając deszcz na kamienie i chlapiąc rekrutów. Nikogo nie widzieli. Polly zauważyła otwarte drzwi, którymi szarpał wiatr. Na ulicy leżał gruz. Przypomniła sobie kolumny uciekinierów na drodze.

Tutaj nie było nikogo.

Kiedy tylko Strappi wrzaskiem ustawił rekrutów w szeregu, sierżant Jackrum zszedł z wózka. Przejął dowództwo, a kapral patrzył już tylko niechętnie z boku.

– To jest cudowny Plotz – oświadczył sierżant. – Rozejrzyjcie się, żeby nie doznać szoku, gdyby was zabili i gdybyście poszli do piekła. Prześpicie się w tamtych koszarach, które są własnością wojskową! – Skinął na sypiące się kamienne budynki, wyglądające tak wojskowo jak stodoła. – Otrzymacie swój ekwipunek. A jutro czeka was miły, długi marsz do Crotzu, gdzie dotrzecie jako chłopcy, ale wróćcie jako mężczyźni i czyja powiedziałem coś zabawnego, Perks? Nie? Też mi się tak wydawało. Baczość! To znaczy: stanąć prosto!

– Prosto! – huknął Strappi.

Młody człowiek jechał przez plac na zmęczonym, chudym koniu, który był całkiem odpowiedni, ponieważ jeździec był zmęczonym, chudym mężczyzną. Tę chudość podkreślał jeszcze fakt, że miał pelerynę uszytą wyraźnie dla kogoś o kilka rozmiarów większego. Hełm też miał za duży. Musiał go czymś wyścielić, uznała Polly. Wystarczy kasznięcie, a zjedzie mu na oczy.

Sierżant Jackrum zsalutował sprężysto.

– Jackrum, sir! A pan jest pewnie porucznikiem Bluzą, sir?

– Zgadza się, sierżancie.

– To są rekruci spod gór, sir. Doskonała grupa, sir.

Jeździec obejrzał oddział. Pochylił się nawet nad końską szyją, aż deszcz pociekł mu z hełmu.

– To wszyscy, sierżancie?

– Tak jest.

– Większość wygląda na bardzo młodych – zauważył porucznik, który sam nie wyglądał zbyt staro.

– Tak jest.

– A czy ten tam nie jest trollem?

– Tak jest. Celne spostrzeżenie, sir.

– A ten ze szwami dookoła głowy?

– To Igor, sir. Tak jakby specjalny klan w górach.

– A oni walczą?

– Potrafią bardzo szybko rozłożyć człowieka na części, sir, jak rozumiem, sir – odparł sierżant, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Młody porucznik westchnął.

– No tak... Jestem pewien, że to dobry materiał – rzekł. – A teraz, ehm... żołnierze...

– Słuchać uważnie, co porucznik ma do powiedzenia! – huknął Strappi.

Porucznik drgnął.

– ...Dziękuję, kapralu... Żołnierze, mam dla was dobre wieści! – mówił, ale głosem człowieka, który dobrych wcale nie ma. – Spodziewaliście się pewnie tygodnia czy dwóch na obozie szkoleniowym w Crotzu, co? Ale chcę was z przyjemnością poinformować: wojna przebiega tak... tak pomyślnie, że udacie się bezpośrednio na front.

Polly usłyszała jedno czy dwa syknięcia oraz chichot kaprała Strappiego.

– Wszyscy mają trafić na pierwszą linię – mówił dalej porucznik. – To dotyczy również was, kapralu. Czas walki wreszcie dla was nadszedł!

Chichot urwał się nagle.

– Słucham, sir? – Strappi nie dowierzał. – Na front? Ale wie pan, że ja... no, wie pan o moich szczególnych obowiązkach...

– Moje rozkazy mówią o wszystkich zdolnych do noszenia broni, kapralu. Pewnie już nie możecie się doczekać bitwy... po tylu latach, taki młody człowiek...

Strappi milczał.

– Jednakże... – Porucznik sięgnął pod przemoczoną pelerynę. – Mam tu przesyłkę dla sierżanta. Nie wątpię, że niecierpliwie wyczekiwana.

Jackrum ostrożnie wziął pakiet.

– Dziękuję, sir. Obejrzę to później... – zaczął.

– Wręcz przeciwnie, sierżancie Jackrum! Wasi ostatni rekruci powinni to zobaczyć, ponieważ jesteście jednocześnie żołnierzem i, jak to mówią, ojcem żołnierzy. Słusznym jest, by się przekonali, że dobry żołnierz otrzymuje swoją nagrodę: honorowe zwolnienie ze służby, sierżancie!

Ostatnie słowa Bluza wymówił, jakby były bitą śmietaną z wisienką na czubku.

Jeśli nie liczyć chłupotania deszczu, jedyny dźwięk wydawały rozrywające pakiet grube palce Jackruma.

– Och – powiedział sierżant, jakby przeżył szok. – Wspaniale. Portret księżnej. Teraz mam już osiemnaście. Och, i jeszcze... o, kawałek papieru, na którym jest napisane, że to medal, czyli wygląda, że skończyła nam się nawet blacha. A to co? Zwolnienie ze służby z wydrukowanym własnoręcznym podpisem samej księżnej! – Odwrócił kopertę i potrząsnął nią. – Ale nie ma mojego zaległego żołdu za ostatnie trzy miesiące.

– Trzykrotne hurra dla sierżanta Jackruma! – zwrócił się porucznik do deszczu i wiatru. – Hip, hip...

– Ale myślałem, że potrzebny jest każdy żołnierz, sir! – zaprotestował Jackrum.

– Sądząc po notkach przyczepionych do tej przesyłki, podążała za wami od lat. Wiecie, jak to jest w wojsku. To wasze oficjalne zwolnienie ze służby i obawiam się, że nie mogę go

uchylić. Przykro mi.

– Ale...

– Jest na nim podpis księżnej, sierżancie. Chcecie z nim dyskutować? Mówię, że bardzo mi przykro. Ale gdyby nawet, to co byście robili? Nie będziemy już wysyłać zespołów werbunkowych...

– Jak to? Przecież zawsze potrzebujemy ludzi, sir! – protestował Jackrum. – A ja znów jestem zdrowy i silny, sir. Wytrzymały jak koń, sir...

– Jesteście jedynym, który wrócił z rekrutami, sierżancie. Tak to wygląda.

Jackrum wahał się przez moment, aż w końcu zasalutował.

– Tak jest, sir! Bardzo dobrze, sir! Dopilnuję, żeby nowi rekruci się zadowolili, sir. Służba w wojsku była dla mnie prawdziwą radością, sir.

– Mogę o coś spytać? – odezwał się Maladict.

– Nie wolno zwracać się bezpośrednio do oficera, szeregowy! – warknął Jackrum.

– Nie, pozwólcie mu mówić – uspokoił go porucznik. – W końcu... w końcu czasy są niezwykle. Słucham, żołnierzu.

– Czy dobrze słyszałem, że ruszamy do bitwy bez żadnego szkolenia, sir?

– Och, wiecie, większość z was prawie na pewno zostanie pikinierami, cha, cha – odparł nerwowo porucznik. – A do tego nie trzeba długiego szkolenia. Musicie tylko wiedzieć, który koniec jest który, cha, cha.

Wyglądał, jakby chciał umrzeć.

– Pikinierami? – powtórzył zdziwiony Maladict.

– Słyszeliście, szeregowy Maladict, co mówi pan porucznik – rzucił gniewnie sierżant.

– Tak, sir. Dziękuję, sir. – Maladict cofnął się do szeregu.

– Jeszcze jakieś pytania? – Bluza spojrzał wzdłuż szyku. – Doskonale. Odpływamy ostatnią łodzią, o północy. Prowadźcie dalej, sierżancie... póki co. Co to ja jeszcze... aha. Potrzebny mi będzie ordynans.

– Ochotnicy, żeby być ordynansem pana porucznika, wystąp! Nie wy, szeregowy Maladict!

Nikt się nie ruszył.

– Nie przesadzajcie – mruknął porucznik.

Polly podniosła rękę.

– Co to jest ordynans, sir?

Sierżant uśmiechnął się ponuro.

– Dobre pytanie – przyznał. – Ordynans to jakby... osobisty służący, który zajmuje się oficerem. Przynosi mu posiłki, pilnuje, żeby był elegancko ubrany i takie rzeczy. Żeby oficer mógł wykonywać swoje obowiązki bardziej bezprzeszkodowo.

Wystąpił Igor.

– Igory są przyzwyfajone do fluzby, fierzanfie – powiedział.

Wykorzystując zadziwiające moce głuchoty i ograniczonego pola widzenia, dostępne czasem nawet bardzo nerwowym oficerom, porucznik wyglądał, jakby go nie zauważył. Patrzył nieruchomo na Polly.

– A co z wami, szeregowy? – zapytał.

– Szeregowy Perks w cywilu pracował w barze, sir – zameldował sierżant.

– Świetnie! O szóstej zgłosicie się w mojej kwaterze w gospodzie, szeregowy Perks. Róbcie swoje, sierżancie.

Chudy koń odszedł chwiejnie, a sierżant Jackrum popatrzył na swój oddział gniewnie, choć bez zwykłego ognia.

– Nie stójcie tak i nie próbujcie świetnie wyglądać! Mundury i broń czekają! Pobrać, co trzeba! Jak chcecie jeść, ugotujcie sobie. Byle szybko! Rozejść się!

Oddział pobiegł do koszar, ponaglany samą potęgą głosu. Polly jednak się zawahała. Kapral Strappi nie ruszył się z miejsca od chwili, gdy urwał się jego chichot. Wpatrywał się tępo w ziemię.

– Dobrze się pan czuje, kapralu? – spytała.

– Idź sobie, Nerds – polecił kapral cichym głosem, o wiele straszniejszym niż jego zwykły rozdrażniony krzyk. – Po prostu idź stąd, co?

Wzruszyła ramionami i ruszyła za pozostałymi. Zauważyła jeszcze parującą plamę wilgoci wokół stóp kaprała.

W koszarach rządził chaos. Budynek składał się właściwie z jednego dużego pomieszczenia służącego za mesę, miejsce apelowe i kuchnię. Za nim znajdowały się zbiorowe sypialnie. Wszędzie panowała pustka, na najlepszej drodze do rozpadu. Dach przeciekał, przez wybite okna wpadały zeschłe liście i leżały na podłodze razem z odchodami szczurów. Nie widzieli posterunków, strażników... nikogo. Coś gotowało się jednak w wielkim kotle na czarnym od sadzy palenisku. Syki i bulgot były tu jedynymi przejawami życia. Kiedyś część sali wydzielono jako coś w rodzaju magazynu kwatermistrza, choć większa część półek stała już pusta. Polly spodziewała się kolejki, jakiegoś porządku, może kogoś wydającego niewielkie stosiki odzieży... Zamiast tego zobaczyła coś w rodzaju straganu ze starzyzną. Rzeczywiście, bardzo był podobny do straganu ze starzyzną, ponieważ nic tu nie wydawało się nowe, a niewiele było warte posiadania. Reszta oddziału grzebała już w tym, co można by nazwać towarem, gdyby istniała jakakolwiek szansa, że uda się kogoś przekonać do zakupów.

– Co to jest? Jeden rozmiar, nie pasuje na nikogo?

– Ta tunika ma plamy krwi! Krwi!

– No, jeffi to taka uparta plama, fiężko ją ufunąć bez...

– Są jakieś normalne pancerze?

– No nie! W tym jest dziura od strzały!

– Co siem dzieje? Nic tu ni pasuje na trolla!

Niski, pomarszczony człowieczek stał uwięziony za stołem i kulił się pod surowym spojrzeniem Maladicta. Miał na sobie źle dopasowaną czerwoną kurtkę mundurową z wyblakłymi i poplamionymi paskami kaprała na rękawie. Lewa pierś niknęła pod medalami.

Jedna ręka kończyła się hakiem. Jedno oko przesłaniała opaska.

– Porucznik mówił, że mamy być pikinierami! – tłumaczył wampir. – To oznacza miecz i pikę dla każdego, zgadza się? Tarcza na wypadek deszczu strzał. I ciężki hełm, mam rację?

– Nie masz! Nie możesz tak na mnie krzyczeć – zaprotestował stary kapral. – Widzisz te medale? Jestem...

Wielka dłoń opadła z góry i uniosła go ponad stół. Karborund przysunął go sobie do oczu i kiwnął głową.

– Tak, teraz widzem – zahuczał. – I...?

Rekruci umilkli.

– Postaw go, Karborundzie – powiedziała Polly. – Delikatnie.

– Czemu?

– Bo on nie ma nóg.

Troll skupił wzrok. Potem, z przesadną ostrożnością, opuścił starego żołnierza na ziemię. Zabrzniały dwa ciche stuknięcia, kiedy drewniane protezy dotknęły desek.

– Przepraszam za to – powiedział Karborund.

Weteran oparł się o blat i wsunął ramiona w kule.

– No dobra – burknął. – Nic się nie stało. Ale na drugi raz uważaj.

– Ale to przecież śmieszne! – Maladict odwrócił się do Polly i machnął ręką, wskazując stos szmat i powgniatanego metalu. – Z tych śmieci nie dałoby się wyposażyć trzech ludzi. Nie ma tu nawet porządnych butów!

Polly spojrzała na długi stół.

– Podobno powinniśmy mieć dobry sprzęt – powiedziała do jednookiego żołnierza. – Podobno jesteście najlepszą armią na świecie. Tak nam powtarzają. Czy nie wygrywamy?

Weteran przyjrzał się jej. W myślach sama się sobie przyjrzała. Nie zamierzała odzywać się tak agresywnie.

– Tak mówią – stwierdził dość obojętnie.

– A j-jak pan mówi? – zapytał Łazer.

Podniósł jeden z kilku mieczy – wyszczerbiony i brudny.

Kapral zerknął na Karborunda, a potem na Maladicta.

– Nie j-jestem głupi, wie pan! – ciągnął Łazer, zaczerwieniony i drżący. – Wszystko to j-jest od zabitych!

– No, szkoda marnować porządne buty... – zaczął weteran.

– Jesteśmy ostatni, tak? – spytał Łazer. – Ostatni rekruci!

Jednooki kapral spoglądał na dalekie drzwi, ale nie dostrzegł żadnej nadchodzącej stamtąd pomocy.

– Mamy tu zostać całą noc – oświadczył Maladict. – Noc! – powtórzył, a stary kapral zachwiał się na kulach. – Kiedy kto wie, jakie zło przemyka się wśród cieni, niosąc śmierć na bezgłośnych skrzydłach, szukając nieszczęsnej ofiary, która...

– Dobrze już, dobrze, widziałem twoją wstążkę – ustąpił kapral. – Słuchajcie, kiedy stąd odejdziecie, zamykam. Ja tylko prowadzę magazyn, to wszystko. Nic więcej nie robię, słowo! Dostaję jedną dziesiątą żołdu, znaczy, ze względu na sytuację nożną, i nie chcę żadnych kłopotów.

– To jest wszystko, co pan ma? – upewnił się Maladict. – Nie odłożył pan trochę... na boku...

– Chcesz powiedzieć, że jestem nieuczciwy? – oburzył się weteran.

– Powiedzmy, że jestem otwarty na ideę, że może pan nie być. No przecież, kapralu, sam pan powiedział, że jesteście ostatni. Co pan oszczędza? Co panu zostało?

Kapral westchnął i z zaskakującą prędkością przeszedł o kulach do drzwi, które otworzył kluczem.

– Przyjdźcie popatrzeć – rzucił. – Ale nie ma tu nic dobrego...

Było coś gorszego. Znaleźli jeszcze kilka półpancerzy, jeden rozcięty na połowy, a drugi będący praktycznie jednym wielkim wgnieceniem. Znaleźli tarczę roztrzaskaną na dwie części, pogiete miecze, rozbite hełmy, pogniecione kapelusze i podarte koszule.

– Robię, co mogę – westchnął kapral. – Prostuję blachy młotkiem i piorę ciuchy, ale minęły już tygodnie, odkąd ostatnio miałem węgiel do paleniska, a bez paleniska nic nie da się zrobić z mieczami. Minęły miesiące od ostatniej dostawy broni, zresztą odkąd krasnoludy zwinęły całą stal, to wszystko i tak do niczego się nie nadaje. – Wytarł nos. – Wiem, myślicie, że kwatermistrze to banda złodziei... Nie powiem, możemy czasem zgarnąć trochę z wierzchu, kiedy sprawy dobrze idą, ale to tutaj? Chyba najwyżej chrabąszcz mógłby z tego wyżyć. – Znowu pociągnął nosem. – W dodatku od trzech miesięcy mi nie płacą. Wiem, dziesiąta część niczego nie jest pewnie tak zła jak całe nic, lecz nigdy nie byłem dobry z filozofii.

Rozpromienił się nagle.

– Przynajmniej mamy dość jedzenia – stwierdził. – Znaczy, jeśli lubicie koninę. Osobiście wolę szczury, ale nie będę dyskutował o gustach.

– Nie mogę jeść konia! – oświadczył Kukula.

– Ach, wolisz szczury?

– Nie!

– Nauczysz się lubić. Wszyscy się nauczycie – zapewniła jednooka dziesiąta część kaprała, uśmiechając się przy tym złośliwie. – Próbowaliście kiedy skubbo? Nie? Kiedy człowiek jest głodny, nie ma nic lepszego od miski skubbo. Można tam wrzucić wszystko: wieprzowinę, wołowinę, baraninę, królika, kurczaka, kaczkę... wszystko. Nawet szczury, jeśli jakieś złapiecie. Skubbo to żarcie dla żołnierza w marszu. Akurat postawiłem garnek na

ogniu. Możecie zjeść, o ile macie ochotę.

Oddział poweselał.

– Brzmi nieźle – ucieszył się Igor. – Co w tym jeft?

– Wrząca woda – odparł kapral. – Nazywamy to ślepym skubbo. Ale już niedługo trafi do garnka stary koń, chyba że macie coś lepszego. Przydałyby się chociaż jakieś przyprawy. Kto pilnuje ruperta?

Oddział zrobił zdziwione miny. Stary kapral westchnął.

– Oficera – wyjaśnił. – Nazywa się ich rupertami, bo wszyscy mają na imię Rupert, Rodney, Tristram albo jakoś tak. Dostają lepsze żarcie od was. Możecie spróbować podprowadzić coś w gospodzie.

– Podprowadzić? – zdziwiła się Polly.

Weteran przewrócił jedynym okiem.

– Tak. Podprowadzić. Podprowadzić, zwinąć, wypożyczyć, zająć, ukraść, wyrwać, pozyskać, zorganizować. Tego musisz się nauczyć, jeśli chcesz przetrwać wojnę. O której mówią, że ją wygrywamy, oczywiście. Nigdy o tym nie zapominajcie. – Splunął mniej więcej w stronę ognia, pewnie tylko przypadkiem chybiając bulgoczącego kociołka. – A te chłopaki, których widzę, jak wracają drogą pod rękę ze Śmiercią, to pewnie przesadzili ze świętowaniem, co? Łatwo stracić rękę, kiedy źle się otworzy butelkę szampana. Widzę, że macie ze sobą Igora, szczęściarze. Szkoda, że myśmy nie mieli, kiedy szliśmy do bitwy. Gdybyśmy mieli, teraz po nocach nie budziłyby mnie korniki.

– Mamy kraść jedzenie? – Maladict nie mógł uwierzyć.

– Nie, możecie też zdechnąć z głodu, jeśli taki macie kaprys – uspokoił go stary kapral. – Ja sam głodowałem już kilka razy. To nie ma przyszłości. Zjadłem ludzką nogę, kiedy śnieg nas zasypał podczas kampanii w Ibblestarn, ale trzeba uczciwie przyznać, że tamten zjadł moją. – Zauważył ich miny. – No bo chyba nie wypada zjadać własnej, nie? Można od tego oślepnąć... chyba.

– Zamieniliście się nogami?! – Polly była wstrząśnięta.

– No tak. Ja i sierżant Hausegerda. To był jego pomysł. Rozsądny gość z tego sierżanta. Dzięki temu przeżyliśmy jeszcze tydzień, a przez ten czas dotarły posiłki. I wreszcie mogliśmy się normalnie posilić. Ale zaraz... Gdzie moje maniery? Miło mi was poznać, chłopcy, jestem kapral Scallot. Nazywają mnie Trzyczęściowcem. – Wyciągnął hak.

– Przecież to kanibalizm! – Stukacz cofnął się o krok.

– Nie, oficjalnie wcale nie, dopóki się nie zje całego człowieka – odparł spokojnie Trzyczęściowiec Scallot. – Regulamin wojskowy.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę kotła na ogniu.

– Koń – zapewnił Scallot. – Nie mam tu niczego oprócz konia, przecież mówiłem. Nie okłamałbym was, chłopcy. A teraz wyszukajcie sobie jak najlepszy ekwipunek. Jak się nazywasz, kamienny człowieku?

– Karborund – odparł troll.

– Zaoszczędziłem trochę sałatkowego antracytu. I mam dla ciebie trochę oficjalnej czerwonej farby, bo jeszcze nie spotkałem trolla, który chciałby nosić kurtkę. Co do reszty, zapamiętajcie, co wam mówię: naładujcie się żarciem. Napakujcie żarciem czako. Nalejcie zupy do butów. Jeśli któryś znajdzie słoik musztardy, niech go pilnuje, to nie do wiary, co można zjeść z musztardą. Uważajcie na swoich kumpli. I trzymajcie się z daleka od oficerów, bo są niezdrowi. Tego człowiek uczy się w wojsku. Przeciwnik niespecjalnie chce z wami walczyć, bo przeciwnik to chłopaki jak wy, które chcą tylko wrócić do domu w całości. Ale przez oficerów można zginąć. – Scallot zmierzył ich wyzywającym spojrzeniem. – No i powiedziałem to. A jeśli jest wśród was politruk, dodam: możesz pan opowiadać o tym, gdzie chcesz, i do demona z tobą.

Po chwili skrępowanego milczenia odezwała się Polly.

– Co to jest politruk?

– Jakby szpieg, tylko po naszej stronie – wyjaśnił Maladict.

– Otóż to – zgodził się Scallot. – Ostatnio w każdym batalionie jest taki, co donosi na kumpli. W ten sposób dostają awans, jasne? Nie chcą marudzenia w szeregach, nie chcą gadania o przegranych bitwach. Ale to tylko stek bzdur, bo piechota narzeka bez przerwy. Takie marudzenie to element bycia żołnierzem, jasne? – Westchnął. – No dobra. Na tyłach znajdziecie prycze. Regularnie trzępię tyłkognioty, więc nie powinno być zbyt wielu pcheł. – Znów zauważył ich tępe spojrzenia. – Jak dla was tyłkognioty to sienniki. No dobra, bierzecie rzeczy. Co tylko wam się spodoba. I tak zamykam interes, jak tylko stąd odejdziecie. Teraz już musimy wygrać, skoro takie dzielne chłopaki idą na front, nie?

Chmury rozstąpiły się nieco, gdy Polly wyszła w noc; połówka księżyca wypełniła świat zimnym srebrem i czernią. Gospoda naprzeciw była kolejną zaniedbaną knajpą sprzedającą żołnierzom marne piwo. Zanim jeszcze Polly otworzyła drzwi, wyczuła smród starych pomyj. Szyld oblaźił z farby, ale zdołała odczytać nazwę: Świat do Góry Nogami. Pchnęła drzwi. Smród jeszcze się pogorszył. Nie było klientów, nie było żadnego śladu po Strappim i Jackrumie, ale zauważyła służącego metodycznie rozsmarowującego ścierką brud na podłodze.

– Przepraszam bar... – zaczęła, ale zaraz przypomniała sobie o skarpetach, podniosła głos i spróbowała mówić gniewnym tonem. – Hej, ty! Gdzie porucznik?

Służący spojrzał na nią i wskazał kciukiem schody.

Na pięterku paliła się tylko jedna świeca. Polly zastukała do najbliższych drzwi.

– Wejść!

Weszła. Porucznik Bluza stał na środku, w spodniach i koszuli. Trzymał szablę. Choć Polly nie była w tych sprawach ekspertem, rozpoznała stylową/wyzywającą pozę, którą stosują tylko początkujący na chwilę przed tym, gdy bardziej doświadczony szermierz trafi

ich prosto w serce.

– Ach... Perks, tak? – Porucznik Bluza opuścił klingę. – Trochę, no, trochę gimnastyki...

– Tak, sir.

– W tamtym worku jest trochę rzeczy do prania. Sądzę, że ktoś w gospodzie się tym zajmie. Co mamy na kolację?

– Sprawdzę, sir.

– A co jedzą moi ludzie?

– Skubbo, sir – odparła Polly. – Możliwe, że z ko...

– Więc mnie też przynieś, dobrze? Jest przecież wojna, muszę dawać przykład swoim żołnierzom – oświadczył Bluza. Przy trzeciej próbie wsunął broń do pochwy. – To dobrze wpłynie na morale.

Polly zerknęła na stół. Na stosie książek leżała jedna otwarta – wyglądała na podręcznik szermierki, a otwarta była na stronie piątej. Obok zauważyła okulary z grubymi szklami.

– Potrafisz czytać, Perks? – Bluza zamknął książkę.

Polly się zawahała. Ale przecież Ozer nie miał się czym przejmować.

– Trochę, sir – przyznała.

– Obawiam się, że większość będę musiał tu zostawić – rzekł porucznik. – Weź jakąś, jeśli masz ochotę.

Gestem wskazał książki. Polly przeczytała tytuły: „Rzemiosło wojenne”, „Reguły pola walki”, „Studia bojowe”, „Taktyka obronna”.

– Trochę dla mnie za ciężkie, sir – powiedziała. – Ale dziękuję.

– Powiedz mi, Perks... Czy rekruci są, hm... w dobrych nastrojach?

Rzucił jej spojrzenie pełne na pozór szczerzej troski. Zupełnie nie miał brody, jak zauważyła. Twarz przechodziła płynnie w szyję, bez zbyt wielkich przeszkód po drodze. Za to jego grdyka była doprawdy wspaniała. Podskakiwała w górę i w dół na szyi niczym piłka na gumce.

Polly była żołnierzem ledwie od paru dni, ale zdążyła już rozwinąć w sobie instynkt. Ten instynkt mówił w skrócie: oficerów należy okłamywać.

– Tak, sir – zapewniła.

– Dostali wszystko, czego im trzeba?

Wzmiankowany instynkt ocenił szanse, że wskutek skargi dostaną coś więcej, niż dostali do tej pory.

– Tak, sir – oświadczyła Polly.

– Oczywiście, nie do nas należy kwestionowanie rozkazów – stwierdził Bluza.

– Nie próbowałem, sir. – Polly zdziwiła się trochę.

– Chociaż są takie chwile, kiedy może nam się wydawać... – zaczął porucznik, urwał i zaczął od początku: – Najwyraźniej wojna jest czymś o bardzo chwiejnej równowadze. Losy bitwy mogą zmienić się w każdej chwili.

– Tak, sir.

Polly wciąż mu się przyglądała. Miał małą plamkę na nosie w miejscu, gdzie okulary ocierały skórę. Porucznika wyraźnie coś dręczyło.

– A ty dlaczego się zaciągnąłeś, Perks? – zapytał, po omacku szukając okularów. Znalazł je po trzeciej próbie. Na rękach miał wełniane rękawiczki z obciętymi palcami.

– Patriotyczny obowiązek, sir!

– Oszukiwałeś co do swojego wieku?

– Nie, sir!

– I tylko patriotyczny obowiązek, Perks?

Są kłamstwa, ale są też kłamstwa. Polly z zakłopotaniem przestąpiła z nogi na nogę.

– Chętnie bym się dowiedział, sir, co się stało z moim bratem Paulem – oświadczyła.

– Ach tak...

Twarz porucznika Bluzy, która od samego początku nie była wizją szczęśliwości, nagle przybrała udręczony wyraz.

– Paul Perks – dodała Polly.

– Ja, tego... nie mam właściwie żadnych możliwości, żeby się dowiedzieć, Perks. Pracowałem jako... Byłem, no, odpowiedzialny za te... byłem zaangażowany w działalność społeczną w sztabie, eee... Oczywiście nie znam wszystkich żołnierzy. Był... to znaczy jest... twoim starszym bratem?

– Tak, sir. W zeszłym roku wstąpił do Piersi i Tyłków, sir.

– A masz też jakichś, hm... młodszych braci? – zainteresował się porucznik.

– Nie, sir.

– No tak. Przynajmniej za to można dziękować losowi.

To była dość dziwaczna wypowiedź. Polly ze zdziwieniem zmarszczyła czoło.

– Sir?

I nagle ogarnęło ją nieprzyjemne wrażenie ruchu. Coś zsuwało się powoli po wewnętrznej stronie uda.

– Coś ci się stało, Perks? – spytał porucznik, widząc zmianę w jej twarzy.

– Nie, sir! Tylko... lekki skurcz, sir! Po długim marszu, sir! – Chwyciła się oburącz za kolano i przesunęła do drzwi. – Pójdę i... i dopilnuję pańskiej kolacji, sir!

– Tak, tak... – Bluza patrzył na jej nogę. – Proszę...

Polly przystanęła na korytarzu, żeby podciągnąć skarpety i zakotwiczyć je za paskiem, po czym zbiegła do kuchni. Jedno spojrzenie powiedziało jej wszystko, co chciała wiedzieć. Higiena tutaj polegała na podejmowanym bez entuzjazmu staraniu, by nie pluć do gulaszu.

– Potrzebne mi cebule, sól, pieprz... – zaczęła.

Służąca, która pilnowała czarnego od sadzy kociołka na czarnym od sadzy palenisku, uniosła wzrok, przekonała się, że mówi do niej mężczyzna, i pospiesznie odgarnęła z oczu wilgotne kosmyki włosów.

– Jest potrawka, psze pana – poinformowała.

– Nie chcę jej. Wezmę tylko te rzeczy – rzuciła Polly. – Dla oficera – dodała.

Podkuchenna czarnym od sadzy kciukiem wskazała pobliskie drzwi i rzuciła Polly coś, co zapewne uznała za kokietyjny uśmiech.

– Jestem pewna, że może pan brać, na co tylko przyjdzie panu ochota.

Polly obejrzała dwie półki, zaszczycone dumną nazwą spiżarni, i chwyciła dwie duże cebule, po jednej w każdą rękę.

– Mogę? – upewniła się.

– Ależ proszę pana! – służąca zachichotała. – Mam nadzieję, że nie jest pan jednym z tych brutalnych żołnierzy, którzy wykorzystują bezbronne dziewczęta, psze pana!

– No, eee... nie, nie jestem – uspokoiła ją Polly.

– Och...

To chyba nie była właściwa odpowiedź. Dziewczyna przechyliła głowę na bok.

– A czy dużo miał pan do czynienia z młodymi kobietami, psze pana?

– No... tak. Całkiem sporo – zapewniła Polly. – Eee... Właściwie to mnóstwo!

– Doprawdy?

Podeszła bliżej. Pachniała głównie potem, z niewielką domieszką sadzy. Polly wzniosła cebule jak tarczę.

– Jestem pewna, że są takie sprawy, o których chętnie byś się dowiedział – zamruczała służąca.

– Jestem pewien, że jest taka, o której wolałabyś nie wiedzieć – odparła Polly i wybiegła.

Usłyszała jeszcze żalony głos:

– Kończę o ósmej!

Dziesięć minut później kapral Scallot był pod wrażeniem. Polly miała uczucie, że nie zdarzało się to zbyt często. Kukula wkułował przy ogniu stary napierśnik, ubił płaty końskiego mięsa, aż zmiękły, obtoczył je w mące, a teraz smażył. Obok skwierczały plasty cebuli.

– Zawsze tylko je gotowałem – przyznał Scallot, przyglądając się z zaciekawieniem.

– Ale wtedy traci się cały smak – odparł Kukula.

– Wiesz, mały, co czasem jedliśmy? Nie chciałbyś tego smakować!

– Trzeba najpierw wszystko podsmażyć – tłumaczył Kukula. – Poprawia smak. Poza tym, kiedy już się gotuje, trzeba gotować powoli. Tak zawsze powtarzała moja mama: smaź szybko, gotuj powoli. To całkiem niezłe mięso jak na koninę. Aż szkoda je gotować.

– Niesamowite – uznał Scallot. – Przydałbyś się nam w Ibblestarn. Sierżant był dobrym człowiekiem, tyle że trochę, no wiesz, łykowatym w nogach...

– Zapewne pomogłaby marynata. – Kukula złamanym mieczem przewrócił plaster mięsa. Obejrzał się na Polly. – Było coś jeszcze w spiżarni, Ozz? Można by przygotować mały zapasik na jutro, gdyby tylko...

– Nie pójdę więcej do kuchni – oznajmiła Polly.

– Ach, pewnie poznałeś Nietrudną Molly? – Kapral Scallot uśmiechnął się szeroko. – Niejednego chłopaka posiała w drogę pełnego radości. – Zanurzył chochlę we wrzącym obok patelni kociołku ze skubbo. Rozpadające się szare mięso bulgotało w kilku calach wody. – Dla ruperta wystarczy – zdecydował i sięgnął po brudną miskę.

– No... Powiedział, że chce jeść to samo co jego ludzie – poinformowała Polly.

– Ach, to ten rodzaj oficera... – mruknął bezlitosny Scallot. – Owszem, niektórzy młodszy próbują takich numerów, jeśli czytali nieodpowiednie książki. Niektórzy nawet usiłują się zaprzyjaźnić, dranie! – Splunął fachowo między dwa garnki. – Poczekaj, aż spróbuje tego, co jedzą ludzie...

– Jeśli my mamy stek z cebulką...

– Ale nie dzięki takim jak on – przerwał jej kapral i nalał cieczy do miski. – Złobeńscy żołnierze dostają codziennie funt wołowiny i funt mąki, minimum. Plus słoninę albo masło i pół funta gotowanego grochu. Czasami też półkwaterek melasy. A my dostajemy stęchłe końskie suchary i to, co podprowadzimy. Rupert będzie jadł skubbo i niech się cieszy.

– Żadnych świeżych jarzyn, żadnych owoców – zauważył Kukula. – Bardzo blokująca dieta, kapralu.

– No wiesz, jak już się zacznie bitwa, zatwardzenie będzie najmniejszym z twoich problemów. – Weteran odsunął na bok jakieś gałgany i zdjął z półki zakurzoną butelkę. – Tego też Rupert nie dostanie – zapewnił. – Ściągnąłem to z bagażu ostatniego oficera, który wtedy przejeżdżał, ale podzielę się z wami, bo porządne z was chłopaki. – Fachowo utłukł szyjkę o krawędź komina. – Tylko sherry, ale można się napić.

– Dzięki, kapralu. – Kukula wziął butelkę i chlusnął zawartością na skwierczące mięso.

– Hej, marnujesz dobre sherry! – zaprotestował Scallot i spróbował ją odebrać.

– Nie, to świetnie doprawi mięso! – Kukula bronił butelki. – I jeszcze... ożeż, motyla noga!

Wskutek szarpaniny połowa płynu trafiła do ognia. Ale nie to wzbudziło u Polly uczucie, jakby stalowy pręt przebił jej mózg. Rozejrzała się, lecz nikt z oddziału chyba nic... Maladict mrugnął do niej i ledwie dostrzegalnie skinął głową w stronę drugiego końca sali. Potem ruszył tam leniwym krokiem, a Polly za nim.

Maladict zawsze potrafił znaleźć coś, o co mógłby się oprzeć. Stał rozluźniony w cieniu i spojrzał między krokiew.

– No więc uważam, że mężczyzna, który umie gotować, nie traci od tego męskości – stwierdził. – Ale mężczyzna, który mówi „motyla noga”, kiedy chce zakłąć? Czy w ogóle słyszałeś, żeby mężczyzna coś takiego powiedział? Na pewno nie.

Więc to ty dałeś mi skarpety, pomyślała Polly. Wiesz o mnie, ale czy wiesz też o Loff? A może Kukula został uprzejmie przywołany, by... Ale jedno spojrzenie na uśmiezek Maladicta wystarczyło, by zrezygnowała z pójścia tą drogą. Poza tym, kiedy tylko spojrzała na Kukulę z

myślą, że może jest dziewczyną, od razu widziała, że tak. Żaden chłopak nie powie „motyla noga”. Czyli już trzy dziewczyny...

– Jestem też prawie pewien co do Loft – dodał Maladict.

– I co masz zamiar zrobić w... ich sprawie? – spytała.

– Zrobić? A dlaczego miałbym robić cokolwiek? Jestem wampirem, który oficjalnie udaje, że nim nie jest. Jestem więc ostatnią osobą, która mogłaby twierdzić, że trzeba koniecznie grać kartami, jakie nam rozdano. Czyli, życzę... mu powodzenia. Ale może chciałbyś później wziąć go na stronę i zamienić kilka słów. No wiesz, jak mężczyzna z mężczyzną.

Czy było w tych słowach jakieś poczucie wyższości?

– Pójdę zanieść skubbo porucznikowi – oświadczyła. – I... szlag, zapomniałam o praniu.

– Och, nie przejmowałbym się, staruszk. – Maladict błysnął uśmiechem. – Z tego, jak wszystko się tutaj układa, Igor jest prawdopodobnie praczką w przebraniu.

W końcu Polly sama wyprała rzeczy porucznika. Nie była pewna, czy za drugim razem uda jej się uciec przed Molly, zresztą nie było tego wiele. Potem zawiesiła wszystko przy ogniu, który huczał głośno.

Konina okazała się zaskakująco smaczna, choć nie aż tak zaskakująco jak reakcja Bluzy na skubbo. Porucznik usiadł przy stole w wieczorowym galowym mundurze – specjalne ubranie tylko po to, żeby samotnie zjeść w nim kolację, było dla Polly czymś nowym – pochłonął wszystko i posłał ją z miską po dokładkę. Mięso w garnku wygotowało się do białości, a na powierzchni pojawiła się piana szumowin. Cały oddział się zastanawiał, jakie życie musiał wcześniej prowadzić porucznik, że teraz smakuje mu skubbo.

– Niewiele o nim wiem – rzekł wypytwany Scallot. – Siedzi tu dwa tygodnie i aż się trzęsie, żeby wyruszyć na wojnę. Słyszałem, że przywłókł ze sobą całą skrzynię książek. Jak dla mnie wygląda na typowego ruperta. Oni wszyscy stali za drzwiami, kiedy rozdawali podbródki. Jakiś przejeżdżający sierżant mówił, że właściwie wcale nie jest żołnierzem, tylko urzędasem ze sztabu, dobrym w rachunkach.

– No świetnie – mruknął Maladict. – Parzył kawę przy ogniu. Jego mała maszynka syczała i bulgotała.

– On chyba nie widzi dobrze bez okularów – stwierdziła Polly. – Ale jest bardzo, eee... grzeczny.

– Czyli od niedawna jest rupertem – uznał Scallot. – Oni są raczej typu „Hej, ty! Niech ci ślepią wypłyną, bla, bla, bla!”. Ale widziałem już waszego sierżanta, starego Jackruma. Ten to bywał już wszędzie. Wszyscy znają starego Jackruma. Tkwiał z nami w śniegach pod Ibblestarn.

– A ilu zjadł ludzi? – spytał Maladict, budząc powszechną wesołość.

Jedzenie okazało się smaczne, a wciąż jeszcze mieli po szklaneczce sherry na każdego.

– Powiedzmy tyle – odparł Scallot – że podobno zszedł na dół niewiele chudszy, niż

kiedy wchodził na górę.

– A kapral Strappi? – zainteresowała się Polly.

– Tego jeszcze nigdy nie spotkałem. Wredny sukisyn. Politrak, moim zdaniem. Niby czemu sobie poszedł i was tutaj zostawił? Pewnie ma ciepłe łóżeczko w gospodzie.

– Mam nadzieję, że n-nie zostanie naszym sierżantem – wtrącił Łazer.

– On? – zdziwił się Scallot. – Dlaczego?

Polly opowiedziała mu o wcześniejszych wydarzeniach. Ku jej zdziwieniu Scallot wybuchnął śmiechem.

– Znowu próbują się pozbyć starego łobuza, co? Zabawne. Trzeba więcej niż bandy gawainów i rodneyów, żeby wywalić Jackruma z jego własnej armii. Przecież on dwukrotnie stawał przed sądem wojennym i oba razy się wykpił! A wiecie, że kiedyś ocalał życie generałowi Frocowi? Był wszędzie, ma haka na każdego, lepiej niż ja wie, jak pociągać za sznurki, a wierzcie mi, też znam parę sposobów. Jeśli zechce jutro z wami pomaszerować, to żaden chudy rupercik mu nie przeszkodzi.

– Więc co robi ktoś taki jako werbownik? – spytał ostro Maladict.

– Bo poharatało mu nogę w Zlobenii, a on, spryciarz, pogryzł konowałów, którzy próbowali ją obejrzyć, kiedy rana zaczęła się paskudzić – odparł Scallot. – Sam ją oczyścił czerwiami i miodem, potem wypił pół kwarty brandy, pozszywał się i przez tydzień leżał z gorączką. Ale generał znalazł go, jak słyszałem, kiedy był jeszcze za słaby, żeby się klócić, więc przyszedł i powiedział, że przez rok będzie chodził z bębniem i żadnej dyskusji. Nawet sam Froc nie odważył się wręczyć mu papierów, nie po tym, kiedy Jackrum taszczył go na plecach czternaście mil przez linie wroga...

Drzwi odskoczyły nagle i wszedł sierżant Jackrum z dłońmi wsuniętymi za pas.

– Nie musicie salutować, chłopaki – uspokoił ich, kiedy obejrzel się nerwowo. – Się masz, Trzyczęściowiec. Miło znowu widzieć cię prawie całego, chytrusie. Gdzie kapral Strappi?

– Nie widzieliśmy go cały wieczór, sierżancie – zapewnił Maladict.

– Nie przyszedł tu z wami?

– Nie, sierżancie. Myśleliśmy, że poszedł z panem.

Na twarzy Jackruma nie drgnął żaden mięsień.

– Rozumiem. No więc słyszeliście porucznika. Łódź odpływa o północy. W środę o świcie powinniśmy być już daleko na Kneck. Załapcie parę godzin snu, jeśli wam się uda. Jutro czeka nas długi dzień... o ile będziemy mieli szczęście.

Odwrócił się i wyszedł. Z zewnątrz zawył wiatr, który umilkł nagle, kiedy sierżant zamknął drzwi. „My” powinniśmy być daleko, zauważyła Polly. Trzyczęściowiec się nie pomylił.

– Tęsknicie za kapralem? – spytał Scallot. – To rzeczywiście ciekawe. Zwykle to rekruci znikają bez przepustki. No ale słyszeliście sierżanta, chłopcy! Myć się i do łóżek!

Przy koszarach stała dość prymitywna łazienka i latryna. Polly znalazła chwilę, kiedy zostały tam same z Kukulą. Zastanawiała się, jak najlepiej poruszyć ten temat, ale okazało się, że wystarczy jedno spojrzenie.

– To dlatego że zgłosiłam się do robienia kolacji, tak? – wymamrotała Kukuła, wpatrzona w kamienny zlew, na którego dnie rósł mech.

– To była rzeczywiście sugestia, owszem – przyznała Polly.

– Przecież wielu mężczyzn umie gotować!

– Tak, ale nie żołnierzy i nie tak entuzjastycznie. Nie robią marynat.

– Powiedziałaś komuś? – wymamrotała czerwona na twarzy Kukuła.

– Nie! – zapewniła Polly, co przecież było w ścisłym sensie prawdą. – Wiesz, naprawdę byłaś dobra. Nie zorientowałem się właściwie aż do motylej nogi.

– Tak, tak, wiem... Potrafię czkać, głupio chodzić, a nawet dłubać w nosie, ale nie tak mnie wychowano, żebym przeklinała jak wy, mężczyźni.

My, mężczyźni, pomyślała Polly. No pięknie...

– Obawiam się, że z nas wszystkich prymitywni i sprośni wojacy. Do kupy albo do dupy – powiedziała. – Ale... dlaczego to robisz?

Kukuła patrzyła na wilgotny kamień zlewu, jakby dziwny zielony śluz naprawdę był interesujący. Wymamrotała coś pod nosem.

– Przepraszam, co mówiłaś?

– Chcę znaleźć męża – powtórzyła trochę głośniejsze.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem? – spytała Polly bez zastanowienia.

– ...jeszcze się nie pobraliśmy... – Głos Kukuły był cienki jak u mrówki.

Polly spojrzała niżej, na pulchność dziewczyny... Ojej... Ojej...

Starła się mówić rozsądnie.

– A nie sądzisz, że powinnaś...

– Tylko mi nie mów, że mam wracać do domu! – rozłościła się Kukuła. – W domu nic mnie nie czeka oprócz hańby! Nie wrócę tam! Idę na wojnę i zamierzam go znaleźć! Nikt mi tego nie zabroni, Ozzer! Nikt! Tak się już zdarzało! I dobrze kończyło! Jest o tym piosenka i w ogóle!

– Ach, ta... – mruknęła Polly. – Tak, wiem. – Ludowych pieśniarzy należałoby powystrzelać. – Chciałem tylko powiedzieć... Przekonasz się, że pomoże ci to w maskowaniu...

Wyjęła miękkie wełniane walec zwiniętych skarpet i wręczyła jej bez słowa. To było ryzykowne zagranie, ale czuła się w pewnym stopniu odpowiedzialna za tych, którzy swych nagłych kaprysów nie wspomogli planowaniem.

W drodze do swojego siennika zauważyła, że Łazer wiesza swój portrecik księżnej na poręcznym haku nad materacem. Rozejrzał się dyskretnie, nie zauważył Polly w mroku koło drzwi i bardzo szybko dygnął przed obrazkiem. Dygnął, nie uklonił się.

Cztery... W tej chwili nie czuła już nawet zaskoczenia. A została jej jeszcze jedna para czystych skarpet.

Wkrótce wojsko będzie chodziło boso...

Polly umiała po ogniu poznać, która jest godzina. Wyczuwała, jak długo ogień płonął; tutaj w palenisku polana pokrywał szary popiół, a pod nim był czerwony żar. Minęła jedenasta, uznała.

Sądząc po odgłosach, nikt nie spał dobrze. Wstała po godzinie czy dwóch leżenia na szeleszczącym sianie, spoglądania w mrok i nasłuchiwanie, jak poruszają się pod nią różne stworzonka. Zostałaby dłużej, ale coś w sianie chyba chciało odsunąć sobie z drogi jej nogę. Poza tym nie miała suchych koców. W koszarach były jakieś koce, ale Trzyczęściowiec je odradzał, bo miały w sobie – jak to ujął – świerzb.

Kapral zostawił płonąca świecę. Polly raz jeszcze przeczytała list od Paula i raz jeszcze obejrzała uratowany z błotnistej drogi skrawek zadrukowanego papieru. Słowa były porozrywane i niektórych nie była pewna, ale nie podobало się jej ich brzmienie. Zwłaszcza „inwaz” miała wyjątkowo nieprzyjemny dźwięk.

A potem odkryła jeszcze trzeci kawałek papieru... To naprawdę nie jej wina. Trafił do niej pełnym przypadkiem. Wyprała rzeczy Bluzy, a przed praniem zawsze się sprawdza kieszenie – kto chociaż raz próbował rozwinąć odbarwioną, moką parówkę, która była kiedyś banknotem, nie chce próbować tego po raz drugi. I wtedy znalazła tę złożoną kartkę. Owszem, nie musiała jej rozkładać. A kiedy już rozłożyła, nie musiała czytać. Ale czasem trudno się powstrzymać.

To był list, Bluza prawdopodobnie wcisnął go do kieszeni, kiedy zmieniał koszulę. Nie musiała czytać go jeszcze raz, ale przeczytała w blasku świecy.

Najdroższa Emmelino!

Sława i Fortuna czekają! Po zaledwie ośmiu latach jako podporucznik dostałem awans i mam otrzymać dowództwo! Oczywiście, oznacza to, że w Wydziale Koców, Derek i Obroku Biura Kwatermistrza nie pozostanie już żaden oficer, ale wyjaśniłem kapralowi Drebbowi mój nowy system księgowania i wierzę, że da sobie radę.

Rozumiesz, że nie mogę wchodzić w szczegóły, ale uważam, że to bardzo ekscytująca perspektywa, i nie mogę się doczekać, by stanąć „twarzą w twarz z Nieprzyjacielem”. Ośmielam się wierzyć, że nazwisko Bluza przejdzie do historii wojskowości. Tymczasem odkurzam moje techniki szermiercze i wyrażnie wszystko „do mnie wraca”. Oczywiście awans niesie z sobą nie mniej niż Jednego Szylinga dodatkowo „per Diem” plus Trzy Pensy dodatku obrokowego. Z tej przyczyny nabyłem „wierzchowca” od pana „Ucziwego” Jacka Slackera, niezwykle interesującego dżentelmena, choć wydaje mi się, że jego opis „dzielności” mojego

rumaka mógł być nieco przesadzony. Mimo to jednak „pnę się w górę”, a jeśli Los się do mnie uśmiechnie, bardzo przybliży to dzień, gdy będę

I to wszystko, na szczęście. Po chwili namysłu Polly starannie zmoczyła list, potem wysuszyła szybko nad dogasającym ogniem i wsunęła do kieszeni wypranej koszuli. Bluza może ją skarcić, że nie wyjęła go przed praniem, ale wątpiła w to.

Liczący koce z nowym systemem księgowania... Podporucznik od ośmiu lat, na wojnie, gdzie awanse bywają bardzo szybkie. Człowiek, który ujmował w cudzysłów każde słowo czy frazę, które uważał za choćby odrobinę bardziej potoczne. Odkurzał „techniki szermiercze”. Tak krótkowzroczny, że kupił konia od Jacka Slackera, który wędrował po wszystkich kącikach okazji na końskich targach i sprzedawał wymęczone chabety, gubiące nogę, zanim nabywca dojechał na nich do domu.

Nasz dowódca...

Przegrywali w tej wojnie. Wszyscy o tym wiedzieli, ale nikt nie chciał powiedzieć głośno. Całkiem jakby to się naprawdę nie działo, dopóki nie zostanie nazwane. Przegrywali wojnę, a ten oddział, niewyszkolony i niesprawdzony, walczący w butach poległych, mógł tylko pomóc przegrać ją szybciej. Połowa z nich to dziewczyny! Z powodu jakiejś głupiej piosenki Kukula rusza na wojnę, żeby odszukać ojca swojego dziecka, a to dla dziewczyny nawet w czasie pokoju dramatyczna misja. Loft wlecze się za swoim chłopakiem, co prawdopodobnie będzie romantyczne aż do piątej minuty pierwszej bitwy... Ona sama...

...no tak. Ona też słyszała tę piosenkę. Co z tego? Paul to przecież jej brat. Zawsze się nim opiekowała, nawet kiedy była jeszcze całkiem mała. Mama zawsze miała dużo zajęć w Księżnej, więc Polly została starszą siostrą dla brata, w rzeczywistości starszego od niej o piętnaście miesięcy. Nauczyła go wycierać nos, nauczyła stawiać litery, chodziła i znajdowała, kiedy okrutniejsi chłopcy gubili go w lesie. Bieganie za Paulem było obowiązkiem, który stał się nawykiem.

I jeszcze... No, to nie był jedyny powód. Kiedy umrze ojciec, Pod Księżną będzie stracona dla jej gałęzi rodziny, jeśli nie pozostanie męski potomek, który mógłby ją odziedziczyć. Takie było prawo, jasne i oczywiste. Prawo nugganiczne stwierdzało, że mężczyźni mogą dziedziczyć „Rzeczy Męskie”, takie jak ziemia, budynki, pieniądze i wszystkie zwierzęta domowe oprócz kotów. Kobiety dziedziczyły „Rzeczy Kobiece”, to znaczy przede wszystkim biżuterię osobistą i kołowrotki. Na pewno nie mogły odziedziczyć dużej i znanej gospody.

Pod Księżną trafi więc do Paula, jeśli będzie żył, a jeśli nie, może ją dostać mąż Polly, jeśli będzie zamężna. A że nie odpowiadała jej taka perspektywa, potrzebowała brata. Paul może z radością przez resztę życia dźwigać beczki, a ona pokieruje Księżną. Ale jeśli zostanie sama – kobieta bez mężczyzny – najlepsze, na co może liczyć, to zgoda, by nadal tam mieszkała. Prawo własności przypadnie kuzynowi Vlopo, który jest pijakiem.

Oczywiście, nie był to zasadniczy powód. Absolutnie. Ale jednak jakiś powód. A zasadniczym powodem był po prostu Paul. Zawsze umiała go znaleźć i przyprowadzić do domu.

Spojrzała na trzymane w dłoniach czako. Były również hełmy, ale ponieważ wszystkie miały otwory po strzałach albo wyrąbane szablami szczeliny, cały oddział bez słowa zdecydował się na miękkie czapki. Człowiek ginie i tak, ale w ten sposób przynajmniej unika bólu głowy. Na czaku umocowano odznakę regimentu – płonący ser. Polly miała nadzieję, że pewnego dnia dowie się dlaczego.

Włożyła czako na głowę, sięgnęła po swój plecak, nieduży tobołek z praniem i wyszła w ciemność. Księżyc zniknął, powróciły chmury. Zanim przeszła przez rynek, była już całkiem przemoczona – deszcz padał niemal poziomo.

Pchnęła drzwi gospody i w migotliwym blasku świecy zobaczyła... chaos. Ubrania rozrzucone na kamieniach, otwarte szafki... Jackrum schodził po schodach z kordem w jednej ręce i latarnią w drugiej.

– Aha, Perks, to ty... – stwierdził. – Wymietli tu wszystko i spieprzyli. Nawet Molly. Słyszałem, jak uciekają. Po odgłosach sądząc, pchali wózek. A co ty tu robisz?

– Jestem ordynansem, sierżancie. – Polly strząsnęła wodę z czaka.

– A, no tak. W takim razie idź i go obudź. Chrapie jak tartak. Mam nadzieję, że łądz jeszcze czeka.

– A dlaczego oni spie... zwiali, sierżancie? – spytała Polly.

Motyła noga, pomyślała. Jak już przychodzi co do czego, ja też nie umiem kląć.

Ale sierżant chyba nie zwrócił na to uwagi. Spojrzał na nią z dezaprobatą już nawet nie staroświecką, ale wręcz prehistoryczną.

– Coś do nich na pewno dotarło – uznał. – Oczywiście wygrywamy tę wojnę, jak wiesz.

– Och... Aha. I oczywiście w ogóle nie zagraża nam inwazja – odpowiedziała Polly z równie przesadną intonacją.

– Bardzo słusznie – zgodził się Jackrum. – Pogardzam tymi zdradzieckimi tchórzami, którzy chcą, byśmy uwierzyli, że łąda dzień potężna armia przetoczy się przez nasz kraj.

– Ehm... Kapral Strappi się nie znalazł, sierżancie?

– Nie. Ale nie zajrzałem jeszcze pod każdy kamień... Pst!

Polly zamarła, wyęzając słuch. Tętent kopyt rozbrzmiewał coraz głośniejsze, zmieniał się ze stukania w dźwięczne dzwonięcie podków na bruku.

– Patrol kawalerii! – szepnął Jackrum i szybko odstawił latarnię na kontuar. – Sześć, może siedem koni.

– Nasz?

– Pieknie wątpię.

Stukot zwolnił i ucichł przed gospodą.

– Zagaduj ich... – rzucił Jackrum, schylił się i zasunął sztabę drzwi. Potem odwrócił się i

odszedł na zaplecze.

– Co? Ale o czym? – szepnęła Polly. – Sierzancie?

Jackrum zniknął. Usłyszała za drzwiami jakieś szepty, a potem mocne pukanie. Zrzuciła kurtkę, zerwała z głowy czako i cisnęła je za bar. Teraz przynajmniej nie była już żołnierzem. A kiedy drzwi zatrzęsły się w zawiasach, zobaczyła coś białego leżącego wśród bałaganu. To była straszliwa pokusa...

Drzwi ustąpiły po drugim uderzeniu, ale żołnierze nie weszli od razu. Leżąc za barem i usiłując wciągnąć halkę na podwinięte spodnie, Polly próbowała domyślić się czegoś z odgłosów. O ile potrafiła odczytać szelesty i stukania, każdemu czekającemu przy drzwiach i planującemu zasadzkę byłoby krótko, ale śmiertelnie przykro. Starła się policzyć żołnierzy – było co najmniej trzech. W pełnej napięcia ciszy zaszokował ją całkiem spokojny głos.

– Słyszeliśmy, jak ktoś zasuwa sztabę. To znaczy, że gdzieś tu jesteś. Nie utrudniaj sobie życia i wyjdź. Nie chcielibyśmy tam wchodzić, żeby cię znaleźć.

Ja też bym nie chciała, pomyślała Polly. Nie jestem żołnierzem! Idźcie sobie!

Ale następna jej myśl brzmiała: Jak to nie jesteś żołnierzem? Wzięłaś szylinga i pocałowałaś obrazek.

I nagle ktoś sięgnął ręką pod barem i chwycił ją... Przynajmniej nie musiała sama decydować.

– Nie! Proszę! Niech mi pan nie robi krzywdy! Wystraszyłam się tylko! Proszę!

Jednak pewna wewnętrzna... skarpetowość budziła uczucie wstydu i Polly miała ochotę kopać.

– Na bogów, co to takiego?! – zawołał kawalerzysta. Postawił ją na nogach i oglądał, jakby była eksponatem na wystawie.

– Polly, proszę pana. Barmanka, proszę pana. Tylko że wszyscy odjechali i mnie zostawili!

– Nie wrzeszcz tak, dziewczyno!

Polly kiwnęła głową. Nie chciała przecież, żeby Bluza zbiegł teraz po schodach ze swoją szablą i „Fechtunkiem dla początkujących”.

– Tak, proszę pana – pisnęła.

– Barmanka, tak? No to trzy kufle tego, co pewnie nazywasz waszym najlepszym piwem.

To przynajmniej mogła załatwić automatycznie. Zauważyła kufle pod barem, a beczki miała za sobą. Piwo było cienkie i ostro pachnące, ale raczej nie rozpuściłoby pensa.

Kawalerzysta przyglądał się, jak napełnia kufle.

– Co się stało z twoimi włosami? – zapytał.

Polly była przygotowana.

– Ścieli je, proszę pana, bo się uśmiechnęłam do złobeńskiego żołnierza.

– Tutaj?

– W Droku, proszę pana. – Było to miasteczko leżące o wiele bliżej granicy. – I moja

mama powiedziała, że przynoszę wstyd rodzinie, więc przysłali mnie tutaj, proszę pana.

Ręce jej się trzęsły, kiedy stawiała kufle na barze. Prawie nie udawała. Prawie... ale jednak trochę. Zachowujesz się jak dziewczyna, myślała; tak trzymaj.

Teraz dopiero mogła obejrzeć napastników. Nosili ciemnoniebieskie mundury i wysokie buty oraz ciężkie kawaleryjskie hełmy. Jeden stał przy oknie zasłoniętym żaluzją. Dwóch ją obserwowało. Jeden miał insygnia sierżanta i bardzo podejrzliwą minę. Ten, który ją złapał, był kapitanem.

– To paskudne piwo, dziewczyno – stwierdził, kiedy powąchał kufel.

– Tak, proszę pana. Wiem, proszę pana – trąkotała Polly. – Nie chcą mnie słuchać, proszę pana. Mówią, że przy takiej burzliwej pogodzie trzeba okrywać beczki mokrymi szmatami, proszę pana, a Molly nigdy nie czyści kurka i...

– Miasto jest puste. Wiesz o tym?

– Wszystkich wywiało, proszę pana – odparła z przekonaniem. – Bo ma być inwazja, proszę pana. Wszyscy tak mówią. Wystraszyli się was, proszę pana.

– Oprócz ciebie, co? – mruknął sierżant.

– Jak ci na imię, dziewczyno, która się uśmiecha do złobeńskich żołnierzy? – zapytał z uśmiechem kapitan.

– Polly, proszę pana – odpowiedziała Polly.

Jej ręka znalazła pod ladą to, czego szukała – przyjaciółkę barmana. Zawsze jakaś była.

– Boisz się mnie, Polly? – spytał kapitan.

Żołnierz przy oknie parsknął cicho. Kapitan miał przystryżone równo, nawoskowane wąsy i ponad sześć stóp wzrostu, jak oceniła Polly. Miał też miły uśmiech, który jakimś cudem wyglądał lepiej dzięki bliznie na twarzy. Krążek szkła przesłaniał jedno oko.

Mocniej ścisnęła pałkę w dłoni.

– Nie, proszę pana – zapewniła, patrząc mu w jedno oko i jedno szkiełko. – Ehm... Po co jest to szkiełko, proszę pana?

– To monokl – wyjaśnił kapitan. – Żebym cię lepiej widział, za co jestem nieskończenie wdzięczny. Zawsze powtarzam, że gdybym miał dwa takie, robiłbym z siebie spektakl.

Wzbudził tym obowiązkowy śmiech sierżanta. Polly zrobiła tępą minę.

– Powiesz mi teraz, gdzie są rekruci? – spytał kapitan.

Starła się nie zmieniać wyrazu twarzy.

– Nie.

Kapitan się uśmiechnął. Miał ładne zęby, ale w jego oczach nie pozostał nawet ślad ciepła.

– Twoja sytuacja nie pozwala ci na ignorancję – powiedział. – Obiecuję, że ich nie skrzywdzimy.

Z daleka zabrzmiał krzyk.

– Za bardzo – dodał sierżant, demonstrując większą satysfakcję niż to konieczne.

Znowu ktoś wrzasnął. Kapitan skinął ręką na człowieka przy drzwiach, który zaraz wysłiznął się na zewnątrz. Polly wyjęła czapkę i wsadziła sobie na głowę.

– Jeden z nich dał ci swoją czapkę, co? – rzucił sierżant, ale zęby miał o wiele gorsze niż oficer. – Cóż, lubię dziewczyny, które uśmiechają się do żołnierzy...

Pałka trafiła go w głowę. To była stara, twarda tarnina i sierżant zwałił się jak drzewo. Kapitan cofnął się, kiedy Polly wyszła zza baru z maczugą znowu gotową do ciosu – ale nie dobył miecza. I śmiał się!

– A teraz, małutka, jeśli masz ochotę...

Chwycił ją za rękę, kiedy próbowała uderzyć, i przyciągnął do siebie, wciąż roześmiany, po czym złożył się niemal bezdźwięcznie, gdy jej kolano zetknęło się z jego szufladą na skarpety. Wielkie dzięki, Dziślak... Osunął się na podłogę, a ona odstała o krok i walnęła pałką w hełm, aż zadźwięczał.

Dygotała. Było jej niedobrze. Żołądek zmienił się w twardą, rozpaloną do czerwoności grudę. Co jeszcze mogła zrobić? Czy powinna myśleć: Spotkaliśmy się z wrogiem i jest miły? Zresztą ten wcale nie był miły. Był zarozumiały.

Wyjęła z pochwy szablę i cicho wymknęła się w ciemność. Wciąż padał deszcz i znad rzeki unosiły się kłęby mgły, przesłaniając wszystko do wysokości piersi. Kilka koni czekało przed gospodą, ale nie były przywiązane. Obok stał żołnierz. Niewyraźnie, poprzez szum deszczu, słyszała, jak cichymi słowami uspokaja jedno ze zwierząt. Polly wolałaby tego nie słyszeć. No ale wzięła szylinga... Zaciśnęła palce na pałce...

Zdażyła zrobić krok, gdy mgła między nią a strażnikiem wystrzeliła powolną fontanną i coś się z niej uniosło. Mężczyzna odwrócił się, cień się przesunął, mężczyzna upadł...

– Oj... – szepnęła Polly.

Cień się obejrzał.

– Ożer? To ja, Maladict. Sierżant mnie przysłał. Mam sprawdzić, czy potrzebujesz pomocy.

– Ten przeklęty Jackrum zostawił mnie otoczonego przez uzbrojonych ludzi! – syknęła Polly.

– I...?

– No, ja... załatwiłem dwóch – odparła, czując, że to wyznanie nie przysłuży się jej reputacji ofiary. – Ale jeden przeszedł przez drogę...

– Myślę, że tego dostaliśmy – stwierdził Maladict. – To znaczy, hm... dostaliśmy... Stukacz prawie wypruła mu flaki. Ta dziewczyna ma coś, co nazwałbym nierozwiązanymi problemami. – Rozejrzał się. – Spójrzmy... Siedem koni, siedmiu ludzi. Tak.

– Stukacz? – powtórzyła zdumiona Polly.

– No tak. Nie rozpoznałaś jej? Dostała szau, kiedy ten człowiek zaatakował Loft. Teraz obejrzymy sobie twoich dżentelmenów, co? – Maladict ruszył do drzwi.

– Ale Loft i Stukacz... – zaczęła Polly, biegnąc za nim. – Wiesz, zachowują się jak...

Myślałem, że ona jest dziewczyną... Ale uznałam, że Stukacz... To znaczy wiem, że Loft jest dzie...

Nawet w ciemności zęby Maladicta błysnęły w uśmiechu.

– Świat się przed tobą otwiera, co, Ozzer? Codziennie coś nowego. Teraz się przebieramy, jak widzę.

– Co takiego?

– Masz na sobie kieckę, Ozzer – oświadczył Maladict i wszedł do karczmy.

Zawstydzona Polly spojrzała w dół, zaczęła ściągać halkę, ale zaraz pomyślała: jeszcze chwileczkę...

Sierżant podciągnął się jakoś przy barze i wymiotował. Kapitan jęczał na podłodze.

– Dobry wieczór panom – powitał ich wampir. – Poproszę o chwilę uwagi. Jestem wampirem zreformowanym, co oznacza, że jestem kłębkiem tłumionych instynktów, przytrzymywanych na ślinę i kawę. Błędna byłaby sugestia, że gwałtowna, krwawa rzeź nie przychodzi mi łatwo. To raczej nierozrywanie wam gardel sprawia kłopot. Bardzo proszę, nie utrudniajcie mi tego bardziej.

Sierżant odepchnął się od baru i niezbyt przytomnie zaatakował Maladicta. Wampir niemal od niechcenia uchylił się przed cięciem i odpowiedział ciosem z półobrotu, który powalił napastnika na podłogę.

– Kapitan nie wygląda dobrze – stwierdził Maladict. – Co chciał ci zrobić, małemu biedactwu?

– Traktował mnie protekcjonalnie – oświadczyła gniewnie Polly.

– Ach...

Maladict zastukał delikatnie do wrót koszar. Uchyliły się najpierw odrobinę, a potem całkowicie. Karborund opuścił maczugę. Polly i Maladict bez słowa wciągnęli do środka dwóch kawalerzystów. Sierżant Jackrum siedział na stołku przy ogniu i popijał piwo.

– Dobra robota, chłopcy – pochwalił. – Rzućcie ich z pozostałymi.

Skinął kuflem w stronę przeciwległej ściany, gdzie czterech skutych razem żołnierzy siedziało przygarbionych pod posępnym spojrzeniem Stukacz. Ostatni z napastników leżał na stole, a Igor pracował przy nim z igłą i nitką.

– Co z nim, szeregowy? – zapytał Jackrum.

– Nic mu nie będzie, fierzanie – zapewnił Igor. – Rana wyglądała na gorą niż w rzeczywistości. I bardzo dobrze, bo dopóki nie trafimy na pole bitwy, nie znajdę części zamiennych.

– A znajdziesz parę nóg dla starego Trzyczęściowca?

– Chwileczkę, sierżancie, dość takiego gadania – odpowiedział spokojnie Scallot. Siedział po drugiej stronie ognia. – Zostawcie mi tylko ich konie i siodła. A wam na pewno się przydadzą ich szable.

– Oni nas tu szukali, sierżancie – oznajmiła Polly. – Jesteśmy tylko zgrają nieprzeszkolonych rekrutów, a oni nas szukali. Mogłem tam zginąć, sierżancie!

– No więc na pierwszy rzut oka potrafię rozpoznać talent – zapewnił Jackrum. – Brawo, mój chłopcze! Sam musiałem się zmyć, bo wielki facet w nieprzyjacielskim mundurze rzuca się w oczy. Zresztą ktoś musiał obudzić resztę chłopaków. To było strategiczne myślenie, jak nic.

– Ale gdybym... – Polly się zawahała. – Gdybym ich nie oszukał, mogliby zabić porucznika!

– Widzisz? – ucieszył się Scallot. – Z której strony spojrzeć, zawsze znajdzie się coś dobrego.

Sierżant wstał, wytarł usta grzbietem dłoni i podciągnął pas. Podeszedł do kapitana, schylił się i uniósł go za klapy.

– Dlaczego szukaliście tych chłopców, sir? – zapytał.

Kapitan otworzył oko i przyjrzał się grubasowi z uwagą.

– Jestem oficerem i dżentelmenem, sierżancie – mruknął. – Są pewne zasady...

– W tej chwili nie mamy tu zbyt wielu dżentelmenów, sir – zauważył sierżant.

– Prawda jak szlag – szepnął Maladict.

Polly, niemal pijana z ulgi i spływającego z niej napięcia, musiała zasłonić usta, by powstrzymać chichot.

– Ach, tak... zasady... jeńcy wojenni i takie tam... – mówił Jackrum. – To znaczy, że musicie nawet jeść to samo co my, biedaczyska. Więc nie chcesz ze mną rozmawiać?

– Jestem... kapitan Horentz z Pierwszego Regimentu Ciężkich Dragonów. I nic więcej nie powiem.

Coś w tonie jego głosu szturchnęło Polly w mózg: On kłamie!

Jackrum przez chwilę przyglądał mu się obojętnie.

– No cóż... Wygląda, że mamy tu do czynienia z rozpieprzikiem, który to, moi drodzy młodzi Serożercy, definiowany jest jako przeszkoda na drodze postępu. I proponuję rozwiązać ten problem w należyty sposób.

Puścił jeńca, który upadł na plecy. Potem zdjął kurtkę mundurową, odsłaniając brudną koszulę i jaskrawoczerwone szelki. Poniżej szyi był prawie kulisty, fałdy skóry kołysały się w drodze do regionów równikowych. Nosi pas chyba tylko dlatego, że tego wymaga regulamin, pomyślała Polly.

Zdjął z szyi łańcuszek przeciągnięty przez otworek w zaśnieżonej monecie.

– Kapralu Scallot!

– Tak, sierżancie? – Scallot zasalutował.

– Zechcecie zauważyć, że właśnie pozbywam się insygniów i przekazuję mój oficjalny szyling. Ostatnim razem podpisałem kontrakt na dwanaście lat, a było to szesnaście lat temu, więc jestem teraz formalnie i oficjalnie piekielnym cywilem!

– Tak, panie Jackrum – przyznał kapral.

Jeńcy poruszyli się nerwowo na dźwięk tego nazwiska.

– A skoro tak właśnie jest i skoro wy, kapitanie, najeżdżacie mój kraj nocą, pod osłoną ciemności, to chyba żadne zasady nie bronią prostemu cywilowi tłuc was tak, aż się zeszacie na siedem sposobów, chyba że powiecie, po co przyjechaliście i kiedy zjawia się wasi kumple. To może trochę potrwać, bo jak dotąd odkryłem dopiero pięć sposobów srania.

Podwinął rękawy, znów chwycił kapitana i zamachnął się...

– Mielśmy tylko internować tych rekrutów – powiedział ktoś. – Nie chcieliśmy im robić krzywdy. A teraz zostaw go, Jackrum, niech cię demony! On ciągle ma gwiazdy przed oczami!

To mówił sierżant z gospody. Polly przyjrzała się pozostałym jeńcom. Chociaż obserwowali ich Maladict i Karborund, a Stukacz stała nad nimi z ponurą miną, było jasne, że pierwszy cios, jaki spadnie na kapitana, wywoła bunt... Bardzo się o niego troszcza, pomyślała. Aż dziwne...

Jackrum też musiał to zauważyć.

– No, teraz jesteście rozmowniejsi... – mruknął. Opuścił kapitana, ale wciąż trzymał go za klapy. – Pańscy ludzie dobrze o panu świadczą, kapitanie.

– Bo nie jesteście niewolnikami, przekłety burakojadzie! – warknął jeden z żołnierzy.

– Niewolnikami? Wszyscy moi chłopcy zaciągnęli się z wolnej i nieprzymuszonej woli, rzepogłowie!

– Może tak im się wydaje – odparł sierżant. – Bo ich okłamaliście. Okłamujecie ich od lat. I teraz wszyscy zginą przez te wasze głupie kłamstwa! Kłamstwa i tę głupią, wredną i kłamliwą dziwkę, waszą księżną.

– Szeregowy Goom, na miejsce! To rozkaz! Wracajcie na miejsce, mówię! Szeregowy Maladict, zabierzcie tę szablę szeregowemu Goom! To następny rozkaz! Sierżancie, każcie swoim ludziom powoli się wycofać! Powoli! Słowo honoru daję, nie jestem facetem skorym do przemocy, ale każdy, każdy, kto nie będzie posłuszny, na bogów, poczuje złamane żebro!

Jackrum wykrzyczał to w jednej eksplozji dźwięku, nie odrywając wzroku od kapitana. Reakcja, rozkaz i nieruchomość bez tchu zabrały ledwie kilka sekund. Polly przyglądała się uchwyconej nagle scenie, a jej mięśnie rozluźniały się powoli.

Złobeńscy żołnierze siadali. Wzniesiona maczuga Karborunda opadała wolno. Małą Łazer przyciskał do ziemi Maladict, który wyrwał jej z ręki broń. Tylko wampir mógł poruszać się szybciej niż Łazer, kiedy rzuciła się na jeńców.

– Internowanie... – rzekł Jackrum. – Zabawne słowo. Popatrzcie na moich chłopców, co? Żadnemu jeszcze nic na brodzie nie rośnie, oprócz trolla, ale mech się nie liczy. Mają mleko pod nosem. Co jest takiego niebezpiecznego w nieszkodliwej gromadzie wiejskich parobków, że zainteresowali taki świetny oddział poganiaczy koni?

– Czy ktos mógłby mi przytrzymać palcem ten fupeł? – odezwał się Igor znad swojego

zaimprovizowanego stołu operacyjnego. – Prawie skończyłem.

– Nieszkodliwych? – powtórzył sierżant, spoglądając na Łazer. – To banda wściekłych szaleńców!

– Chcę rozmawiać z waszym oficerem, do demona – oznajmił kapitan, który wydawał się bardziej przytomny. – Macie przecież oficera, co?

– Tak, gdzieś tu łązi, o ile sobie przypominam – odparł Jackrum. – Perks, sprowadź tu ruperta, dobrze? Ale najpierw ściągnij tę kieckę, co? Z rupertami nigdy nic nie wiadomo.

Ostrożnie usadził kapitana na ławie i wyprostował się.

– Karborund, Maladict, odrąbiecie kawałek każdemu jeńcowi, który się ruszy, i każdemu, kto spróbuje zaatakować jeńca – rzekł. – A teraz... no tak. Trzyczęściowy Scallot! Chcę się zaciągnąć do waszej wspaniałej armii, dającej wiele możliwości młodemu człowiekowi, któremu nie brakuje chęci.

– Służyliście już kiedy? – zapytał z uśmiechem Scallot.

– Czterdzieści lat walczyłem z każdym palantem w promieniu stu mil od Borogravii, kapralu.

– Jakies specjalne umiejętności?

– Zachowywanie życia, kapralu, choćby nie wiem co.

– W takim razie z radością wręczam wam tego szylinga i natychmiastowo awansuję do stopnia sierżanta – rzekł Scallot i oddał Jackrumowi kurtkę i monetę na łańcuszku. – Całusa dla Laluni?

– Nie w moim wieku. – Jackrum wciągnął kurtkę. – I gotowe. – Odetchnął. – Wszystko załatwione elegancko i legalnie. Perks, rusz się. Wydałem ci rozkaz.

Bluza chrapała. Jego świeca już się wypaliła.

Na kocu leżała otwarta książka; Polly delikatnie wyjęła mu ją spod palców. Tytuł, prawie niewidoczny na brudnej okładce, brzmiał „Tacticus: Kampanie”.

– Sir... – szepnęła.

Bluza otworzył oczy, zobaczył ją, a potem odwrócił się i zaczął gorączkowo szukać czegoś przy łóżku.

– Są tutaj, sir. – Polly wręczyła mu okulary.

– A, to ty, Perks. Dziękuję. Już północ, tak?

– Trochę po, sir.

– Ojej! To musimy się spieszyć! Szybko, podaj spodnie! Czy reszta dobrze się wyspała?

– Zaatakowali nas złobeńscy żołnierze, sir. Pierwszy Regiment Ciężkich Dragonów, sir. Wzięliśmy ich do niewoli. Żadnych strat, sir.

Bo się nie spodziewali, że będziemy walczyć. Chcieli wziąć nas żywcem. A trafili na Karborunda, Maladicta i... i na mnie.

Trudno, bardzo trudno było uderzyć tą pałką. A potem wstydziła się, że przyłapali ją w

halce, chociaż pod spodem miała spodnie. Wystarczyło jej pomyśleć, żeby przeskoczyć od chłopca do dziewczyny... Musiała się nad tym zastanowić. Musiała sobie przemyśleć wiele spraw. Ale podejrzewała, że czasu na myślenie raczej nie będzie.

Bluza wciąż siedział nieruchomo i gapił się na nią, ze spodniami w rękach.

– Możesz powtórzyć jeszcze raz, Perks? – powiedział. – Schwytałeś przeciwników?

– Nie tylko ja, sir. Ja załatwiłem dwóch. My wszyscy... wspólnie, sir.

– Ciężkich Dragonów?

– Tak, sir.

– To przecież osobisty regiment księcia! Zaczęli inwazję?

– Myślę, że to raczej patrol, sir. Siedmiu ludzi.

– I nikt z was nie jest ranny?

– Nie, sir.

– Podaj mi koszulę... A niech to!

Dopiero wtedy Polly spostrzegła bandaż na jego prawej dłoni. Był czerwony od krwi. Bluza zauważył jej minę.

– Takie drobne samookaleczenie, Perks – wyjaśnił nerwowo. – Po kolacji „odkurzałem” techniki szermiercze. Nic poważnego. Trochę „zardzewiałem”, rozumiesz. Nie bardzo sobie daję radę z guzikami. Gdybyś zechciał..

Polly pomogła mu włożyć resztę ubrania. Pozostałe rzeczy wrzuciła do worka. Konieczne są wyjątkowe umiejętności, uświadomiła sobie, by własnym mieczem skaleczyć się w rękę, która trzyma miecz...

– Powinienem zapłacić rachunek... – mruknął porucznik, kiedy zbiegali po ciemnych schodach.

– Niemożliwe, sir. Wszyscy uciekli, sir.

– To może zostawić im list? Jak myślisz? Nie chciałbym, żeby uważali, że „prysnąłem” bez...

Popchnęła go do drzwi.

– Oni wszyscy uciekli, sir – powtórzyła.

Zatrzymali się przed budynkiem koszar. Poprawiła mu kurtkę i spojrzała na twarz.

– Mył się pan wczoraj, sir?

– Nie było... – zaczął Bluza.

Reakcja była automatyczna. Polly, choć o piętnaście miesięcy młodsza, zbyt długo matkowała Paulowi.

– Chusteczkę! – zażądała.

A że pewne zachowania są wprogramowane do mózgu już we wczesnych latach życia, chusteczka została jej posłusznie wręczona.

– Poślinić! – nakazała Polly.

A potem wilgotną chustką starła mu plamkę z twarzy i robiąc to, uświadomiła sobie, że to

robi. Nie miała już odwrotu. Mogła tylko iść naprzód.

– No dobra – rzuciła szorstko. – Ma pan wszystko?

– Tak, Perks.

– A był pan rano w wygodce? – pytały jej usta, gdy mózg kulił się ze strachu przed sądem wojennym.

Jestem w szoku, myślała. I on także. Więc trzeba trzymać się tego, co wiem. Nie można się teraz cofnąć...

– Nie, Perks – odparł porucznik.

– No to zanim wsiądziemy na łódź, musi pan iść, jasne?

– Tak, Perks.

– To teraz niech pan idzie do żołnierzy. Dobry porucznik.

Oparła się o ścianę, kilka razy odetchnęła głęboko, po czym wsunęła się za Bluzą do środka.

– Oficer obecny! – warknął Jackrum.

Oddział, ustawiony już w szeregu, przyjął postawy w różnym stopniu zasadnicze.

Sierżant stanął przed Bluzą i zaszalutował energicznie, aż młody człowiek odchylił się do tyłu.

– Schwytałismy grupę rozpoznawczą przeciwnika, sir! Niebezpieczna historia, sir! Wobec kryzysowej natury obecnego kryzysu, jako że pozostał pan bez żadnego podoficera, sir, no bo kapral Strappi się gdzieś urwał, oraz widząc, że jestem doświadczonym żołnierzem w dobrej formie, ma pan prawo zwerbować mnie do służby z rezerwy, zgodnie z Regulaminem Księżnej, Norma 796, Rozdział 3 (a), paragraf ii, sir, dziękuję, sir!

– Co? – Bluza rozglądał się niepewnie i nagle zdał sobie sprawę, że w świecie pełnym chaosu istnieje czerwona kurtka, która najwyraźniej wie, co robi. – Aha. No tak. Norma 796, powiadacie? Absolutnie. Doskonale, sierżancie. Proszę kontynuować.

– Czy pan tutaj dowodzi?! – krzyknął Horentz, wstając.

– Rzeczywiście ja, kapitanie.

Horentz zmierzył go wzrokiem.

– Pan? – mruknął, a pogarda ściekała z każdej głoski tego słowa.

– Istotnie. – Bluza zmrużył oczy.

– No cóż, trzeba sobie radzić z tym, co mamy. Ten gruby drań... – Horentz oskarżycielsko wskazał palcem Jackruma. – Ten drań groził mi użyciem przemocy! Jeńcowi! W łańcuchach! A ten... chłopiec... – kapitan niemal splunął tym słowem w stronę Polly – kopnął mnie w części intymne i prawie zatłukł na śmierć! Żądam, żebyście nas wypuścili! Bluza zwrócił się do Polly.

– Czy kopnąłeś kapitana w „części intymne”, Fiuts?

– Eee... tak, sir. Właściwie to uderzyłem kolaniem, sir. I właściwie to Perks, ale rozumiem, skąd się wzięło to przejęzyczenie.

– A co on wtedy robił?

– No... obejmował mnie, sir. – Polly zobaczyła, jak Bluza unosi brwi, więc dodała pospiesznie: – Byłem chwilowo zamaskowany jako dziewczyna, sir, żeby odsunąć podejrzenia.

– A potem... go uderzyłeś?

– Tak, sir. Tylko raz, sir.

– Ale co cię opętało, na miłość Nuggana, że przerwałeś po jednym razie?

– Sir? – zdumiała się Polly.

Horentz syknął. Bluza odwrócił się z wyrazem niemal anielskiej rozkoszy na twarzy.

– A wy, sierżancie, czy rzeczywiście użyliście przemocy wobec kapitana?

Jackrum podszedł i zasalutował.

– Nie tak faktycznie w samej rzeczy per se jako takiej, sir. – Wpatrywał się w punkt jakieś dwanaście stóp od podłogi na przeciwległej ścianie. – Pomyślałem tylko, że skoro najechał na nasz kraj, sir, i chciał złapać naszych chłopców, to nie zaszkodzi, jeśli chwilowo doświadczy uczuć zagubienia i lęku, sir. Słowo honoru daję, sir, nie jestem facetem skorym do przemocy.

– Ależ oczywiście, że nie, sierżancie – zgodził się Bluza. W jego uśmiechu pojawił się cień złośliwej uciechy.

– Wielkie nieba, człowieku! Nie wierzysz chyba tym prymitywnym ćwokom! To męty...
– zaczął Horentz.

– Ależ wierzę im, naprawdę – przerwał mu Bluza, drżąc ze zdenerwowania. – Uwierzyłbym ich słowom przeciwko pańskiemu, sir, nawet gdyby mnie zapewniali, że niebo jest zielone. Wydaje mi się również, że choć są niewyszkoleni, dzięki sprytowi i odwadze pokonali najlepszych żołnierzy Zlobenii. Żywię głębokie przekonanie, że zaskoczą nas jeszcze wielokrotnie...

– Spuszczenie spodni powinno całkiem wystarczyć – szepnął Maladict.

– Zamknij się! – syknęła Polly i znowu musiała wcisnąć sobie pięść do ust.

– Znam pana, kapitanie Horentz – rzekł Bluza i na moment kapitan się zaniepokoił. – To znaczy znam takich jak pan. Musiałem ich znosić przez całe życie. Wielcy, rubaszni dręczyciele z mózgiem w spodniach! Ośmieliliście się wjechać konno do naszego kraju i sądzicie, że się was przestraszymy? Myśli pan, że może ze mną negocjować ponad głowami moich ludzi? Żąda pan czegoś? Na naszej ziemi?

– Kapitanie... – szepnął sierżant, gdy Horentz wpatrywał się w Bluzę z otwartymi ustami.
– Będą tu już niedługo...

– Aha... – mruknął niepewnie Horentz. A potem, z niejakim trudem, odzyskał panowanie nad sobą. – Posiłki już nadchodzą – warknął. – Uwolnij nas od razu, ty idioto, a może złożę cały ten incydent na karb narodowej głupoty. W przeciwnym razie postaram się, żeby dla ciebie i twoich... ha... ludzi sprawy ułożyły się bardzo, ale to bardzo niedobrze.

– Siedmiu kawalerzystów uznano za siłę niedostateczną, by sobie poradzić z wieśniakami? Pan się poci, kapitanie. Pan się martwi. Mimo że nadchodzą posiłki?

– Proszę o zgodę na wydanie poleceń, sir! – warknął Jackrum i od razu zaczął krzyczeć: – Serożercy! Uzbroić się natychmiast! Maladict, oddaj miecz szeregowemu Goomowi i życz mu szczęścia! Karborund, weź parę tych dwunastostopowych pik! Reszta...

– Mamy jeszcze to, sierżancie – wtrącił Maladict. – Zdjąłem je z siodeł naszych gości. Sporo tego jest.

Podniósł coś, co Polly uznała za duże kusze pistoletowe, metaliczne i gładkie.

– Kusze konnicy? – Jackrum miał minę jak dziecko, które w Noc Strzeżenia Wiedźm odpakuje prezent. – Takie rzeczy trafiają do człowieka za to, że żył uczciwie i w trzeźwości. Groźne małe maszynki, nie ma co. Weźcie po dwie.

– Nie chcę zbędnej przemocy, sierżancie – uprzedził Bluza.

– Jasna sprawa, sir! Karborund, pierwszego człowieka, który wpadnie przez te drzwi biegiem, przybij do ściany! – Pochwycił spojrzenie porucznika i dodał: – Ale nie za mocno.

...I rzeczywiście ktoś zastukał do drzwi.

Maladict wymierzył w nie dwie kusze. Karborund w każdej ręce wzniosł dwie piki. Polly zamachnęła się pałką – tą bronią umiała się posługiwać. Pozostali chłopcy i dziewczęta chwycili takie uzbrojenie, jakie Trzyczęściowy Scallot zdołał im zorganizować. Zapadła cisza. Polly rozejrzała się wokół.

– Proszę wejść... – zaproponowała.

– Tak, jasne, to powinno załatwić sprawę... – Jackrum przewrócił oczami.

Drzwi uchyliły się i do wnętrza wszedł ostrożnie niewysoki, elegancki mężczyzna. Budową ciała, cerą i fryzurą całkiem przypominał Mała...

– Wampir? – zdziwiła się Polly.

– Niech to... – mruknął Maladict.

Jednak odzież przybysza była dość niezwykła. Miał na sobie wieczorowy frak z odciętymi rękawami i wielką liczbą ponaszywanych wszędzie kieszeni. Przed sobą trzymał zawieszone na szyi duże czarne pudło. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi uśmiechnął się promiennie na widok kilkunastu sztuk broni gotowych do zadawania perforowanej śmierci.

– Cudownie – stwierdził, uniósł pudło i rozłożył pod nim trójnog. – Ale... czy ten troll mógłby zię przesunąć trochę v levo?

– Hę? – Karborund nie rozumiał.

Oddział spoglądał po sobie.

– Tak. I gdyby sierżant zechciał uprzejmie przejść bardziej do zentrum... i wznieść te miecze trochę wyżej... – ciągnął wampir. – Doskonale. Pan, sir, gdyby pan zrobił się bardziej grrh...

– Grrh? – powtórzył Bluza.

– Bardzo dobrze. Naprawdę dziko...

Zajaśniał oślepiający błysk, a po nim krótki okrzyk:

– Szła...

...i brzęk pękającego szkła.

Tam, gdzie przed chwilą stał wampir, wznosił się niewielki wzgórek pyłu. Mrugając ze zdziwienia, Polly widziała, jak wznosi się z niego chmura ludzkiego kształtu, która po chwili znów krzepnie w wampira.

– Oj, naprawdę żądzilem, że nowy filtr wystarczy... – powiedział. – Cóż, żyjemy, by się uczyć. Do rzeczy. Kto z was jest kapitanem Horentzem?

Pół godziny później Polly nadal była oszołomiona. Kłopot nie polegał na tym, że nie rozumiała, co się dzieje. Raczej na tym, że zanim będzie mogła zrozumieć, co się dzieje, musiała najpierw zrozumieć wiele innych spraw. Wśród nich była też koncepcja azety.

Bluza wydawał się na przemian dumny i zmartwiony, ale nerwowy przez cały czas. Polly obserwowała go uważnie, między innymi dlatego że rozmawiał z człowiekiem, który wszedł za ikonografikiem. Ten drugi miał na sobie obszerny skórzany płaszcz i bryczesy. Przez cały czas zapisywał wszystko w notesie, niekiedy tylko obrzucając oddział zdumionym wzrokiem. W końcu Maladict, który miał świetny słuch, porzucił swoje miejsce, gdzie stał oparty o ścianę, i podszedł do grupy rekrutów.

– No dobra – zaczął ścisłym głosem. – To trochę skomplikowane, ale... Ktoś z was słyszał o azetach?

– Ja. Mój kuzyn Igor z Ankh-Morpork mi o nich opowiadał – oświadczył Igor. – To jakby ogłoszenia rządowe.

– No... tak jakby. Tylko że nie pisze ich rząd. Piszą je zwykli ludzie, którzy zapisują różne rzeczy.

– Jak pamiętnik? – spytała Stukacz.

– No... nie.

Maladict zaczął tłumaczyć. Oddział próbował zrozumieć. I nadal nie miało to sensu. Polly przypominało to teatryki kukielkowe na jarmarkach. Ale dlaczego niby ktoś miałby wierzyć temu, co jest napisane? Przecież nie uwierzyła w list Matek Borogravianek, a ta ulotka pochodziła od rządu. Jeśli nie można ufać rządowi, to właściwie komu?

Praktycznie każdemu, jeśli się chwilę zastanowić.

– Pan de Worde pracuje dla azety w Ankh-Morpork – opowiadał Maladict. – Mówi, że przegrywamy. Mówi, że straty rosną, żołnierze dezertują, a wszyscy cywile uciekają w góry.

– D-dlaczego mamy mu wierzyć? – spytała gniewnie Łazer.

– No, widzieliśmy przecież straty i uciekinierów, a kapral Strappi zniknął gdzieś, jak tylko się dowiedział, że ma iść na front. Przykro mi, ale taka jest prawda. Widzieliśmy.

– No tak, ale to tylko jakiś człowiek z obcego kraju! Czemu księżna m-miałaby nas okłamywać? Znaczy, czemu posyłałaby nas tylko po to, żebyśmy zginęli? – dopytywała się

Łazer. – O-ona nad nami czuwa.

– Wszyscy mówią, że wygrywamy – przypomniała niepewnie Stukacz.

Łzy spływały Łazer po policzkach.

– Nie, wcale nie – sprzeciwiła się Polly. – I ja też tak nie uważam.

– A czy ktokolwiek uważa? – zainteresował się Maladict.

Polly przyjrzała się twarzom rekrutów.

– Ale mówić tak to jakby... jakby zdrada wobec księżnej, prawda? – odezwała się Łazer.

– To szerzenie Zwątpienia i Lęku...

– I może powinniśmy się zacząć lękać – zgodził się Maladict. – Wiecie, skąd on się tu wziął? Podróżuje wszędzie i pisze różne rzeczy o wojnie dla tej swojej azety z nowinami. Tych kawalerzystów spotkał na drodze. Powiedzieli mu, jak to słyszeli, że są tutaj zupełnie ostatni rekruci z Borogravii i że to tylko „banda płaczliwych chłopców”. Powiedzieli, że złapią nas dla naszego dobra, a on może zrobić nam obrazek i zamieścić w azecie. Wszyscy wtedy zobaczą, jak tu jest strasznie, bo wysyłamy do walki już ostatnie rezerwy.

– Tak, ale ich pobiliśmy i to go załatwiło – stwierdziła Stukacz z nieprzyjemnym uśmiechem. – Nie ma już czego zapisywać, prawda?

– Hm... niezupełnie. On mówi, że to będzie nawet lepsze!

– Lepsze? Po czyjej on jest stronie?

– To naprawdę trudno pojąć. Przybył z Ankh-Morpork, ale nie całkiem ich popiera. Otto Chriek, który robi dla niego obrazki...

– Ten wampir? Rozsypał się na proszek, kiedy błysnęło światło! A potem... wrócił.

– Ja wtedy stałem akurat za Karborundem – przypomniał Maladict. – Ale znam tę metodę. Prawdopodobnie nosi fiolkę z cienkiego szkła, napelnioną k... kr... kretynie, przecież umiesz to powiedzieć... krwią. – Odetchnął. – Udało się. Żaden problem. Fiolka k... tego, o czym mówiłem... rozbija się o ziemię i ściąga ten pył do poprzedniej formy. – Maladict uśmiechnął się blade. – Wydaje się, że jemu naprawdę zależy na tym, co robi. W każdym razie powiedział, że de Worde stara się dojść do prawdy. Potem ją zapisuje i sprzedaje każdemu, kto chce kupić.

– I pozwalają mu na to? – zdziwiła się Polly.

– Najwyraźniej. Otto mówił, że przynajmniej raz w tygodniu doprowadzają komendanta Vimesa do wściekłości, ale nic z tego nie wynika.

– Vimesa? Rzeźnika? – upewniła się.

– Jest diukiem. Tak twierdzi Otto. Ale nie takim jak nasi. I mówi, że jeszcze nigdy nie widział, by Vimes kogoś zarznął. Otto jest czarnowstążkowcem, jak ja. Nie okłamałby kolegi ze wstążką. I jeszcze powiedział, że ten obrazek, który zrobił, jeszcze dziś wieczorem prześle sekarem z najbliższej wieży. Jutro umieszczą go w tej azecie. I wydrukują kopię tutaj.

– Można wysłać sekarem obraz? – zdziwiła się Polly. – Znam ludzi, którzy widzieli te sekary. To po prostu mnóstwo skrzynek na wieży. I te skrzynki stukają.

– Otto też mi to wytłumaczył. Bardzo pomysłowe.

– No więc jak działają?

– Och, nie rozumiałem, co mówił. Chodziło o... o liczby. Ale brzmiało bardzo mądrze. W każdym razie de Worde zapewnił poru... ruperta, że wiadomość o zgrai chłopców, która pobiła doświadczonych żołnierzy, na pewno zwróci uwagę i sprawi, że ludzie się zastanowią.

Rekruci spojrzeli po sobie z zakłopotaniem.

– To był szczęśliwy traf, a poza tym mieliśmy Karborunda – przypomniała Stukacz.

– A ja użyłem oszustwa – dodała Polly. – Wiecie, nie mógłbym tego zrobić po raz drugi.

– Co z tego? – zdziwił się Maladict. – Zrobiliśmy to. Oddział to zrobił. Następnym razem weźmiemy się do sprawy inaczej.

– Tak jest! – zawołała Stukacz.

Nastąpił moment wspólnej euforii, w którym oddział był zdolny do wszystkiego. Trwało to... moment.

– Ale to się nie uda – oświadczyła Kukula. – Mieliśmy szczęście. Wiesz, że nam się nie uda, Maladict! Wszyscy wiecie, prawda?

– Przecież nie twierdzę, że możemy się rozprawić, no wiecie, z całym regimentem naraz. A poru... rupert trochę jest zielony. Ale możemy zrobić swoje. Stary Jackrum wie, co robi...

– Słowo honoru daję, nie jestem facetem skorym do przemocy... a niech to! – zachnęła się Stukacz i rozległy się... chichoty, Polly wiedziała, że to chichoty.

– Nie jesteś – stwierdziła spokojnie Kukula. – Żadna z nas nie jest. Bo jesteśmy dziewczętami.

Zapadła martwa cisza.

– No, może nie Karborund ani Ozzer, zgoda – ciągnęła Kukula, jakby cisza wysysała z niej oporne słowa. – I nie jestem pewna co do Maladicta i Igora. Ale wiem, kim są pozostałe, jasne? Mam oczy. Mam uszy. I mam mózg! Zgadza się?

W ciszy zabrzmiał cichy grzmot, który poprzedzał wypowiedzi Karborunda.

– Jeśli to pomoże... – powiedział głosem raczej sypkim niż zgrzytliwym – to naprawdę mam na imię Nefryt.

Polly czuła na sobie wzrok zaciekawionych oczu. Była zakłopotana, oczywiście. Ale nie z tych oczywistych powodów. Chodziło o coś innego – o tę lekcję, którą życie czasem wbija kijem do głowy: nie ty jedna obserwujesz świat. Inni ludzie to ludzie; kiedy ty się im przyglądasz, oni przyglądają się tobie; myślą o tobie, kiedy ty o nich myślisz. Świat nie wiruje wokół ciebie!

Nie istniała możliwość, by się z tego wykręcić. I w pewnym sensie przyjęła to z ulgą.

– Polly – powiedziała niemal szeptem.

Spojrzała pytająco na Maladicta, który uśmiechnął się zdecydowanie wymijająco.

– Czy to jest właściwa pora? – spytał.

– No dobra, wszyscy, czego tak stoicie! – huknął Jackrum sześć cali od karku Maladicta.

Nikt nie zauważył, skąd się tam pojawił. Poruszał się z podoficerską bezszelestnością, która czasami zadziwia nawet Igory. Uśmiech Maladicta nawet nie drgnął.

– Ależ czekamy na pańskie rozkazy, sierżancie – oświadczył wampir, odwracając głowę.

– Myślisz, że jesteś sprytny, Maladict?

– Hm... Owszem, sierżancie, całkiem sprytny – przyznał wampir.

W uśmiechu Jackrurna nie było radości.

– Dobrze. Miło mi to słyszeć. Nie chcę tu kolejnego głupiego kaprała. Tak, wiem, że nie jesteś jeszcze nawet porządnym szeregowcem, ale ku chwale matczyzny zostajesz kapralem, bo potrzebny mi kapral, a ty najlepiej się ubierasz. Niech Trzyczęściowiec znajdzie ci jakieś paski. Co do reszty... To nie jest spotkanie zapłakanych matek, za pięć minut wymarsz, ruszać się!

– Ale jeńcy, sierżancie... – zaczęła Polly, wciąż usiłując jakoś przetrwać sensacyjne wiadomości.

– Zawlecemy ich do gospody i zostawimy, związanych na goło i skutych razem – wyjaśnił rupert. – Zawzięty drań z naszego rupert, kiedy już się wścieknie, co? A Trzyczęściowiec dostanie ich buty i konie. Przez jakiś czas nigdzie daleko się nie wybiorą, nie na goło.

– Ale czy ten zapisujący typ nie pomoże im się wydostać? – upewniła się Stukacz.

– Nie obchodzi mnie to. Pewnie mógłby porozcinać sznury, ale klucz do kajdan wrzucę do wychodka, a trzeba sporo czasu, żeby go wyłowić.

– Po czyjej stronie on stoi, sierżancie? – spytała Polly.

– Nie wiem. Ale im nie ufam. Nie zwracajcie na nich uwagi. Nie rozmawiajcie z nimi. Nigdy nie rozmawiajcie z ludźmi, którzy coś piszą. Stara wojskowa zasada. A teraz... Wiem, że wydałem wam rozkaz, bo słyszałem echo... No to do roboty! Wynosimy się stąd!

– Droga do zatracenia, chłopcze, taki awans... – oświadczył Maladictowi Scallot, machając dwoma paskami na haku. Uśmiechał się szeroko. – Od teraz należą ci się trzy pensy dziennie dodatku, tylko że ich nie dostaniesz, bo nie płacą. Ale spójrz z lepszej strony – nie będą ci ciąć żołdu, a bardzo to lubią... Myślę sobie, że jak będziesz maszerował tyłem, kieszenie same ci się przepełnią.

Deszcz przestał padać. Większa część oddziału wyszła już na plac, gdzie stał teraz nieduży zakryty wóz pisarza azetowych nowin. Z wozu sterczał maszt z umocowaną flagą, ale w blasku księżyca Polly nie mogła rozpoznać wzoru. Obok wozu Maladict rozmawiał o czymś z Ottonem.

Uwagę zwracał jednak przede wszystkim rząd kawaleryjskich koni. Jednego zaproponowali Bluzie, ale z wystraszoną miną machnął tylko ręką i wymruczał coś o lojalności wobec dawnego wierzchowca – który, zdaniem Polly, wyglądał jak stojak na talerze z własnym napędem i z charakterem. Jednak porucznik podjął chyba właściwą decyzję, ponieważ konie Złobeńców były wielkimi bestiami o szerokich grzbietach i

błyszczących ślepiach, wyszkolonymi do bitwy. Dosiadanie takiego mogłoby Bluzie rozpruć spodnie w kroku, a próba ściągnięcia wodzów pewnie wyrwałaby mu ręce ze stawów. W tej chwili przy siodle każdego konia wisiała para butów – wszystkich z wyjątkiem pierwszego, wspaniałego zwierzęcia, na którym niczym spóźniona refleksja siedział kapral Scallot.

– Wiesz, nie jestem poganiaczem osłów – powiedział Jackrum, gdy zamocował już przy siodle kule kaprała. – Ale znalazłeś sobie wściekle dobrego zwierzęcia, Trzyczęściowiec.

– Święta racja, sierżancie. Można takim przez tydzień wykarmić cały pluton.

– Na pewno nie chcesz iść z nami? Jestem pewien, że zostały ci jeszcze jeden czy dwa kawałki, które ci dranie mogliby uciąć.

– Dzięki za ofertę, sierżancie, ale już niedługo szybkie konie będą prawdziwym przebojem, a ja jestem przygotowany na wzrost popytu. Te tutaj warte są trzyletniego żołdu. – Odwrócił się w siodle i skinął oddziałowi. – Powodzenia, chłopaki. Codziennie będziecie maszerować razem ze Śmiercią, ale ja go widziałem i wiem, że lubi czasem mrugnąć. I pamiętajcie, nalejcie zupy do butów!

Popędził konia do truchtu i zniknął w mroku razem ze swoją zdobyczą.

Jackrum obserwował go, jak odjeżdża, potem potrząsnął głową i zwrócił się do rekrutów.

– No dobra, panienki... Co w tym takiego śmiesznego, szeregowy Halter?

– Eee... Nic takiego, sierżancie! Ja tylko... o czymś pomyślałem – tłumaczyła Stukacz, krztusząc się ze śmiechu.

– Nie płacą wam za myślenie o czymś, tylko za maszerowanie! Ruszać się!

Oddział odmaszerował. Deszcz w końcu ustał zupełnie, ale wiatr wzmógł się nieco, trząsał oknami, dmuchał przez opuszczone domy, otwierał i zamykał drzwi jak ktoś szukający czegoś, co – mógłby przysiąc – przed chwilą tu położył. Nic więcej w Plotzu się nie poruszało – jeśli nie liczyć jednego płomyka świecy tuż nad podłogą w małym pokoiku na tyłach koszar.

Świeca była przechylona tak, że opierała się o bawełnianą nić zawiązaną między nogami stołka. Kiedy świeca się skróci, przepali nitkę i upadnie na podłogę, na nierówną ścieżkę słomy prowadzącą do stosu sienników, na których ustawiono dwie stare puszkę oliwy do lamp.

W tę wilgotną, ponurą noc zajęło to całą godzinę, ale kiedy nastąpiło, wszystkie okna wypadły na zewnątrz.

Dzień jutrzejszy wschodził nad Borogravią jak wielka ryba. Gołąb wystartował nad lasem, skręcił lekko i pomknął wprost do doliny Kneck. Nawet z tego miejsca widoczny był czarny, kamienny masyw twierdzy wyrastający ponad morzem drzew. Gołąb pędził przed siebie, iskra celowości w świeżym, czystym poranku... i zaskrzeczał, kiedy z nieba spadła ciemność i pochwyciła go w stalowe szpony. Myszołów i gołąb szarpali się przez chwilę, potem myszołów zyskał nieco wysokości i poszybował dalej.

Gołąb myślał: 000000000! Gdyby jednak potrafił myśleć bardziej logicznie i gdyby

wiedział cokolwiek o tym, jak ptaki drapieżne chwytają gołębie², mógłby się zastanowić, czemu złapano go tak... delikatnie. Był tylko przytrzymywany, nie ściskany. On jednak potrafił myśleć tylko: 000000000!

Myszołów wleciał w dolinę i zaczął krążyć nisko nad twierdzą. Wtedy właśnie niewielka figurka odpięła się od skórzanej uprząży na jego grzbiecie, po czym z wielką ostrożnością przesunęła się wokół ciała do szponów. Dotarła do uwięzionego gołębia, uklękła na nim i objęła ramionami za szyję. Myszołów przemknął nisko nad kamiennym parapetem, wzniosł się ostro i wypuścił gołębia. Ptak i małeńki człowieczek w chmurze piór potoczyli się, podskakując na kamieniach. Wreszcie znieruchomieli.

Po chwili spod gołębia odezwał się głos:

– Niech to...

Po kamieniach zatupały szybkie kroki i coś zdjęło ptaka z kaprała Buggy'ego Swiresa. Był gnomem wzrostu zaledwie sześciu cali. Z drugiej strony, jako dowódca i jedyny członek Sekcji Lotniczej Straży Miejskiej Ankh-Morpork, większość czasu spędzał tak wysoko, że jemu wszyscy wydawali się mali.

– Dobrze się czujesz, Buggy? – upewnił się komendant Vimes.

– Całkiem nieźle, sir. – Buggy wypuścił piórko. – Ale to nie było eleganckie, prawda? Następnym razem bardziej się postaram. Kłopot w tym, że gołębie są za głupie, żeby nimi sterować...

– Co masz dla mnie?

– „Puls” posłał to ze swojego wozu, sir! Śledziłem od samego początku!

– Świetnie, Buggy!

Zatrzepotały skrzydła i na blankach wylądował myszołów.

– A ten... jak ma na imię? – zapytał Vimes.

Myszołów rzucił mu obłąkane, nieobecne spojrzenie wszystkich ptaków.

– To Morag, sir. Szkolona przez piktale. Cudowny ptak.

– Za nią zapłaciliśmy skrzynkę whisky?

– Tak, sir, ale warta jest każdej kropelki.

Gołąb poruszył się w dłoni Vimesa.

– Zaczekaj tu, Buggy. Powiem Regowi, żeby przyniósł kawałek surowego królika – rzucił komendant i wrócił do wieży.

Sierżant Angua czekała przy jego biurku, czytając „Żyjący Testament Nuggana”.

– To gołąb pocztowy, sir? – zapytała, kiedy Vimes usiadł.

– Nie. Potrzymaj go chwilę, dobrze? Chcę zajrzeć do kapsuły z wiadomością.

– Wygląda całkiem jak gołąb pocztowy – uznała Angua, odkładając książkę na bok.

– Ale przecież wiadomości szybujące w powietrzu są Obrzydliwością dla Nuggana –

² Trzeba jednak uwzględnić fakt, że wszystkie gołębie, które wiedzą, jak chwytają ptaki drapieżne, są martwe, a zatem jeszcze mniej zdolne do myślenia niż żywe gołębie.

odparł Vimes. – Najwyraźniej modlitwy wiernych się od nich odbijają. Nie, złapałem chyba czyjegós zgubionego ulubieńca i zaglądam teraz do tej rurki, żeby sprawdzić, czy nie znajdę tam nazwiska i adresu właściciela, ponieważ jestem człowiekiem uprzejmym.

– Czyli w rzeczywistości wcale pan nie przejmuję raportów terenowych „Pulsu”? – uśmiechnęła się Angua.

– Nie w ścisłym sensie, skąd. Jestem tak gorliwym czytelnikiem, że chciałbym już dzisiaj poznać jutrzejsze nowiny. A pan de Worde ma wyraźnie talent odkrywania różnych rzeczy. Anguo, chcę powstrzymać tych niemądrych ludzi od wojny, dzięki czemu wszyscy będziemy mogli wrócić do domu, a jeśli w tym celu muszę czasem pozwolić, żeby jakiś gołąb narobił mi na biurko, niech tak będzie.

– Och, przepraszam, sir. Nie zauważyłam. Mam nadzieję, że da się to zetrzeć.

– Idź, przekaz Regowi, żeby znalazł kawałek królika dla myszołowa, co?

Kiedy wyszła, ostrożnie odkręcił koniec rurki i wyjął rulonik bardzo cienkiego papieru. Rozwinął go, wygładził i przeczytał drobnutkie pismo. Uśmiechał się przy tym. Potem odwrócił papier i przyjrzał się obrazkowi.

Ciągle patrzył, kiedy wróciła Angua z Regiem i połówką wiadra smakowitych kawałków królika.

– Coś ciekawego, sir? – spytała Angua.

– Owszem, tak. Można tak powiedzieć. Wszystkie plany zmienione, wszystkie zakłady odwołane. Ha! Och, panie de Worde, nieszczęsny durniu...

Wręczył jej karteczkę. Przeczytała uważnie.

– Dobrze im tak, sir – rzekła. – Większość z nich wygląda na piętnastolatków, a kiedy się zobaczy, jak wielcy są ci dragoni, robi to wrażenie...

– Tak, tak, można tak powiedzieć, z pewnością można... – Vimes promieniał, jakby szykował jakiś dowcip. – Kiedy de Worde tu przyjechał, rozmawiał z kimś ze złobeńskiej arystokracji?

– Nie, sir. Jak rozumiem, nie został dopuszczony. Oni tu nie do końca rozumieją, kim jest reporter, więc adiutant odesłał go i powiedział, że przeszkadza.

– Och jej, co za biedak... – Vimes wciąż się uśmiechał. – Przedwczoraj poznałeś księcia Heinricha. Możesz mi go opisać?

Angua odchrząknęła.

– No więc, sir, był duży i zielony, z odcieniem błękitu, błyski *grllss* i nuta...

– Chodziło mi o to, żebyś go opisała, jakbym nie był wilkołakiem, który patrzy nosem.

– Rozumiem. Przepraszam, sir. Sześć stóp dwa cale wzrostu, jakieś sto osiemdziesiąt funtów, jasne włosy, zielononiebieskie oczy, blizna po cięciu szablą na lewym policzku, nosi monokl na prawym oku, nawoskowane wąsy...

– Dobrze. Celne obserwacje. A teraz obejrzyj sobie kapitana Horentza na obrazku.

Obejrzała.

– O rany... – powiedziała cicho. – Nie wiedzieli?

– On przecież nie miał zamiaru im mówić, prawda? Mogli widzieć jakiś obrazek?

Angua wzruszyła ramionami.

– Wątpię, sir. No bo właściwie gdzie by go mogli zobaczyć? Nie było tu żadnej prasy, dopóki w zeszłym tygodniu nie pojawił się wóz z „Pulsem”.

– Może jakiś drzeworyt?

– Nie, to Obrzydliwość, chyba że przedstawia księżną.

– Czyli rzeczywiście nie wiedzieli. A de Worde go wcześniej nie poznał. – Vimes zastanowił się. – Ale ty go widziałaś, kiedy przybyliśmy tutaj przedwczoraj. Powiedz, co o nim myślisz? Tak między nami.

– Arogancki dupek, sir. I wiem, o czym mówię. To taki gość, który święcie wierzy, że wie, czego pragnie kobieta. Jego pragnie. Bardzo przyjazny, dopóki nie usłyszysz „nie”.

– Głupi?

– Nie sądzę. Ale nie aż taki sprytny, za jakiego się uważa.

– Słusznie. Ponieważ nie podał naszemu piszącemu przyjacielowi swojego prawdziwego nazwiska. Czytałaś dopisek na końcu?

Angua przeczytała:

– „Perry, kiedy rekruci już odeszli, kapitan groził mi i przekonywał. Niestety, nie miałem czasu, żeby wyłowić z wychodka klucz do łańcuchów. Proszę, jak najszybciej daj księciu znać, gdzie oni są. WdW”. – Zastanowiła się. – Wygląda na to, że u Williama też nie wzbudził sympatii. Ciekawe, po co księżę wyjechał z tym oddziałem zwiadu.

– Mówiłaś, że jest aroganckim dupkiem. Może chciał tylko przeskoczyć granicę i sprawdzić, czy cioteczka jeszcze dycha...

Zamilkł. Angua spojrzała na jego twarz – patrzył poprzez nią. Znała swojego szefa. Uważał, że wojna to tylko kolejne przestępstwo, jak zabójstwo. Niespecjalnie lubił ludzi z tytułami, a swojego „diuka” uznawał raczej za określenie stanowiska służbowego niż tytuł od wielkości. Miał dziwaczne poczucie humoru. I umiał wyczuwać to, co w myślach nazywała zwiastunami – te drobne słomki w powietrzu, które mówią, że nadchodzi burza.

– Na golasa – zachichotał. – Mogli im poderżnąć gardła. Nie poderżnęli. Zabrali im buty i zostawili, żeby na golasa kuśtykali do domu.

Wydawało się, że oddział zyskał sobie przyjaciela.

Czekała.

– Żal mi tych Borogravian – powiedział.

– Mnie też, sir – zgodziła się Angua.

– Tak? A dlaczego?

– Religia się im zepsuła, sir. Widział pan ostatnie Obrzydłości? Na liście pojawił się zapach buraków i ludzie z rudymi włosami. Dość drżącym charakterem pisma, sir. A buraki są tu podstawą wyżywienia. Trzy lata temu było Obrzydliwe, by hodować rośliny korzeniowe

w ziemi, która rodziła ziarno albo strąki.

Vimes patrzył tępo, a ona przypominała sobie, że to chłopak z miasta.

– To oznacza praktycznie brak rotacji plonów, sir – wyjaśniła. – Grunt się wyjaławia. Miał pan rację, wpadają w obłęd. Te... te przykazania są obłąkane i każdy farmer to widzi. Wyobrażam sobie, że ludzie przestrzegają ich, dopóki mogą, ale wcześniej czy później muszą albo je złamać i żyć z wyrzutami sumienia, albo trwać przy nich i cierpieć. Bez żadnego powodu, sir. Rozejrzałam się trochę. Ludzie tu byli kiedyś bardzo religijni, ale bóg ich zawiodł. Nic dziwnego, że modlą się głównie do członków królewskiego rodu.

Komendant przez chwilę wpatrywał się w gołębią pocztę.

– Jak daleko stąd do Plotzu? – zapytał w końcu.

– Jakies pięćdziesiąt mil. Dla wilka to około sześciu godzin biegu.

– Dobrze. Buggy będzie cię miał na oku. Nasz mały Henio musi poskakać do domu. Albo spotka swój patrol, albo patrol przeciwnika... wszystko jedno. Ale sprawa się wysypie, kiedy wszyscy zobaczą obrazek. Założę się, że de Worde by mu odpuścił, gdyby Henio był uprzejmy i grzeczny. To go nauczy, by nie stawać na drodze straszliwej maszyny wolnej i uczciwej prasy, cha, cha. – Wyprostował się i zatarł ręce jak człowiek, który przystępuje do pracy. – A teraz wypuśćmy tego gołębia w dalszą drogę, zanim ktoś zauważy, że zniknął. Niech Reg poczłapie tam, gdzie zatrzymali się ludzie z „Pulsu”, i niech im powie, że gołąb wleciał do niewłaściwego okna. Znowu.

To były przyjemne chwile, jak je zapamiętała Polly.

Nie zeszli nawet na nabrzeże. Z daleka było widać, że nie ma tam łodzi – nie zjawili się na czas i przewoźnik odpłynął bez nich. Przekroczyli więc most i ruszyli do lasu. Prowadził Bluza na swoim wiekowym koniu. Maladict maszerował pierwszy, Kar... Nefryt zamykała szczyk. Z wampirem na czele nie potrzebowali światła, a troll na tyłach z pewnością zniechęcał wszystkich maruderów.

Nikt nawet nie wspomniął o łodzi. Nikt w ogóle się nie odzywał. Chodziło o to... chodziło o to, jak uświadomiła sobie Polly, że nie maszerowali już każdy osobno. Dzielił wspólny sekret. To przynosiło ulgę i w tej chwili rozmowy o tym wydawały się zbędne. Mimo wszystko warto chyba było podtrzymywać zwykłą częstotliwość pierdnieć, beknieć, dłubania w nosie i drapania się w krocze, na wszelki wypadek.

Polly nie wiedziała, czy powinna być dumna z tego, że brały ją za chłopca. No owszem, myślała, ciężko pracowałam, żeby wszystko dobrze ustawić. Opanowałam sposób chodzenia, tyle że naprawdę chyba tylko go opanowałam, cha, cha, wymyśliłam to fałszywe golenie, o którym one nawet nie pomyślały, od wielu dni nie czyściłam paznokci i nie ukrywam, że w beknięciach mogę startować z najlepszymi. Czyli naprawdę się starałam. Ale to jednak trochę irytujące, że tak dobrze mi się udało...

Po kilku godzinach, kiedy wstawał już dzień, wyczuli dym. Wśród drzew unosił się błąd

obłok. Porucznik Bluza zatrzymał ich, unosząc rękę, a sierżant Jackrum podeszedł do niego i zaczęli coś szeptać.

Polly wystąpiła z szyku.

– Proszę o zgodę na dołączenie do szeptów, sierżancie... Chyba wiem, co to takiego.

Jackrum i Bluza przyjrzeni się jej z uwagą. A potem sierżant powiedział:

– W porządku, Perks. Idź i sprawdź, czy masz rację.

Coś takiego nie przyszło Polly do głowy, ale przecież sama się wystawiła. Sierżant złągodniał, kiedy zobaczył jej minę. Skinął na Maladicta.

– Idźcie z nim, kapralu.

Ostrożnie ruszyli naprzód przez stosy niedawno opadłych liści. Dym był ciężki, mocno pachnący, a przede wszystkim budzący wspomnienia. Polly zmierzała w stronę, gdzie gęste poszycie korzystało z dodatkowego światła na polanie. Przecisnęła się przez leszczynowy zagajnik. Dym był tu gęściejszy i prawie nieruchomy.

Gąszcz urywał się nagle. Kilka sążni dalej, na sporej polance, podobny do małego wulkanu kopiec wyrzucał w powietrze ogień i dym.

– To kopiec do węgla drzewnego – szepnęła Polly. – Stos leszczyny oblepiony gliną. Powinien się żarzyć przez wiele dni. Wiatr pewnie zniszczył go wczoraj i rozdmuchał ogień. Teraz już nie będzie dobrego węgla. Za szybko się pali.

Okrążyli kopiec, trzymając się linii krzaków. Na polanie sterczało więcej glinianych kopuł, a nad wierzchołkami unosiły się smużki dymu i pary. Zauważyli kilka kopców w trakcie budowy i świeżą glinę zebraną przy wiązkach leszczynowych gałęzi. Była też chata. Chata, kopuły i nic więcej.

– Smolarz jest chyba martwy albo prawie martwy – uznała Polly.

– Nie żyje – stwierdził Maladict. – Unosi się tu zapach śmierci.

– Możesz go wyczuć mimo dymu?

– Pewnie. Na niektóre rzeczy jesteśmy bardzo wyczuleni. Ale skąd ty wiedziałas?

– Oni krążą wokół tych pieców jak jastrzębie. – Polly spoglądała na chatę. – Gdyby żył, nie dopuściłby, żeby ogień tak się rozpałił. Jest w chacie?

– Są w chacie – odparł spokojnie Maladict.

I ruszył przez zadymioną polanę.

Polly pobiegła za nim.

– Mężczyzna i kobieta? – spytała. – Ich żony często mieszkają...

– Nie umiem poznać, jeśli są starzy.

Chata była właściwie szalaszem zbudowanym ze splecionych gałęzi leszczyny i przykrytym derką – węglarze często się przemieszczali od zagajnika do zagajnika. Nie miała okien, tylko otwór wejściowy ze szmatą zamiast drzwi. Tę szmatę ktoś szarpnął na bok; wewnątrz panowała ciemność.

Muszę się zachowywać jak mężczyzna, myślała Polly.

Kobieta leżała na łóżku, mężczyzna na podłodze. Były też inne szczegóły, które oko widziało, ale mózg nie chciał rejestrować. I wszędzie dużo krwi.

Ta para była już stara. Nie zestarzeje się bardziej.

Znowu na zewnątrz, Polly gwałtownie wciągała powietrze.

– Myślisz, że to ci kawalerzyści? – zapytała i zauważyła, że Maladict cały się trzęsie. – Och... to ta krew... – odgadła.

– Dam sobie z tym radę, jasne? Nic mi nie grozi. Muszę się tylko skoncentrować. – Oparł się o ścianę chaty i odetchnął kilka razy. – Już dobrze – zapewnił. – Nie czuję tu koni. Czemu nie skorzystasz z oczu? Po deszczu mamy wszędzie mięle, miękkie błoto, a na nim żadnych odcisków kopyt. Za to mnóstwo śladów stóp. My to zrobiliśmy.

– Nie bądź głupi, my przecież...

Wampir schylił się i podniósł coś spomiędzy opadłych liści. Startł kciukiem błoto... Była to mosiężna blaszka z wytłoczonym znakiem Płonącego Sera – symbolem Piersi i Tyłków.

– Ale... myślałam, że jesteśmy tymi dobrymi facetami – powiedziała słabym głosem Polly. – To znaczy, gdybyśmy były facetami.

– A ja myślę, że muszę się napić kawy – oznajmił Maladict.

– Dezerterzy – stwierdził dziesięć minut później sierżant Jackrum. – To się zdarza.

Rzucił odznakę do ognia.

– Ale oni byli po naszej stronie! – zawołała Kukula.

– I co z tego? Nie każdy jest takim grzecznym dżentelmenem jak ty, szeregowy Manickle. Zwłaszcza po paru latach unikania strzał i jedzenia szurzego skubbo. Kiedy cofaliśmy się spod Khruska, przez trzy dni nie miałem wody, a potem upadłem na twarz w kałużę końskich sików, która to okoliczność nie wzbudziła we mnie przyjaznych uczuć wobec bliźniego ani konia. Coś się stało, kapralu?

Maladict na kolanach przeszukiwał plecak.

– Moja kawa zginęła, sierżancie.

– Czyli nie zapakowaliście jej porządnie – odparł bez współczucia sierżant.

– Zapakowałem, sierżancie! Wypłukałem maszynkę i zapakowałem razem z woreczkiem ziaren. Wczoraj, zaraz po kolacji. Wiem, że tak. Kawę zawsze zawijam bardzo starannie!

– No, jeżeli zawiął kto inny, to pożałuje, że się urodziłem – warknął Jackrum i spojrzał groźnie na pozostałych. – Ktoś jeszcze coś stracił?

– Eee... Nie chciałem nic mówić, bo nie byłem pewien – odezwała się Kukula – ale ktoś chyba grzebał w moim plecaku.

– No, no... – mruknął Jackrum. – Coś podobnego... Dobrze, powiem to tylko raz, chłopcy. Za okradanie kumpli trafia się na gałąź, rozumiano? Nic szybciej nie podkopyje morale niż ośliszy pętał, który czegoś szuka w cudzych plecakach. I jeśli odkryję, że ktoś z was tego próbował, to pobuja obcasami! – Rzucił im groźne spojrzenie. – Nie będę wymagał, żebyście

teraz opróżnili plecaki, jak od przestępców. Ale lepiej sprawdźcie, czy komuś czegoś nie brakuje. Oczywiście któryś z was mógł zapakować coś nie swojego przypadkiem, jasna sprawa. Szybko się zwijaliśmy, światło było marne, łatwo się pomylić. W takiej sytuacji załatwcie tę sprawę między sobą, zrozumiano? A teraz idę się ogolić. Porucznik Bluza zajął się drobnym rzyganiem za chatą po obejrzeniu trupów. Biedaczysko...

Polly nerwowo przeszukiwała plecak. Nocą wrzucała wszystko w pośpiechu, ale to, czego teraz gorączkowo szukała, było...

...nie tutaj. Zadrżała mimo żaru z węglowych kopców.

Zginęły jej loki. Nerwowo usiłowała sobie przypomnieć zdarzenia wczorajszego wieczoru. Kiedy tylko znaleźli się w koszarach, zrzucili plecaki. Ale Maladict zaparzył sobie kawę po kolacji. Wymył i wytarł ten swój aparat...

Rozległ się cichy pisk. Łazer, wśród rozłożonej dookoła skromnej zawartości plecaka, trzymała w rękach maszynkę do kawy. Zdeptana prawie na płasko.

Umysł Polly zaczął pracować szybciej, niczym młyńskie koło w czasie powodzi. Potem wszyscy przenieśli swoje rzeczy do sali na tyłach, tej z siennikami. I nadal tam były, kiedy oddział walczył z kawalerzystami...

– Och, Łaz... – szepnęła Kukula. – Ojej...

Więc kto mógł się zakraść tylnymi drzwiami? Dookoła nie było nikogo oprócz oddziału i kawalerzystów. A może ktoś chciał sobie obejrzeć bagaże, a przy okazji narobić kłopotów...

– Strappi! – powiedziała głośno. – To musiał być on. Ten szczur spotkał konnych, a potem wrócił, żeby popatrzeć. I jak nic... znaczy, jak demony, to on grzebał w naszych plecakach w sypialni. No co wy? – dodała, kiedy wszyscy przyglądali się jej zdziwieni. – Naprawdę sobie wyobrażacie, że Łazer mogłaby coś komuś ukraść? A zresztą kiedy miała okazję?

– Ale nie wzięliby go do niewoli? – spytała Stukacz, patrząc na zmiażdżony aparat w drżących dłoniach Łazer.

– Wystarczyłoby mu rzucić czako i kurtkę, żeby być zwykłym głupawym cywilem, prawda? Mógł też powiedzieć, że zdezerterował. Na pewno coś wymyślił. Wiecie, jak traktował Łazer, nie? Mój plecak też przeszukał. Ukradł... coś mojego.

– Co takiego? – spytała Kukula.

– Coś... I wystarczy. Chciał... narobić kłopotów.

Przyglądała im się i myślała.

– Brzmi rozsądnie. – Maladict energicznie pokiwał głową. – Wredny szczurek. No dobra, Łaz, wyciągnij jeszcze kawę i spróbuję jakoś sobie poradzić.

– Nie ma k-k-k...

Maladict zasłonił oczy dłonią.

– Nie ma kawy? Może u kogoś innego? Proszę...

Nastąpiły przeszukania i ogólny brak rezultatów.

– Nie ma kawy... – jęknął Maladict. – Wyrzucił kawę!

– Co z wami, chłopcy? Musimy wystawić strażę – oznajmił wracający Jackrum. – Załatwiliście już wszystko, tak?

– Tak, sierżancie – zapewniła Kukuła. – Ozz uważa...

– ...że to wszystko przez ten pośpiech – dokończyła szybko Polly, by trzymać się jak najdalej wszystkiego, co mogło prowadzić do zaginionych loków. – Nie ma się czym przejmować. Wszystko załatwione, sierżancie. Nie warto nikogo niepokoić. Nic... zupełnie... sierżancie.

Jackrum przyglądał się zaskoczonemu oddziałowi, potem Polly, znów oddziałowi i znów Polly. Czuła, jak to spojrzenie wwierca się w nią, czeka, aż zmieni wyraz twarzy – wyraz obłąkanej, absolutnej szczerości.

– No ta-ak... – powiedział sierżant wolno. – Dobrze. Załatwione, tak? Bardzo dobrze, Perks. Bacność! Oficer obecny!

– Tak, tak, sierżancie, dziękuję, ale chyba możemy sobie darować przesadne formalności – powiedział Bluza, który wyglądał raczej blado. – I proszę na słowo, kiedy już tu skończycie, dobrze? Sądzę, że powinniśmy pogrzebać ciała...

Jackrum zaszutował.

– Tak jest, sir! Dwóch ochotników do kopania grobu dla tych nieszczęśników! Goom i Tews... Co on robi?

Loft stała przy otwartym kopcu węglowym. O stopę czy dwie od twarzy trzymała płonąca gałąź i obracała nią, wpatrzona w płomień.

– Ja pójdę kopać, sierżancie – zaproponowała Stukacz, stając obok Łazer.

– A co, jesteście małżeństwem? – spytał Jackrum. – Ty idziesz na wartę, Halter. Wątpię, czy ci, którzy to zrobili, spróbują wrócić, ale gdyby co, to uważaj. Pójdziecie ze mną i z Igorem, pokażę wam stanowiska.

– Nie ma kawy! – jęczał Maladict.

– To przecież paskudztwo – mruknął Jackrum. – Kubek gorącej i słodkiej herbaty jest dla żołnierza prawdziwym przyjacielem.

Polly chwyciła kubek na wodę do golenia dla Bluzy i odeszła pospiesznie. To kolejna rzecz, której człowiek uczy się w wojsku: wyglądaj na zajętego. Wyglądaj na zajętego, a nikt nie będzie się zbytnio przejmował, czym się zajmujesz.

Przekłety, przekłety Strappi! Zabrał jej włosy! Jeśli tylko zdoła, spróbuje ich użyć przeciwko niej, to pewne. To w jego stylu. Co teraz planuje? No, z pewnością będzie się starał trzymać jak najdalej od Jackruma, co do tego nie ma wątpliwości. Gdzie się przyczai. I ona też musi.

Oddział rozbił biwak po stronie nawietrznej, żeby uniknąć dymu. To miał być krótki odpoczynek, ponieważ zeszłej nocy nikt nie zdążył się wyspać. Ale, jak przypomniał im Jackrum, wyznaczając zadania:

– Jest takie stare żołnierskie powiedzenie: Masz Pecha.

Nie myśleli nawet, żeby skorzystać z chaty, ale znaleźli kilka derek na ramach zbudowanych, by stosy drewna chronić przed deszczem. Ci, którzy nie mieli nic do roboty, kładli się na zebranych gałązkach, które były miękkie, nie cuchnęły i były dużo wygodniejsze niż zamieszkane sienniki w koszarach.

Bluza, jako oficer, miał szalas tylko dla siebie. Polly zebrała wiązki gałęzi, żeby zbudować stół, a przynajmniej sprężyste siedzisko. Wyłożyła narzędzia do golenia i odwróciła się, by odejść, gdy...

– Mógłbyś mnie ogolić, Perks? – zapytał porucznik.

Na szczęście była odwrócona do niego plecami, więc nie widział jej twarzy.

– Ta nieszczęsna dłoń mocno spuchła, niestety – tłumaczył Bluza. – Normalnie bym nie prosił, ale...

– Oczywiście, sir – odpowiedziała Polly, gdyż nie miała innego wyboru.

Zastanówmy się. Owszem, całkiem dobrze się nauczyła skrobać tępą brzytwą po twarzy pozbawionej zarostu. Goliła też kilka zabitych świń w kuchni Pod Księżną, no bo nikt nie lubi zarośniętego bekonu. Więc świnię właściwie się nie liczą.

Narastała w niej panika. A zaczęła narastać jeszcze szybciej na widok zbliżającego się Jackruma. Poderżnię gardło oficerowi w obecności sierżanta...

Cóż, kiedy nie wiesz, co robić, krzątaj się. Wojskowa zasada. Krzątaj się i licz na niespodziewany atak.

– Nie jest pan zbyt surowy dla naszych ludzi, sierżancie? – zapytał Bluza, gdy Polly wiązała mu na szyi ręcznik.

– Nie, sir. Muszą się czymś zająć, to podstawa. Inaczej zaczną marudzić – oświadczył pewnym głosem Jackrum.

– Tak, ale przecież przed chwilą zobaczyli dwa okaleczone ciała – przypomniał Bluza i zadrżał.

– Dobra praktyka, sir. Zobaczą ich o wiele więcej.

Polly stanęła przed narzędziami do golenia, które rozłożyła na drugim ręczniku. Co tu mamy... Brzytwa, szary kamień do zgrubnego ostrzenia, czerwony do ostrzenia i wygładzania, mydło, pędzel, miska... Na szczęście wiedziała, jak przygotować pianę.

– Dezerterzy, sierżancie – ciągnął Bluza. – Niedobrze.

– Trafiają się, sir. Dlatego żołd zawsze się spóźnia. Człowiek dwa razy się zastanowi, zanim zrezygnuje z zaległej trzymiesięcznej wypłaty.

– Pan de Worde z azety mówił, że zdarza się bardzo wiele dezercji, sierżancie. To dziwne, że tylu ludzi porzuca stronę wygrywającą.

Polly energicznie zamieszała pędzlem w wodzie. Jackrum, po raz pierwszy odkąd zaciągnął się Maladict, wyglądał nieswojo.

– Ale po czyjej stronie on stoi, sir?

– Sierżancie, z całą pewnością nie jest pan głupim człowiekiem – rzekł Bluza. Za jego plecami piana przełała się przez krawędź miski i chlusnęła na ziemię. – Wokół mamy morderczych dezterów. Nasze granice wydają się dostatecznie niestrzeżone, by pozwalać nieprzyjacielskiej kawalerii na akcje na czterdzieści mil w głąbi „naszego pięknego kraju”. A najwyższe dowództwo jest tak zdesperowane, sierżancie, że nawet pół tuzina niewyszkolonych i, prawdę mówiąc, bardzo młodych ludzi musi od razu ruszać na front.

Piana zyskała własne życie. Polly się zawahała.

– Najpierw gorący ręcznik, Perks – rzucił Bluza.

– Tak, sir. Przepraszam, sir. Zapomniałem, sir.

Była coraz bardziej przerażona. Niejasno pamiętała, że zdarzało jej się przechodzić przed zakładem cyrulika w Munz. Gorący ręcznik na twarz. Oczywiście. Chwyciła ręcznik, połała gorącą wodą, wykręciła i narzuciła na porucznika. Właściwie to nawet nie wrzasnął – nie w ścisłym sensie.

– Aaarrrgh! Coś jeszcze mnie martwi, sierżancie.

– Tak, sir?

– Kawalerzyści musieli schwytać kaprała Strappiego. W żaden inny sposób nie mogli się dowiedzieć o naszej grupie.

– Słuszna uwaga, sir – przyznał Jackrum, obserwując, jak Polly nakłada pianę na usta i nos porucznika.

– Mam tylko nadzieję, że nie – pff! – torturowali biedaka. Jackrum milczał w tej kwestii, ale bardzo znacząco. Polly wołałaby, żeby się jej tak nie przyglądał.

– Ale czemu dezter – pff! – miał uciekać prosto – pff! – na front?

– To ma sens, sir, dla starego żołnierza. Zwłaszcza politruka.

– Naprawdę?

– Może mi pan wierzyć, sir.

Polly przejechała brzytwą po czerwonym kamieniu. Był gładki jak lód.

– Ale nasi chłopcy, sierżancie, nie są starymi żołnierzami. Trzeba – pff! – dwóch tygodni, żeby zmienić rekruta w sprawnego żołnierza.

– To obiecujący materiał, sir. Mogłbym wszystko załatwić w kilka dni – zapewnił Jackrum. – Perks!

Niewiele brakowało, by Polly obciąła sobie kciuk.

– Tak, sierżancie... – wykrztusiła.

– Myślisz, że mógłbyś dzisiaj zabić człowieka?

Polly spojrzała na brzytwę. Ostrze lśniło.

– Przykro mi to mówić, ale myślę, że bym mógł, sir!

– Sam pan widzi, sir – powiedział Jackrum z krzywym uśmiechem. – Jest coś w tych chłopakach, sir. Są szybcy.

Przeszedł za Bluzę i bez słowa wyjął brzytwę z dłoni wdzięcznej Polly.

– Jest kilka spraw, które powinniśmy omówić, sir, tak jakby na osobności. Myślę, że Perks powinien trochę odpocząć.

– Oczywiście, sierżancie. *Pas devant les soldats jeuttes*, co?

– Ich też, sir – zgodził się Jackrum. – Jesteś wolny, Perks.

Polly odeszła powoli. Prawa dłoń drżała jej ciągle. Za sobą usłyszała westchnienie Bluzy.

– Czasy są trudne, sierżancie. Dowodzenie nigdy nie było tak męczące. Wielki generał Tacticus twierdzi, że w niebezpiecznych czasach dowódca musi być jak orzeł i widzieć całość, ale równocześnie jak jastrząb i widzieć każdy szczegół.

– Tak, sir – zgodził się Jackrum, przesuwając brzytwą po jego policzku. – A jeśli zachowuje się jak zwykła sikorka, sir, może cały dzień wisieć głową w dół i zajadać tłustą słoninę, sir.

– Dobrze powiedziane, sierżancie.

Smolarz i jego żona zostali pochowani z towarzyszeniem – ku brakowi zaskoczenia Polly – krótkiej modlitwy Łazer. Była to prośba do księżnej, by wstawiła się u boga Nuggana, uzyskała dla zmarłych wieczny odpoczynek i podobne premie. Polly słyszała to już wiele razy i zastanawiała się, jak działa ten proces.

Nie modliła się nigdy od dnia, kiedy spłonął ptak, nawet wtedy, gdy umierała jej matka. Bóg, który palił malowane ptaki, nie ocaliłby matki. Taki bóg nie jest wart modlitwy.

Ale Łazer modliła się za wszystkich. Łazer modliła się jak dziecko, wznosząc oczy ku niebu i składając dłonie mocno, aż bieleły jej palce. Piskliwy głos wibrował taką wiarą, że Polly czuła się zakłopotana, potem zawstydzona, a po końcowym „amen” zdziwiona, że świat wydaje się taki sam jak poprzednio. Przez minutę czy dwie był bowiem lepszym światem...

W chacie został też kot. Schował się pod pryzmą i parsknął na każdego, kto się zbliżył.

– Zabrali całe jedzenie, ale zostały marchewki i pasternaki w ogródku pod pagórkem – powiedziała Kukula, kiedy już odchodziły.

– To by b-było okradaniem umarłych – zauważyła Łazer.

– Wiesz, jeśli im to nie pasuje, mogą wszystko przytrzymać, prawda? Przecież są już pod ziemią.

Z jakiegoś powodu teraz wydało im się to śmieszne. Śmiałyby się pewnie ze wszystkiego.

Na miejscu zostały tylko Nefryt, Loft, Kukula i Polly. Pozostali pełnili służbę wartowniczą. Siedziały więc przy ogniu, na którym bulgotał nieduży kociołek. Loft zajmowała się ogniskiem. Polly zauważyła, że Loft przy ogniu zawsze wydaje się ożywiona.

– Szykuję końskie skubbo dla ruperta – wyjaśniła Kukula, bez trudu używając slangu, który poznała ledwie dwadzieścia godzin temu. – Specjalnie o nie poprosił. Od Trzyczęściowego mam sporo suszonej koniny, ale Stukacz twierdzi, że skoro i tak stoi na warcie, może przy okazji stuknąć parę bażantów.

– Mam nadzieję, że przynajmniej od czasu do czasu wypatruje też nieprzyjaciela –

mruknęła Polly.

– Będzie ostrożna. – Loft pogrzebała patykiem w ogniu.

– Wiecie, jeśli nas wykryją, to zbiją i odeślą – stwierdziła Kukula.

– Kto taki?! – zawołała Polly tak nagle, że sama siebie zaskoczyła. – Niby kto? Tutaj, na wojnie?! Kogo to obchodzi?

– Wiesz... noszenie męskich ubrań jest Obrzydliwością dla Nuggana.

– Dlaczego?

– Po prostu jest – oświadczyła stanowczo Kukula. – Ale...

– ...je nosisz – dokończyła Polly.

– No, to był jedyny sposób – przyznała Kukula. – Zresztą przymierzyłam je i wcale nie wydały mi się obrzydliwe.

– Zauważyliście, że mężczyźni inaczej z tobą rozmawiają? – wtrąciła nieśmiało Loft.

– Rozmawiają? – powtórzyła Polly. – Słuchają też inaczej.

– I nie gapią się na ciebie przez cały czas – dodała Kukula. – Wiecie, o co mi chodzi. Jesteś po prostu... inną osobą. Gdyby dziewczyna przeszła ulicą, niosąc miecz, jakiś mężczyzna próbowałby go jej odebrać.

– U trollów nam nie wolno nosić maczug – dodała Nefryt. – Tylko duże kamienie. I jeszcze dziewczyna nie powinna mieć mchu, bo chłopcy uważają, że łysina jest skromna. Musiałam ptasie łajno wcierać w głowę, żeby tyle wyhodować.

Jak na trolla była to dość długa przemowa.

– Tego nie widzieliśmy – przyznała Polly. – Trolle dla nas wyglądają mniej więcej tak samo.

– Jestem naturalnie urwista – dodała Nefryt. – Nie wiem, czemu mam siem polerować.

– Rzeczywiście jest różnica – zgodziła się Kukula. – Myślę, że to przez skarpety. Jak gdyby cały czas ciągnęły się naprzód. Całkiem jakby świat kręcił się dookoła twoich skarpet. – Westchnęła i obejrzała koninę wygotowaną już prawie do białości. – Gotowe – uznała. – Idź i daj to rupertowi, Polly... to znaczy Ozzer. Mówiłam sierżantowi, że mogę przygotować coś lepszego, ale powiedział, że porucznik wspominał, jak mu smakowało wczoraj...

Przed Kukulą wylądowały nagle związane razem mały dziki indyk, dwa bażanty i dwa króliki.

– Dobrze, żeśmy was pilnowali, co? – Stukacz wyszczerzyła zęby i zakręciła procą na palcu. – Jeden kamień, jeden obiad. Maładict został na warcie. Mówi, że wywacha każdego, a i tak jest zbyt pobudzony, żeby jeść. Co możesz z tym zrobić?

– Zapiekankę z dziczyzny – uznała stanowczo Kukula. – Mamy jarzyny i została mi jeszcze połówka cebuli³. Jestem pewna, że któryś z tych kopców można przerobić na piekarnik...

– Wstawać wszyscy! Bacność! – krzyknął za nimi poruszający się bezszelestnie

³ Kobiecie zawsze zostaje pół cebuli, niezależnie od rozmiarów cebuli, potrawy ani kobiety.

Jackrum. Zatrzymał się i czekał z lekkim uśmiechem na twarzy, kiedy jego żołnierze podrywali się na nogi. – Szeregowy Halter, muszę mieć wściekle ostry wzrok – rzekł, kiedy stali już mniej więcej pionowo.

– Tak, sierżancie – odparła Stukacz, patrząc prosto przed siebie.

– Domyślcie się czemu, szeregowy?

– Nie, sierżancie.

– No bo przecież wiem, że ciągle pilnujecie granic obozu, ale widzę was tak dobrze, jakbyście stali tuż przede mną, Halter. Zgadza się, Halter?

– Tak, sierżancie!

– I dobrze, że ciągle stoicie na warcie, Halter, bo karą za opuszczenie posterunku w czasie wojny jest śmierć, Halter!

– Ja tylko...

– Żadnych tylko! Nie chcę słyszeć żadnych tylko! I nie chcę, żebyście uważali mnie za faceta wrzaskliwego. Kapral Strappi był wrzaskliwy, ale to przecież piekielny politruk! Słowo honoru daję, nie jestem wrzaskliwy, ale jeśli nie wrócisz na posterunek w ciągu trzydziestu sekund, to wyrwę ci język!

Stukacz odbiegła. Sierżant Jackrum odchrząknął i kontynuował już spokojniejszym tonem.

– To, chłopcy, było coś, co nazywam prawdziwą wykładą o życiu, nie taką wymyślną o polityce, jakie wygłaszał wam Strappi. – Zakaszał. – Celem tej wykładu jest to, byście zdali sobie sprawę, jak stoimy. A stoimy po uszy w bagnie. I nie byłoby gorzej, nawet jakby żaby z nieba padały. Są pytania?

Ponieważ nie było, a zdziwieni rekruci milczeli, mówił dalej. Równocześnie zaczął powolny spacer wokół oddziału.

– Wiemy, że na tym terenie operują oddziały wroga. W chwili obecnej nie mają butów. Ale znajdują się inni, mający butów pod dostatkiem. W tym regionie mogą być również dezercerzy. To nie będą mili ludzie! Będą niegrzeczni! Zatem porucznik Bluza zdecydował, że będziemy podróżować nocą i poza traktami. Owszem, spotkaliśmy się z przeciwnikiem i pokonaliśmy go. To był traf. Nie spodziewali się, że będziecie twardymi i hardymi żołnierzami. Wy też nie, więc nie chciałbym, żebyście wpadli w zarozumiałość. – Pochylił się i jego twarz znalazła się o kilka cali od Polly. – Czujecie się zarozumiali, szeregowy Perks?

– Nie, sierżancie!

– To dobrze. Dobrze. – Jackrum odstąpił. – Idziemy na front, chłopcy. Jest wojna. A w czasie paskudnej wojny gdzie najlepiej się znaleźć? Oprócz księżycy oczywiście. No? Wie ktoś?

Nefryt wolno uniosła rękę.

– No, mówcie – zachęcił ją sierżant.

– W armii, sierżancie – powiedziała troll. – Bo... – Zaczęła odliczać na palcach. – Jeden,

dostajesz broń, zbrojem i resztem. Dwa, jesteś otoczony przez innych uzbrojonych. Eee... Dużo, dostajesz żołąd i lepsze żarcie niż tacy z cywilów. Eee... Mnóstwo, jak się poddajesz, biorom cię do niewoli, a są przepisy o niewoli, takie jak niekopanie jeńców po głowie i różne inne, bo jak kopiesz ich jeńców po głowie, to oni kopią naszych jeńców po głowie i to tak, jakbyś sam siebie kopał po głowie, ale nie ma takiego prawa, żeby nie kopać wrogich cywilów po głowie. Są też inne rzeczy, ale skończyły mi się numery. – Uśmiechnęła się do nich brylantowo. – Może jesteśmy powolni, ale nie gupi – dodała.

– Jestem pod wrażeniem, szeregowy – przyznał Jackrum. – I macie rację! Jedyną osą w dzemie to fakt, że jeszcze nie jesteście żołnierzami. Ale w tym akurat mogę wam pomóc. Być żołnierzem nie jest trudno. Gdyby było, żołnierze nie dawaliby sobie z tym rady. Trzeba koniecznie spełniać tylko trzy zadania, a mianowicie: jeden, słuchać rozkazów, dwa, dowalić nieprzyjacielowi solidnie i mocno, trzy, nie ginąć. Zrozumielście? Dobrze. Jesteście prawie u celu! Bravo! Proponuję, że będę wam asystował w wykonywaniu wszystkich trzech! Jesteście moimi małymi chłopaczkami i ja o was zadbam. A tymczasem macie swoje obowiązki. Kukula, do gotowania! Szeregowy Perks, zajmiecie się rupertem! A potem ćwiczcie gołenie! Ja teraz odwiedzę tych na warcie i przekażę im słowo boże! Rozejść się!

Utrzymały coś zbliżonego do postawy zasadniczej, dopóki sierżant nie oddalił się poza zasięg słuchu. Dopiero potem odetchnęły.

– Dlaczego on zawsze krzyczy? – spytała Kukula. – Przecież wystarczyłoby mu zapytać...

Polly przełała straszliwe skubbo do blaszanej miski i niemal pobiegła do szalasu porucznika. Uniósł głowę znad mapy i uśmiechnął się, jakby dostarczyła mu prawdziwe smakołyki.

– Ach, skubbo – powiedział.

– Tak naprawdę to myjemy co innego, sir. I na pewno wystarczy dla wszystkich...

– Wielkie nieba, nie... Lata minęły, odkąd jadłem coś podobnego – zapewnił Bluz i sięgnął po łyżkę. – Oczywiście w szkole nie zachwycało nas to tak bardzo.

– Dostawał pan takie jedzenie w szkole, sir?

– Tak. Prawie codziennie.

Polly nie całkiem potrafiła to zrozumieć. Bluz był dobrze urodzony, a dobrze urodzeni dobrze się odżywiali, tak?

– Zrobił pan coś złego, sir?

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, Perks. – Bluz chlipał straszną ciecżą. – Ludzie odpoczęli?

– Tak, sir. Ci zabici trochę nami wstrząsnęli...

– Rozumiem. Paskudna historia. – Porucznik westchnął. – Ale niestety, taka jest wojna. Żałuję tylko, że tak szybko musieliście się o tym przekonać. To zwykłe niedopatrzienie, od samego początku. Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni, kiedy już dotrzemy do Kneck. Żaden generał nie może przecież oczekiwać, że tacy młodzi chłopcy w jednej chwili staną się

żołnierzami. Będę miał coś do powiedzenia w tej kwestii.

Jego królicze rysy wydawały się bardzo zdeterminowane, jak u chomika, który nagle wypatrzył otwór w kołowrotku.

– Czy jestem jeszcze do czegoś potrzebny, sir? – upewniła się Polly.

– Hm... Czy ludzie o mnie rozmawiają, Perks?

– Właściwie nie, sir. Nie.

Porucznik wydawał się rozczarowany.

– Aha. No tak. Dziękuję ci, Perks.

Polly zastanawiała się, czy Jackrum kiedykolwiek śpiał. Stała na warcie, gdy bezgłośnie wyszedł spoza niej i zawołał:

– Zgadnij kto to, Perks! Jesteś na posterunku! Powinieneś zobaczyć straszliwych wrogów, zanim oni cię zobaczą. Jakie są cztery główne elementy warty?

– Kształt, cień, sylwetka, błysk, sierżancie! – Polly stanęła na baczność.

Sierżant zamilkł na chwilę, nim powiedział:

– Wiedziałaś wcześniej, co?

– Nie, sir! Mały ptaszek mi powiedział w czasie zmiany warty. Mówił, że ich też pan pytał.

– Aha! Czyli mali chłopcy Jackruma spiskują przeciwko swojemu staremu dobremu sierżantowi, co?

– Nie, sir. To tylko wymiana informacji, ważnych dla oddziału w sytuacji zagrożenia, sir!

– Szybko gadasz, Perks, muszę ci przyznać.

– Dziękuję, sierżancie.

– Ale widzę, że nie stoisz w tym przeklętym cieniu, Perks, ani nie zrobiłeś nic, żeby zmienić swój przeklęty kształt, sylwetkę wyraźnie widać w tym przeklętym świetle, a twoja szabla błyszczy jak diament w przeklętym uchu kominiarza! Wytlumacz!

– To z powodu piątego elementu, sierżancie! – Polly spoglądała prosto przed siebie.

– To znaczy?

– Koloru, sierżancie! Noszę przekłątą czerwień i biel w przeklętym szarym lesie, sierżancie!

Zaryzykowała szybkie spojrzenie z ukosa. W świńskich oczkach Jackruma dostrzegła blask, który zwykle pojawia się u kogoś sekretnie bardzo zadowolonego.

– Wstydzisz się swojego pięknego munduru, Perks?

– Nie chcę, żeby mnie w nim oglądali martwego, sir.

– Ha... Dobrze, Perks. Spocznij.

Polly uśmiechnęła się prosto przed siebie. Kiedy skończyła wartę i zeszła na porcję zapiekanki z dziczyzny, Jackrum uczył Loft i Stukacz podstaw szermierki, używając leszczynowych kijów zamiast szabel. Zanim skończyła jeść, demonstrował Łazer co bardziej wyrafinowane elementy obsługi wysoko wydajnej kuszy pistoletowej, zwłaszcza tego punktu,

który mówi, że nie należy odwracać się z nabitą bronią i pytać: „A Men kawałek do czego jest, sierżancie?”. Łazer traktowała broń tak, jak dumna ze swego domostwa gospodyni traktuje zdechłą mysz – trzymała na odległość wyciągniętego ramienia i próbowała nie patrzeć. Ale nawet ona radziła sobie lepiej niż Igor, który nie mógł się pogodzić z ideą czegoś, co dla niego było chirurgią losową.

Nefryt drzemała. Maladict z rękami skrzyżowanymi na piersi wisiał za kolana pod dachem jednego z szałasów. Musiał mówić prawdę, kiedy tłumaczył, że trudno się odzwyczaić od pewnych aspektów wampiryzmu.

Igor i Maladict...

Nadal nie była pewna co do Maladicta, ale Igor musiał być chłopcem – z tymi szwami dookoła głowy i twarzą, którą można określić tylko jako nieładną⁴. Był spokojny i uporządkowany, ale może wszystkie Igory się tak zachowują...

Obudziła się, gdyż potrząsała nią Kukuła.

– Ruszamy! Lepiej idź i zobacz, co z rupertem!

– Co? He? Aha... już!

Wokół słyszała krzątanie. Wstała niepewnie i pobiegła do szałas porucznika Bluzy. Oficer stał przed swoim nędznym koniem i z wyrazem zagubienia na twarzy ścisnął uprzęż.

– Przyszedłeś, Perks... – ucieszył się. – Nie jestem całkiem pewien, że robię to, jak należy.

– Nie, sir. Wodze ma pan skrzyżowane, a wędzidło dołem do góry – powiedziała Polly, która często pomagała w stajni gospody.

– Aha, więc dlatego wczoraj był taki trudny – domyślił się Bluz. – Pewnie powinienem się na tym znać, ale w domu mieliśmy od tego człowieka...

– Proszę pozwolić, sir... – Kilkoma ostrożnymi ruchami Polly rozplątała uprzęż. – Jak go pan nazwał?

– Thalacephalos – odparł z zakłopotaniem Bluz. – Wiesz, to legendarny wierzchowiec generała Tacticusa.

– Nie wiedziałem o tym, sir.

Polly wychyliła się i spojrzała między tylnymi nogami zwierzęcia. Ojoj... Bluz rzeczywiście był krótkowidzem.

Kobyła spoglądała na nią po części oczami, które były małe i złe, ale przede wszystkim żółknącymi zębami, których posiadała ogromną liczbę. Polly miała wrażenie, że zwierzę myśli o prychnięciu.

– Przytrzymam go, kiedy będzie pan wsiadał, sir – zaproponowała.

– Dziękuję ci. Rzeczywiście, rusza się trochę, kiedy próbuję.

– Nic dziwnego, sir.

Polly wiedziała o trudnych koniach. Ten miał wszystkie cechy prawdziwego drania,

⁴ Chodziło o ten rodzaj nieładu, kiedy na trawniku przed domem stoi wypalony pojazd.

jednego z tych, których nie zniechęca oczywista wyższość ludzkiej rasy.

Kobyła wytrzeszczała ślepia i zęby, kiedy Bluza wspinał się na siodło, ale Polly przewidująco zajęła pozycję z dala od masztów szałas. Thalacephalos nie należała do takich, które zrzucają i kopią. Była chytra, co Polly zauważyła od razu – takie nadeptują na nogę...

Przesunęła stopę w chwili, kiedy opadało kopyto. Ale Thalacephalos, zła, że dała się przechytrzyć, opuściła łeb i mocno ugryzła Polly w zrolowane skarpety.

– Niegrzeczny koń! – zawołał surowo Bluza. – Przepraszam cię, Perks. Chyba nie może się już doczekać bitwy! Och, coś podobnego! – dodał, spoglądając w dół. – Dobrze się czujesz, Perks?

– No, ciągnie mnie trochę, sir... – odparła wleczona w bok Polly.

Bluza znowu pobałdł.

– Przecież cię ugryzł... Złapał cię za... prosto w...

Polly zrozumiała nagle. Popatrzyła w dół i szybko sobie przypomniała to, co słyszała podczas licznych bójek w karczmie, kiedy nie obowiązywały żadne reguły.

– Och... ooo... argh... Niech to! Prosto w klejnoty! Aargh! – krzyczała.

A potem, ponieważ w danej chwili wydało jej się to niezłym pomysłem, mocno uderzyła pięściami kobyłę w pysk. Porucznik zemdlał.

Doprowadzenie Bluzy do przytomności zajęło trochę czasu, więc Polly zdążyła się zastanowić.

Porucznik otworzył oczy i skupił na niej wzrok.

– Ehm... Spadł pan z konia, sir – oświadczyła Polly.

– Perks? Dobrze się czujesz? Mój chłopcze, przecież złapał cię za...

– Wystarczy parę szwów, sir.

– Co? U Igora?

– Nie, sir. Tylko materiał, sir – uspokoiła go. – Spodnie są dla mnie trochę za duże, sir.

– Aha... To dobrze. Za duże, tak? Co tam... Niewiele brakowało, co? No ale nie mogę tak leżeć cały dzień.

Oddział pomógł mu dosiąść Thalacephalos, która parsknęła bez śladu skruchy. W temacie „za duże” Polly zanotowała w pamięci, żeby na następnym postoju zająć się kurtką porucznika. Sama co prawda niezbyt dobrze radziła sobie z igłą, ale jeśli Igor nie potrafi czegoś zrobić, żeby dowódca lepiej wyglądał, to nie jest mężczyzną, za jakiego go uważała.

A to prowadziło do interesującego problemu.

Jackrum ryknął, wzywając ich na zbiórkę. Teraz szło im to dużo szybciej. I nie tak chaotycznie.

– No dobra, Piersi i Tyłki! Dzisiaj...

Zestaw wielkich żółtych zębów zdjął mu z głowy czapkę.

– Och, najmocniej przepraszam, sierżancie! – zawołał z tyłu Bluza, usiłując powstrzymać kobyłę.

– Żaden kłopot, sir, to się zdarza! – zapewnił Jackrum, szarpiąc swoje czako.

– Chciałbym przemówić do moich ludzi, sierżancie.

– Co? Ehm... Tak jest, sir! – Jackrum trochę się chyba zaniepokoił. – Oczywiście, sir. Piersi i Tyłki! Baaaczekaćmomentność!

Bluza odchrząknął.

– Eee... Żołnierze! – zaczął. – Jak wiecie, musimy jak najprędzej dotrzeć do doliny Kneck, gdzie podobno... jesteśmy potrzebni. Nocne marsze uchronią nas przed... komplikacjami. Eee... Ja... – Przyglądał się im z twarzą wykrzywioną grymasem jakby wewnętrznej walki. – Eee... Muszę powiedzieć, że nie wydaje mi się, byśmy... To znaczy, wszelkie fakty wskazują... no... nie sądzę, że... hm... Powinienem wam chyba powiedzieć... ehm...

– Mogę zadać pytanie? – odezwała się Polly. – Dobrze się pan czuje?

– Musimy trwać w nadziei, że ci, którzy mają nad nami władzę, podejmują właściwe decyzje – wymamrotał Bluza. – Ale mam do was pełne zaufanie i jestem przekonany, że mnie nie zawiedziecie. Niech żyje księżna! Prowadźcie dalej, sierżancie.

– Piersi i Tyłki! Kolumną... marsz!

I tak ruszyli w mrok i na wojnę.

Porządek marszu nie różnił się od wczorajszego, z Maladictem na czele. Chmury zatrzymywały nieco ciepła, a ich warstwa była dostatecznie cienka, by tu i tam sugerować blask księżyca. Las nocą nie sprawiał Polly problemów, zresztą nie był to prawdziwy dziki las. A prawdę mówiąc to, co teraz robili, nie było też prawdziwym marszem. Przypominało raczej przyspieszone skradanie się, pojedynczo i dwójkami.

Niosła dwie ze zdobytych kawaleryjskich kuszy, wetkniętych teraz nieporęcznie między troki jej plecaka. To były paskudne konstrukcje, jakby skrzyżowanie małej kuszy i zegara. Mechanizmy ukryte w grubym łożysku powodowały, że choć sam łuk miał zaledwie sześć cali, można było – jeśli człowiek naparł całym ciężarem – naciągnąć go, magazynując tyle energii, że wystrzelony groźny stalowy belt przebijał całowej grubości deskę. Zrobione były z błękitnego metalu, smukłe i groźne. Ale jest takie stare wojskowe powiedzenie: lepiej żebym ja strzelał z tego do ciebie niż ty do mnie, draniu!

Polly przesuwiała się wolno wzdłuż kolumny, aż maszerowała obok Igora. Skinął jej głową w półmroku, a potem znów zaczął patrzeć pod nogi. Powinien, gdyż jego plecak był dwa razy większy od innych. Nikt nie miał ochoty pytać, co tam niesie; czasami zdawało się, że z wnętrza słychać chlupanie jakichś płynów.

Igory przechodziły niekiedy przez Munz, choć formalnie były Obrzydliwością w oczach Nuggana. Polly wydawało się, że użycie kawałków kogoś, kto nie żyje, by pomóc zachować życie trzem czy czterem innym osobom, to całkiem dobry pomysł. Ale ojciec Jupe z ambony przekonywał, że Nuggan nie chce, by ludzie po prostu żyli, ale by żyli właściwie. Wśród

wiernych rozlegał się wtedy pomruk aprobaty, choć Polly dobrze wiedziała, że siedzi tam kilka osób mających rękę czy nogę trochę mniej opaloną albo bardziej owłosioną niż druga. Wszędzie w górach żyli drwale. Wypadki zdarzały się często – nagle wypadki. A że jednorękiemu drwalowi niełatwo znaleźć pracę, ludzie szukali Igora, by zrobił to, czego nie potrafi dokonać żadna modlitwa.

Igory miały swoje powiedzenie: Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Nie trzeba było się im odwdzięczać. Trzeba było się raczej dowdzięczać, a to trochę niepokoiło. Kiedy człowiek umierał, w tajemniczy sposób zjawiał się na progu jakiś Igor i prosił, by pozwolono mu zabrać wszystkie części, które są pilnie potrzebne innym osobom z jego „małej lify”. Bez protestów czekał, aż odejdzie kapłan, i mówiono, że kiedy już przyszła pora, działał szybko i sprawnie. Zdarzało się jednak często, że kiedy się zjawiał, potencjalny dawca wpadał w panikę i zwracał się do Nuggana, który lubił swoich wiernych w całości. W takich przypadkach Igor odchodził. Spokojnie i grzecznie. I nigdy już nie wracał. Nie wracał do całej wioski czy osady drwali. On ani inne Igory. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz – a czasem się budzisz.

O ile Polly rozumiała, Igory wierzyły, że ciało jest jedynie bardziej skomplikowanym rodzajem ubrania. Co dziwne, nugganici też tak uważali.

– Cieszę się, że też się zaciągnąłeś – powiedziała Polly, maszerując obok.

– Jafne, Ozz.

– Mogę cię o coś spytać, Igorze?

– Jafne, Ozz.

– Jak się nazywają żeńskie Igory, Igorze?

Igor potknął się, ale szedł dalej. Milczał przez chwilę.

– No dobrze, co zrobiłem nie tak?

– Czasem zapominasz seplenić. Ale przede wszystkim... to tylko wrażenie. Jakies drobiazgi w sposobie poruszania, może...

– Fłowo, którego fukaf, to „Igorina” – wyjaśniła Igorina. – Nie seplenimy tak bardzo jak chłopcy.

Szły dalej w milczeniu. Po chwili odezwała się Polly:

– Myślałam, że ścięcie włosów jest dostatecznie okropne...

– Chodzi ci o szwy? Mogę je wyjąć w pięć minut. Fą tylko na pokaz.

Polly zawahała się. Ale przecież Igory muszą być godne zaufania, prawda?

– Nie ścinałaś włosów?

– Prawdę mówiąc, to je ufunęłam.

– Włożyłam swoje do plecaka. – Polly starała się nie patrzeć na szwy wokół głowy Igoriny.

– Ja też – zapewniła Igorina. – W słoju. Ciągłe rofły. Polly przełknęła ślinę. By omawiać z Igorem kwestie natury osobistej, niezbędny był brak wyobraźni plastycznej.

– Moje ukradli w koszarach. Jestem pewna, że to był Strappi.

– Qj!

– Nienawidzę myśli o nim z moimi włosami.

– Dlaczego je zabrałaś?

To było istotne pytanie. Zaplanowała wszystko – a dobrze sobie radziła z planowaniem. Nabrała wszystkich. Była spokojna, rozsądna. Ścinając włosy, poczuła tylko niewielką przykrość.

I zabrała je ze sobą. Po co? Mogła zwyczajnie wyrzucić. Przecież to żadna magia. Zwykłe włosy. Mogła je wyrzucić, tak po prostu. Łatwe. Ale... ale... a prawda, pokojówki mogłyby je znaleźć. O to chodziło. Musiała szybko wynieść je z domu. Słusznie. A potem mogłaby je zakopać, kiedy byłaby już bardzo, bardzo daleko. Słusznie.

Ale nie zakopała.

Była bardzo zajęta. No właśnie, odezwał się cichy głosik, wewnętrzny i zdradziecki: Byłaś bardzo zajęta oszukiwaniem wszystkich. Oprócz siebie.

– Ale co może zrobić Strappi? – zdziwiła się Igorina. – Dostanie baty od Jackruma, niech tylko mu wpadnie w łapy. To dezerter i w dodatku złodziej.

– Tak, ale może komuś powiedzieć.

– Wtedy ty powiesz, że to kofmyk włofów ukochanej, którą zostawiłeś. Wielu żołnierzy nosi medaliony czy coś podobnego. No wiesz, „kosmyk jej włosów jak złote kłofy”, jak mówi piofenka.

– To były wszystkie moje włosy! W medalionie? Nie zmieściłyby się w twoim czako.

– Ach... – westchnęła Igorina. – Możesz powiedzieć, że bardzo ją kochałeś.

Wbrew wszystkiemu Polly zaczęła się śmiać. Nie mogła się opanować. Przygryzła rękaw i próbowała maszerować dalej. Ramiona jej drżały.

Coś jakby nieduże drzewo szturchnęło ją w plecy.

– Wy dwa lepiej nie hałasujcie – zahuczała Nefryt.

– Przepraszam – szepnęła Polly. – Przepraszam.

Igorina zaczęła nucić.

Samotnie odszedłem za góry,

Za bagna i za doliny...

Polly знаła tę piosenkę, ale powiedziała sobie: nie będę jej śpiewać. Przecież ja naprawdę chciałam zostawić dziewczynę, ale okazuje się, że zabrałam ją ze sobą...

W tej właśnie chwili wynurzyli się spomiędzy drzew i zobaczyli czerwoną lunę.

Cały oddział przystanął na skraju lasu i patrzył. Luna przesłaniała sporą część horyzontu; miejscami rozjaśniała się i ciemniała.

– Czy to piekło? – spytała Łazer.

– Nie, ale ją w nie zmienili, niestety – odparł porucznik. – To dolina Kneck.

– Ona płonie, sir? – zapytała Polly.

– Boże uchovej, to tylko blask ognisk odbity od warstwy chmur – wyjaśnił sierżant Jackrum. – Pole bitwy zawsze nocą groźnie wygląda. Nie przejmujcie się, chłopaki.

– Co oni pieką na tych ogniskach? Słonie? – zdziwił się Maladict.

– A co to takiego? – dodała Polly, wskazując pobliskie wzgórze, jeszcze ciemniejsze od nocy. Na czubku bardzo szybko zapalało się i gasło małe światełko.

Coś zgrzytnęło i stuknęło metalicznie – to porucznik wyjął i rozłożył niewielką lunetę.

– To świetlne sekary! Co za demony!

– Tam jest drugi – huknęła Nefryt, wskazując o wiele bardziej oddalone wzgórze. – Mrug, mrug...

Polly spoglądała na poczerwieniałe niebo, a potem na chłodne światełko zapalające się i gasnące na przemian. Spokojne, delikatne światło. Nieszkodliwe światło. A za nim płonące niebo...

– To na pewno szyfr – uznał Bluza. – Szpiedzy, jestem pewien.

– Świetlne sekary? – zdziwiła się Stukacz. – Co to takiego?

– Obrzydliwość w oczach Nuggana – odparł porucznik. – Niestety, bo byłyby wściekle przydatne, gdybyśmy także je mieli. Prawda, sierżancie?

– Tak, sir – zgodził się odruchowo Jackrum.

– Jedyne wiadomości wysyłane przez powietrze winny być modlitwy wiernych. Chwała Nugganowi, chwała księżnej i tak dalej, i tym podobnie. – Bluza westchnął i spojrzał przez lunetę. – Co za szkoda. Ile jest do tego wzgórza waszym zdaniem, sierżancie?

– Dwie mile, sir. Warto próbować się zakraść?

– Muszą wiedzieć, że ludzie ich zauważą i przyjdą sprawdzić, więc nie będą zbyt długo „kręcić się” w okolicy. Zresztą te aparaty są w wysokim stopniu kierunkowe. Stracilibyśmy go z oczu, jak tylko zesłibyśmy niżej.

– Mogę zadać pytanie, sir? – odezwała się Polly.

– Oczywiście.

– Jak udaje im się uzyskać takie jaskrawe światło, sir? To czysta biel!

– Pewnie jakaś odmiana fajerwerków.

– I oni tym światłem przekazują wiadomości?

– Tak, Perks. A pytasz o to, bo...

– Ludzie, którzy odbierają te wiadomości, wysyłają swoje w ten sam sposób? – nie ustępowała Polly.

– Tak, Perks, na tym to polega.

– W takim razie... może nie musimy chodzić aż na tamten szczyt, sir? Bo światło jest wycelowane prosto w nas, sir.

Obejrzel się wszyscy. Wzgórze, które mijali, wyrastało nad nimi.

– Świetna uwaga, Perks! – szepnął porucznik. – Idziemy, sierżancie!

Zsunął się z wierzchowca, który odruchowo odstał w bok, by jeździec na pewno się przewrócił.

– Tak jest, sir. – Jackrum pomógł mu wstać. – Maladict! Weź Gooma i Haltera. Okrążycie wzgórze od lewej, reszta idzie na prawo... Nie ty, Karborund, bez urazy, ale trzeba to załatwić po cichu. Zostań tutaj. Perks, ty pójdziesz ze mną...

– Ja też pójdę, sierżancie – oznajmił Bluza i tylko Polly zauważyła grymas Jackruma.

– Dobry pomysł, sir! Proponuję, żeby poszedł... żebyśmy poszli z panem, Perks i ja. Wszyscy zrozumieli? Idziemy na szczyt, cicho i dyskretnie. Nikt, ale to nikt się nie rusza, dopóki nie usłyszy mojego sygnału...

– Mojego sygnału – poprawił go Bluza stanowczo.

– O to mi właśnie chodziło, sir. Szybko i cicho! Przyłożyć im mocno, ale przynajmniej jednego chcę mieć żywego. Ruszamy!

Obie grupy rozbiegły się w prawo i w lewo, zniknęły wśród nocy. Sierżant dał im minutę czy dwie, po czym ruszył z szybkością niezwykłą dla człowieka o jego rozmiarach. Zaskoczeni Polly i Bluza zostali w miejscu, ale tylko przez moment. Z tyłu opuszczona Nefryt patrzyła, jak odchodzą.

Drzewa przerzedziły się na stromym zboczu, ale nie aż tak, żeby rozrosło się obfite poszycie. Polly odkryła, że łatwiej przesuwac się na czworakach, przytrzymując się pędów i kępek trawy. Po chwili wyczuła zapach dymu, chemiczny i gryzący.

Była też pewna, że słyszy ciche stukanie.

Drzewo wysunęło rękę i wciągnęło ją do cienia.

– Ani słówka! – syknął Jackrum. – Gdzie rupert?

– Nie wiem, sierżancie.

– Do demona! Nie można pozwolić, żeby rupert biegał tu sobie swobodnie. Nigdy nie wiadomo, co wpadnie mu do tej jego główki. Zwłaszcza teraz, kiedy wymyślił, że on tu dowodzi! Ty masz go pilnować! Szukaj go!

Polly zsunęła się z powrotem po zboczu i znalazła porucznika opartego o drzewo. Rzęził lekko.

– Aha... Perks... – wysapał. – Chyba znowu... wraca moja... astma.

– Pomogę panu wejść, sir. – Polly chwyciła go za rękę i pociągnęła do góry. – Czy mógłby pan rzeźić trochę ciszej, sir?

Powoli, ciągnąc i popychając na przemian, doprowadziła Bluzę do drzewa Jackruma.

– Miło, że pan do nas dołączył, sir – szepnął sierżant z twarzą wykrzywioną grymasem obłąkańczej uprzejmości. – Gdyby zechciał pan tutaj zaczekać, Perks i ja podczolgamy się...

– Ja też idę, sierżancie – oznajmił porucznik.

Jackrum się zawahał.

– Tak jest, sir. Ale z całym szacunkiem, sir, znam się na potyczkach...

– Idziemy, sierżancie – przerwał mu Bluza.

Padł płasko na ziemię i zaczął wlec się naprzód.

Polly także zaczęła się przesuwac po zboczu. Trawa była tu krótsza, jak oskubana przez króliki, z małymi krzakami tu czy tam. Skupiła się na tym, by poruszać się bez hałasu. Zmierzała w stronę stukania. Zapach chemicznego dymu był coraz mocniejszy. A kiedy dotarła bliżej, zobaczyła światło – małe jasne plamki. Uniosła głowę.

Na tle nocy rysowały się sylwetki trzech mężczyzn stojących tuż przed nią. Jeden trzymał grubą rurę długości jakichś pięciu stóp; koniec opierał na ramieniu, a drugi spoczywał na trójnogu. Jej wylot mierzył w dalekie wzgórze. Z przeciwnej strony rury, około stopy za głową trzymającego, umocowano duże kanciaste pudło. Przez spojenia i szpary wylewało się z niego światło, a z krótkiego komina u góry wydobywał się gęsty dym.

– Perks! Na trzy... – szepnął Jackrum z prawej strony Polly. – Jeden...

– Spokojnie, sierżancie – odezwał się Bluza po lewej. Szeroka, rumiana twarz Jackruma zwróciła się w ich stronę, prezentując wyraz zdumienia.

– Sir?

– Utrzymujcie pozycję.

Nad nimi nie ustawało stukanie.

Tajemnice wojskowe, myślała Polly. Szpiedzy! Wrogowie! A my tylko się przyglądamy! To jakby patrzeć beczynn timer na wyciekającą z arterii krew.

– Sir! – zasyczał wrzający z wściekłości Jackrum.

– Zostańcie na pozycji, sierżancie. To rozkaz.

Jackrum znieruchomiał, ale był to zwodniczy spokój wulkanu czekającego na wybuch. Nieubłagany stuk sekara trwał ciągle – zdawało się, że całą wieczność. Sierżant sapał i wiercił się jak pies na smyczy.

Wreszcie stukanie ucichło. Polly usłyszała daleki pomruk rozmowy.

– Sierżancie – wyszeptał Bluza. – Możecie ich „załatwić”, i to szybko.

Jackrum wystrzelił spośród trawy niczym kuropatwa.

– Dalej, chłopcy! Brać ich!

Pierwszą myślą Polly, kiedy się poderwała, było to, że odległość jest większa, niż wydawała się na początku.

Trzej mężczyźni odwrócili się, słysząc krzyk sierżanta. Ten z rurą wypuścił ją i sięgnął po broń, jednak Jackrum sunął na niego jak lawina. Mężczyzna popełnił błąd i próbował dotrzymać mu pola; brzęknęły klingi i nastąpił krótki chaos, tyle że sierżant Jackrum sam w sobie był dostatecznie śmiertelnym chaosem.

Drugi mężczyzna przemknął obok Polly, ona jednak biegła do trzeciego, który cofał się, sięgając dłonią do ust. Potem odwrócił się nagle, by uciekać... i stanął twarzą w twarz z Maladictem.

– Nie pozwól mu połknąć! – krzyknęła Polly.

Ręka Maladicta strzeliła do przodu i uniosła szarpiącego się przeciwnika za gardło.

Byłaby to perfekcyjnie przeprowadzona akcja, gdyby nie zjawiała się reszta oddziału, która całą energię zużyła na bieg, więc nie pozostało już nic na hamowanie. Nastąpiły zderzenia.

Maladict upadł, gdy jeniec kopnął go w pierś, próbował się wyrwać i wpadł na Stukacz. Polly przeskoczyła nad Igoriną, niemal się przewróciła o leżącą Łazer i rzuciła się desperacko na klęczącego teraz uciekiniera, który machał przed sobą sztyletem, a drugą ręką chwycił się za krtań i krztusił się głośno. Polly wytrąciła mu broń z ręki, przebiegła za niego i z całej siły uderzyła w plecy. Upadł na twarz. Zanim zdążyła go złapać, Jackrum uniósł go nad ziemię.

– Nie mogę pozwolić, żeby ten biedak zadławił się na śmierć!

Drugą ręką uderzył schwytanego w żołądek, z odgłosem jakby mięso uderzyło w kamień. Jeniec zrobił zęza, a z ust wyfrunęło mu coś sporego i białego, co przeleciało sierżantowi nad ramieniem. Jackrum postawił przeciwnika i zwrócił się do Bluzy.

– Muszę zaprotestować, sir! – zawołał, trzęsąc się ze złości. – Leżeliśmy tylko i patrzyliśmy, jak te demony przesyłają nie wiadomo jakie wiadomości, sir! To szpieczy, sir! A mogliśmy ich załatwić od razu!

– I co potem, sierżancie? – zapytał Bluzę.

– Co?

– Sądziacie, że ludzie, z którymi oni rozmawiali, nie zaczęliby się zastanawiać, dlaczego przekaz nagle się urwał?

– Mimo to, sir...

– Tymczasem teraz, sierżancie, mamy to urządzenie, a ich zleceniodawcy nic o tym nie wiedzą.

– No, niby tak, sir, ale sam pan mówił, że wysyłają wiadomości zaszyfrowane, sir...

– Ehm... Wydaje mi się, że mamy też ich książkę szyfrów, sir. – Maladict podszedł, niosąc biały obiekt. – Ten człowiek próbował to połknąć, sierżancie. Papier ryżowy. Ale zakrztusił się jedzeniem, można powiedzieć.

– A wy usunęliście to i prawdopodobnie uratowaliście mu życie, sierżancie – dodał Bluzę. – Brawo.

– Ale jeden uciekł, sir – przypomniał Jackrum. – Prędko dotrze do...

– Sierżancie...

Na zboczu pojawiła się Nefryt. Kiedy przyczłapała bliżej, zobaczyli, że wlecze człowieka za nogę. Jeszcze kilka kroków i stało się jasne, że ów człowiek jest martwy. Żywi mają więcej głowy.

– Usłyszałem krzyki, a on przybiegł, a ja skoczyłem, a on wpadł prosto na mnie, głowom naprzód! – poskarżyła się Nefryt. – Nie miałem nawet czasu, żeby mu przyłożyć!

– No cóż, szeregowy, przynajmniej możemy z całą pewnością stwierdzić, że został zatrzymany – uznał Bluzę.

– Fir, ten człowiek umiera – oświadczyła Igorina, klęcząca przy mężczyźnie, którego sierżant Jackrum tak sprawnie uratował przed zadławieniem. – Chyba jeft otruty!

– Jeft? Przez kogo? – zdziwił się Bluza. – I skąd wiesz?

– Ta zielona piana z uft to bardzo wyraźna wskazówka, fir.

– Co was tak śmieszy, szeregowy Maladict?

Wampir parsknął.

– Przepraszam, sir. Mówią szpiegom: Gdyby was złapali, zjedzcie dokumenty. Prawda? Dobry sposób zagwarantowania, że nie zdradzą żadnych tajemnic.

– Ale wy przecież... trzymacie mokrą książkę, kapralu!

– Wampirów nie da się otruć tak łatwo, sir.

– Zresztą trucizna była pewnie śmiertelna tylko doustnie, fir – powiedziała Igorina. – Straszne. Ftrafine. On nie żyje, fir. Nic nie można zrobić.

– Biedaczysko. Ale przynajmniej mamy szyfry – rzekł Bluza. – To wspaniała zdobycz, żołnierze.

– I mamy jeńca, sir – przypomniał Jackrum. – Jeńca także. Jedyne ocalały, który obsługiwał sekar, jęknął i spróbował się ruszyć.

– Trochę poobijany, jak przypuszczam – stwierdził Jackrum nie bez satysfakcji. – Kiedy już na kimś wyładuję, sir, to on zostaje wyładowany.

– Niech dwóch ludzi poniesie go z nami – zdecydował porucznik. – Sierżancie, do świtu zostało jeszcze kilka godzin i przez ten czas wołałbym odejść jak najdalej stąd. Dwóch pozostałych zakopcie niżej, między drzewami, i...

– Musi pan tylko powiedzieć: załatwcie wszystko, sierżancie – powiedział Jackrum głosem, w którym brzmiał niemal lament. – Tak to działa, sir! Pan mówi, czego chce, a ja wydaję rozkazy!

– Czasy się zmieniają, sierżancie – stwierdził Bluza.

Wiadomości lecące po niebie... były Obrzydliwością dla Nuggana.

Argumenty wydawały się Polly nie do zbicia, kiedy pomagała Łazer kopać dwa groby. Modlitwy wiernych wznosiły się do Nuggana i sunęły w górę. Różne rzeczy niewidzialne, takie jak świętość, łaska i lista Obrzydliwości na dany tydzień, opadały od Nuggana do wiernych i spływały w dół. Zakazane były wiadomości przesyłane między jednym a drugim człowiekiem, z boku na bok. Mogłyby się zdarzać kolizje. To znaczy, jeśli ktoś wierzył w Nuggana. Jeśli wierzył w modlitwę.

W rzeczywistości Łazer miała na imię Alicja, z czego zwierzyła się przy łopacie; to imię niezbyt pasowało do niskiego, chudego jak patyk chłopca. Miała krzywo przycięte włosy i niewiele wprawy w kopaniu. Stawała trochę za blisko rozmówcy i patrzyła odrobinę na lewo od jego twarzy...

Łazer wierzyła w modlitwę. Wierzyła we wszystko. A to sprawiało, że... rozmowa z nią

była kłopotliwa dla kogoś, kto nie wierzy. Polly jednak uznała, że powinna się postarać.

– Ile masz lat, Łaz? – spytała, odrzucając na bok ziemię.

– D-dziewiętnaście, Polly.

– A czemu się zaciągnęłaś?

– Księżna mi kazała.

Właśnie dlatego mało kto lubił rozmawiać z Łazer.

– Łaz, wiesz chyba, że noszenie męskich ubrań to Obrzydliwość, prawda?

– Dziękuję, że mi przypomniałaś, Polly – odparła Łazer bez śladu ironii. – Ale księżna powiedziała mi, że nic, co uczynię dla dopełnienia mojej misji, nie będzie uznane za Obrzydliwe.

– Misja, tak? – Polly próbowała zażartować. – A co to za misja?

– Mam objąć dowództwo armii – wyjaśniła Łazer.

Włosy zjeżyły się Polly na karku.

– Tak?

– Tak. Księżna zesłała z portretu, kiedy spałam, i nakazała mi natychmiast ruszać do Kneck. Mała Matka do mnie przemówiła, Ozz. Rozkazała mi. Kierowała moimi krokami. Wyprowadziła mnie z okropnej niewoli. Jak może to być Obrzydliwością?

Ma szablę, myślała Polly. I łopatę. Trzeba rozgrywać to ostrożnie.

– Miło z jej strony – stwierdziła.

– I jeszcze... muszę ci to powiedzieć... ja... nigdy w życiu nie czułam takiej miłości, takiego koleżeństwa – ciągnęła z zapalem Łazer. – Ostatnie dni były najszcześniejsze w moim życiu. Wszyscy okazali mi tyle życzliwości, łagodności... Mała Matka kieruje moimi krokami. Kieruje krokami nas wszystkich, Ozz. Ty też w to wierzysz, prawda?

Promienie księżycy odkrywały ślady łez w brudzie na policzkach Łazer.

– Um... – odpowiedziała Polly, nerwowo szukając sposobu uniknięcia kłamstwa.

Znalazła.

– Eee... Wiesz, że chcę odnaleźć brata?

– To ci się chwali. Księżna wie – zapewniła szybko Łazer.

– I wiesz... robię to także dla Księżnej – dodała Polly, czując się obrzydliwie. – Muszę przyznać, że myślę o Księżnej przez cały czas.

Cóż, słowa były prawdziwe. Tyle że nie były szczerze.

– Tak bardzo się cieszę, że to mówisz, Ozz, bo brałam cię za odstępcę. Ale powiedziałaś to z takim przekonaniem... Może z tej okazji uklękniemy i...

– Łaz, stoisz w grobie innego człowieka – przypomniała jej Polly. – Na wszystko jest miejsce i czas. Lepiej wracajmy do pozostałych.

Najszcześniejsze dni w życiu tej dziewczyny to marsze przez las, kopanie grobów i unikanie żołnierzy z obu stron? Kłopoty z umysłem Polly polegały na tym, że stawiał pytania nawet wtedy, kiedy naprawdę, ale to naprawdę nie chciała poznać odpowiedzi.

– Czyli... księżna ciągle do ciebie przemawia, tak? – spytała, gdy szły lasem do obozu.

– O tak. Nawet kiedy byliśmy w Plotz i spałyśmy w koszarach. Powiedziała, że wszystko dobrze się układa.

Nie, nie zadawaj następnego pytania, przekonywała jakaś część umysłu, ale Polly zignorowała ją z czystej straszliwej ciekawości. Łazer była miła – no, tak jakby miła, w trochę przerażającym stylu – lecz rozmowa z nią przypominała zdrapywanie strupa; człowiek wiedział, co będzie pod spodem, ale drapał i tak.

– No a... co właściwie robiłaś, zanim trafiłaś do wojska?

Łazer rzuciła jej nawiedzony uśmiech.

– Właściwie to byłam bita.

Herbata grzała się na niewielkiej polance obok ścieżki. Wokół stały warty. Nikomu nie podobała się myśl o przekradających się w pobliżu ludziach w ciemnych mundurach.

– Kubek salupy? – zaproponowała Kukula.

Kilka dni temu nazwałaby to „słodką herbatą z mlekiem”, ale teraz, nawet jeśli nie potrafiły zachowywać się całkiem po żołniersku, starały się przynajmniej odpowiednio mówić.

– Co się dzieje? – spytała Polly.

– Nie wiem. Sierżant z rupertem poszli z jeńcem w tamtą stronę, ale nam, sandałom, nikt niczego nie mówi.

– Chyba „trepom” – poprawiła ją Łazer i wzięła kubek.

– W każdym razie nałamałam też dla nich. Zanieś im, może się czegoś dowiesz.

Polly wypiła herbatę, chwyciła dwa kubki i poszła.

Na granicy polany stał Maladict oparty o drzewo. Polly zauważyła, że wampiry miały pewną niezwykłą cechę: nigdy nie mogły wyglądać niedbale. Były po prostu... jak brzmiało to słowo... *déshabillé*. Oznaczało tyle, co „nieporządknie”, ale z całą masą stylu. W tym przypadku Maladict rozpiął kurtkę i wetknął paczkę papierosów za otok czaka. Kiedy przechodziła, zasalutował jej kuszą.

– Ozz... – rzucił.

– Tak, kapralu?

– W ich rzeczach nie było kawy?

– Przykro mi, kapralu. Tylko herbata.

– Niech to demon! – Maladict uderzył pięścią w drzewo. – Słuchaj, rzuciłaś się prosto na człowieka, który połykał szyfry. Od razu. Jakim cudem?

– Zwyczajnie szczęście – odparła Polly.

– Tak, akurat... Próbuj dalej. Bardzo dobrze widzę w ciemności.

– No dobra... Ten po lewej próbował uciekać, a ten w środku rzucał rurę sekarową i sięgał po miecz. Za to ten z prawej uznał, że włożenie czegoś do ust jest ważniejsze niż walka i

ucieczka. Zadowolony?

– I przemyślałaś sobie to wszystko w parę sekund? Sprytnie.

– Jasne... Ale proszę, zapomnij o tym, dobrze? Nie chcę zwracać na siebie uwagi. Właściwie to w ogóle nie chcę tu być. Chcę tylko odnaleźć brata. Dobrze?

– Oczywiście. Pomyślałem tylko, że chciałabyś wiedzieć, że ktoś to zauważył. I lepiej zanieś im tę herbatę, zanim się nawzajem pozabijają.

Przynajmniej byłam kimś, kto obserwuje przeciwnika. Nie kimś, kto obserwuje kolegów. Za kogo on się uważa? Albo ona? Przeciskając się przez gęstwinę, słyszała podniesione głosy.

– Nie można torturować nieuzbrojonego jeńca! – To był głos porucznika.

– Nie mam zamiaru czekać, aż się uzbroi, sir! Na pewno coś wie! I jest szpiegiem!

– Nawet nie próbujcie znowu go kopać w żebra! To rozkaz, sierżancie!

– Uprzejme pytania nie skutkują, sir, prawda? „Bardzo proszę z wisienką na czubku” to nie jest uznana metoda przesłuchań! Nie powinno tu pana być, sir! Powinien pan powiedzieć „Sierżancie, wyciągnijcie od jeńca, co się da”, a potem iść gdzieś i zaczekać, aż powiem, co się dało wyciągnąć!

– Znów to zrobiliście!

– Co? Co takiego?

– Znowu go kopnęliście!

– Nie, wcale nie!

– Sierżancie, wydałem wam rozkaz!

– I...?

– Gorąca herbata! – zawołała wesoło Polly.

Obejrzeni się równocześnie. Uspokoili się wyraźnie. Gdyby byli ptakami, ich nastroszone pióra układałyby się powoli.

– Ach, Perks – mruknął Bluza. – Dzięki.

– Tak... dobry chłopak – zgodził się Jackrum.

Obecność Polly jakby ich ochłodziła. Sączyli herbatę i spoglądali na siebie nieufnie.

– Zauważyliście pewnie, sierżancie, że ci ludzie nosili ciemnozielone mundury pierwszego batalionu Pięćdziesiątego Dziewiątego Regimentu Złobieńskich Łuczników. Batalion rozpoznania – stwierdził Bluza z lodowatą uprzejmością. – To nie są mundury szpiegów, sierżancie.

– Nie, sir? Strasznie je pobrudzili, sir. Guziki w ogóle nie błyszczą, sir.

– Patrowanie za liniami nieprzyjaciela to nie szpiegostwo, sierżancie. Swego czasu na pewno to robiliście.

– Więcej razy, niż potrafię zliczyć, sir. Ale dobrze wiedziałem, że jeśli mnie złapią, mogę liczyć na solidne skopanie klejnotów. Zresztą grupy zwiadu są najgorsze, sir. Człowiek siedzi sobie i myśli, że jest bezpieczny, aż nagle okazuje się, że jakiś sukinsyn siedział w krzakach na wzgórzu, przeliczał odległości i poprawki na wiatr, a w końcu posłał strzałę prosto w

głowę kumpla, sir. – Podniósł z ziemi dziwnie wyglądający łuk. – Proszę spojrzeć, co oni nosili. Burleigh i Wręcemocny, Numer Pięć Retrorefleksyjny, zrobiony w tym piekielnym Ankh-Morpork! Zabójcza broń, sir. Moim zdaniem trzeba mu dać wybór, sir. Może powiedzieć nam wszystko, co wie, i pójdzie mu lekko, albo będzie trzymał mordę w kubel i będzie ciężko.

– Nie, sierżancie. Jest oficerem sił przeciwnika i należy mu się dobre traktowanie.

– Nie, sir. Jest sierżantem, a oni nie zasługują na żaden szacunek, sir. Znam się na tym. Jeśli w ogóle nadają się do tej roboty, to są chytry i przebiegli. Cieszyłbym się, sir, gdyby był oficerem. Ale sierżanci to spryciarze.

Związany jeniec stęknął.

– Rozluźnij mu knebel, Perks – polecił Bluza.

Instynktownie – choć ten instynkt miał zaledwie kilka dni – Polly zerknęła na Jackruma. Sierżant wzruszył ramionami. Wyjęła szmatę z ust jeńca.

– Będę mówił – oświadczył, wypływając nici. – Ale nie z tą beką tłuszczu. Będę rozmawiał z oficerem. A jego trzymajcie z daleka.

– Nie masz podstaw, żeby się targować, żołnierzyku – burknął Jackrum.

– Sierżancie – odezwał się porucznik. – Na pewno musicie dopilnować różnych spraw. Zajmijcie się tym. Przyślijcie mi tu jeszcze dwóch ludzi. Nic nie robi przeciwko nam czworgu.

– Ale...

– To też był rozkaz, sierżancie – powiedział Bluza.

Jackrum odszedł gniewnie, a porucznik zwrócił się do jeńca.

– Jak się nazywacie, żołnierzu?

– Sierżant Towering, poruczniku. A jeśli jest pan człowiekiem rozsądnym, uwolni mnie pan i podda się.

– Podda się? – zdziwił się Bluza.

Igorina i Łazer wbiegły na polankę, uzbrojone i niepewne.

– Tak. Wstawię się za wami, kiedy nasi chłopcy tutaj dotrą. Nie chce pan wiedzieć, ilu ludzi was szuka. Mogę dostać coś do picia?

– Co? A tak, oczywiście. – Bluza miał minę, jakby ktoś przyłapał go na braku manier. – Perks, przynieś herbaty dla sierżanta. Dlaczego nas szukają, jeśli można wiedzieć?

Towering uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Nie wie pan?

– Nie – odparł chłodno Bluza.

– Naprawdę pan nie wie? – Towering wybuchnął śmiechem. Zachowywał się zbyt swobodnie jak na związanego człowieka, za to Bluza mówił jak ktoś uprzejmy i zaniepokojony, kto próbuje udawać stanowczego i opanowanego. Według Polly to jakby dziecko blefowało w pokerze, grając z kimś nazywanym Doc.

– Nie mam ochoty na takie zabawy. Gadaj, o co chodzi! – zawołał Bluza.

– Wszyscy o was słyszeli, poruczniku. Jesteście Potwornym Regimentem – oznajmił jeniec. – Bez urazy, oczywiście. Mówią, że macie trolla i wampira, i Igora, i wilkołaka. Mówią, że... – Zachichotał. – Mówią, że pokonałście księcia Heinricha i jego ochronę, ukradliście im buty i zmusiliście, żeby z powrotem kicali na goło!

W gąszczu niedaleko zaśpiewał słowik. Przez dłuższą chwilę nikt mu nie przeszkadzał. Wreszcie odezwał się Bluza.

– Ha... Nie, tak naprawdę to się mylicie, sierżancie. Tamten nazywał się kapitan Horentz...

– Tak... Akurat by wam powiedział, kim jest, kiedy groziliście mu bronią. Słyszałem od kumpla, że któryś z was kopnął go w parówkę i dwa na twardo, ale nie widziałem jeszcze obrazka.

– Ktoś zrobił mu obrazek, jak go kopią? – spytała Polly, nagle przejęta zgrozą.

– Nie, tego nie. Ale wszędzie są obrazki jego w łańcuchach, a słyszałem, że przesłali je też sekarem do Ankh-Morpork.

– I jest... i się rozzłościł? – zająknęła się. Przeklinała w duchu Ottona Chrieka i jego ikonografię.

– Zaraz, niech pomyślę... – mruknął sarkastycznie Towering. – Rozzłościł? Nie, chyba jednak nie. „Wściekł się” to lepsze określenie. Albo „dostał szalu”. Tak, chyba najlepsze będzie „dostał szalu”. I teraz bardzo wielu ludzi was szuka, chłopcy. Brawo.

Nawet Bluza zauważył niepokój Polly.

– Eee... Perks – powiedział. – Czy to nie ty...

Raz po raz słowa „obogowiekopnęłamksięciawparówkęidwanatwardo” krążyły w umyśle Polly niczym chomik biegający w kołowrotku... Aż nagle trafiły w coś twardego.

– Tak, sir – odparła. – Narzucał się młodej kobiecie, sir, jeśli pan pamięta.

Zmarszczka na czole Bluzy zniknęła nagle. Porucznik uśmiechnął się z dziecinną chytryością.

– Pchał się z łapami, co? Na poważnie?

– Nie tylko o łapy mu chodziło, sir – zapewniła zirytowana Polly.

Towering zerknął na Łazer, ponuro ściskając kuszę, której – Polly wiedziała dobrze – dziewczyna się bała. I na Igorinę, która naprawdę wolałaby trzymać teraz skalpel niż szablę i wyglądała na bardzo niespokojną.

Polly zauważyła jego uśmiezek.

– Sami widzicie, sierżancie Towering – rzekł porucznik. – Oczywiście wszyscy wiemy, że w wojennym czasie zdarzają się zachowania godne potępienia. Jednakże nie spodziewamy się ich od księcia z panującego rodu⁵. Jeśli mamy być ścigani, ponieważ dzielny młody żołnierz nie dopuścił, by sytuacja stała się jeszcze bardziej obrzydliwa, to trudno.

⁵ Porucznik Bluza czytał tylko co bardziej techniczne książki historyczne.

– Nic dodać, nic ująć – przyznał jeniec. – Prawdziwy błędny rycerz, co? Przynosi wam zaszczyt, poruczniku. Jest szansa na tę herbatę?

Chuda pierś Bluzy nadęła się dumą z komplementu.

– Tak. Perks, przynieś herbatę, jeśli można prosić.

I zostawić was z tym człowiekiem, który aż promieniuje chęcią ucieczki, pomyślała Polly.

– Czy szeregowy Goom mógłby pójść... – zaczęła.

– Słówek na osobności, Perks – warknął Bluza.

Skinął na nią. Podeszła, ale wciąż zerknęła na sierżanta Toweringa. Miał co prawda związane ręce i nogi, ale człowiekowi, który tak się uśmiecha, nie zaufałyby, choćby był przybity do sufitu.

– Perks, doceniam twój wkład, ale nie pozwolę, żeby bez przerwy ktoś kwestionował moje rozkazy – oświadczył Bluza. – Jesteś w końcu moim ordynansem! Mam wrażenie, że akceptuję dość „luźne” zwyczaje, ale wymagam posłuszeństwa. Jasne?

Miała wrażenie, jakby zaatakowała ją złota rybka, jednak trudno było odmówić porucznikowi racji.

– Eee... Przepraszam, sir – powiedziała.

Cofała się jak najdalej, żeby nie przeoczyć zakończenia tragedii, a potem odwróciła się i pobięła.

Jackrum siedział przy ogniu z łukiem jeńca na kolanach. Dużym składanym nożem odcinał kawałki czegoś, co przypominało czarną kielbasę. Przeżuwał.

– Gdzie reszta, sir? – spytała Polly, nerwowo szukając kubka.

– Wysłałem ich na zwiad po okolicy. Nigdy dość ostrożności, jeśli nasz przyjaciel ma tu swoich kumpli.

To całkiem rozsądne. Ale w efekcie połowa oddziału biega po lesie...

– Pamięta pan tego kapitana w koszarach, sierżancie? To był...

– Mam dobry słuch, Perks. Kopnąłeś go w Królewskie Prerogatywy, co? Robi się naprawdę ciekawie.

– To się źle skończy, sierżancie. Wiem, że to się źle skończy.

Zdjęła z haka kociołek i napełniła imbryk, wylewając połowę wody.

– Żujesz, Perks? – zapytał Jackrum.

– Co, sierżancie? – zdziwiła się mimowolnie.

Jackrum podsunął jej mały kawałek czegoś lepkiego i czarnego.

– Tytoń. Tytoń do żucia – wyjaśnił. – Wolę Czarnoserc od Wesołego Żeglarza, bo moczą go w rumie, ale niektórzy...

– Sierżancie, ten człowiek ucieknie, sierżancie! Wiem, że tak! Nie nasz porucznik tam dowodzi, ale on! Zachowuje się całkiem przyjaźnie i w ogóle, ale widzę po jego oczach, sierżancie...

– Jestem pewien, że porucznik Bluza wie, co robi, Perks – oświadczył Jackrum sztywno.
– Nie w mówisz mi chyba, że związany jeniec może pokonać czwórkę naszych ludzi.

– Niech to motyla noga! – zawołała Polly.

– Tam w głębi, w takiej starej czarnej puszcze – podpowiedział Jackrum.

Polly wsypała do wody trochę najgorszej herbaty, jaką mógł zaparzyć żołnierz.

Biegiem wróciła na polankę.

Zadziwiające, ale jeniec nadal siedział na trawie, nadal ze związanymi rękami i nogami. Inni Serożercy obserwowali go przygnębieni. Polly uspokoiła się, ale tylko trochę.

– ...to wygląda, poruczniku – tłumaczył jeniec. – Żadna hańba teraz się wycofać, prawda? On i tak wkrótce was dopadnie, bo teraz to już sprawa osobista. Ale jeśli pójdziecie ze mną, postaram się, żeby dobrze się to skończyło. Naprawdę nie chcecie, żeby dopadli was ciężcy dragoni. Oni nie mają poczucia humoru...

– Herbata gotowa – oznajmiła Polly.

– Dziękuję ci, Perks – rzekł porucznik. – Myślę, że możemy przynajmniej uwolnić sierżantowi Toweringowi ręce, co?

– Tak, sir – odpowiedziała Polly, mając na myśli: „Nie, sir”.

Jeniec podsunął jej związane przeguby, a Polly ostrożnie sięgnęła do nich nożem, trzymając kubek jak broń.

– Sprytnego ma pan tu chłopaka, sierżancie – pochwalił Towering. – Zgaduję, że spróbuję wyrwać mu nóż. Dobry żołnierz.

Polly rozcięła sznur i szybko cofnęła rękę. Potem ostrożnie podała kubek.

– I herbatę też przygotował letnią, żeby nie parzyła, kiedy chlusnę mu w twarz – ciągnął Towering.

Rzucił jej szczere, otwarte spojrzenie skończonego drania.

Polly wytrzymała je – kłamstwo za kłamstwo.

– No tak... Ludzie z Ankh-Morpork mają małą prasę drukarską na wozie, po drugiej stronie rzeki. – Jeniec wciąż obserwował Polly. – Dla morale, jak mówią. I posłali obrazek do miasta, przez sekary. Nie pytajcie jak. Owszem, niezły obrazek. „Nieopierzeni rekruci pokonują chlubę Zlobeni”, napisali. Zabawne, ale wygląda to, jakby piszący też nie poznał księcia. Za to my wszyscy poznaliśmy.

Jego głos zabrzmiał jeszcze bardziej przyjaźnie.

– No więc posłuchajcie mnie, koledzy. Jestem piechurem, jak wy, i bardzo mi się podoba, kiedy ci oślarze wychodzą na durniów. Jeśli teraz pójdziecie ze mną, postaram się, żebyście przynajmniej jutro nie spali w łańcuchach. To moja najlepsza oferta. – Wypił łyk herbaty i dodał: – Lepsza, niż otrzymała większa część dziesiątego, poważnie. Słyszałem, że wasz regiment został kompletnie rozbity.

Polly nie zmieniła wyrazu twarzy, ale czuła, jak za stanowczą miną zwija się w maleńką kulkę. Patrz mu w oczy, patrz w oczy... Kłamca. Kłamca!

– Rozbity? – powtórzył Bluza.

Towering rzucił kubek. Lewą ręką wyrwał Łazer kuszę, prawą złapał szablę Igoriny i opuścił wygięte ostrze na sznur wiążący mu nogi. Wszystko zdarzyło się prędko, zanim ktokolwiek zorientował się w zmianie sytuacji. A potem sierżant poderwał się, uderzył Bluzę w twarz i złapał za gardło, osłaniając się nim jak tarczą.

– I miałeś rację, mały – zwrócił się do Polly ponad ramieniem porucznika. – Naprawdę pech, że nie ty jesteś oficerem, nie?

Reszta rozlanej herbaty wsiąkła w ziemię. Polly wolno sięgnęła po kuszę.

– Nie próbuj. Jeden krok, jeden ruch któregoś z was, a go potnę – ostrzegł Towering. – Możecie mi wierzyć, to nie będzie pierwszy oficer, którego zabiłem...

– Różnica między nimi a mną polega na tym, że mnie nie zależy...

Pięć głów odwróciło się jednocześnie. To był Jackrum, oświetlony słabo przez dalekie ognisko. Trzymał łuk jeńca, napięty mocno i wymierzony prosto w niego, z całkowitym lekceważeniem faktu, że na drodze strzały znalazła się głowa porucznika. Bluza zamknął oczy.

– Zastrzelisz własnego oficera? – spytał Towering.

– Jasne. I to też nie będzie mój pierwszy – zapewnił Jackrum. – Nigdzie stąd nie pójdziesz, przyjacielu, jedynie w dół. Łatwo czy trudno... nie obchodzi mnie.

Łuk zatrzeszczał.

– Blefujesz...

– Słowo honoru daję, nie jestem z tych blefujących. A przy okazji, chyba nie byłem przedstawiony. Nazywam się Jackrum.

Zdawało się, że Towering zmałał, jakby każda jego komórka bardzo cichutko powiedziała do siebie: „o rany...”. Oklapł, a Bluza przygarbił się trochę.

– Czy mogę...

– Za późno – stwierdził Jackrum.

Polly nigdy nie miała zapomnieć odgłosu, jaki wydaje strzała. Zapadła cisza, a potem głuche uderzenie, gdy ciało Toweringa straciło w końcu równowagę i upadło. Jackrum spokojnie odłożył łuk.

– Przekonał się, z kim zaczął – stwierdził, jakby nic specjalnego się nie wydarzyło. – Właściwie szkoda. Wydawał się dość porządny. Została jeszcze salupa, Perks?

Porucznik Bluza bardzo powoli uniósł dłoń do ucha, przedziurawionego strzałą w jej drodze do celu. A potem z dziwną obojętnością spojrzał na pokrwawione palce.

– Och, przepraszam za to, sir – rzekł serdecznym tonem Jackrum. – Dostrzegłem tylko tę jedną możliwość, więc pomyślałem: to w końcu miękki kawałek. Proszę sobie wpiąć złoty kolczyk, sir, a będzie szczyt mody. No, powiedzmy: duży złoty kolczyk.

Spojrzał na resztę oddziału.

– I nie wiercie w te bzdury o Piersiach i Tyłkach – dodał. – To zwykłe kłamstwa. Lubię,

kiedy coś się dzieje. No więc teraz zrobimy tak... Czy ktoś może mi powiedzieć, co teraz zrobimy?

– Eee... Pogrzebiemy ciało? – zgadywała Igorina.

– Owszem. Ale sprawdź jego buty. Ma małe stopy, a Złobeńcy dostają o wiele lepsze buty niż my.

– Ukradłby pan buty zabitego, sierżancie? – zdumiała się wciąż zaszokowana Łazer.

– Łatwiej niż ściągnąć je żywemu! – Jackrum złagodniał trochę, widząc jej minę. – To jest wojna, chłopcy, rozumiecie? On był żołnierzem, tamci byli żołnierzami, wy jesteście żołnierzami.. mniej więcej. Żaden żołnierz nie pozwoli, żeby zmarnowało się żarcie albo porządne buty. Ale pochować trzeba ich przyzwoicie i zmówić takie modlitwy, jakie kto pamięta. I mieć nadzieję, że trafią tam, gdzie się nie walczy. – Wzniósł głos do zwykłego krzyku. – Perks, zbierz wszystkich! Igor, zasyp ogień, postaraj się, żeby wyglądał, jakby nas tu wcale nie było! Wyruszamy za równe dziesięć minut! Zrobimy parę mil, zanim będzie widno! Dobrze, poruczniku?

Bluza wciąż był oszołomiony. Zdawało się, że dopiero teraz się budzi.

– Co? Ach... tak. Słusznie. Bardzo słusznie. Tak. Zajmijcie się tym, sierżancie.

Ogień oświecił tryumfującą minę Jackruma. W czerwonym blasku małe ciemne oczka były jak otwory w przestrzeni, wyszczerzone usta niczym brama piekieł, a wielkie cielsko przypominało potwora z Otchłani.

On na to pozwolił, myślała Polly. Wykonywał rozkazy. W niczym się nie sprzeciwiał. Ale mógł przysłać do pomocy Maladicta i Nefryt zamiast Łazer i Igoriny, które nie radzą sobie z bronią. Odesłał pozostałych. Miał przygotowany łuk. Przeprowadził tę grę z nami jako pionkami i wygrał..

„Stary żołnierz, jeśli kiedyś zaciągnie się znów, diabeł będzie sierżantem mu!” – śpiewał jej ojciec z przyjaciółmi, kiedy szron osiadał na szybach.

W blasku ognia uśmiech sierżanta Jackruma był krwawym półksiężycem, a jego kurtka miała kolor nieba nad polem bitwy.

– Jesteście moimi małymi chłopaczkami! – ryknął. – I ja o was zadbam!

Pokonali jeszcze sześć mil, zanim Jackrum zarządził postój. Teren zmieniał się wyraźnie, widzieli więcej kamieni i mniej drzew. Dolina Kneck była żyzna i płodna, a ta żyzność stąd właśnie do niej spływała. Szli przez region wąwozów i suchych zarośli, i nielicznych osad, których mieszkańcy usiłowali wyżyć z nędznej ziemi. W tym terenie łatwo było się ukryć – i trafili w miejsce, gdzie już ktoś się ukrywał. Był to parów wyłobiony przez strumień, ale pod koniec lata strumień zmienił się w strużkę wody między skałami. Jackrum znalazł chyba to miejsce po zapachu, bo ze szlaku nie dało się go zauważyć.

Popioły ogniska były jeszcze ciepłe. Sierżant zbadał je, a potem wstał niezgrabnie.

– Jakies chłopaki, podobne do naszych przyjaciół z zeszłej nocy – stwierdził.

– A nie mógł to być zwykły myśliwy, sierżancie? – spytał Maladict.

– Mógł być, kapralu, ale nie był. Przyprowadziłem was tu, bo wygląda to na ślepy parów, jest woda, dobre punkty obserwacyjne tam i tam, przyzwoita przewieszka, żeby osłaniać nas przed deszczem. I trudno byłoby komuś się do nas podkraść. Krótko mówiąc, wojskowe miejsce. I wczoraj w nocy ktoś myślał tak samo jak ja. No więc kiedy oni wszędzie nas szukają, my posiedzimy cichutko w miejscu, gdzie już sprawdzali. Poślijcie dwóch chłopaków na wartę, ale już.

Polly wylosowała pierwszą zmianę na szczycie małego urwiska nad parowem. Rzeczywiście, dobre miejsce, trudno zaprzeczyć. Dałoby się tu ukryć cały regiment, no i nikt nie mógł się zbliżyć niezauważony. A że pełniła służbę jak porządny żołnierz, to zanim zejdzie z warty, Bluza pewnie znajdzie kogoś innego, kto go ogoli. Przez szczelinę w koronach drzew pod sobą widziała coś w rodzaju drogi biegnącej przez las. Uważała na nią.

W końcu zwolniła ją Stukacz, która przyniosła kubek zupy. Po drugiej stronie parowu Loft zastąpiła na stanowisku Łazer.

– Skąd pochodzisz, Ozz? – spytała Stukacz, kiedy Polly pochłaniała zupę.

Przecież nie mogło to w niczym zaszkodzić...

– Z Munzu.

– Naprawdę? Ktoś mówił, że pracowałaś w barze. Jak się nazywała gospoda?

Ach... czyli jednak zaszkodziło. Ale teraz nie mogła raczej kłamać.

– Pod Księżną.

– Ta wielka? Bardzo elegancka. Dobrze cię traktowali?

– Co? Och... tak. Tak. Całkiem dobrze.

– Bili cię czasem?

– Mnie? Nie, nigdy – zapewniła Polly. Nie wiedziała, do czego zmierzają te pytania.

– Pracowałaś ciężko?

Polly musiała się zastanowić. Prawdę mówiąc, pracowała ciężiej niż obie pokojówki, które miały jedno wolne popołudnie w tygodniu.

– Zwykle pierwsza wstawałam i ostatnia się kładłam do łóżka, jeśli o to ci chodzi – wyjaśniła. I żeby zmienić temat, dodała szybko: – A ty? Znasz Munz?

– Obie tam mieszkaliśmy. Ja i Tilda... to znaczy Loft.

– Tak? A gdzie?

– W Szkole Zawodu dla Dziewcząt – odparła Stukacz i odwróciła głowę.

W takie pułapki może człowieka wpędzić luźna rozmowa, pomyślała Polly.

– To pewnie nie była miła szkoła... – powiedziała, czując się bardzo głupio.

– Nie była miła, rzeczywiście. Raczej bardzo paskudna – oświadczyła Stukacz. – Myślmy, że Łazer też tam była. To znaczy myślmy, że to ona. Często wynajmowali ją do pracy.

Polly kiwnęła głową. Kiedyś dziewczyna ze szkoły przychodziła do pracy Pod Księżną

jako pokojówka. Zjawiała się co rano, wyszorowana i w czystym fartuszu, odłączając od kolumny bardzo podobnych dziewcząt, prowadzonych przez nauczycielkę i eskortowanych przez kilku potężnych mężczyzn z długimi kijami. Była chuda, grzeczna – w takim bezbarwnym, wymuszonym stylu, pracowała ciężko i nigdy z nikim nie rozmawiała. Zniknęła po trzech miesiącach i Polly nigdy się nie dowiedziała dlaczego.

Stukacz patrzyła Polly w oczy, jakby drwiąc z jej naiwności.

– Chyba to ją zamykali czasem w tym specjalnym pokoju. Bo tak to wygląda w szkole: albo robisz się twarda, albo coś ci się psuje w rozumie.

– Myślę, że chętnie stamtąd odeszłyście... – Nic innego nie przyszło Polly do głowy.

– Okno w piwnicy nie było zamknięte – wyjaśniła Stukacz. – Ale obiecałam Tildzie, że wrócimy któregoś dnia, następnego lata.

– Och, czyli nie było tam aż tak źle? – spytała Polly z nadzieją.

– Nie. Będzie się lepiej palić. Spotkałaś kiedyś niejakiego ojca Jupe?

– Tak. – Polly wyczuła, że oczekuje się po niej czegoś więcej, dodała zatem: – Przychodził czasem na obiad, kiedy mama... Przychodził na obiad. Trochę nadęty, ale wydawał się całkiem w porządku.

– Tak – zgodziła się Stukacz. – W wydawaniu się był naprawdę dobry.

Raz jeszcze konwersację przecięła mroczna otchłań, nad którą nawet troll nie zdołałby przerzucić mostu. I jedyne, co można było zrobić, to cofnąć się znad krawędzi.

– Lepiej pójdę i sprawdzę, co z poru... z rupertem. – Polly wstała. – Bardzo dziękuję za zupę.

Ostrożnie zsuwała się zboczem przez piargi i kępy brzoź, aż stanęła na dnie parowu, przy brzegu potoku. A tam, niczym potworny bóg rzeki, czekał sierżant Jackrum.

Czerwona kurtka – namiot dla ludzi mniejszego kalibru – wisiał, starannie umieszczony na krzaku. Jackrum siedział na kamieniu. Zdjął koszulę, szerokie szelki dyndały po bokach; jedynie żółknący wełniany podkoszulek ratował świat przed widokiem jego nagiej piersi. Z jakiegoś powodu jednak sierżant nie zdjął z głowy czaka. Zestaw do golenia – brzytwa wielkości małej maczety i pędzel, którego można by użyć do klejenia tapet – leżały obok na kamieniu.

Jackrum moczył stopy w wodzie. Uniósł głowę, kiedy usłyszał Polly, i skinął jej przyjaźnie.

– Dzień dobry, Perks – powiedział. – Nie spiesz się. Nigdy się nie spiesz dla ruperta. Usiądź na chwilkę. Zdejmij buty. Niech twoje stopy pocują świeże powietrze. Dbaj o nie, to i one cię nie zawiodą. – Wyjął swój wielki scyzoryk i wałek tytoniu do żucia. – Na pewno nie chcesz spróbować?

– Nie, sierżancie. Dziękuję. – Polly usiadła na kamieniu po drugiej stronie potoczku i zaczęła ściągać buty. Miała wrażenie, że właśnie wydano jej rozkaz. Zresztą chciała się orzeźwić chłodną, czystą wodą.

– Grzeczny chłopak. Paskudny nałóg. Gorszy niż papierosy. – Jackrum odciął spory kawałek. – Zaczęłam, kiedy byłem jeszcze całkiem młody. Bezpieczniejsze to niż palenie w nocy. Nie chcesz przecież zdradzać swojej pozycji. Co jakiś czas trzeba splunąć tym towarem, ale płuć po ciemku nie widać.

Polly zanurzyła stopy. Lodowata woda rzeczywiście odświeżała, pobudzała do życia. Wśród drzew zaśpiewał ptak.

– Powiedz to, Perks – odezwał się po chwili sierżant.

– Co powiedzieć, sierżancie?

– Niech to piekło pochłonie, Perks, mamy piękny dzień, więc nie rób ze mnie durnia. Widziałem, jak mi się przyglądasz.

– No dobrze, sierżancie. W nocy zamordował pan człowieka.

– Naprawdę? Udowodnij to – odpowiedział spokojnie.

– No więc nie mogę, prawda? Ale to pan wszystko ustawił. Nawet posłał pan Łazera i Igora, żeby go pilnowali. A oni słabo sobie radzą z bronią.

– A jak dobrze powinni sobie radzić, jak ci się wydaje? Was czterech przeciwko związanemu człowiekowi? Nie... Ten sierżant był martwy już w chwili, kiedy go złapaliśmy. I wiedział o tym. Potrzebny był pieprzony geniusz, taki jak twój rupert, by mu zasugerować, że ma jakąś szansę. Jesteśmy w lesie, chłopcze. Co Bluza chciał z nim zrobić? Komu mieliśmy go przekazać? Czy porucznik włókłby go z nami? A może przywiązałby go do drzewa, żeby kopniakami odpędzał wilki, dopóki się nie zmęczy? Tak, to o wiele bardziej eleganckie, niż poczęstować go papierosem, a potem ciąć tam, gdzie człowiek szybko schodzi. Jeniec tego się spodziewał i to by dostał ode mnie.

Jackrum wsunął do ust kawał tytoniu.

– Wiesz, Perks, na czym polega większa część wojskowego szkolenia? Czemu służą wrzaski takich bubków jak Strappi? Żeby cię zmienić w człowieka, który na jedno słowo komendy wbije klingę w jakiegoś biednego pętaka, całkiem do ciebie podobnego, który akurat nosi niewłaściwy mundur. On jest taki jak ty, ty jesteś taki jak on. On tak naprawdę nie chce cię zabijać i ty naprawdę nie chcesz zabijać jego. Ale jeśli ty nie zabijesz go pierwszy, on zabije ciebie. To wszystko, początek i koniec. A bez szkolenia nie jest to łatwe. Ruperty nie mają takiego szkolenia, bo są dżentelmenami. No więc słowo honoru daję, że ja dżentelmenem nie jestem i zabiję, kiedy będzie trzeba. Powiedziałem, że się wami zaopiekuję, i żaden nieszczęsny rupert mi w tym nie przeszkodzi. Przekazał mi zwolnienie ze służby! – Jackrum ociekał wręcz oburzeniem. – Mnie! I jeszcze się spodziewał, że mu podziękuję! Każdy inny rupert, pod którym służyłem, miał dość rozumu, by napisać „Nie służy w tej jednostce”, „Wyruszył na daleki patrol” albo coś podobnego i wetknąć przesyłkę z powrotem do poczty. Ale nie on!

– Co takiego powiedział pan kapralowi Strappiemu, że uciekł? – spytała Polly, nim zdążyła się powstrzymać.

Jackrum przyglądał się jej przez chwilę, z twarzą całkiem bez wyrazu. A potem zaśmiał się dziwnie.

– Dlaczego taki młody chłopak jak ty pyta o taką drobnostkę?

– Bo on po prostu znika, a potem nagle ujawnia się jakiś stary przepis, który pozwala panu wrócić z honorami. Dlatego właśnie pytam o tę drobnostkę.

– Ha! Nie ma też takiego przepisu, na jaki się powołałem. – Jackrum poruszał stopami w wodzie. – Ale ruperty nigdy nie czytają regulaminów, chyba że szukają powodu, żeby człowieka powiesić, więc grałem na pewniaka. Strappi robił w portki ze strachu, wiesz o tym.

– Tak, ale mógł się wymknąć później. Przecież nie był głupi. Wybiec tak w noc? Musiał uciekać przed czymś całkiem bliskim. Prawda?

– Niech mnie, ależ masz paskudny mózg, Perks – stwierdził sierżant z zadowoleniem.

Raz jeszcze Polly miała wrażenie, że bawi go to i cieszy, tak jak wtedy, kiedy narzekała na kolor munduru. Nie był tyranem, jak Strappi. Igorinę i Łazer traktował z czymś zbliżonym do ojcowskiej troski – ale Polly, Maladicta i Stukacz poszturchiwał bez przerwy, czekając, aż go odepchną.

– Robi swoją robotę, sierżancie – odparła.

– Odbylem z nim małe teta-tet, rozumiesz. Spokojne, bez krzyków. Wyjaśniłem, jakie niemiłe rzeczy mogą się przytrafić wiz-a-wi wojennego chaosu.

– Jak bycie znalezionym z poderżniętym gardłem? – domyśliła się Polly.

– Wiadomo, że to się zdarzało – przyznał z niewinną miną Jackrum. – Chłopcze, pewnego dnia będzie z ciebie wściekle dobry sierżant. Każdy dureń potrafi korzystać z oczu i uszu, ale ty używasz jeszcze mózgu, który je łączy.

– Nie mam zamiaru być sierżantem! Mam zamiar zrobić swoje i wrócić do domu! – zapewniła gorąco Polly.

– Tak, ja też tak kiedyś mówiłem. – Jackrum wyszczerzył zęby. – Widzisz, Perks, ja nie potrzebuję żadnych sekarowych zabawek. Nie potrzebuję azety z nowinami. Sierżant Jackrum wie, co się dzieje. Rozmawia z ludźmi, którzy wracają i którzy nie gadaliby z nikim innym. Wie więcej niż rupert, chociaż on dostaje ze sztabu liściki, którymi tak się przejmuję. Każdy chętnie rozmawia z sierżantem Jackrumem. A w swojej wielkiej i tłustej głowie sierżant Jackrum zestawia wszystko do kupy. I sierżant Jackrum wie.

– A co się dzieje, sierżancie? – zapytała Polly z głupia frant.

Jackrum nie odpowiedział od razu. Stęknął, pochylił się i podrapał stopę. Skorodowany szyling na łańcuszku, dotąd leżący spokojnie na wełnianym podkoszulku, zakołysał się nagle na szyi. Ale było tam coś jeszcze. Na moment spod koszulki wysunęło się coś złotego – złotego i owalnego, na złotym łańcuszku, i błysnęło w promieniach słońca. A potem sierżant się wyprostował i zagadkowe coś wsunęło się znowu pod materiał.

– To bardzo dziwna wojna, mój chłopcze. To prawda, że przeciw sobie mamy nie tylko złobeńskich żołnierzy. Chłopcy mówią, że są tam mundury, jakich jeszcze nigdy nie widzieli.

Przez lata skopaliśmy wiele tyłków, więc może rzeczywiście się dogadali i teraz przyszła nasza kolej. Ale moim zdaniem oni utknęli w miejscu. Zdobyli twierdzę. O tak, wiem o tym. Lecz muszą ją jeszcze utrzymać. Nadchodzi zima, a wszyscy ci chłopcy z Ankh-Morpork i nie wiadomo skąd jeszcze są bardzo daleko od domu. Możemy mieć szansę, zwłaszcza teraz, kiedy księżę koniecznie chce dorwać tego młodego żołnierza, który przyłożył mu z kolana w ślubny ekwipunek. A to znaczy, że jest wściekły. I zacznie popełniać błędy.

– No więc, sierżancie, myślę...

– Cieszę się, że myślicie, szeregowy Perks. – Jackrum znowu zmienił się w sierżanta. – I sądzę, że kiedy już zajmiecie się rupertem, a potem trochę zdrzemnicie, to razem damy chłopakom małą lekcję fechtunku. Nieważne, jaka to piekielna wojna, ale wcześniej czy później młody Łazer będzie musiał użyć szabli, którą ze sobą taszczy. Ruszaj.

Polly znalazła porucznika Bluzę. Oparty plecami o skałę, jadł skubbo z miski. Igorina pakowała swój zestaw medyczny, a Bluza miał zabandażowane ucho.

– Wszystko w porządku, sir? – upewniła się. – Przepraszam, nie byłem...

– Ależ rozumiem, Perks. Musisz odsłużyć swoją kolejkę jak inni „chłopcy” – stwierdził Bluza i Polly naprawdę słyszała, jak opadają na miejsca cudzysłowy. – Przespałem się trochę, a krwawienie... i drzenie również... całkiem ustało. Jednakże... wciąż potrzebne mi golenie.

– Chce pan, żebym pana ogolił... – domyśliła się załamana Polly.

– Muszę dawać przykład, Perks, ale chcę zaznaczyć, że wy, „chłopcy”, tak się staracie, że aż mi wstyd. Wszyscy macie twarze gładkie „jak pupa niemowlęcia”.

– Tak, sir.

Polly wyjęła przyrządy do golenia i podeszła do ogniska, gdzie zawsze grzał się kociołek z wodą. Większa część oddziału spała. Tylko Maladict siedział przy ogniu ze skrzyżowanymi nogami i robił coś ze swoim czakiem.

– Słyszałem o tej sprawie z jeńcem wczoraj w nocy – powiedział, nie podnosząc głowy. – Nie wydaje mi się, żeby por długo przetrwał. A tobie?

– Kto?

– Porucznik. Zapewne będzie miał fatalny wypadek. Jackrum uważa, że jest niebezpieczny.

– Uczy się, tak jak my.

– Owszem, ale por powinien wiedzieć, co robi. Sądzisz, że on wie?

– Jackrum też się pogubił – oświadczyła Polly, dolewając do kociołka zimnej wody. – Myślę, że po prostu będziemy szli dalej.

– Jeśli jest coś, do czego możemy dojść – mruknął Maladict. Podniósł czako. – Co o tym myślisz?

Z boku, obok paczki papierosów, wypisane były słowa: „Urodzony, by umrzeć”.

– Bardzo... indywidualne – przyznała Polly. – Dlaczego palisz? To nie jest zbyt... no, zbyt wampiryczne...

– Ja sam nie powinienem być zbyt wampiryczny. – Maladict zapalił drżącą dłonią. – Chodzi o ssanie. Potrzebuję go. Jestem pobudzony, jestem na głodzie kawowym, a w lesie w ogóle nie radzę sobie za dobrze.

– Przecież jesteś wamp...

– Tak, tak... Gdyby to były krypty, żaden problem. Ale tutaj stale mam wrażenie, że jestem otoczony przez mnóstwo zaostrzonych kołków. No i... zaczynam cierpieć. Czuję się stale jak gacek na mrozie. Słyszę głosy, pocę się...

– Psst! – szepnęła Polly, gdy Kukuła jęknęła przez sen. – To niemożliwe – stwierdziła. – Sam mówiłeś, że nie pijesz już od dwóch lat.

– Och, kr... krach... krwi? – mruknął Maladict. – Kto tu mówi o krwi? Mnie chodzi o kawę, do licha!

– Mamy dość herba...

– Nie zrozumiesz tego. Idzie o... pożądanie. Ono nigdy nie ustaje, można najwyżej zmienić obiekt na taki, który nie skłania ludzi do przerobienia mnie w kebab. A teraz potrzebuję kawy!

Dlaczego znowu ja? – zastanawiała się Polly. Czy mam nad głową taki szyld z napisem: „Opowiedz mi o swoich kłopotach”?

– Zobaczę, co da się zrobić – obiecała i pospiesznie napełniła kubek do golenia.

Wróciła z wodą, usadziła Bluzę na kamieniu i przygotowała trochę piany. Naostrzyła brzytwę, poświęcając na to możliwie dużo czasu. A kiedy porucznik chrząknął zniecierpliwiony, zajęła stanowisko, uniosła brzytwę i pomodliła się...

...ale nie do Nuggana, nigdy do Nuggana, od dnia, kiedy umarła matka...

A potem nagle Loft biegła parowem i usiłowała krzyczeć szeptem.

– Ktoś idzie!

Niewiele brakowało, by Bluza stracił zdrowe ucho. Jak znikąd pojawił się Jackrum, już w butach, ale wciąż z opuszczonymi szelkami. Chwycił Loft za ramię i obrócił w miejscu.

– Gdzie? – zapytał.

– Tam dalej jest trakt! Żołnierze! Wozy! Co robimy, sierżancie?

– Unikamy hałasu – mruknął Jackrum. – Zmierzają w naszą stronę?

– Nie, przejechali obok, sierżancie.

Jackrum obejrzał się i zadowolonym spojrzeniem zmierzył resztę oddziału.

– No dobra... Kaprału, weźcie Karborunda z Perks i przyjrzyjcie się temu. Reszta, zbierzcie ekwipunek i starajcie się być dzielni. Tak, poruczniku?

Bluza w oszłomieniu ścierał z twarzy pianę.

– Co? Ach, tak. Zajmijcie się tym, sierżancie.

Dwadzieścia sekund później Polly zbiegała za Maladictem po zboczu. Tu i tam między drzewami widziała dno doliny, a niekiedy także błyski słońca na metalu. Na szczęście drzewa pokryły ziemię grubą warstwą igieł, a wbrew powszechnej opinii poszycie lasu nie jest

zarzucone gałązkami, które pękają z głośnym trzaskiem. Dotarli na brzeg, gdzie krzaki walczyły ze sobą o dostęp do światła, a po chwili znaleźli wygodny punkt obserwacyjny.

Zobaczyli tylko czterech żołnierzy w nieznajomych mundurach. Dwóch przed i dwóch za wozem. Wóz był nieduży i okryty płótnem.

– Co jest takiego na tym wózku, co musi ochraniać aż czterech ludzi? – zdziwił się Maladict. – Na pewno coś cennego.

Polly wskazała sporą flagę zwisającą z masztu na wozie.

– Myślę, że to ten człowiek z azety – oświadczyła. – To ten sam wóz. I ta sama flaga.

– W takim razie to dobrze, że przejechali – szepnął Maladict. – Poczekamy, aż znikną, i poczołgamy się z powrotem, jak dzielne małe myszki.

Dwaj jeźdźcy na przedzie przystanęli i odwrócili się w siodłach, czekając, aż wóz ich dogoni. Nagle jeden wskazał coś z tyłu, poza ukrytymi obserwatorami. Zabrzmiało wołanie, zbyt daleko, by je zrozumieć. Żołnierze z tyłu podjechali do kolegów. Nastąpiła dyskusja, po czym dwóch żołnierzy ruszyło truchtem z powrotem.

– Niech to licha – mruknęła Polly. – Co zauważyli?

Jeźdźcy minęli ich kryjówkę, zniknęli w lesie.

– Biegniemy, żeby ich załatwić? – zaproponowała Nefryt.

– Niech Jackrum się tym zajmie – zdecydował Maladict.

– Ale jeśli to zrobi i jeśli ci ludzie nie wrócą... – zaczęła Polly.

– Kiedy nie wrócą – poprawił ją Maladict.

– ...wtedy tych dwóch przy wozie zacznie coś podejrzewać. Jeden prawdopodobnie tu zostanie, drugi pojedzie po pomoc.

– W takim razie podkradniemy się i zaczekamy. Patrzcie, zsiadają z koni. Wóz też stoi. Jeśli zaczną wyglądać na zaniepokojonych, wtedy ruszymy.

– I co? – chciała wiedzieć Polly.

– Zagrozimy, że ich zastrzelimy – stwierdził stanowczo Maladict.

– A gdyby nie uwierzyli?

– To zagrozimy, że ich zastrzelimy, o wiele głośniej. Zadowolona? I mam nadzieję, że znajdziemy u nich trochę kawy.

Są trzy sprawy, jakie załatwia żołnierz, kiedy trafi się odpoczynek w drodze. Jedna wiąże się z zapaleniem papierosa, druga z rozpaleniem ognia, a trzecia nie ma żadnego związku z paleniem, chociaż na ogół wymaga drzewa⁶.

Dwaj żołnierze szybko rozpalili ogień. Woda w kociołku zaczynała parować, kiedy z wozu zeskoczył młody człowiek, przeciągnął się, rozejrzał, ziewnął, a potem odbiegł kawałek w las. Znalazł dogodne drzewo i po chwili z wystudiowanym zaciekawieniem zaczął analizować wygląd kory na wysokości oczu. Czubek stalowego hełmu z kuszy dotknął jego karku, a ktoś powiedział:

⁶ Właściwie drzewo nie jest technicznie niezbędne, ale pożądane ze względu na styl.

– Podnieś ręce i odwróć się powoli.

– Jak to, teraz?

– No... no dobrze, nie. Możesz skończyć to, co robisz.

– Prawdę mówiąc, to będzie raczej niemożliwe. Może tylko... już. W porządku. – Młody człowiek znowu podniósł ręce. – Rozumiecie chyba, że wystarczy mi krzyknąć?

– I co? – spytała Polly. – A mnie wystarczy nacisnąć spust. Będziemy się ścigać?

Młody człowiek się odwrócił.

– Widzisz? – Polly odstąpiła o krok. – To znowu on. De Worde. Ten piszący.

– Jesteście nimi! – zawołał młody człowiek.

– Nimi kim? – spytała Nefryt.

– O rany... – mruknął Maladict.

– Słuchajcie, oddałbym wszystko, żeby z wami porozmawiać – zapewnił de Worde. – Proszę...

– Jesteś z nieprzyjacielem – syknęła Polly.

– Co? Z nimi? Nie. Oni są z regimentu lorda Rusta. Z Ankh-Morpork! Przysłali ich, żeby nas ochraniać.

– Żołnierze, którzy mają was chronić w Borogravii? – zdziwił się Maladict. – A przed kim?

– Jak to przed kim? No... właściwie... w teorii to przed wami.

– Skuteczni są, co? – burknęła Nefryt.

– Słuchajcie, muszę z wami porozmawiać – tłumaczył z naciskiem de Worde. – Niesamowite! Wszyscy was szukają! To wy zabiliście tych staruszków w lesie? Śpiewały ptaki. Z daleka dobiegło wołanie samicy dzięcioła błękitnopiórego.

– Patrol znalazł świeże groby – dodał de Worde.

Wysoko w górze lodowa czapla, zimowy wędrowiec spod Osi, zaskrzeczała brzydko, szukając jezior.

– Przyjmuję zatem, że nie – rzekł de Worde.

– Pochowaliśmy ich – oświadczył zimno Maladict. – Nie wiemy, kto ich zabił.

– Zabraliśmy stamtąd trochę warzyw – dodała Polly.

Przypominała sobie, że się z tego śmiały. Owszem, mogły albo się roześmiać, albo wybuchnąć płaczem, ale i tak...

– Żywiecie się tym, co znajdziecie? – De Worde wyciągnął z kieszeni notes i zapisał coś ołówkiem.

– Nie musimy z panem rozmawiać – stwierdził Maladict.

– Nie, nie! Musicie! Tyle chciałbym się od was dowiedzieć! Jesteście z... no... Prawem i Lewem, tak?

– Piersi i Tyłki – poprawiła go Polly.

– I jeszcze...

– Mam tego dość – oświadczył Maladict.

Odszedł od drzewa na polanę. Dwaj kawalerzyści spojrzeli na niego od ogniska. Nastąpił moment bezruchu, po czym jeden z nich sięgnął po miecz. Maladict błyskawicznie przesunął kuszę od jednego do drugiego; ostrze bełtu zdawało się ich hipnotyzować niczym kołyszący się zegarek.

– Mam tylko jeden strzał, a was jest dwóch – powiedział. – Kogo powinienem zastrzelić? Wy zdecydujecie. A teraz słuchajcie mnie bardzo uważnie: gdzie jest kawa? Bo przecież macie kawę, prawda? No już, każdy przecież ma kawę! Zaczynajcie sypać ziarno...

Patrzyli na kuszę i wolno kręcili głowami.

– A co z tobą, pisarzu? – warknął Maladict. – Gdzie schowałeś kawę?

– Mamy tylko kakao – odparł młody człowiek i szybko podniósł ręce, gdy Maladict zwrócił się ku niemu. – Możesz się poczęstować... Maladict rzucił kuszę, która wystrzeliła prosto w górę⁷. Usiadł, kryjąc twarz w dłoniach.

– Wszyscy zginiemy – szepnął.

Żołnierze poruszyli się nerwowo, ale Nefryt uniosła swoje drzewko.

– Nawet o tym nie myślcie – ostrzegła.

Polly zwróciła się do pisarza.

– Chce pan, żebyśmy z panem porozmawiali? To niech pan porozmawia z nami. Czy tu chodzi o... o księcia Heinricha... jego skarpety?

Maladict poderwał się jednym płynnym, oblakany ruchem.

– Sugeruję, żebyśmy załatwili ich wszystkich i wracali do domu – powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Raz! Dwa! Trzy! O co walczymy!

– Skarpety? – Pisarz zerkał nerwowo na wampira. – A co skarpety mają z tym wspólnego?

– Wydałem ci rozkaz, Polly – przypomniał Maladict.

– A co jest takiego ważnego, o czym, pańskim zdaniem, nie wiemy? – dopytywała się Polly, patrząc gniewnie na de Worde'a.

– No więc, na początek, jesteście mniej więcej wszystkim, co zostało z Piersi i Tyłków...

– To nieprawda!

– Jasne, są też pewnie jeńcy i ranni. Ale dlaczego miałbym cię okłamywać? I czemu on mówi do ciebie „Polly”?

– Bo znam się na ptakach – odparła, przeklinając w duchu. – A skąd niby pan wie, co się dzieje z regimentem?

⁷ I nie trafiła niczego, a w szczególności kaczki. W podobnych sytuacjach jest to wydarzenie tak niezwykle, że powinno być zgłoszone, zgodnie z nowym kodeksem humoru. Gdyby bełt trafił kaczkę, która zakwakała, a następnie wylądowała komuś na głowie, byłoby to oczywiście bardzo zabawne i z całą pewnością zostałoby zgłoszone. Tymczasem bełt został zniesiony nieco przez wiatr i wylądował o trzydzieści stóp dalej, w gałęziach dębu, gdzie nie trafił w wiewiórkę.

– Bo wiedza o różnych sprawach to mój zawód. Jaki ptak tam leci?

Polly spojrziała w górę.

– Nie mam czasu na głupie zabawy – oświadczyła. – A to jest...

Urwała. Coś krążyło wysoko w górze, po zakazanym błękanie.

– Nie wiesz? – spytał de Worde.

– Oczywiście, że wiem – burknęła zirytowana. – To mysołów białoszy, ale nie sądziłam, że może dotrzeć tak daleko w góry. Widziałam takie tylko w książce... – Uniosła kuszę i próbowała odzyskać panowanie nad sytuacją. – Mam rację, panie Wiedza o Różnych Rzeczach to mój Zawód?

De Worde znów podniósł ręce i uśmiechnął się słabo.

– Prawdopodobnie. Mieszkam w mieście. Umiem odróżnić wróbla od szpaka. Poza tym, jeśli o mnie chodzi, wszystko inne jest kaczką.

Polly rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Posłuchajcie mnie – nie ustępował de Worde. – To wam się przyda. Powinniście się dowiedzieć o różnych sprawach. Zanim będzie za późno.

Polly opuściła kuszę.

– Jeśli chce pan z nami rozmawiać, niech pan tu czeka – zdecydowała. – Kapralu, wynosimy się. Karborund, zabierz tych żołnierzy.

– Chwileczkę – zaprotestował Maladict. – Kto tu jest kapralem?

– Ty jesteś – przyznała Polly. – Poza tym ślinisz się, kołyszysz i dziwnie wyglądasz. Więc o co ci konkretnie chodzi?

Maladict zastanowił się przez chwilę. Polly była zmęczona, przestraszona, a gdzieś w głębi wszystko to zmieniało się w złość. Twarzy o takim wyrazie nikt nie chciałby zobaczyć na drugim końcu kuszy. Pewnie, strzała nie zabije wampira – ale to nie znaczy, że go nie zaboli.

– Racja, słusznie – powiedział. – Karborund, zabierz tych żołnierzy. Wynosimy się stąd.

Kiedy zbliżali się do kryjówki, Polly usłyszała ptasi gwizd. Zidentyfikowała ten głos jako należący do Bardzo Złego Udawacza Ptaków i zanotowała w pamięci, żeby nauczyć dziewczęta kilku ptasich świergotów, które chociaż z grubsza będą przypominały prawdziwe. To trudniejsze, niż sądzi większość ludzi.

Oddział czekał w parowie, uzbrojony i wyglądający całkiem groźnie. Nastąpiło jednak wyraźne rozluźnienie, kiedy zobaczyli Nefryt niosącą dwóch związanych żołnierzy. Dwóch pozostałych siedziało ponuro pod skałą, z rękami związanymi na plecach.

Maladict podszedł do Bluzy i zasalutował energicznie.

– Dwaj jeńcy, por, a Perks uważa, że na dole jest ktoś, z kim warto porozmawiać. – Pochylił się. – Ten typ z azety, sir.

– Więc lepiej będzie trzymać się od niego z daleka – uznał Bluza. – Prawda, sierżancie?

– Słusznie, sir – zgodził się Jackrum. – Same kłopoty, sir.

Polly zasalutowała dramatycznie.

– Mogę coś powiedzieć, sir?

– Słucham, Perks...

Zrozumiała, że ma teraz jedyną szansę. Musiała dowiedzieć się czegoś o Paulu. Jej umysł pracował tak szybko jak wtedy w nocy, kiedy rzuciła się na człowieka z książką szyfrów.

– Sir, nie wiem, czy warto rozmawiać, ale może warto go wysłuchać. Nawet jeśli pan sądzi, że będzie kłamał. Bo czasami, sir, sposób, w jaki ludzie mówią kłamstwa, jeśli jest tych kłamstw dostatecznie dużo, to tak jakby... pokazuje kształt prawdy, sir. A my przecież nie musimy mówić prawdy, sir. Też możemy kłamać.

– Z natury jestem człowiekiem prawdomównym, Perks – oświadczył chłodno porucznik.

– Miło mi to słyszeć, sir. Wygrywamy tę wojnę, sir?

– Przestań natychmiast, Perks! – ryknął Jackrum.

– To było tylko pytanie, sierżancie – odparła z wyrzutem Polly. Oddział czekał. Uszy wsysały każdy dźwięk. Wszyscy znali odpowiedź. Czekali, aby ktoś wymówił ją głośno.

– Perks, takie gadanie podkopuje morale – zaczął Bluza, ale takim tonem, jakby sam w to nie wierzył i nie dbał, kto się tego domyśli.

– Nie, sir. Wcale nie. To lepsze niż dawać się oszukiwać. – Polly zmieniła głos, dodając ostrych tonów, jakich używała matka, kiedy chciała ją skarcić. – Źle jest kłamać. Nikt nie lubi kłamców. Niech pan powie prawdę. Proszę.

Jakieś vibracje tego tonu musiały dotrzeć do starszych części umysłu Bluzy. Gdy Jackrum otworzył usta, by znowu wrzasnąć, porucznik uniósł rękę.

– Nie wygrywamy, Perks. Ale jeszcze nie przegraliśmy.

– Myślę, że wszyscy o tym wiemy, sir, ale dobrze jest usłyszeć to od pana. – Polly uśmiechnęła się zachęcająco.

To także działało.

– Nie zaszkodzi nam chyba, jeśli wobec tego biedaka przynajmniej zachowamy się uprzejmie – stwierdził Bluza, jakby głośno myślał. – Jeśli go sprytnie wypytamy, może nam przekazać cenne informacje.

Polly zerknęła na sierżanta Jackruma, który patrzył w niebo, jakby pogrążony w modlitwie.

– Proszę o zgodę na osobiste prowadzenie przesłuchania, sir – powiedział.

– Odmawiam, sierżancie. Chcę, żeby przeżył, a nie chcę stracić drugiej małżowiny. Możecie jednak zabrać Perksa i przyprowadzić go tutaj razem z wozem.

Jackrum zasalutował energicznie. Polly nauczyła się już rozpoznawać ten gest – oznaczał, że Jackrum ma plan.

– Oczywiście, sir. Chodźmy, Perks.

Sierżant milczał, kiedy znowu schodzili po dywanie igieł na zboczu. Odezwał się dopiero

po dłuższej chwili.

– Wiesz, Perks, czemu żołnierze znaleźli nasz cichy zakątek?

– Nie, sierżancie.

– Porucznik kazał Kukule natychmiast zgasić ogień. Który zresztą i tak w ogóle nie dymił. No więc Kukula wziął i wylał kociołek do ogniska.

Polly zastanawiała się przez kilka sekund.

– Para, sierżancie?

– Słusznie. Taka wielka, idąca w niebo chmura. Ale to nie wina Kukuli. Natomiast koniarze nie sprawili kłopotów. Byli dostatecznie rozsądni, żeby nie ścigać się z pół tuzinem kusz. Jak na kawalerzystów, prawdziwi mądrale.

– Brawo, sierżancie.

– Nie mów do mnie, jakbym był jakimś rupertem, chłopcze – rzucił bez gniewu Jackrum.

– Przepraszam, sierżancie.

– Ale widzę, że uczysz się kierować oficerami. Trzeba zadbać o to, żeby wydawali ci odpowiednie rozkazy, rozumiesz. Będzie z ciebie dobry sierżant, Perks.

– Ale ja nie chcę, sierżancie.

– Tak, pewnie – odpowiedział. Co mogło oznaczać wszystko.

Zanim podeszli do wozu, przez minutę obserwowali trakt. De Worde siedział na stołku i pisał coś w notesie, ale poderwał się na nogi, gdy tylko ich zobaczył.

– Może rozsądnie będzie zejść ze szlaku – powiedział, jak tylko podeszli. – Jak rozumiem, krążą tu patrole.

– Złobeńskie patrole, sir?

– Tak. W teorii to... – wskazał zwisającą z masztu flagę – ...powinno gwarantować nam bezpieczeństwo, ale w tej chwili wszyscy są dosyć nerwowi. Czy nie jest pan przypadkiem sierżantem Jackiem Rumem?

– Jackrum, sir. Lecz będę wdzięczny, jeśli zrezygnuje pan z zapisywania mojego nazwiska w swojej małej książeczce, sir.

– Przykro mi, sierżancie, ale to moja praca. Muszę zapisywać wszystko.

– No więc, sir, moja praca to żołnierka. – Jackrum wspiął się na kozioł i chwycił lejce. – Ale proszę zauważyć, że chwilowo pana nie zabijam, sir. Ruszajmy, co?

Polly wskoczyła na tył odjeżdżającego już wozu. Wypełniały go pudła i sprzęt, a choć ładunek mógł być kiedyś starannie uporządkowany, ten porządek stał się już tylko odległym wspomnieniem, wyraźną wskazówką, że wóz jest w posiadaniu mężczyzny. Obok Polly w drucianej klatce drzemało na żerdzi sześć największych gołębi, jakie widziała w życiu – zastanowiła się, czy nie są żywą spiżarnią. Jeden otworzył oko i leniwie zagruchał „Lollo llop??”, co po gołębiemu oznacza „Czego??”.

Większa część pudeł miała etykiety typu „Patentowane Suchary Polowe kapitana Calumneya” albo „Suszona potrawka”. I kiedy myślała sobie, że Kukula chętnie zapoznałaby

się z zawartością jednego czy dwóch pudeł, zwisający z góry pęk szmat zakołysał się lekko i ukazała się twarz.

– Dzień dopry – powiedziała, wisząc dołem do góry.

William de Worde obejrzał się ze swego miejsca na koźle.

– To tylko Otto – wyjaśnił. – Nie bójcie się, szeregowy.

– Tak, ja nie gryzę – zapewniła uprzejmie twarz. Uśmiechnęła się. Twarz wampira, odwrócona dołem do góry, nie wygląda od tego lepiej, a uśmiech wcale nie poprawia sytuacji. – Gwarantuję.

Polly opuściła kuszę. Jackrum byłby zachwycony tym, jak szybko ją podniosła. Ale i była trochę zakłopotana. Skarpety znowu pomyślały za nią.

Otto bardzo elegancko opuścił się na podłogę wozu.

– Dokąd zmierzamy? – zapytał, przytrzymując się deski, gdy wóz podskoczył na korzeniu.

– Takie miłe miejsce, które znam, sir – odparł Jackrum. – Spokojne i ciche.

– Dopsze. Muszę przewietrzyć chochliki. Robią zię nervove, kiedy za długo siedzą zamknięte.

Odsunął plik papierów i odsłonił wielkie pudło do robienia obrazków. Otworzył małą klapkę.

– Pora vstavać, chłopcy! – zawołał.

Z wnętrza odpowiedział mu chór piskliwych głosów.

– Na pańskim miejscu zaznaczyłbym na kartce „dot. Tygrysa”, panie de Worde – poradził Jackrum, gdy wóz skręcił na starą ścieżkę drwali.

– Tygrysa? Co to za Tygrys?

– Oj... – wystraszył się Jackrum. – Przepraszam. Tak nazywamy naszego porucznika, sir, bo jest taki odważny. Proszę zapomnieć, że o tym mówiłem, dobrze?

– Odważny, tak? – upewnił się de Worde.

– I sprytny, sir. Niech pan nie da mu się oszukać, sir. To jeden z najlepszych wojskowych umysłów swojego pokolenia.

Polly rozdziawiła usta. Sama sugerowała, że mogą okłamywać tego człowieka, ale coś takiego?

– Naprawdę? Więc dlaczego jest tylko porucznikiem?

– Aha, widzę, że nie dał się pan nabrać, sir. – Jackrum aż ociekał tajemną wiedzą. – Tak, to rzeczywiście zagadka, sir, czemu każe się nazywać porucznikiem. Uważam jednak, że pewnie ma swoje powody, co? Tak jak Heinrich nazywa siebie kapitanem, co? – Postukał palcem w bok nosa. – Widzę wszystko, sir, ale nie mówię ani słowa.

– Znalazłem o nim tylko tyle, że wykonywał jakąś biurową robotę w waszym sztabie, sierżancie – oświadczył de Worde. Powoli i ostrożnie wyjął notes.

– Tak, spodziewam się, że tyle pan odkrył, sir – zgodził się Jackrum i mrugnął

konspiracyjnie, choć bardzo wyraźnie. – A potem, kiedy sytuacja staje się fatalna, pozwalają mu wyruszyć, sir. Spuszczają go, sir. Ale wie pan, ja tam o niczym nie wiem.

– I co on robi? Wybuchą?

– Cha, cha, nieźle, sir. Nie, sir. Co robi? Oszacowuje sytuację, sir. Ja tego nie rozumiem, sir, bo nie należę do wielkich myślicieli, ale żeby ocenić pudding, wystarczy go zjeść, jak to mówią. Zeszłej nocy zaatakowało nas ośmiu... dwudziestu złożeńskich żołnierzy, sir, a porucznik w mgnieniu oka oszacował sytuację i pięciu przebił szablą, sir. Jak kebab, sir. Na oko wydaje się łagodny jak mleko, ale wystarczy go zdenerwować, a zmienia się w prawdziwy wir śmierci. Oczywiście nie słyszał pan tego ode mnie, sir.

– I dowodzi bandą rekrutów, sierżancie? – spytał de Worde. – Nie brzmi to zbyt prawdopodobnie.

– Rekrutów, którzy pokonali elitarny oddział kawalerii, sir. – Jackrum zrobił urażoną minę. – Tak się dowodzi, sir. Gdy nadchodzi czarna godzina, nadchodzi też właściwy człowiek. Jestem tylko prostym żołnierzem, sir, różnych już widziałem, jak pojawiają się i znikają. Słowo honoru daję, nie jestem kłamcą, sir, ale na porucznika Bluzę spoglądam z podziwem.

– Wydał mi się zwyczajnie zagubiony – przyznał de Worde, ale w jego głosie zabrzmiała nuta niepewności.

– To był wstrząs, sir. Oberwał tak, że kogoś słabszego by powaliło, a jednak zdołał wstać na nogi. Niesamowite, sir.

– Hmm... – De Worde coś zapisał.

Wóz pokonał wąski potok i kołysząc się, wjechał do parowu. Porucznik Bluz siedział na kamieniu. Starał się, ale i tak tunikę miał brudną, buty zabłocone, dłoń ciągle spuchniętą, a ucho wciąż niewygojone mimo wysiłków Igoriny. Szablę trzymał na kolanach. Jackrum ostrożnie zatrzymał wóz pod kępą brzoze. Cała czwórka wrogich żołnierzy siedziała związana pod skałą. Poza tym obóz wydawał się opuszczony.

– Gdzie reszta ludzi, sierżancie? – szepnął de Worde, zsuwając się na ziemię.

– Och, są gdzieś w pobliżu, sir – wyjaśnił Jackrum. – Obserwują was. Jakies gwałtowne ruchy byłyby chyba złym pomysłem, sir.

Nie widzieli nikogo innego... a potem zmaterializował się Maladict.

Ludzie nigdy na nic nie patrzą uważnie. Polly wiedziała to dobrze. Ludzie tylko zerkają. A to, co było fragmentem zarośli, teraz stało się kapralem Maladictem. Polly zauważyła, że wyciął otwór w środku swojego starego koca, a błoto i plamy z trawy na wilgotnej od rosy szarości zmieniły go we fragment krajobrazu – dopóki nie zasalutował. Dodatkowo poutykał na czaku gałązki z liśćmi.

Sierżant Jackrum wytrzeszczył oczy. Polly nigdy jeszcze nie widziała prawdziwego wytrzeszczu, ale sierżant miał twarz pozwalającą mu robić to na poziomie mistrzowskim. Czula, jak wciągał powietrze, a równocześnie układał przekleństwa do prawdziwej,

porażającej awantury... I wtedy przypomniał sobie, że gra sierżanta Wielkiego Rubasznego Grubasa i chwila nie jest odpowiednia, by przejść do sierżanta Skwierczącego ze Złości.

– Zabawne chłopaki, co? – zaśmiał się do de Worde’a. – Ciekawe, co jeszcze wymyślą.

De Worde przytaknął nerwowo, wyjął spod kozła plik azet i zbliżył się do porucznika.

– Pan de Worde, prawda? – Bluza wstał. – Perks, da się zorganizować kubek, hm... „salupy” dla pana de Worde’a? Dobry chłopak. Proszę, to kamień dla pana.

– Jestem wdzięczy, że zechciał pan się ze mną spotkać, poruczniku – odpowiedział de Worde. – Wygląda, jakby wracał pan z wojen – dodał, próbując żartobliwego tonu.

– Nie, jest tylko ta jedna – odparł Bluza, trochę zaskoczony.

– Chodziło mi o pańskie rany – wyjaśnił de Worde.

– Rany? Och, to drobiazg. Obawiam się, że tę na rękę sam sobie zadałem. Ćwiczenie szermierki, rozumie pan.

– Czyli jest pan leworęczny?

– Nie, skąd.

Myjąc kubek, Polly usłyszała, jak sierżant mruczy dyskretnie:

– Powinien pan zobaczyć dwóch pozostałych, sir.

– Zdaje pan sobie sprawę z rozwoju sytuacji na froncie, poruczniku? – zapytał de Worde.

– Niech pan mówi – poprosił Bluza.

– Cała wasza armia utknęła w dolinie Kneck. W większości są okopani tuż poza zasięgiem ostrzału z twierdzy. Wasze forty wzdłuż granicy zostały zdobyte. Garnizony w Drerp, Glitz i Arblatt rozbite. O ile się orientuję, poruczniku, pański oddział to jedyni żołnierze, którzy są jeszcze w polu. A przynajmniej – dodał – jedyni, którzy ciągle walczą.

– Co z moim regimentem? – zapytał cicho Bluza.

– Kilka dni temu resztki dziesiątego brały udział w odważnej, ale prawdę mówiąc samobójczej próbie odbicia twierdzy Kneck. Większa część ocalałych jest jeńcami wojennymi, a muszę zaznaczyć, że do niewoli trafiło niemal całe najwyższe dowództwo. Byli w twierdzy, kiedy ją zdobyto. W tej fortecy są rozległe lochy, drogi panie, i to lochy niemal pełne.

– Czemu mam panu wierzyć?

Ja wierzę, pomyślała Polly. Czyli Paul albo zginął, albo jest ranny, albo w niewoli. Niezbyt pocieszała ją myśl, że w takim razie żyje w dwóch przypadkach z trzech.

De Worde rzucił Bluzie do nóg azety.

– Wszystko tam jest opisane, poruczniku. Nie wymyśliłem tego. To prawda. Pozostanie prawdą niezależnie od tego, czy pan uwierzy, czy nie. Sześć państw połączyło się przeciwko wam, w tym Genoa, Mouldavia i Ankh-Morpork. Nie macie nikogo po swojej stronie. Jesteście sami. Jedyne powody, że nie zostaliście jeszcze pobici, to ten, że nie chcecie się do tego przyznać. Widziałem waszych generałów, poruczniku. To wielcy wodzowie, a wasi żołnierze biją się jak demony, ale nie chcą skapitulować.

– Borogravia nie zna znaczenia słowa „kapitulacja”, panie de Worde – oznajmił Bluza z godnością.

– To może pożyczę panu słownik? – zirytował się de Worde. – Jest bardzo podobne do znaczenia frazy „zawarcie jakiegoś traktatu pokojowego, póki wciąż jeszcze ma się szansę”. Wielkie nieba, czy pan nie rozumie? Wasza armia wciąż przebywa w dolinie Kneck, tylko dlatego, że sprzymierzeni nie postanowili jeszcze, co z nią zrobić. Mają już dosyć rzezi.

– Aha... Czyli ciągle walczymy...

De Worde westchnął.

– Nie zrozumiał mnie pan. Mają dosyć wyrzynania was. Siedzą w twierdzy. Są w niej potężne maszyny wojenne. Szczerze mówiąc, sir, niektórzy ze sprzymierzonych chętnie starliby resztki waszej armii z powierzchni Dysku. To jak strzelanie do szczurów w beczce. Jesteście na ich łasce. A jednak ciągle atakujecie. Atakujecie twierdzę! Wznosi się na nagiej skale i ma mury wysokości stu stóp. Robicie wypadki przez rzekę. Jesteście zablokowani i nie macie dokąd pójść, a sprzymierzeni mogą zwyczajnie was zmasakrować, kiedy tylko zechcą, ale zachowujecie się, jakby to było zwykłe chwilowe załamanie frontu. To naprawdę się dzieje, poruczniku. Pan jest tu tylko ostatnim drobnym szczegółem.

– Ostrożnie, jeśli można – ostrzegł Bluza.

– Pan wybaczy, ale czy wie pan cokolwiek o historii najnowszej? W ciągu ostatnich trzydziestu lat przynajmniej raz wypowiedzieliście wojnę każdemu z waszych sąsiadów. Wszystkie państwa czasem walczą, ale wy urządzacie burdy. Aż w końcu w zeszłym roku zaatakowaliście Zlobenię. Znowu.

– Najechali nas, panie de Worde.

– Został pan wprowadzony w błąd, poruczniku. To wy najechaliście prowincję Kneck.

– Która została uznana za część Borogravii przez traktat z Lintu ponad sto lat temu.

– Podpisany pod groźbą miecza. Zresztą i tak nikt już o to nie dba. Wszystko wyszło poza wasze głupie zatargi o tron. A to dlatego, rozumie pan, że wasi ludzie zniszczyli Główny Pień. Wieże sekarowe. I równocześnie zniszczyli trakt dylizansów. Ankh-Morpork uznaje to za działalność bandycką.

– Ostrożnie, powiadam! – zawołał Bluza. – Zauważyłem, że z wyraźną dumą wywiesił pan na swoim wozie flagę Ankh-Morpork!

– *Civis Morporkian sum*, drogi panie. Jestem obywatelem Ankh-Morpork. Można powiedzieć, że Ankh-Morpork osłania mnie swym szerokim i dość brudnym skrzydłem. Choć zgadzam się, że nad metaforą warto by może popracować.

– Jednakże pańscy ankhmorporscy żołnierze nie są raczej w stanie pana ochraniać.

– Ma pan rację, poruczniku. Może mnie pan zabić – zgodził się spokojnie de Worde. – Wie pan, że ja o tym wiem. Ale nie robi pan tego z trzech powodów. Oficerowie Borogravii mają skłonność do zachowań honorowych. Wszyscy to powtarzają. Właśnie dlatego nie chcą się poddać. Ja bardzo irytująco krwawię. No i nie musi pan, bo nagle wszyscy się wami

interesują. I to zmieniło sytuację.

– Nami się interesują?

– Panie poruczniku, w pewnym sensie wiele możecie teraz pomóc. Ludzie w Ankh-Morpork byli zdumieni, kiedy... Chwileczkę, czy słyszał pan o czymś, co nazywamy „ludzkim punktem widzenia”?

– Nie.

De Worde spróbował wytłumaczyć. Bluza słuchał z rozdziawionymi ustami.

– Czy ja dobrze rozumiałem? – odezwał się w końcu. – Wprawdzie wielu ludzi zostało zabitych albo poranionych w tej nieszczęsnej wojnie, ale nie wzbudziło to zainteresowania waszych czytelników? A teraz wzbudza, z naszego powodu? Z powodu drobnego starcia w miasteczku, o jakim nigdy nie słyszeli? I z tej przyczyny nagle stajemy się „dzielnym małym narodem” i ludzie mówią pańskiej azecie, że wasze wspaniałe miasto powinno stać po naszej stronie?

– Tak, poruczniku. Wypuściliśmy wczoraj drugie wydanie, widzi pan. Kiedy odkryłem, że kapitan Horentz to w rzeczywistości księżę Heinrich. Wiedział pan o tym w czasie wydarzeń?

– Oczywiście, że nie – warknął Bluza.

– A wy, szeregowy, ehm, Perks, czy kopnęlibyście go w... czy kopnęlibyście, gdybyście wiedzieli?

Polly ze zdenerwowania upuściła kubek. Spojrzała pytająco na Bluzę.

– Możecie odpowiedzieć, Perks, naturalnie – uspokoił ją porucznik.

– No więc tak, sir, bym go kopnął. Prawdopodobnie nawet mocniej. Bronilem się, sir – wyjaśniła Polly, starannie unikając szczegółów. Trudno przewidzieć, co z nimi zrobi ktoś taki jak de Worde.

– No i słusznie. Dobrze – uznał de Worde. – W takim razie powinno wam się to spodobać. Nasz rysownik Fizz przygotował to dla dodatku nadzwyczajnego. Na pierwszą stronę. Sprzedaliśmy rekordowy nakład.

Wręczył jej cienki arkusik papieru, który – sądząc po licznych zgięciach – był wielokrotnie składany.

Był to czarno-biały, cieniowany obrazek. Przedstawiał ogromnego mężczyznę z wielką szablą, monstrualnym monokłem i wąsem szerokim jak wieszak na płaszcze. Groził o wiele mniejszej postaci, uzbrojonej jedynie w narzędzie do wykopywania buraków – żeby nie było wątpliwości, narysowano też buraka. Groził przynajmniej do chwili, kiedy ta mniejsza postać – nosząca nakrycie głowy całkiem podobne do czaka Piersi i Tyłków i z twarzą wyglądającą trochę jak twarz Polly – kopnęła go w krocze. Z ust Polly wydobywał się jak gdyby balon, a w nim słowa: „To dla twoich Królewskich Prerogatyw, ty zbój!” Balon przy ustach wielkoluda, który mógł być tylko księciem Heinrichem, głosił: „Och, moja Sukcesja! Że też rzecz tak Mała boleć tak Bardzo może!”. W tle gruba kobieta w pomiętej balowej sukni i

wielkim staroświeckim hełmie przyciskała dłonie do niewiarygodnego łona, przyglądała się starciu z troską i podziwem, i głosiła balonem: „Och, mój Koguciku! Obawiam się, że nasz Związek się Kończy”.

Ponieważ nikt się specjalnie nie odzywał, a wszyscy tylko patrzyli, de Worde wyjaśnił dość nerwowo:

– Fizz jest dosyć, hm, bezpośredni w takich kwestiach, ale wybitnie popularny. Ehm... Widzicie, ciekawostka polega na tym, że wprawdzie Ankh-Morpork jest chyba największym despotą w okolicy, aczkolwiek w dość subtelny styl, to jednak mamy sentyment dla takich, którzy despotom się sprzeciwiają. Zwłaszcza despotom z królewskich rodów. I chętnie stajemy po ich stronie, pod warunkiem że nas to zbyt wiele nie kosztuje.

Bluza odchrząknął.

– Nieźle uchwycone podobieństwo do ciebie, Perks – stwierdził chrapliwie.

– Ja użyłem kolana, sir – zaprotestowała Polly. – I z pewnością nie było tam tej grubej damy!

– To Morporkia – wyjaśnił de Worde. – W pewnym sensie reprezentacja miasta, chociaż nie jest pokryta błotem i sadzą.

– Z mojej strony muszę dodać – ciągnął Bluza tonem wykładowcy na zebraniu – że Borogravia jest w rzeczywistości większa od Zlobenii, choć spora część kraju to nagie zbocza gór...

– Taki szczegół nie ma znaczenia – stwierdził de Worde.

– Nie ma?

– Nie. To zwykły fakt, nie polityka. W polityce takie obrazki są potężną bronią. Nawet dowódcy sprzymierzonych mówią o was, poruczniku, a Złobeńcy są wściekli i osłupiali. Gdybyście wy, bohaterowie chwili, zwrócili się z apelem o trochę zdrowego rozsądku...

Porucznik odetchnął głęboko.

– To bezsensowna wojna, panie de Worde. Ale jestem żołnierzem. „Pocałowałem księżną”, jak to mówimy. To przysięga wierności. Niech pan mnie nie kusi, żebym ją złamał. Muszę walczyć o swój kraj. Wypchniemy z niego najeźdźców. Jeśli są jacyś dezterzy, znajdziemy ich i znowu poprowadzimy do boju. Znamy ten kraj. Dopóki jesteśmy wolni, wolna będzie Borogravia. Powiedział pan „swoje”. Dziękuję. Co z tą herbata, Perks?

– Co? Och, prawie gotowa, sir! – Polly odwróciła się do ogniska.

Jej decyzja był to dziwny i niespodziewany kaprys, ale plan ułożyła niemądry. Teraz i tutaj dostrzegała wszystkie jego wady. Jak zdoła doprowadzić Paula do domu? Czy on zechce wracać? Nawet jeśli wciąż żyje, jak go uwolnić z więzienia?

– Czyli zostanieie partyzantami, tak? – spytał za jej plecami de Worde. – Powariowaliście wszyscy.

– Nie, nie jesteśmy partyzantami. Pocałowaliśmy księżną. Jesteśmy żołnierzami.

– No cóż... W takim razie podziwiam waszego ducha. Ach, Otto...

Wampirzy ikonografik podszedł z nieśmiałym uśmiechem.

– Nie obawiajcie się. Jestem czarnostążkowcem, jak wasz kapral – powiedział. – Moją pasją jest teraz światło.

– Tak? Ehm... To ładnie – pochwalił Bluza.

– Zrób obrazki, Otto – ponaglił de Worde. – Ci panowie mają wojnę do walczenia.

– Tak z czystej ciekawości, panie de Worde – przerwał mu Bluza. – W jaki sposób tak prędko przekazujecie obrazki do waszego miasta? Magia, jak przypuszczam?

– Co? – De Worde przez chwilę nie mógł zrozumieć. – Ależ nie, drogi panie. Magowie są kosztowni, a komendant Vimes zapowiedział, że nie życzy sobie żadnego pierwszego użycia magii w tej wojnie. Wysyłamy obrazek gołębiem do naszego biura w twierdzy, a stamtąd od najbliższej wieży sekarem do miasta.

– Naprawdę? – Bluza był niezwykle ożywiony. – Używacie może liczb, by zapisywać odcienie szarości?

– *Mein Gotts!* – zawołał Otto.

– No więc tak, rzeczywiście tak robimy – przyznał de Worde. – Zaskoczył mnie pan...

– Widziałem wieże sekarowe na drugim brzegu Kneck – mówił Bluza. Oczy mu błyszczały. – To bardzo sprytny pomysł, żeby używać pudeł z przesłonami zamiast staromodnych ramion semafora. A czy nie myślę się, zakładając, że to pudło na szczycie, które otwiera przesłonę co sekundę, to rodzaj systemowego, hm, zegara? Ma sprawić, że cała linia sekarowa utrzymuje jeden rytm? To dobrze. Tak właśnie myślałem. Jedno mrugnięcie na sekundę to prawdopodobnie granica możliwości mechanizmów, więc zapewne wasz wysiłek koncentruje się teraz na maksymalizacji zawartości informacji na jeden takt przesłony. Tak, podejrzewałem, że tym się zajmujecie. Co do wysyłania obrazków, no cóż, przecież wszystko da się zapisać liczbami. Oczywiście, używanie obu kolumn po cztery pudła w każdej do przesyłania kodu szarości, ale to pewnie bardzo powolna metoda. Zastanawialiście się nad algorytmem ściskającym?

Przedstawiciele azety wymienili spojrzenia. – Jest pan pewien, że z nikim pan o tym wcześniej nie rozmawiał? – zapytał de Worde.

– Och, to przecież elementarne. – Bluza uśmiechnął się radośnie. – Zastanawiałem się nad tym w kontekście map wojskowych, które przecież składają się głównie z białej powierzchni. No więc pomyślałem, czy nie dałoby się wyznaczyć żadanego odcienia szarości w jednej kolumnie, a po drugiej stronie wskazać, jak daleko w rzędzie ten odcień się utrzymuje. A tak się doskonale składa, że mapa jest po prostu czarna i biała, więc mamy jeszcze bardziej...

– Nie widział pan nigdy wnętrza sekarowej wieży, prawda?

– Niestety, nie. To takie „głośne myślenie”, oparte na *de facto* istnieniu waszego obrazka. Dostrzegam chyba kilka drobnych matematycznych, hm... sztuczek, które mogłyby jeszcze bardziej przyspieszyć przepływ informacji, ale jestem pewien, że już na nie wpadliście. Oczywiście dość prosta modyfikacja może potencjalnie natychmiast podwoić ładunek

informacyjny systemu. I to nawet bez używania nocą kolorowych filtrów, które mimo dodatkowych obciążeń mechanicznych z pewnością mogłyby zwiększyć przesył.. Przepraszam, powiedziałem coś niewłaściwego?

Azetowcy mieli zaszklone spojrzenia. De Worde otrząsnął się pierwszy.

– Bardzo szybko odkrył pan zasady działania...

– Och, to było całkiem proste, kiedy już zacząłem się zastanawiać. Zupełnie tak samo jak wtedy, kiedy musiałem opracować nowy system księgowy dla naszego działu. Ludzie budują coś, co działa. Potem okoliczności się zmieniają, więc muszą przy tym pomajstrować, żeby nadal działało. I tak są zajęci majstrowaniem, że nie widzą, iż wiele lepszym rozwiązaniem będzie zbudowanie całkiem nowego systemu, który by sobie radził z nową sytuacją. Ale dla kogoś z zewnątrz idea jest oczywista.

– W polityce tak samo jak, no... w systemie księgowym i w sekarach? Tak pan sądzi?

Bluza zmarszczył czoło.

– Przepraszam, ale chyba nie zrozumiałem...

– Czy zgodzi się pan, że niekiedy system państwa jest tak przestarzały, że jedynie przybysze z zewnątrz potrafią dostrzec konieczność całościowej zmiany?

De Worde się uśmiechnął. Porucznik Bluza nie.

– Może rozważy pan kiedyś ten mały problem – zaproponował de Worde. – Hm... Ponieważ chcecie, by świat dowiedział się o waszej walce, zgodzi się pan, by mój kolega zrobił wam obrazek?

Bluza wzruszył ramionami.

– Jeśli się na coś przyda... To Obrzydliwość, naturalnie, ale w tych czasach trudno znaleźć coś, co nią nie jest. Musi pan przekazać światu, panie de Worde, że Borogravia nie ustąpi. Nie poddamy się. Będziemy walczyć. Proszę to zapisać w tym swoim notesie. Póki możemy ustać, będziemy kopać.

– Dobrze, ale raz jeszcze chcę prosić, by rozważył...

– Panie de Worde, na pewno zna pan powiedzenie, że pióro jest potężniejsze od miecza?

De Worde napuszył się nieco.

– Oczywiście, i ja...

– Chce pan je przetestować? Niech pan robi te obrazki, a potem moi ludzie odprowadzą pana na trakt.

Otto Chriek wstał i skłonił się przed Bluzą. Zdjął z szyi obrazkowe pudełko.

– To potrwa tylko chwilę – powiedział.

To nigdy nie jest prawda. Polly patrzyła z chorobliwą fascynacją, jak Otto robi obrazek za obrazkiem porucznika Bluzy w rozmaitych pozach, które sam porucznik uznał za bohaterskie. Straszne jest, gdy człowiek usiłuje wysunąć podbródek, którego w rzeczywistości nie ma.

– Imponujące – stwierdził de Worde. – Mam tylko nadzieję, drogi panie, że pożyje pan dość długo, by zobaczyć to w mojej azecie.

– Będę tego oczekiwał z wyjątkową niecierpliwością – zapewnił Bluz. – A teraz, Perks, idź z sierżantem i wyprowadź panów z powrotem na trakt.

Kiedy wracali do wozu, Otto podszedł do Polly.

– Muszę wam powiedzieć coś o waszym vampirze – oświadczył.

– Tak?

– Jesteś jego przyjacielem?

– Tak – potwierdziła Polly. – Coś się stało?

– Jest pevien problem...

– Zrobił się nerwowy, bo brakło mu kawy?

– Gdyby to było takie proste... Niestety. – Otto był wyraźnie zakłopotany. – Musisz zrozumieć, że kiedy vampir rezygnuje z... ze słowa na K, następuje proces zwany przeniesieniem. Zmuszamy zię, by pragnąć czegoś innego. Dla mnie to nie jest bolesne. Pożądał doskonałości światła i cienia. Obrazki zą moim życiem. Ale twój przyjaciel wybrał... kawę. I teraz jej nie ma.

– Ach, rozumiem...

– Nie jestem pevny. Dla niego to chyba wydawało zię całkiem rozsądne. To ludzkie pragnienie i nikomu nie przeszkadza, kiedy ktoś mówi „Umrę bez kubka kawy” albo „Mógłbym zabić dla filiżanki kawy”. Ale bez kawy, obawiam zię... nastąpi nawrót. Rozumiesz, bardzo trudno mi o tym mówić... – Otto umilkł.

– Mówiąc „nawrót”, masz na myśli...

– Najpierv pojawiają zię łagodne omamy. Psychiczna podatność na wpływy nie wiadomo zkąd, ale halucynacje vampirów są tak potężne, że bywają wręcz zarażlive. I myślę, że już zię zaczęło. Będzie... chaotyczny. To może potrwać kilka dni. A potem jego varunkowanie zię załamanie i zнову stanie zię... pravdzivym vampirem. Koniec z panem Sympatycznym Kavoszem.

– Mogę mu jakoś pomóc?

Otto delikatnie ułożył na wozie obrazkowe pudełko, po czym odwrócił się do niej.

– Możesz znaleźć mu trochę kawy albo... mieć w gotowości drevniany kołek i ostry miecz. Vyśviadczysz mu przysługę, możesz mi wierzyć.

– Nie mogę tego zrobić!

Otto wzruszył ramionami.

– Znajdź kogoś, kto może.

– Jest niesamowity! – stwierdził de Worde, gdy wóz toczył się zнову między drzewami.

– Wiem, że sekary są przeciwne waszej religii, a mimo to on w pełni zrozumiał zasady działania.

– Jak mówiłem, sir, on oszacowuje sytuację – rozpromienił się Jackrum. – Umysł jak

brzytwa.

– Mówił o algorytmach sekarowych, które firmy dopiero badają... Ten wydział, o którym wspominał..

– Widzę, że panu nic nie umknie, sir. To bardzo tajny wydział. Nie mogę o tym mówić.

– Prawdę mówiąc, sierżancie, zawsze uważałem Borogravię za dosyć... zacofaną.

Uśmiech Jackruma stężał nagle.

– Jeśli sprawiamy wrażenie, że jesteśmy daleko z tyłu, to tylko dlatego, sir, żebyśmy mogli dobrze się rozpędzić.

– Wiecie, sierżancie, naprawdę przykro jest patrzeć, jak marnuje się taki umysł – westchnął de Worde, gdy wóz podskoczył na korzeniu. – To już nie jest wiek bohaterów, obrony do końca i szarży po śmierć albo chwałę. Zróbcie swoim ludziom przysługę i spróbujcie mu to powiedzieć, dobrze?

– Nawet mi się nie śni, sir. Jesteśmy na waszej drodze, sir. Dokąd teraz pojedziecie?

– Do doliny Kneck, sierżancie. To dobra historia. Dziękuję. Pozwólcie, że uściskę wam dłoń.

– Miło słyszeć, że tak pan uważa, sir – odparł Jackrum.

Wyciągnął rękę. Polly usłyszała brzęk monet przechodzących z jednej dłoni do drugiej. Potem de Worde chwycił lejce.

– Ale muszę uprzedzić, sierżancie, że prawdopodobnie w ciągu godziny pošlemy gołębia z materiałem. Będziemy musieli powiedzieć, że macie jeńców.

– Proszę się nie martwić, sir – uspokoił go sierżant. – Zanim zjawią się kumple, żeby uwolnić tych galopiarzy, będziemy w połowie drogi do gór. Naszych gór.

Ruszyli. Jackrum odprowadzał ich wzrokiem, póki nie zniknęli. Wtedy zwrócił się do Polly.

– Te jego fochy i dasy... – powiedział. – Widziałeś to? Obraził mnie, dając napiwek! – Spojrzał na dłoń. – Hmm, pięć ankhmorporskich dolarów? Trzeba przyznać, że potrafi hojnie obrażać – stwierdził, a potem monety z zadziwiającą szybkością zniknęły gdzieś w kurtce.

– Myślę, że on chciał nam pomóc, sierżancie – stwierdziła Polly.

Jackrum nie zwrócił na nią uwagi.

– Nienawidzę tego przekłętego Ankh-Morpork – oświadczył. – Kim oni są, że nam mówią, co mamy robić? Kogo obchodzi, co sobie myślą?

– Uważa pan, że naprawdę możemy zebrać dezertków, sierżancie?

– Nie. Raz zdezerterowali, więc co ich powstrzyma za drugim razem? Uciekając, napluli księżnej w twarz, więc nie mogą teraz jej pocałować i tego odrobić. Masz tylko jeden pocałunek, nic więcej.

– Ale porucznik Bluza...

– Rupert powinien się trzymać dodawania. Uważa się za żołnierza, a przez całe życie nie chodził po polu bitwy. Wszystkie bzdury, które powtarzał temu pismakowi, to typowa śmierć

i chwała. Coś ci powiem, Perks. Widziałem Śmierć więcej razy, niż mam ochotę pamiętać, ale Chwała nigdy nie wpadła mi w oko. Jednak bardzo chętnie poślę tych durniów, żeby szukali nas tam, gdzie nas nie ma.

– On nie jest mój, sierżancie – sprostowała Polly.

– No, niby... Ale dobrze ci idzie z czytaniem i pisaniem – burczał Jackrum. – Nie można ufać ludziom, którzy to robią. Grzebią przy świetle, a potem okazuje się, że wszystko, co wiesz, jest nieprawdą.

Wrócili do parowu. Oddział wynurzył się z rozmaitych kryjówek i w większości oglądał teraz azetę. Polly po raz pierwszy zobaczyła Obrazek.

Był całkiem udany. Zwłaszcza Kukula i Łazer dobrze wyszły. Ją samą przesłaniał w większości masyw Jackruma. Jednak z tyłu można było zobaczyć ponure miny kawalerzystów, a ich twarze były obrazem samym w sobie.

– Stukacz też jest niezła – zauważyła Igorina. Prawie nie sepleniała, kiedy w pobliżu nie było oficerów.

– Myślisz, że mieć taki obrazek to Obrzydliwość w oczach Nuggana? – spytała niespokojnie Kukula.

– Chyba tak – odparła Polly z roztargnieniem. – Jak większość rzeczy.

Przebiegła wzrokiem po tekście obok obrazka. Pełen był takich sformułowań jak „dzielni chłopcy z farm”, „upokorzenie jednego z najlepszych regimentów Zlobenii” i „trudny koniec prostej akcji”. Widziała, czemu spowodował kłopoty.

Przerzuciła pozostałe strony. Pełne były dziwnych historii o nieznanym miejscach i obrazków nieznanymi ludźmi. Jednakże jedna strona pokryta była całą drobnym tekstem pod linią o wiele większego druku:

Dlaczego trzeba powstrzymać ten obłąkany kraj

Zagubione oko wychwytywało z morza liter pojedyncze frazy: „haniebne inwazje na sąsiednie kraje”, „omamieni wyznawcy szalonego boga”, „nadęty dręczyciel”, „zniewaga za zniewagą” czy „wyzwanie rzucone międzynarodowej opinii publicznej”.

– Nie czytajcie tych bredni, chłopcy, nie wiecie, gdzie byli przedtem! – zawołał wesół sierżant Jackrum, stając im za plecami. – To wszystko pewnie kłamstwa. Wymarsz za... kaprału Maladict!

Maladict wynurzył zza drzew i zasalutował leniwie. Wciąż miał na sobie koc.

– Co robicie bez munduru?

– Jestem w mundurze pod spodem, sierżancie. Nie chcemy przecież, żeby nas widzieli, prawda? W ten sposób stajemy się elementem dżungli.

– To las, kaprału. A bez tych nieszczęsnych mundurów jak, u demona, mamy odróżniać

przyjaciół od wrogów?

Zanim odpowiedział, Maladict zapalił papierosa.

– Ja to widzę tak, sierżancie – oświadczył – że wrogowie to wszyscy oprócz nas.

– Jedną chwilę, sierżancie – wtrącił Bluza, który uniósł wzrok znad azety i obserwował Maladicta z niejakim zainteresowaniem. – W starożytności mamy precedensy takich zachowań. Generał Song Sung Lo przeniósł swoją armię przebraną za pole słoneczników, a generał Tacticus rozkazał kiedyś, by cały batalion przebrał się za świerki.

– Słoneczniki? – Głos Jackruma spływał pogardą.

– Obie te akcje zakończyły się sukcesem, sierżancie.

– Bez mundurów? Żadnych odznak? Żadnych pasków, sir?

– Może moglibyście zostać wyjątkowo dużym kwiatem – zaproponował Bluza, a jego twarz nie zdradzała nawet śladu rozbawienia. – No i przecież z pewnością prowadziliście kiedyś działania nocne, kiedy insygnia są i tak niewidoczne.

– Tak jest, sir, ale noc to noc, podczas gdy słoneczniki to... to słoneczniki, sir! Noszę ten mundur od prawie pięć... przez całe życie, sir, i uważam, że przekradanie się bez munduru jest ewidentnie niehonorowe, sir! Dobrze dla szpiegów, sir!

Twarcz Jackruma zmieniła się z czerwonej w purpurową, a Polly ze zdumieniem dostrzegła łzy w jego oczach.

– Jak możemy być szpiegami, sierżancie, w naszym własnym kraju? – zapytał spokojnie Bluza.

– Por ma rację, sierżancie – zgodził się Maladict.

Jackrum obracał się jak byk w ślepych zaułku, a potem, ku zdumieniu Polly, przygarbił się. Ale zdumienie nie trwało długo. Znała tego człowieka. Nie wiedziała dlaczego, ale sierżant Jackrum miał w sobie coś takiego, co umiała odczytać. Tkwiło w oczach. Mógłby niejednego oszukać tymi oczami, szczerymi i spokojnymi jak oczy anioła. A jeśli zdawało się, że się cofa, to tylko dlatego, żeby potem mieć się gdzie rozpędzić.

– Dobrze już, dobrze – mruczał. – Słowo honoru daję, nie jestem typem, który nie słucha rozkazów.

Oczy mu zamigotały.

– Słusznie, sierżancie – pochwalił Bluza.

Jackrum wziął się w garść.

– Ale naprawdę nie chcę być słonecznikiem – uprzedził.

– Na szczęście w okolicy rosną tylko jodły, sierżancie.

– Słuszna uwaga, sir. – Jackrum zwrócił się do zdumionego oddziału. – No co jest, Drobne Szczegóły?! – huknął. – Słyszeliście przecież! Zbierać się!

Minęła godzina. O ile Polly mogła się zorientować, wyruszyli w stronę gór, ale podążali szerokim półokręgiem, aż w końcu maszerowali w kierunku, z którego przyszli, tyle że kilka mil dalej. Czy Bluza ich prowadził, czy zostawił to Jackrumowi?

Nikt się nie skarżył.

Porucznik zarządził postój w kępie brzoź, w rezultacie dwukrotnie ją powiększając. Można było stwierdzić, że kamuflaż jest skuteczny, bo jaskrawa czerwień i biel rzuca się w oczy na tle zieleni i szarości. Poza tym jednak język nie wystarczał do opisu.

Nefryt zeskrobała z siebie farbę i stała się naturalnie szara i zielona. Igorina wyglądała jak chodzący pędzel. Łazer przez cały czas trzęsła się jak osika, więc jej liście nieustannie szeleściły. Pozostali dokonali mniej lub bardziej sensownych prób. Jackrum był tak podobny do drzewa jak wielka czerwona piłka. Polly podejrzewała, że dyskretnie wypolerował też mosiężne guziki. Każde drzewo trzymało w gałęzi lub w ręku kubek herbaty. W końcu przecież zatrzymali się na całe pięć minut.

– Żołnierze! – odezwał się porucznik. – Może się wam wydawać, że zmierzamy ku górom, by tam zebrać armię deztererów. Ale ta historia to tylko podstęp na użytek pana de Worde'a. – Przerwał, jakby spodziewał się jakiejś reakcji. Patrzyli tylko, więc po chwili zaczął mówić dalej. – W rzeczywistości kontynuujemy nasz marsz do doliny Kneck. To ostatnie, czego przeciwnik będzie się po nas spodziewał.

Polly zerknęła na sierżanta. Uśmiechał się szeroko.

– Jest faktem powszechnie znanym, że niewielki, szybki oddział potrafi dotrzeć w miejsca, gdzie nie przebiję batalion – ciągnął Bluza. – Żołnierze, my będziemy takim oddziałem! Mam rację, sierżancie?

– Tak jest, sir!

– Spadniemy jak młot na oddziały słabsze od naszego! – oświadczył radośnie Bluza.

– Tak jest, sir.

– I bezszelestnie wtopimy się w las, kiedy spotkamy oddział silniejszy.

– Tak jest, sir.

– Przemkniemy obok ich posterunków...

– Zgadza się, sir – potwierdził sierżant Jackrum.

– ...i wyrwiemy im twierdzę Kneck spod samych nosów!

Herbata Jackruma trysnęła fontanną na trawę.

– Przeciwnik czuje się bezpieczny, ponieważ dysponuje potężną fortecą na skalnej turni, z murami wysokimi na sto i grubymi na dwadzieścia stóp – mówił Bluza, jak gdyby co drugie drzewo nie pluło herbatą. – Ale czeka go niespodzianka!

– Dobrze się pan czuje, sierżancie? – szepnęła Polly.

Z krtani Jackruma wydobywały się jakieś dziwne odgłosy.

– Są pytania? – zakończył Bluza.

Igorina podniosła gałąź.

– Jak się tam dostaniemy, sir?

– Aha. Dobre pytanie – ucieszył się Bluza. – Wszystko stanie się jasne w odpowiednim czasie.

– Kawaleria powietrzna – oznajmił Maladict.

– Słucham, kapralu?

– Machiny latające, sir – wyjaśnił wampir. – Nie będą wiedzieli, gdzie mogą się nas spodziewać. Lądujemy w dogodnej strefie zrzutu, załatwiamy ich i ewakuujemy się.

Gładkie czoło Bluzy przecięła zmarszczka.

– Machiny latające?

– Widziałem taką na obrazku niejakiego Leonarda z Quirmu. Tak jakby... latający wiatrak. Po prostu wielka śruba na niebie...

– Nie sądzę, żebyśmy ich potrzebowali, ale dziękuję za radę – rzekł porucznik.

– Nie wtedy, kiedy skręca nas tu, na dole, sir – wykrztusił w końcu Jackrum. – Sir, to przecież tylko banda rekrutów! Całe to gadanie o honorze, wolności i takich tam przeznaczone było dla tego azetowca, tak? Świetny pomysł, sir! Tak, ruszajmy do doliny Kneck, przemknijmy do środka i dołączmy do reszty chłopaków. Tam jest nasze miejsce, sir. Nie mówi pan poważnie o odbiciu twierdzy, sir. Nie próbowałbym tego nawet z tysiącem ludzi!

– Ja mogę spróbować z szóstką, sierżancie.

Oczy wyszły Jackrumowi z orbit.

– Doprawdy, sir? Co zrobi szeregowy Goom? Będzie się na nich trząść? Młody Igor ich pozszywa, tak? Szeregowy Halter spojrzy na nich ponuro? To obiecujące chłopaki, sir, ale nie mężczyźni!

– Generał Tacticus twierdził, że losy bitwy zależą często od działań jednego człowieka we właściwym punkcie, sierżancie – oświadczył spokojnie Bluz.

– Ale drugi warunek to ten, że oprócz niego ma się o wiele więcej innych żołnierzy – upierał się Jackrum. – Czyli powinniśmy dotrzeć do głównych sił armii. Całe to gadanie, że nie chcą nas wyrzynać, nie ma przecież sensu, sir. Chodzi o to, żeby wygrać. Jeśli tamci przestali atakować, to dlatego że się nas boją. Powinniśmy być tam w dole. To właściwe miejsce dla rekrutów, sir, tam mogą się uczyć. Przeciwnik ich szuka, sir!

– Jeśli generał Froc jest wśród jeńców, trzymają go w twierdzy – zauważył Bluz. – O ile pamiętam, był pierwszym oficerem, pod którym służyliście, sierżancie. Mam rację?

Jackrum się zawahał.

– To fakt, sir – przyznał po chwili. – Był też najgłupszym porucznikiem, jakiego spotkałem w życiu. Z jednym wyjątkiem.

– Jestem przekonany, że twierdza ma jakieś tajne wejście.

Pamięć podsunęła Polly argument: jeśli Paul żyje, to jest w twierdzy. Pochwyciła wzrok Kukuły – dziewczyna skinęła głową. Myślała o tym samym. Niewiele mówiła o swoim... narzeczonym, a Polly zastanawiała się, na ile ich związek był oficjalny.

– Mogę coś powiedzieć, sierżancie? – spytała.

– Gadaj, Perks.

– Chcę spróbować znaleźć wejście do twierdzy, sierżancie.

– Perks, zgłaszasz się na ochotnika do ataku na największy, najpotężniejszy zamek w promieniu pięciuset mil? Samotnie?

– Ja też pójdę – oświadczyła Kukuła.

– Och, aż dwóch... W takim razie wszystko w porządku.

– I ja – szepnęła Łazer. – Księżna mi powiedziała, że powinnam.

Jackrum przyjrzał się szczupłej buzi Łazer i jej wodnistym oczom. Westchnął ciężko i zwrócił się do porucznika.

– Ruszajmy, sir, dobrze? Potem możemy jeszcze porozmawiać. Przynajmniej zmierzamy do Kneck, pierwszego przystanku w drodze do piekła. Perks i Igor, idziecie w szpicy. Maladict...

– Jo!

– Ehm... Pójdiesz na wysunięty zwiad.

– Potwierdzam.

– Dobrze.

Kiedy wampir przechodził obok Polly, świat zmienił się na moment: las stał się bardziej zielony, niebo bardziej szare, usłyszała nad głową dziwny odgłos, jakby „szurp, szurp, szurp”. A potem wszystko zniknęło.

Halucynacje wampirów są zaraźliwe, przypomniała sobie. Co się dzieje w jego głowie?

Podeszła do Igoriny i znowu ruszyły przez las.

Śpiewały ptaki. Efekt był uspokajający, o ile człowiek nic nie wiedział o ptasich śpiewach. Polly jednak rozpoznawała krzyki ostrzegawcze w pobliżu, terytorialne groźby z daleka, a wszędzie zaabsorbowanie seksem. To stanowczo zmniejszało przyjemność⁸.

– Polly... – odezwała się Igorina.

– Hmm?

– Umiałabyś zabić człowieka, gdybyś musiała?

Polly natychmiast powróciła myślami do tu i teraz.

– Co to za pytanie?

– Pytanie, jakie zadaje fię żołnierzowi.

– Nie wiem. Gdyby mnie atakował, pewnie tak. A w każdym razie przyłożyć tak mocno, żeby nie wstał. A ty?

– Żywimy wielki szacunek dla życia, Polly – odparła z powagą Igorina. – Łatwo kogoś zabić, a prawie niemożliwe ożywić go z powrotem.

– Prawie?

– No, jeffi nie masz porządnego piorunochronu. A nawet wtedy nigdy nie są całkiem tacy sami. Sztućce się do nich przyczepiają.

⁸ Niełatwo być ornitologiem spacerującym przez las, kiedy wszędzie dookoła świat krzyczy: „Spadaj stąd, to mój krzak”, „Aaargh! Rabuś gniazd!”, „Uprawiaj ze mną seks, potrafię nadać pierś i mam czerwone piórka!”.

– Igorino, dlaczego tu jesteś?

– Klan niezbyt... niezbyt lubi dziewczęta, które zbyt się angażują w Wielkie Dzieło. – Igorina spuściła głowę. – „Trzymaj się szycia”, powtarzała mi matka. A ja wiem, że jestem też dobra w cięciu. Zwłaszcza tych małych i trudnych kawałków. I uważam, że kobieta na stole czułaby się ogólnie o wiele lepiej, gdyby wiedziała, że na przełączniku „powinniśmy nie żyć” spoczywa kobieca dłoń. No i pomyślałam, że doświadczenie z pola bitwy przekona mojego ojca. Żołnierze nie są wybredni co do tego, kto ratuje im życie.

– Wydaje się, że wszyscy mężczyźni są tacy sami... – westchnęła Polly.

– Od środka na pewno.

– A tego... no wiesz... naprawdę potrafisz założyć sobie włosy z powrotem?

Polly widziała je, kiedy likwidowały obóz. Wiły się powoli w słoju zielonej cieczy niczym jakieś cienkie i rzadkie wodorosty.

– Tak. Przeszczepy skóry na głowie są łatwe. Przez parę minut trochę szczypie i to wszystko.

Coś się poruszyło wśród drzew, a potem szara smuga stała się Maladictem. Podszedł bliżej, przyciskając palec do warg.

– Charlie nas tropi – szepnął z naciskiem.

Polly i Igorina spojrzały po sobie.

– Kto to jest Charlie?

Maladict popatrzył na nie, po czym z roztargnieniem potarł policzek.

– Ja, tego... przepraszam. Tak, przepraszam. Słuchajcie, ktoś za nami idzie. Jestem pewien.

Zachodziło słońce. Polly wyjrzała nad skalnym garbem na drogę, którą tu przyszły. Widziała ścieżkę, czerwoną i złotą w przedwieczornym blasku. Nic się nie poruszało. Skalna półka sterczała pod szczytem kolejnego wzgórza; z drugiej strony znajdowała się niewielka, otoczona krzakami przestrzeń – dobre stanowisko dla ludzi, którzy chcą widzieć, nie będąc widziani. I taką funkcję pełniła w niedawnej przeszłości, sądząc po śladach wygasłych ognisk.

Maladict siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Po obu jego stronach stanęli Jackrum i Bluza. Usiłowali coś zrozumieć, ale bez większych efektów.

– Czyli niczego nie słyszysz? – powtórzył Bluza.

– Nie.

– I niczego nie widziałeś ani nie wyczułeś? – pytał Jackrum.

– Nie! Przecież mówiłem! Ale coś tam nas śledzi! Obserwuje nas!

– Skoro nie możesz... – zaczął porucznik.

– Słuchajcie, przecież jestem wampirem. – Maladict oddychał ciężko. – Zaufajcie mi, co?

– Ja bym zaufał, fierzancie – odezwała się z tyłu Igorina. – My, Igory, często flużymy wampirom. W chwili frefu ich przeftzeń ofobifta może się rozferzyć na dzieftęć mil od

ciała...

Nastąpiła zwykła chwila milczenia, jak zawsze po długim seplenieniu. Ludzie muszą się zastanowić...

– Frefu? – powtórzył Bluza.

– Wiecie, jak się wyczuwa, kiedy ktoś na was patrzy? – mamrotał Maladict. – No więc to jest podobne, tylko że tysiąc razy bardziej. To nie... przecucie, to coś, co wiem.

– Wielu ludzi nas szuka, kapralu. – Bluza poklepał go przyjaźnie po ramieniu. – Ale to nie znaczy, że nas znajdą.

Polly spoglądała na zalany złocistym światłem las. Otworzyła usta, by coś powiedzieć... i nie zdołała. Gardło miała całkiem wyschnięte. Maladict strząsnął dłoń porucznika.

– Ten... Ta osoba wcale nas nie szuka! Wie, gdzie jesteśmy!

Polly odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz.

– Coś się rusza!

A potem nic już tam nie było. Mogłaby przysiąc, że widziała coś na ścieżce, coś stapiającego się ze światłem, ukazującego się tylko poprzez zmienną, falującą grę cieni przy każdym ruchu.

– Eee... może nie – mruknęła.

– Słuchajcie, wszyscy mało spaliśmy i wszyscy jesteśmy „spięci” – tłumaczył Bluza. – Nie warto się denerwować, prawda?

– Chcę kawy... – jęczał Maladict, kiwając się w przód i w tył.

Polly zmrużyła oczy i raz jeszcze popatrzyła na ścieżkę. Wiatr kołysał drzewami, z gałęzi spływały czerwonozłote liście. Przez moment dostrzegła jakby sugestię...

Wstała. Jeśli człowiek za długo wpatruje się w cienie i rozkołysane gałęzie, może w nich zobaczyć wszystko. To jakby odnajdywać obrazy w płomieniach.

– No dobrze – odezwała się Kukuła od ogniska. – Może to wystarczy. Przynajmniej pachnie jak kawa. No... prawie jak kawa. No, prawie jak kawa, gdyby kawa była zrobiona z żołądzi.

Wypaliła trochę żołądzi. O tej porze roku w lesie ich nie brakowało, a wszyscy wiedzieli, że wypieczone i starte żołądziejki mogą zastąpić kawę, prawda? Polly zgodziła się, że warto spróbować, choć nie przypominała sobie, żeby ktokolwiek – mając wybór – powiedział kiedyś: „Nie, w życiu już nie tknę tej ohydnej kawy! Od dzisiaj tylko starte żołądziejki, z dodatkowymi chrupiącymi drobinkami”.

Wzięła kubek od Kukuli i zaniósła Maladictowi. A gdy się schyliła... świat się zmienił.

...szurp, szurp, szurp...

Pylista mgielka przesłaniała niebo, zmieniając słońce w krwistoczerwony dysk. I przez chwilę Polly widziała je na niebie: wielkie i grube śruby kręcące się w powietrzu, wiszące nad ziemią, ale dryfujące wolno w jej stronę...

– Ma paraspekje – szepnęła zza jej pleców Igorina.

– Paraspekcje?

– No... tak jak inni retrospekcje. Nic o nich nie wiemy. Mogą pochodzić zewsząd. Wampir na tym etapie jest otwarty na wszelkie wpływy. Daj mu tę kawę!

Maladict wyrwał jej kubek i próbował tak szybko wypić zawartość, że część pociekła mu po brodzie.

– Smakuje jak muł – stwierdził.

– Tak, ale czy działa?

Spojrzał w górę i zamrugł.

– Na bogów, to było okropne.

– Jesteśmy w lesie czy w dżungli? Widzisz latające śruby? – wypytywała Igorina. – Ile pokazuję palców?

– Wiesz, że Igor nigdy nie powinien o to pytać. – Maladict się skrzywił. – Ale... wrażenie nie jest już takie silne. Mogę je wessać! Mogę wytrzymać!

Igorina wzruszyła ramionami.

– To ładnie.

Skinęła na Polly i odeszła kawałek.

– On, albo może ona, jest na samej krawędzi – oświadczyła.

– Jak my wszyscy – odparła Polly. – Prawie w ogóle nie śpimy.

– Wiesz, o co mi chodzi. Ja... no, pozwoliłam sobie... na pewne przygotowania.

Igorina rozchyliła poły kurtki. Polly zobaczyła nóż, drewniany kołek i młotek w równo przyszytych kieszonkach.

– Ale do tego nie dojdzie, prawda?

– Mam nadzieję. Gdyby tak, to jestem jedyną osobą, która potrafi pewnie trafić do serca. Ludziom zawsze się wydaje, że jest bardziej na lewo niż...

– Nie dojdzie do tego – stwierdziła stanowczo Polly.

Niebo jarzyło się czerwienią. Wojna była o dzień drogi od nich.

Polly czołgała się, niosąc bankę z herbatą. Taka herbata stawiała armię na nogi. Ale pamiętać, co jest realne... to wymagało pewnego wysiłku. Takie Stukacz i Loft, na przykład. Nieważne, która stała na warcie, druga też na pewno tam była. I rzeczywiście, siedziały teraz obok siebie na przewróconym drzewie, spoglądając w dół zbocza. Trzymały się za ręce. Zawsze trzymały się za ręce, kiedy sądziły, że są same. A Polly miała wrażenie, że nie trzymają się za ręce jak ludzie, którzy są, no... przyjaciółmi. Ścisnęły się z całej siły, jak ktoś, kto ześliznął się z urwiska, ścisną dłoń ratownika, bojąc się, że jeśli puści, runie w przepaść.

– Herbata gotowa – wyjąkała.

Dziewczęta obejrzały się, a Polly nabrała gorącej herbaty do dwóch kubków.

– Wiecie – powiedziała cicho. – Nikt was nie znieawidzi, jeśli dziś uciekniecie.

– O czym ty mówisz, Ozz? – zdziwiła się Loft.

– No bo co was czeka w Kneck? Wyrwaliście się ze szkoły. Możecie iść dokądkolwiek. Założę się, że mogłybyście się przekraść...

– Zostajemy – przerwała jej surowo Stukacz. – Rozmawialiśmy o tym. Gdzie jeszcze mogłybyśmy pójść? A poza tym, przypuśćmy, że ktoś nas ściga...

– To prawdopodobnie jakieś zwierzę – oświadczyła Polly, sama sobie nie wierząc.

– Zwierzęta tak nie robią – odparła Stukacz. – I nie wydaje mi się, żeby zwierzę tak zdenerwowało Maladicta. To pewnie następni szpiedzy. No więc załatwimy ich.

– Nikt nas nie zmusi do powrotu – dodała Loft.

– Aha... eee... to dobrze. – Polly się wycofała. – Muszę lecieć, nikt przecież nie lubi zimnej herbaty.

Szybko ruszyła w bok zbocza. Kiedy Loft i Stukacz były razem, czuła się jak intruz.

Łazer zajęła stanowisko w niewielkiej kotlinie i obserwowała teren poniżej ze swym zwykłym wyrazem odrobinę niepokojącej koncentracji. Obejrzała się, słysząc Polly.

– Och, Polly – powiedziała. – Dobre nowiny!

– To dobrze – odparła Polly słabym głosem. – Lubię dobre nowiny.

– Ona mówi, że to nie szkodzi, jeśli nie będziemy nosić chust na włosach.

– Co? Aha. Świetnie.

– Ale tylko dlatego że służymy Wyższej Sprawie – oświadczyła Łazer.

Tak jak Bluza umiał wstawiać cudzysłowy, Łazer potrafiła umieścić w swoich wypowiedziach wielkie litery.

– Czyli to dobrze – uznała Polly.

– Wiesz, Polly – mówiła Łazer – wydaje mi się, że świat byłby o wiele lepszy, gdyby rządziły nim kobiety. Nie byłoby wtedy żadnych wojen. Oczywiście, Księża uznałyby to za Straszliwą Obrzydliwość dla Nuggana. Może to błąd? Muszę poradzić się księżnej. Niech błogosławiony będzie ten kubek, abym mogła się z niego napić – dodała.

– Eee... no tak – mruknęła Polly.

Zastanawiała się, czego powinna bardziej się obawiać: czy Maladicta, zmieniającego się nagle w wygłodniałe monstrum, czy raczej Łazer docierającej do końca tej psychicznej podróży, jaką podjęła. Kiedyś była zwykłą pokojówką, a teraz poddaje krytycznej analizie Księżę i rozmawia z ikoną religijną. To prowokuje konflikty. Towarzystwo poszukujących prawdy jest nieskończenie lepsze niż tych, którzy wierzą, że ją znaleźli.

Poza tym, myślała, obserwując pijącą herbatę Łazer, tylko ktoś, kto nie zna zbyt wielu kobiet, zwłaszcza starych kobiet, może uważać, że świat przez nie rządzony byłby lepszy. Weźmy choćby sprawę tych chust. Kobiety w piątki mają zakrywać włosy. Ale Księża w ogóle o tym nie wspomina, chociaż w większości kwestii bywa wściek... piekielnie rygorystyczna. Taki był zwyczaj. Tak się robi, ponieważ zawsze się tak robiło. A jeśli ktoś zapomniał albo nie chciał nosić chusty, staruchy go dopadały. Miały wzrok niby jastrzębie. A nawet widziały przez mury. Mężczyźni ich słuchali, gdyż żaden mężczyzna nie chce się

narażać staruchom – mogły przecież zacząć przyglądać się jemu. Dlatego zwykle wymierzano jakąś symboliczną karę. A kiedy tylko odbywała się jakaś egzekucja, zwłaszcza chłosta, zawsze w pierwszym rzędzie stały różne babcie i ssały miętówki. Polly zapomniała o chuście. W domu nosiła ją w piątki po prostu dlatego, że było to łatwiejsze od nienoszenia. Przysięgła sobie, że jeśli kiedyś wróci, nigdy więcej takiej chusty nie założy.

– Ehm... Łaz...

– Tak, Polly?

– Masz bezpośredni kontakt z księżną?

– Rozmawiamy o różnych sprawach – przyznała rozmarzona Łazer.

– A mogłabyś, no wiesz, zagadać na temat kawy? – spytała żałośnie Polly.

– Księżna może przesuwac tylko bardzo, bardzo małe przedmioty.

– Może choć kilka ziaren? Łaz, naprawdę potrzebujemy tej kawy. Nie sądzę, żeby żołędzie mogły ją zastąpić.

– Pomodłę się – obiecała Łazer.

– Dobrze. Tak zrób.

To dziwne, ale Polly poczuła lekki optymizm. Maladict miał halucynacje, za to Łazer demonstrowała pewność, którą można by gnać stal. Było to coś przeciwnego do halucynacji – całkiem jakby ona jedna widziała to co rzeczywiste, a inni nie.

– Polly... – odezwała się Łazer.

– Tak?

– Nie wierzysz w księżną, prawda? To znaczy w prawdziwą księżną, nie waszą gospodę.

Polly spojrzała na drobną, nieruchomą, skupioną twarzyczkę.

– Wiesz, jak by to... mówią, że ona nie żyje, no i modliłam się do niej, kiedy byłam małą, ale skoro pytasz, to nie bardzo... no, nie bardzo wierzę, nie tak naprawdę... – trajkotała.

– Ona stoi za tobą. Tuż za twoim prawym ramieniem.

W ciszy lasu Polly się obejrzała.

– Nie widzę jej.

– Cieszę się z twojego powodu. – Łazer oddała jej pusty kubek.

– Przecież niczego nie zobaczyłam...

– Nie. Ale się obejrzałaś.

Polly nigdy nie pytała o Szkołę Zawodu dla Dziewcząt. Sama z definicji należała do Grzecznych Dziewczynek. Jej ojciec był wpływowym członkiem społeczności, pracowała ciężko, nieczęsto miała do czynienia z mężczyznami, a co najważniejsze, była... sprytna. Miała dość rozumu, by robić to, co robiła większość w tym chronicznym, pozbawionym rozsądku szaleństwie, stanowiącym życie codzienne w Munzu. Wiedziała, co widzieć, a czego nie zauważać, kiedy być posłuszną, a kiedy tylko udawać posłuszeństwo, kiedy mówić, a kiedy zachowywać myśli dla siebie. Nauczyła się sposobów przetrwania. Jak większość. Ale jeśli dziewczyna się buntowała albo była tylko niebezpiecznie szczerą, albo zapadła na

niewłaściwy rodzaj choroby, albo była niepożądana, albo lubiła chłopców bardziej, niż staruchy uważały, że powinna – wtedy jej przeznaczeniem stawała się szkoła.

O szkole niewiele było wiadomo, ale wyobraźnia chętnie wypełniała luki. Polly często myślała, co w tym piekielnym kotle dzieje się z człowiekiem. Jeśli jest silny jak Stukacz, gotuje się na twardo i zyskuje skorupę. Loft... trudno powiedzieć. Była cicha i nieśmiała, dopóki nie widziało się blasku ognia odbitego w jej oczach. A czasem miała w oczach płomienie, mimo że nie było ognia, który mógłby się odbijać. Ale taka Łazer, która od początku dostała słabe karty, jeśli była zamykana, głodzona, bita, jeśli znęcali się nad nią Nuggan wie jak (i owszem, uznała Polly, Nuggan prawdopodobnie rzeczywiście wiedział), jeśli zapadała się coraz dalej i dalej w głąb siebie, co mogła tam znaleźć? W końcu spoglądała z tej otchłani na jedyny uśmiech, jaki widziała w życiu.

Ostatnim wartownikiem był Jackrum, gdyż Kukuła gotowała. Siedział na omszałym kamieniu, trzymał kuszę i przyglądał się czemuś trzymanemu w drugiej ręce. Odwrócił się szybko, gdy się zbliżyła, a Polly dostrzegła błysk złota, kiedy błyskawicznie schował coś pod kurtkę.

Opuścił kuszę.

– Hałasujesz jak słoń, Perks – powiedział.

– Przepraszam, sierżancie – odparła Polly, która wiedziała, że to nieprawda.

Wziął od niej kubek, odwrócił się i wskazał coś u stóp wzgórza.

– Widzisz ten krzak na dole, Perks? Po prawej stronie od leżącego pnia?

Zmrużyła oczy.

– Tak, sierżancie.

– Zauważyłeś coś ciekawego?

Polly znów wyteżyła wzrok. Coś musi się nie zgadzać, uznała, bo przecież inaczej by nie pytał. Skupiła się.

– Cię jest nie taki – stwierdziła w końcu.

– Dobry chłopak. To dlatego że za krzakiem siedzi nasz przyjaciel. On mnie obserwuje, ja obserwuję jego. To wszystko. Wyniesie się na paluszkach, jeśli zobaczy, że ktoś się ruszył, a jest za daleko, żeby zahaczyć go strzałą.

– Wróg?

– Nie wydaje mi się.

– Przyjaciel?

– W każdym razie beczelny drań, nie ma co. Nie przejmuj się tym, że wiem, że tam siedzi. Wróć teraz na górę, chłopcze, i przynieś ten łuk, który mamy po... No to uciek!

Cień zniknął. Polly rozejrzała się po lesie, ale światło nabierało już barwy fioletu i zmierzch rozkwitał między drzewami.

– To wilk – stwierdził Jackrum.

– Wilkołak? – spytała Polly.

– A czemu ci to przyszło do głowy?

– Bo sierżant Towering mówił, że mamy w oddziale wilkołaka. Jestem pewien, że nie mamy. Znaczy, przez ten czas już byśmy to wykryli, prawda? Ale pomyślałem, że może jakiegoś widzieli.

– I tak nic mu nie możemy zrobić – uznał Jackrum. – Nie mamy srebrnej strzały.

– A nasz szyling, sierżancie?

– Co? Myślisz, że zabijesz wilkołaka wekslem?

– No tak... – Polly zastanowiła się i dodała: – Ale pan ma prawdziwego szylinga, sierżancie. Na szyi, razem z tym złotym medalionem.

Jeśli wiarą Łazer można by ciąć stal, to wzrok Jackruma mógłby ją rozżarzyć do czerwoności.

– Co noszę na szyi, to moja sprawa, Perks, nie twoja. A jedyną rzeczą gorszą od wilkołaka jestem ja, kiedy ktoś usiłuje odebrać mi mojego szylinga. Jasne?

Złagodniał, widząc przerażoną minę Polly.

– Ruszamy zaraz po jedzeniu – rzekł. – Poszukamy lepszego miejsca na odpoczynek. Czegoś łatwiejszego do obrony.

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni, sierżancie.

– Dlatego chcę, żebyśmy wszyscy byli przytomni i uzbrojeni, gdyby nasz przyjaciel wrócił tu z kumplami.

Zauważył, że mu się przygląda, i podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Złoty medalion wysunął się spod kurtki i dyndał oskarżycielsko na łańcuszku. Sierżant szybko go schował z powrotem.

– To tylko... dziewczyna, którą kiedyś znałem – wyjaśnił. – Nic więcej, jasne? Bardzo dawno temu.

– Nie pytałem, sierżancie. – Polly cofnęła się o krok.

Jackrum wyprostował ramiona.

– Zgadza się, chłopcze, nie pytałeś. Ja też cię o nic nie pytam. Ale myślę, że trzeba znaleźć kapralowi trochę kawy, co?

– Święta racja, sierżancie.

– A nasz rupert marzy o laurowych wieńcach na głowę, Perks. Trafił nam się nieszczęsny bohater. Nie umie myśleć, nie umie walczyć i na nic się nam nie przyda, chyba że do sławnych ostatnich walk i medalu wysłanego jego mamusi. A ja uczestniczyłem w paru sławnych ostatnich walkach i to są rzeźnie. Tam właśnie Bluza was prowadzi, zapamiętaj moje słowa. No więc co macie zamiar z tym zrobić? Mielśmy dotąd parę utarczek, ale to jeszcze nie wojna. Myślisz, że zachowasz się jak mężczyzna i wytrzymasz, kiedy metal trafi w mięso?

– Pan wytrzymał, sierżancie – przypomniła Polly. – Sam pan powiedział, że brał udział w paru ostatnich walkach.

– Zgadza się, chłopcze. Ale wtedy ja miałem metal.

Polly wróciła na górę. Tyle problemów, myślała, a przecież nawet tam nie doszliśmy. Sierżant myśli o dziewczynie, którą zostawił.. no, to normalne. Stukacz i Loft myślą tylko o sobie nawzajem, ale przypuszczam, że kiedy człowiek był w tej szkole... Co do Łazer...

Zastanawiała się, jak jej by się udało przetrwać szkołę. Czy stałaby się twarda jak Stukacz? A może ukryłaby się we wnętrzu, jak te pokojówki, które przychodziły i odchodziły, pracowały ciężko i nigdy nie miały imion? A może stałaby się jak Łazer i znalazła we własnym umyśle zamknięte drzwi... „Może i nisko upadłam, ale rozmawiam z bogami”...

Łazer powiedziała „nie waszą gospodę”. Czy kiedykolwiek wspominała jej o Księżnej? Na pewno nie. Na pewno... Ale zaraz, powiedziała przecież Stukacz, prawda? To jest to. Wszystko jasne. Stukacz musiała kiedyś opowiedzieć o tym Łazer. Nic w tym tajemniczego, nawet jeśli praktycznie nikt nie prowadzi rozmów z Łaz. Bo są trudne. Dziewczyna jest tak skoncentrowana, tak spięta... Ale to przecież jedyne możliwe wyjaśnienie. Tak. Polly nie miała zamiaru rozważać żadnych innych.

Zadrżała nagle i uświadomiła sobie, że ktoś idzie obok niej. Spojrzała i jęknęła.

– Jesteś halucynacją, prawda?

O TAK. WSZYSCY ZNALEŹLIŚCIE SIĘ W STANIE PODWYŻSZONEJ WRAŻLIWOŚCI, SPOWODOWANYM PSYCHICZNYM WYCZERPANIEM I BRAKIEM SNU.

– Skoro jesteś halucynacją, to skąd o tym wiesz?

WIEM, PONIEWAŻ TY WIESZ. JA TYLKO LEPIEJ POTRAFIĘ TO WYARTYKUŁOWAĆ.

– Nie umrę chyba, prawda? To znaczy nie w tej chwili...

NIE. ALE UPRZEDZANO CIĘ, ŻE CODZIENNIE BĘDZIESZ MASZEROWAĆ ZE ŚMIERCIA.

– Aha... no tak. Kapral Scallot tak mówił.

TO STARY PRZYJACIEL. MOŻNA POWIEDZIEĆ, ŻE JEST W PROGRAMIE RATALNYM.

– Czy mógłbyś chodzić... bardziej niewidzialnie?

OCZYWIŚCIE. TERAZ DOBRZE?

– I bezgłośnie?

Zapadła cisza, będąca prawdopodobnie odpowiedzią.

– I mógłbyś trochę o siebie zadbać – zwróciła się Polly do pustego miejsca. – Tej szacie przydałoby się pranie.

Nadal nikt jej nie odpowiedział, ale mówiąc to, poczuła się lepiej.

Kukuła przygotowała potrawkę z wołowiny z kluskami i ziołami. Była wspaniała. I

zagadkowa.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy mijali jakąś krowę, szeregowy – zauważył Bluza, wyciągając blaszany talerz po dokładkę.

– No... Nie, sir.

– A mimo to zdobyłeś wołowinę?

– No... tak, sir. Bo... kiedy ten pisarz przyjechał ze swoim wozem, a pan z nim rozmawiał, przekradłem się na tyły i zajrzałem do środka...

– Ktoś, kto robi takie rzeczy, szeregowy, ma swoją nazwę – oświadczył surowo Bluza.

– Owszem. To kwatermistrz. Dobra robota, Kukula – rzekł Jackrum. – Jeśli ten pisarz zgłodnieje, zawsze może zjeść własne słowa. Prawda, poruczniku?

– No... tak – przyznał ostrożnie Bluza. – Tak. Oczywiście. Cenna inicjatywa, szeregowy.

– Sam tego nie wymyśliłem, sir – odpowiedziała dumnie Kukula. – Sierżant mi kazał.

Polly znieruchomiała z łyżką w połowie drogi do ust. Jej oczy przesuwaly się od porucznika do sierżanta i z powrotem.

– Uczycie grabieży, sierżancie? – zapytał groźnie Bluza.

Oddział syknął chóralnie. Gdyby byli w barze Pod Księżną, stali bywalcy wbiegaliby za drzwi, a Polly pomagałaby ojcu ściągać z półek butelki.

– Nie grabieży. Żadnej grabieży. – Jackrum spokojnie oblizał łyżkę. – Według Regulaminu Księżnej, Norma 611, Rozdział 1 (a), paragraf i, sir, to plądrowanie, albowiem wzmiankowany wóz był własnością przekłętą Ankh-Morpork, które wspomaga i wspiera nieprzyjaciela. Plądrowanie jest dopuszczalne, sir...

Porucznik i sierżant przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem Bluza sięgnął do tyłu i ze swojego plecaka wyjął niedużą, ale grubą książeczkę.

– Norma 611... – mruczał. Uniósł głowę, spojrzał na sierżanta i przerzucił kilka cienkich, lśniących kartek. – 611, Rabunek, Plądrowanie i Grabież. A tak. Ponadto... niech popatrzę... jesteście z nami, sierżancie, na podstawie Normy 796, o ile pamiętam. Przypomnieliście mi o niej wtedy...

Znowu nastała cisza, tylko kartki szeleściły. Nie ma żadnej Normy 796, przypomniła sobie Polly. Czy będą się bić z tego powodu?

– 796, 796... – powtarzał cicho Bluza. – Aha...

Spoglądał na stronicę, a Jackrum spoglądał na niego.

Po chwili Bluza zatrzaskał książkę.

– Całkowicie poprawnie, sierżancie. Gratuluję wam encyklopedycznej znajomości regulaminu.

Sierżant wyglądał jak ogłuszony.

– Co?

– Powtórzyliście niemal słowo w słowo – rzekł Bluza radośnie. Oczy mu błyszczały. Polly przypomniła sobie, jak Bluza patrzył na kapitana kawalerii. To było takie samo

spojrzenie – spojrzenie mówiące: teraz ja jestem górą.

Podbródki Jackrumba zafalowały.

– Chcecie coś dodać, sierżancie? – spytał porucznik.

– Eee... nie... sir. – Twarz Jackrumba był otwartym wypowiedzeniem wojny.

– Ruszamy, kiedy wszędzie księżyc – uprzedził Bluz. – Sugeruję, żeby do tego czasu trochę odpocząć. Potem... obyśmy zwyciężyli.

Skinął im głową i odszedł do miejsca, gdzie pod krzakami Polly rozłożyła jego koc. Po kilku chwilach usłyszeli chrapania, w które jednak nie uwierzyła. Jackrum także nie. Wstał i wyszedł z kręgu światła ogniska.

Polly ruszyła za nim.

– Słyszałeś to? – warknął, spoglądając ku dalekim wzgórzom. – Co za dupek! Jakże ma prawo sprawdzać mnie w tej swojej książce słów?

– No ale podał mu pan rozdział i wers, sierżancie.

– I co? Oficerowie mają wierzyć w to, co im się mówi! A potem jeszcze się uśmiecha! Widziałeś? Przyłapał mnie i się uśmiecha! Myśli, że wygrał tylko dlatego, że mnie złapał!

– Ale skłamał pan, sierżancie...

– Nie skłamałem, Perks! To nie jest kłamstwo, kiedy mówisz je oficerom! To prezentowanie im świata takiego, jaki według nich być powinien. Nie można pozwolić, żeby sami zaczęli sprawdzać. Niewłaściwe myśli wpadają im wtedy do głowy. Mówiłem ci, ściągnie śmierć na nas wszystkich. Szturm na tę piekielną twierdzę? Ten człowiek ma złe poukładane w głowie!

– Sierżancie! – przerwała mu Polly.

– Tak, słucham?

– Ktoś do nas sygnalizuje, sierżancie!

Na dalekim wzgórzu, mrugając jak przedwczesna gwiazda wieczorna, migotało białe światełko. Bluz opuścił lunetę.

– Powtarzają „CQ” – powiedział. – Sądzę, że te dłuższe przerwy są wtedy, kiedy mierzą rurą w innych kierunkach. Szukają swoich szpiegów. To znaczy „Seek You”, rozumiecie? „Szukam cię”. Szeregowy Igor!

– Fir?

– Wiecie, jak działa ta rura, prawda?

– O tak, fir. Trzeba tylko zapalić flarę w tej fkrzyncie, a potem wyftarczy wycelować i pftrykać.

– Nie chce pan chyba odpowiedzieć, sir? – spytał przerażony Jackrum.

– Owszem, chcę, sierżancie – odparł Bluz stanowczo. – Szeregowy Karborund, poskładajcie rurę. Manickle, przenieście latarnię. Będę musiał odczytywać kody.

– Ale to zdradzi naszą pozycję, sir!

– Nie, sierżancie, ponieważ... choć to określenie może być dla was obce... planuję coś, co

nazywamy „kłamstwem”. Igorze, na pewno masz jakieś nożyczki..

– Ifotnie, pofiadam narzędzie, o którym pan mówi, fir.

– Dobrze. – Bluza się rozejrzał. – Jest prawie zupełnie ciemno – stwierdził. – Idealnie. Weź mój koc i wytnij, bo ja wiem, trzycalowy otwór. A potem umocuj koc na wylocie rury.

– To zablokuje więkfą częfć fiatła, fir!

– Rzeczywiście. Od tego zależy powodzenie mojego planu – wyjaśnił Bluza z dumą.

– Sir, kiedy zobaczą światło, będą wiedzieć, że tu jesteśmy – oświadczył Jackrum takim tonem, jakby tłumaczył coś dziecku.

– Mówilem już, sierżancie, że będę kłamał – odparł Bluza.

– Nie umie pan skłamać nawet...

– Dziękuję za te cenne uwagi, sierżancie. To na razie wszystko. Gotowi, Igorze?

– Już prawie, fir. – Igorina obwiązała kocem wylot rury. – Załatwione, fir. Zapalę flarę, jak tylko pan powie.

Bluza otworzył małą książeczkę.

– Gotów, szeregowy?

– Tak – zapewniła Nefryt.

– Kiedy powiem „długi”, przytrzymacie dźwignię i policzycie do dwóch, a potem puścicie. Kiedy powiem „krótki”, przytrzymacie dźwignię, póki nie doliczycie do jednego, a potem analogicznie puścicie. Jasne?

– Jasne, por – potwierdziła Nefryt. – Mogem trzymać do mnóstwo, jak trzeba. Jeden, dwa, dużo, mnóstwo. Dobry w liczeniu. Dużo, jak pan chce. Starczy słowo.

– Dwa będzie dosyć – uznał Bluza. – A wy, szeregowy Goom, weźmiecie moją lunetę i będziecie obserwować długie i krótkie błyski tamtego światła. Rozumiecie?

Polly zobaczyła twarz Łazer.

– Ja się tym zajmę, sir – powiedziała szybko. Wąska, biała dłoń dotknęła jej ramienia. W nędnym świetle ślepej latarni w oczach Łazer jarzył się ogień absolutnej pewności.

– Księżna kieruje teraz naszymi krokami – oświadczyła Łazer i wzięła od Polly lunetę. – Wykonujemy jedynie jej pracę, sir.

– Naprawdę? No... to dobrze.

– Ona pobłogosławi ten instrument dalekiego widzenia, abym mógł go używać.

– Tak? To świetnie – stwierdził nerwowo Bluza. – No więc... jesteśmy gotowi? Wyślij teraz: długi... długi... krótki...

Przesłona w rurze zastukała i zagrzecotała, a wiadomość błysnęła wśród nocy. Kiedy troll opuścił rurę, nastąpiło pół minuty ciemności. A potem...

– Długi... długi... – zaczęła Łazer.

Bluza przysunął sobie książkę do oczu i odczytywał znaki przy plamkach światła uciekającego przez szpary pudła. – K...J...O...B... S... L...B...

– Przecież to nie jest wiadomość! – zawołał Jackrum.

– Wręcz przeciwnie. Chcą się dowiedzieć, gdzie jesteśmy, ponieważ mają kłopot z odczytem naszego światła – tłumaczył Bluza. – Szeregowy, wyślijcie co następuje: krótki...

– Protestuję, sir!

Bluza opuścił książkę.

– Sierżancie, mam właśnie zamiar poinformować naszego szpiega, że znajdujemy się o siedem mil dalej niż w rzeczywistości, rozumiecie? I jestem pewien, że uwierzą, ponieważ sztucznie zmniejszyłem moc światła z naszej aparatury, rozumiecie? Powiem im, że ich szpiedzy spotkali bardzo dużą grupę rekrutów i dezertarów zmierzającą w stronę gór, a teraz prowadzą pościg, rozumiecie? W efekcie będziemy niewidzialni, rozumiecie? Pytam, czy rozumiecie, sierżancie Jackrum!

Oddział wstrzymał oddech.

Jackrum sztywno stanął na baczność.

– W pełni rozumiem, sir! – zapewnił.

– Bardzo dobrze!

Jackrum pozostał na baczność podczas całej wymiany wiadomości, jak niegrzeczny uczeń zmuszony, by stać przy biurku nauczyciela.

Wiadomości błyskały na niebie między wzgórzami. Migotały światła. Stukała sekarowa rura. Łazer odczytywała krótkie i długie sygnały. Bluza notował w książce.

– S... P... P... 2... Ha! To rozkaz, by pozostać na miejscu.

– Znowu błyski, sir – uprzedziła Łazer.

– T... Y... E... 3... – Bluza notował. – To znaczy: „bądź gotów udzielić pomocy”. N... W... A... Z... J... To...

– To nie szyfr, sir! – zawołała Polly.

– Szeregowy, wyślijcie natychmiast – wychrypiał porucznik. – Długi... długi...

Wiadomość została nadana. Opadła rosa, a w górze gwiazdy zamrugały wiadomościami, których nikt nie próbował odczytać. Sekary zamilkły.

– Ruszamy czym prędzej – powiedział Bluza. – Jak się zdaje, odpowiednia fraza brzmi „Spadamy stąd”.

– Prawie dobrze, sir – pochwaliła Polly. – Prawie dobrze.

Istnieje taka stara, bardzo stara borograviańska piosenka, mająca więcej Z i V, niż potrafi wymówić człowiek z nizin. Zaczyna się „Plogviehze!”. To znaczy „Słońce wzeszło! Ruszajmy na wojnę!”. Trzeba mieć bardzo szczególną historię, żeby coś takiego zmieścić w jednym słowie.

Sam Vimes westchnął. Małe państewka walczyły z powodu rzeki, z powodu idiotycznych traktatów, z powodu konfliktów rodów królewskich, ale przede wszystkim dlatego, że zawsze walczyły. Ruszały na wojnę, ponieważ wzeszło słońce.

Ta wojna zawiązała się na supeł.

W dole rzeki dolina zwężała się do kanionu, a dalej Kneck spadała w dół ćwierćmilowym wodospadem. Ktokolwiek próbowałby się przedostać przez poszarpane góry, znalazłby się w świecie wąwozów, ostrych jak brzytwa turni, wiecznego lodu i jeszcze bardziej wiecznej śmierci. Każdy oddział, który próbowałby przekroczyć Kneck i dotrzeć do Zlobenii, byłby teraz na brzegu wybity do nogi. Jedyna droga z doliny prowadziła w górę rzeki, ale wtedy armia musiała przejść przez cień twierdzy. Co było akceptowalne, dopóki twierdza była w borograviańskich rękach. Teraz, kiedy została zdobyta, żołnierze weszliby w zasięg własnych machin obronnych.

I to jakich machin! Vimes widział katapulty wyrzucające kamienne kule na odległość trzech mil. Kiedy takie kule lądowały, rozpadały się na ostre jak igły odłamki. Była też inna machina, która posyłała w powietrze wirujące sześciostopowe stalowe dyski. Kiedy uderzały o ziemię i podskakiwały znowu, stały się demonicznie nieprzewidywalne, ale przez to tym bardziej przerażające. Tłumaczono Vimesowi, że taki ostry dysk pokonuje zwykle kilkaset sążni, nieważne, ilu spotka na drodze ludzi i koni. A były to tylko najnowsze pomysły. Nie brakowało broni bardziej konwencjonalnej, jeśli można tym słowem określić gigantyczne kusze, katapulty i onagery ciskające kule efebiańskiego ognia, który przyklejał się do skóry.

Ze swego okna na tej nieszczelnej wieży widział na równinie ogniska okopanej armii. Nie mogli się wycofać, a sprzymierzeni – jeśli można tak nazwać tę kłótliwą zgromadzoną – nie śmieli ruszyć w górę rzeki, do serca kraju, zostawiając taką armię za plecami. Nie mieli dość ludzi, by równocześnie utrzymać twierdzę i rozbić nieprzyjaciela.

W dodatku za kilka tygodni zacznie padać śnieg. Zasypie przełęcz. Nic się już nie przedostanie. A każdego dnia tysiące ludzi i zwierząt będzie wymagać pożywienia. Oczywiście, ludzie mogą w końcu zjeść konie, za jednym zamachem rozwiązując dwa problemy. Potem pozostanie im już tylko wymiana nóg, która – jak Vimes dowiedział się od jednego z przyjaźnie nastawionych Złobeńców – była tu tradycyjnym elementem zimowych działań wojennych. Ponieważ tym Złobeńcem był kapitan „Kulas” Splatzer, Vimes mu wierzył.

Potem zacznie padać, a jeszcze później deszcz i topniejące śniegi zmieniają tę przekłętą rzekę w rozlewiska. Ale już wcześniej sprzymierzeni pokłócą się zupełnie i wrócą do domów. Borogravianom wystarczy więc utrzymać pozycje, by osiągnąć remis.

Zaklął pod nosem. Książę Heinrich odziedziczył tron kraju, którego głównym artykułem eksportowym były ręcznie malowane drewniane chodaki. Przysiągł jednak, że za dziesięć lat stołeczne miasto Rigour stanie się „górskim Ankh-Morpork”. Z jakiegoś powodu uważał, że Ankh-Morpork będzie z tego zadowolone.

Jak twierdził, koniecznie chciał poznać ankhmorporski styl załatwiania spraw. Ta niewinna ambicja mogła początkującego władcę doprowadzić do... do odkrycia, jaki jest ankhmorporski styl załatwiania spraw. Heinrich miał w okolicy reputację człowieka sprytnego, lecz Ankh-Morpork wyprzedziło spryt już tysiące lat temu, przemknęło obok

chytrości, zostawiło za sobą przebiegłość, a teraz, okrężną drogą, znów docierało do prostolinijności.

Vimes przerzucił papiery na biurku i unióś głowę, kiedy zza okna dobiegł ostry, chrapliwy krzyk. Długim, łagodnym łukiem myszołów wleciał przez okno i wylądował na zaimprovizowanej żerdzi na drugim końcu pokoju. Vimes podszedł w chwili, gdy mała postać na grzbiecie ptaka zdjęła z oczu gogle.

– Co słysząc, Buggy? – zapytał.

– Robią się podejrzliwi, panie Vimes. A sierżant Angua mówi, że to trochę ryzykowne, kiedy są już tak blisko.

– Przekaż jej zatem, żeby wracała.

– Tak jest, sir. I nadal potrzebują kawy.

– Do licha! Nic nie znaleźli?

– Nie, sir, a z wampirem zaczynają się już kłopoty.

– Ale jeśli już są podejrzliwi, to nabiorą pewności, jeśli zrzucimy im manierkę kawy.

– Sierżant Angua uważa, że prawdopodobnie nam to ujdzie, sir. Nie powiedziała dlaczego. – Gnom spojrzał pytająco na komendanta. Tak samo jego myszołów. – Daleko doszły, sir, jak na zgraję dziewcząt. No... głównie dziewcząt.

Vimes z roztargnieniem wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ptaka.

– Nie, sir! – wrzasnął Buggy. – Straci pan kciuk!

Ktoś zastukał do drzwi, a zaraz potem wszedł Reg z tacą surowego mięsa.

– Zauważyłem w górze Buggy’ego, więc pomyślałem, że skoczę do kuchni, sir...

– Słusznie, Reg. Nie pytają, po co ci surowe mięso?

– Pytają, sir. Mówię, że to pan je zjada.

Vimes milczał przez chwilę, nim odpowiedział. Reg nie miał przecież złych zamiarów.

– No cóż, i tak nic już chyba nie zaszkodzi mojej reputacji. A przy okazji, co się działo w tej krypcie?

– To nie są tacy, których nazywam prawdziwymi zombi. – Reg wybrał skrawek mięsa i pomachał nim przed Morag. – Raczej chodzące trupy.

– Eee... tak?

– To znaczy, że oni właściwie nie myślą – tłumaczył zombi, wybierając następny kawałek surowego królika. – Nie potrafią docenić nowych możliwości życia pozagrobowego. To zwykle stosy dawnych wspomnień na nogach. Tacy jak oni tylko psują zombi opinię, sir. Strasznie mnie to denerwuje...

Morag spróbowała chwycić kawałek zakrwawionego króliczego futra, którym Reg potrząsał z roztargnieniem.

– Eee... Reg... – odezwał się Buggy.

– Czy naprawdę tak trudno iść z duchem czasów? Weźmy na przykład mnie. Pewnego dnia obudziłem się martwy. Ale...

– Reg! – ostrzegł Vimes. Głowa Morag przesunęła się szybko w tył i w przód.

– ...czy mnie to powaliło? Nie! I wcale...

– Reg, uważaj! Właśnie wyrwała ci dwa palce!

– Co? Och... – Reg popatrzył na swą ogołoconą dłoń. – No wiecie, coś takiego... – Rozejrzał się po podłodze, ale jego nadzieja szybko zgasła. – Do licha! Można ją jakoś skłonić do wymiotów?

– Tylko wtykając jej palce w gardło, Reg. Przepraszam cię, Buggy, zrób, co możliwe, dobrze? A ty, Reg, zbiegnij na dół i sprawdź, czy nie mają kawy.

– Oj... – mruknęła Kukuła.

– Wielka jest – stwierdziła Stukacz.

Bluza milczał.

– Nie widział jej pan jeszcze, sir? – zapytał uprzejmie Jackrum. Ukryci w krzakach, przyglądali się oddalonej o pół mili twierdzy. Jeśli istnieje bajkowa skała zamków, w której na szczycie są te najeżone iglicami, o białych murach i niebieskich spiczastych dachach, to twierdza Kneck znajdowała się na drugim końcu – czarna, przylgnęła do skały niczym burzowa chmura. Otaczało ją koryto rzeki Kneck. Przez cypel, na jakim ją wzniesiono, biegła droga podejścia, szeroka i całkowicie pozbawiona osłony, idealna na spacer dla zmęczonych życiem.

– Nie, sierżancie – przyznał Bluza. – Oglądałem rysunki, ale nie oddają sprawiedliwości...

– Któraś z tych pańskich książek, sir, mówi, co powinniśmy teraz zrobić?

– Być może, sierżancie. W „Rzemiośle wojennym” Song Sung Lo powiada: „Zwycięstwo bez walki to największe zwycięstwo”. Nieprzyjaciół chciałby, żebyśmy zaatakowali w miejscu, gdzie jest najsilniejszy. A zatem rozczarujemy go. Sposób się objawi, sierżancie.

– Mnie jakoś nigdy się nie objawił, sir, a byłem tu już paręnaście razy. – Jackrum wciąż się uśmiechał. – Ha, nawet szczury musiałyby udawać praczeki, żeby się tam dostać! Gdyby udało się jakoś przejść tą drogą, trafi pan tam na wąskie przejścia, otwory w sklepieniu, przez które leje się gorący olej, wszędzie wrota, których nawet troll nie wyłamie, parę labiryntów i setki drobnych sposobów, w jakie można człowieka zastrzelić. Och, to cudowne miejsce do szturmowania.

– Zastanawiam się, jak zdobyli je sprzymierzeni.

– Pewnie zdradą, sir. Świat jest pełen zdrajców. A może odkryli tajne wejście, sir. Wie pan, to, o którym jest pan pewien, że istnieje. A może już pan zapomniał, sir? Takie coś może wypaść z pamięci, kiedy człowiek jest zapracowany.

– Dokonamy rozpoznania, sierżancie – oświadczył chłodno Bluza, kiedy wyczołgali się z krzaków.

Otrzeptał mundur z liści. Thalacephalos, czyli – jak ją określał Bluza – „wierny rumak”, została puszczona wolno wiele mil wcześniej. Nie można się skradać konno, a szkapa, jak

stwierdził Jackrum, była za chuda, żeby ją jeść, i zbyt złośliwa, żeby jej dosiadać.

– Oczywiście, sir, tak jest, sir. Równie dobrze możemy się tym zająć. – Jackrum był wcieleniem uprzejmości. – A gdzie chce pan prowadzić to rozpoznanie?

– Musi być jakieś tajne wejście, sierżancie! Nikt nie budowałby takiej twierdzy z tylko jedną bramą. Zgodzicie się chyba?

– Tak, sir. Lecz może trzymają je w tajemnicy, sir. Chciałem tylko pomóc, sir.

Odwrócili się, słysząc żarliwą modlitwę. Łazer padła na kolana i złożyła dłonie. Reszta oddziału odsuwała się od niej powoli. Pobożność to cudowne zjawisko...

– Co on robi, sierżancie? – szepnął porucznik.

– Modli się, sir.

– Zauważyłem, że często mu się to zdarza. Czy to, ehm, zgodne z regulaminem?

– To trudny problem, sir, nie ma co – przyznał Jackrum. – Ja osobiście wiele razy modliłem się na polu bitwy. Wiele razy odmawiałem Modlitwę Żołnierza i nie wstydzę się do tego przyznać.

– Tej chyba nie znam...

– Myślę, że słowa przyjdą same, sir, jak tylko stanie pan naprzeciw wrogów. Na ogół jednak ich sens jest mniej więcej taki: „O boże, pozwól mi zabić tego sukinsyna, nim on mnie zabije”. – Jackrum uśmiechnął się szeroko, widząc minę Bluzy. – To jest, jak ją nazywam, wersja autoryzowana, sir.

– No tak, sierżancie, ale gdzie byśmy byli, gdybyśmy stale się modlili?

– W niebie, poruczniku, siedząc po prawicy Nuggana – odpowiedział natychmiast Jackrum. – Tego mnie nauczili, kiedy byłem jeszcze maluchem. Musi tam panować niezły tłok, więc może dobrze, że nas tam nie ma.

W tym momencie Łazer przestała się modlić, wstała i otrzepała kolana. Po czym obdarzyła oddział swym promiennym i niepokojącym uśmiechem.

– Księżna pokieruje naszymi krokami – oznajmiła.

– To świetnie – odparł słabym głosem porucznik.

– Wskaże nam drogę.

– Cudownie. Ale, no... czy podała jakieś współrzędne mapy?

– Da nam oczy, abyśmy zobaczyli.

– Tak? Dobrze. Naprawdę, bardzo dobrze – stwierdził Bluza. – Od razu czuję się lepiej. A wy, sierżancie?

– Tak jest, sir – odparł Jackrum. – Bo do tej pory nie wiedziałem, jak w ogóle gdziekolwiek trafimy.

Wychodzili na zwiad trójkami, reszta oddziału zalegała w zagłębieniu ukrytym w krzakach. Wokół krążyły nieprzyjacielskie patrole, ale łatwo uniknąć szóstki mężczyzn, którzy trzymają się ścieżek i nie przejmują się hałasem. Żołnierze byli Złobęcami i

zachowywali się jak właściciele tych miejsc.

Z jakiegoś powodu Polly trafiła do patrolu z Maladictem i Łazer, inaczej mówiąc z wampirem na krawędzi załamania i dziewczyną, która odeszła już tak daleko, że być może znalazła nową krawędź, już za horyzontem. Zmieniała się każdego dnia, czego trudno było nie zauważyć. Kiedy się zaciągali – wydawało się, że całe życie temu – była roztrzęsionym dzieckiem, które boi się własnego cienia. Teraz bywało, że wyglądała na wyższą, przepełnioną jakąś eteryczną pewnością siebie, a cienie rozstępowały się przed nią. No, może nie naprawdę, ale powinny.

Potem zdarzył się Cud Indyka. Trudno to wyjaśnić.

Ich trójka przesuwiała się wzdłuż urwiska. Okrążyli kilka złobeńskich posterunków, ostrzeżeni zapachem dymu z ogniska, choć niestety nie zapachem kawy. Zdawało się, że Maladict panuje nad sobą; miał tylko skłonność mamrotania liczb i liter, ale Polly położyła temu kres, grożąc, że jeśli jeszcze raz spróbuje, oberwie kijem.

Dotarli na brzeg urwiska i otworzył się przed nimi widok na twierdzę. Polly znowu uniosła lunetę, by obejrzeć strome mury i ostre skały w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów ukrytego wejścia.

– Popatrz w dół, na rzekę – odezwała się Łazer.

Krąg widzenia rozmazał się trochę, kiedy Polly przesunęła lunetę; gdy znieruchomiał, widziała tylko biel. Musiała opuścić instrument, by sprawdzić, na co patrzy.

– O rany... – powiedziała.

– To ma sens – stwierdził Maladict. – Tam jest ścieżka wzdłuż rzeki, widzicie? A na niej jeszcze parę kobiet.

– Ale furka mała – zauważyła Polly. – Łatwo przeszukać wchodzących, czy nie wnoszą broni.

– Żołnierze się nie przedostaną – uznał wampir.

– My byśmy mogły – odparła Polly. – A przecież jesteście żołnierzami. Prawda?

Na chwilę zapadła cisza. Potem Maladict odpowiedział:

– Żołnierze potrzebują broni. Szable i kusze warta zauważyć.

– Broń jest w środku – zapewniła Łazer. – Księżna mi powiedziała. Zamek jest pełen broni.

– A zdradziła ci, jak ją odebrać wrogowi? – spytał Maladict.

– Spokój! – wtrąciła pośpiesznie Polly. – Powinniśmy jak najprędzej zameldować o tym rupertowi. Wracajmy.

– Chwila, ja tu jestem kapralem – zaprotestował Maladict.

– No tak – zgodziła się Polly. – I co?

– Wracamy? – zaproponował wampir.

– Dobry pomysł.

Powinna nasłuchiwać śpiewu ptaków, co jednak uświadomiła sobie dopiero później.

Ostre krzyki w dali powiedziałyby jej wiele, gdyby tylko była dość spokojna, by słuchać.

Przeszli może z piętnaście sążni, kiedy zobaczyła żołnierza.

Ktoś w złobeńskiej armii okazał się niebezpiecznie sprytny. Zrozumiał, że aby wypatrzeć intruzów, nie należy tupać głośno po wydeptanych ścieżkach, ale przekradać się cicho między drzewami...

Żołnierz trzymał kuszę. Tylko szczęśliwym trafem... prawdopodobnie był to tylko szczęśliwy traf... patrzył w inną stronę, gdy Polly wynurzyła się zza ostrokrzewu. Rzuciła się za drzewo i pomachała rozpaczliwie do idącego za nią Maladicta, który miał dość rozsądku, żeby się ukryć.

Wyjęła szablę i oburącz przycisnęła do piersi. Słyszała kroki żołnierza. Był dość daleko, ale szedł w jej stronę. Prawdopodobnie ten punkt obserwacyjny, który znaleźli, był stałym elementem trasy patroli. W końcu, myślała z goryczą, właśnie tam łatwo mogli trafić jacyś nieprzeszkoleni idioci. A dyskretny patrol mógłby ich nawet tam zaskoczyć...

Zamknęła oczy i starała się oddychać spokojnie. Więc to jest to, to jest to! Teraz się dowie!

O czym pamiętać, o czym pamiętać, o czym pamiętać... kiedy metal trafi w mięso... lepiej trzymać metal.

Posmak metalu czuła w ustach.

Ten człowiek przejdzie obok. Jest czujny, ale nie aż tak czujny. Cięcie będzie lepsze od pchnięcia. Tak, szerokie cięcie na wysokości głowy pewnie zabije...

...syna jakiejś matki, brata jakiejś siostry, jakiegoś chłopaka, który poszedł za głosem bębna dla szylinga i pierwszego nowego ubrania. Gdyby tylko była przeszkolona, gdyby mogła przez parę tygodni dźgać słomiane manekiny, by wreszcie uwierzyć, że wszyscy ludzie są ze słomy...

Zamarła. W dole, trochę obok ścieżki, nieruchoma jak pień, ze spuszczoną głową stała Lazer. Gdy tylko żołnierz dotrze do drzewa Polly, natychmiast ją zauważy.

Teraz musi to zrobić. Może właśnie dlatego robią to mężczyźni. Nie by ratować księżne czy kraje. Człowiek zabija wroga, żeby ratować swoich kumpli, żeby i oni z kolei mogli uratować jego...

Słyszała ostrożne kroki za drzewem. Wzniosła szablę, zobaczyła błysk światła na ostrzu...

Dziki indyk wystartował z gąszczy po drugiej stronie ścieżki niczym kolumna skrzydeł, pierza i głośnego szumu. Na wpół biegnąc, na wpół lecąc, pognął w stronę lasu. Szczęknięła kusza i zabrzmiał ostatni pisk.

– Niezły strzał, Bady! – odezwał się głos w pobliżu. – Wielkie ptaszysko.

– Ale widziałeś to? – spytał drugi głos. – Jeszcze krok, a bym się o niego potknął.

Polly za drzewem odetchnęła.

– Wracajmy już, kapralu, co? – odezwał się trzeci głos z daleka. – Sądząc z tego, jak wystartował, Tygrys jest co najmniej milę stąd.

– Pewno. A ja jestem taki przerażony... – dodał najbliższy głos z drwiną. – Tygrys może się chować za każdym drzewem, nie?

– No dobra, koniec na dzisiaj. Moja żona zrobi z tego ptaka coś pysznego...

Głosy żołnierzy ucichły stopniowo wśród drzew. Polly opuściła szablę. Zobaczyła, że Maladict wysuwa głowę zza swojego krzaka i wpatruje się w nią... Przytknęła palec do warg. Kiwnął głową. Odczekała, aż ptasie krzyki uspokoiły się trochę, i dopiero wtedy wyszła z kryjówki. Łazer wyglądała na zatopioną w myślach; Polly delikatnie wzięła ją za rękę. Ostrożnie, przeskakując od drzewa do drzewa, wróciły do zagłębienia. Polly i Maladict bardzo stanowczo nie rozmawiali o tym, co zaszło. Za to parę razy spojrzeli sobie w oczy.

Oczywiście, że indyk leży cicho, dopóki myśliwy niemal go nadeptnie. Oczywiście, że musiał tam być przez cały czas, tylko stracił ptasi spokój, kiedy zwiadowca się do niego podkraśli. Był też wyjątkowo duży – taki, któremu nie oprze się żaden głodny żołnierz. Ale... co z tego?

Ponieważ umysł zdradziecko nie przestaje pracować, mimo że chciałby tego właściciel, Polly dodała jeszcze: Powiedziała, że księżna może poruszać małymi obiektami; jak mała jest myśl w ptasim mózdzku?

W obozowisku czekały na nie tylko Nefryt i Igorina. Jak wyjaśniły, pozostali o milę stąd trafili na lepszą bazę.

– Znaleźliśmy tajne wejście – poinformowała cicho Polly, kiedy maszerowały razem.

– Możemy się przedostać? – spytała Igorina.

– To wejście dla praczek – wyjaśnił Maladict. – Zaraz nad rzeką... Ale jest ścieżka.

– Praczek? – zdziwiła się Igorina. – Przecież jest wojna.

– Ubrania nadal się brudzą, jak podejrzewam – odparła Polly.

– Moim zdaniem nawet bardziej – dodał Maladict.

– Nasze kobiety piorą mundury wrogom? – Igorina była wstrząśnięta.

– Owszem, jeśli mają do wyboru to albo głód – stwierdziła Polly. – Widziałam, jak jedna wychodziła z koszem chleba. Podobno w twierdzy są pełne spichrze. Zresztą sama pozyszywałam nieprzyjacielskiego oficera, prawda?

– To co innego. Obowiązek nakazuje nam ratować każdego... każdą osobę. Nigdy nie było mowy o jego... ich bieliznie.

– Możemy się dostać do środka – oświadczyła Polly – jeśli przebierzemy się za kobiety.

Odpowiedziało jej milczenie.

– Przebierzemy się? – powtórzyła po chwili Igorina.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Jako praczki? To fą dłonie chirurga!

– Naprawdę? – spytał Maladict. – A skąd je wzięłaś?

Igorina pokazała mu język.

– Zresztą nie planuję żadnego prania – uspokoiła ją Polly.

– A co planujesz?

Zawahała się.

– Chcę wydostać swojego brata, jeśli tam jest. A gdyby udało się powstrzymać inwazję, czemu nie?

– To może wymagać dodatkowego krochmalenia... – mruknął Maladict. – Nie chcę wam psuć nastroju, ale to przecież fatalny pomysł. Por nigdy się nie zgodzi na takie szaleństwo.

– Nie, nie zgodzi się – przyznała Polly. – Ale zasugeruje to.

– Hm – mruknął porucznik jakiś czas później. – Praczkę? Czy to normalne, sierzancie?

– O tak, sir. Spodziewam się, że zajmują się tym kobiety z okolicznych wiosek, tak samo jak wtedy, kiedy to my trzymaliśmy twierdzę.

– Chcecie powiedzieć, że udzielają pomocy i wsparcia naszym wrogom?

– Lepsze to niż głodować, sir. Znana życiowa prawda. I nie zawsze kończy się tylko na praniu, sir.

– Sierzancie, słuchają was młodzi chłopcy! – warknął zaczerwieniony Bluza.

– Wcześniej czy później muszą się dowiedzieć o cerowaniu i prasowaniu, sir. – Jackrum wyszczerzył zęby.

Bluza otworzył usta. Bluza zamknął usta.

– Herbata gotowa, sir – powiedziała Polly.

Herbata była niezwykle użytecznym napojem. Dawała pretekst do rozmowy z każdym.

Ukryli się w na wpół zrujnowanej farmie. Sądząc z wyglądu, nawet patrole tutaj nie zaglądały – nie było śladów po ogniskach czy nawet chwilowym zamieszkaniu. Ruiny domu cuchnęły zgnilizną; brakowało im połowy dachu.

– Czy kobiety zwyczajnie wchodzi i wychodzi, Perks? – spytał porucznik.

– Tak, sir. A ja wpadłem na pomysł. Czy mogę powiedzieć panu o moim pomysle, sir?

Zauważyła, że Jackrum unosi brew. Rzeczywiście, trochę przesadzała, sama musiała przyznać, ale czas nagił.

– Proszę cię bardzo, Perks – odparł Bluza. – Boję się, że inaczej wybuchniesz.

– One mogą dla nas szpiegować, sir! Możemy je nawet namówić, żeby otworzyły dla nas bramy!

– Brawo, szeregowy! – pochwalił porucznik. – Lubię, kiedy żołnierze myślą.

– Tak, akurat... – mruknął Jackrum. – Gdyby był trochę ostrzejszy, to sam by się pokaleczył. Sir, to są przecież praczkę, sir, zasadniczo. Bez urazy dla młodego Perksa, bystry z niego chłopak, ale taki przeciętny strażnik chyba zareaguje, kiedy jakaś stara matula Riley spróbuje otworzyć bramę. Zresztą to przecież nie są jedne wrota. To sześć kolejnych wrót, a między nimi takie miłe, małe dziedzińce, żeby straż mogła się przyjrzeć, czy nie przechodzi jakiś podejrzany typ, i zwodzone mosty, i sklepienia z kolcami, które spadają, jeśli komuś się nie spodoba czyjaś mina. I niech pan spróbuje to wszystko pootwierać mokrymi od mydlin

rękami.

– Obawiam się, że sierżant ma rację, Perks – przyznał ze smutkiem Bluza.

– No to przypuśćmy, że kilku kobietom uda się powalić paru strażników... Wtedy mogłyby nas wpuścić przez tę swoją furtkę – zaproponowała Polly. – Może nawet udałoby się nam złapać dowódcę twierdzy, sir! Na pewno wewnątrz jest mnóstwo kobiet, sir, w kuchniach i w ogóle. Mogłyby... otworzyć nam drzwi.

– Daj spokój, Perks... – zaczął sierżant.

– Nie, sierżancie, chwileczkę – przerwał mu Bluza. – To zadziwiające, Perks, ale w swym chłopięcym entuzjazmie, choć pewnie sobie nie zdawałeś z tego sprawy, podsunąłeś mi interesujący pomysł...

– Naprawdę, sir? – W swym chłopięcym entuzjazmie Polly rozważała już próbę wytatuowania pomysłu na głowie porucznika. Jak na kogoś tak inteligentnego był straszliwie powolny.

– Naprawdę, Perks. Ponieważ, oczywiście, potrzebujemy tylko jednej „praczkę”, żeby wprowadziła nas do środka. Prawda?

Cudzysłowy zabrzmiały obiecująco.

– No... tak, sir.

– A jeśli ktoś potrafi spojrzeć na to „z boku”, to przecież „kobieta” wcale nie musi być kobietą!

Bluza się rozpromienił. Polly pozwoliła sobie na zmarszczkę zdziwienia na czole.

– Nie musi, sir? – spytała. – Chyba nie całkiem rozumiem, sir. Jestem zaintrygowany, sir.

– Bo „ona” może być przecież mężczyzną, Perks! – Bluza niemal eksplodował z dumy. – To może być jeden z nas! W przebraniu!

Polly odetchnęła z ulgą. Sierżant Jackrum wybuchnął śmiechem.

– Niech bóg ma pana w opiece, sir, ale przebranie się za praczkę może służyć wyłącznie wydostawaniu się z różnych miejsc! Regulamin wojskowy!

– Jeśli mężczyzna w kobiecym przebraniu przedostanie się do wnętrza, może obezwładnić strażników przy drzwiach, ocenić sytuację z wojskowego punktu widzenia, a w końcu wpuścić resztę oddziału. Gdyby zrobić to w nocy, rankiem moglibyśmy już zająć kluczowe pozycje.

– Ale oni nie są mężczyznami, sir – oświadczył Jackrum.

Polly obejrzała się. Sierżant patrzył prosto na nią, prosto przez nią...

Niech to li... znaczy: diabli... on wie...

– Słucham?

– Są... są moimi małymi chłopaczkami, sir. – Jackrum mrugnął do Polly. – Bystre chłopaki, ostrzy jak musztarda, ale nie tacy, co podrzynają gardła i wbijają noże w serca! Zaciągnęli się, żeby zostać pikinierami w szyku, w prawdziwej armii. Jesteście moimi małymi chłopaczkami, powiedziałem im wtedy, kiedy ich wpisywałem, i ja o was zadbam! Nie mogę

teraz spokojnie patrzeć, jak prowadzi ich pan na pewną śmierć.

– Sam podejmę tę decyzję, sierżancie! – oświadczył porucznik. – Jesteśmy „na zakręcie” historii. Najkrócej mówiąc, kto nie jest gotów poświęcić życia dla swego kraju?

– W porządnej bitwie, twarzą w twarz z wrogiem, sir, a nie będąc tłuczonym po głowie przez bandę paskudnych typów za kręcenie się po ich twierdzy. Wie pan, że nigdy nie lubiłem szpiegów ani ukrywania swoich kolorów, sir. Nigdy.

– Nie mamy wyboru, sierżancie. Musimy wykorzystać „łut szczęścia.”

– Znam się na łutach, sir. – Sierżant poderwał się i zacisnął pięści. – Mało co po nich zostaje, sir.

– Troska o pańskich ludzi przynosi wam zaszczyt, sierżancie, ale do nas należy...

– Sławna ostatnia walka, sir? – rzucił Jackrum. Splunął fachowo do zrujnowanego kominka. – Do demona z tym, sir. To tylko sposób, żeby umrzeć sławnym.

– Sierżancie, wasza niesubordynacja staje się...

– Ja pójdę – powiedziała cicho Polly.

Umilkli, odwrócili się i spojrzeli na nią.

– Ja pójdę – powtórzyła głośniejszym głosem. – Ktoś powinien.

– Nie bądź głupi, Perks! – burknął Jackrum. – Nie wiesz, jak tam jest, nie wiesz, jacy strażnicy czekają zaraz za furtką, nie masz pojęcia...

– W takim razie szybko się przekonam, sierżancie, prawda? – Uśmiechnęła się bohatersko. – Może dostanę się do miejsca, skąd będę mógł widzieć i wysyłać sygnały...

– W tej kwestii sierżant i ja jesteśmy jednomyślni, Perks – oświadczył Bluza. – Naprawdę, szeregowy, to się po prostu nie uda. Oczywiście, jesteście odważni, ale skąd wam przyszło do głowy, że macie jakąkolwiek szansę, by skutecznie udawać kobietę?

– No więc, sir...

– Twój zapal nie pozostanie niezauważony, Perks – mówił porucznik z uśmiechem. – Ale wiecie, dobry oficer obserwuje swoich ludzi i muszę powiedzieć, że dostrzegłem u ciebie, u was wszystkich, drobne... przyzwyczajenia, absolutnie normalne, nie ma się czym przejmować... Na przykład z rzadka głębokie badanie nozdrza albo skłonność do uśmiechu po puszczeniu wiatrów, naturalny chłopięcy odruch drapania... się w miejscach publicznych... Tego rodzaju detale zdradziłyby cię natychmiast i przekonały obserwatora, iż jesteś mężczyzną w kobiecym przebraniu. Możesz mi wierzyć.

– Na pewno potrafię to zagrać, sir – przekonywała niepewnie Polly.

Czuła na sobie wzrok Jackruma. Niech to motyla... niech to demon, wiesz wszystko, co? Od jak dawna wiesz? Bluza pokręcił głową.

– Nie. Przejrzą cię w mgnieniu oka. Dobrzy z was chłopcy, ale jest wśród nas tylko jeden człowiek, który ma szansę na sukces tego przedsięwzięcia. Manickle!

– Tak, sir? – spytała Kukuła, zeszytniała ze strachu.

– Sądzisz, że uda ci się zdobyć dla mnie sukienkę?

Maladict pierwszy przerwał ciszę.

– Chce pan powiedzieć, sir... że to pan próbuje się tam dostać w kobiecym przebraniu?

– No więc jestem chyba jedynym, który ma praktykę. – Bluza zatarł ręce. – W mojej dawnej szkole bez przerwy wkładaliśmy i ściągaliśmy kiecki. – Spojrzał na krąg absolutnie nieruchomych twarzy. – Teatr, rozumiecie? – wyjaśnił z satysfakcją. – Nie mieliśmy dziewcząt w naszym internacie, naturalnie. Ale nie pozwoliliśmy, żeby nas to powstrzymało. Słyszałem, że moja lady Żwawka z „Komedii rogaczy” wciąż jest wspominana, a co do mojej Yumyum... Czy sierżant Jackrum źle się czuje?

Sierżant zgął się wpół, ale choć z twarzą na poziomie kolan, zdołał wykrztusić:

– Stara wojenna rana, sir. Czasem miewam takie nagłe ataki.

– Pomóżcie mu, szeregowy Igor. O czym to ja... Widzę, że wszyscy jesteście zdziwieni, ale przecież nie ma w tym nic dziwnego. Piękna stara tradycja: mężczyźni występujący w żeńskich rolach. W szóstej klasie chłopaki ciągle to robili, dla żartu. – Umilkł na chwilę, po czym dodał zamyślony: – Zwłaszcza Wrigglesworth, z jakiegoś powodu... – Potrząsnął głową, jakby usuwał natrętną myśl, i mówił dalej. – W każdym razie mam pewne doświadczenia w tej dziedzinie, jak widzicie.

– No ale co pan robi, jeśli uda... znaczy: kiedy uda się panu dostać do środka? – spytała Polly. – Będzie pan musiał oszukać nie tylko strażników. Będą tam również inne kobiety.

– To nie sprawi mi kłopotu, Perks. Będę się zachowywał kobieco, a znam też pewną teatralną sztukę, rozumiecie... Potrafię mówić bardzo wysokim głosem, o tak... – Jego falset mógłby zarysować szkło. – Widzicie? Nie, jeśli potrzebna wam kobieta, to jestem odpowiednim mężczyzną.

– Zdziwiałe, sir – oświadczył Maladict. – Przez chwilę mógłbym przysiąc, że w pokoju znalazła się kobieta.

– I oczywiście mógłbym sprawdzić, czy są również inne źle strzeżone wejścia – ciągnął Bluza. – Kto wie, może nawet, dzięki kobiecym powabom, uda mi się zdobyć klucz od któregoś ze strażników. W każdym razie kiedy sytuacja będzie „czysta”, prześlę wam sygnał. Na przykład wywieszę przez okno ręcznik... lub coś innego wyraźnie niezwykłego.

Znowu zapadła cisza. Kilkoro z oddziału patrzyło w sufit.

– Ta-ak... – mruknęła Polly. – Widzę, że dokładnie pan to sobie przemyślał, sir.

Bluza westchnął.

– Gdyby tylko był tutaj Wrigglesworth...

– Dlaczego, sir?

– Niezwykle sprytny, jeśli idzie o zdobywanie damskich sukni, był ten Wrigglesworth.

Polly pochwyciła spojrzenie Maladicta. Wampir skrzywił się i wzruszył ramionami.

– Uhm... – odezwała się Kukuła.

– Tak, Manickle?

– Mam w plecaku halkę, sir.

– Wielkie nieba! Po co?

Kukuła zaczerwieniła się. Jeszcze nie wymyśliła powodu.

– Bandaże, fir – wyjaśniła gładko Igorina.

– Tak! Tak właśnie. Zgadza się – zapewniła Kukuła. – Ja... znalazłam ją w gospodzie w Plün...

– Profilem kolegów, żeby zabrali każdy kawałek płótna, jaki fię trafi, fir. Na felki wypadek.

– Bardzo rozsądne, młodzieńcze – pochwalił Bluza. – Ktoś ma coś jeszcze?

– Wcale bym fię nie dziwił. – Igorina rozejrzała się po pokoju.

Wymieniono porozumiewawcze spojrzenia. Otworzono plecaki. Każdy z wyjątkiem Polly i Maladicta miał coś, co wyjął, spuszczając wzrok. Narzutki, halki i piątkowe chusty zabrane z jakiejś niewyjaśnionej, ukrytej potrzeby.

– Uznałeś chyba, że grożą nam poważne rany... – zauważył porucznik.

– Nigdy dość oftrożności, fir. – Igorina uśmiechnęła się do Polly.

– Mam teraz raczej krótkie włosy... – mruczał Bluza.

Polly pomyślała o swoich lokach, zaginionych teraz, głaskanych pewnie przez Strappiego. Ale desperacja ożywiła jej pamięć.

– One wyglądały w większości na starsze kobiety – powiedziała szybko. – Nosiły chustki na głowie i kwefy. Na pewno Igori... Igor coś zorganizuje, sir.

– My, Igory, jeffefmy bardzo pomyflowe – zgodziła się Igorina. Wyjęła spod kurtki czarny skórzany futerał. – Dziefięć minut z igłą, tyle tylko mi trzeba, sir.

– Stare kobiety potrafię zagrać wręcz doskonale.

Tak szybko, że Polly aż podskoczyła, wyciągnął przed siebie obie ręce z palcami zgiętymi jak szpony, wykrzywił twarz w grymasie obłąkanego debilizmu i zaskrzeczał:

– Ło ja nieszczęsna! Łoj, moje biedne nogi! Nic dzisiaj nie jest takie jak dawniej! Laboga!

Za jego plecami sierżant Jackrum ukrył twarz w dłoniach.

– Niesamowite, sir – uznał Maladict. – Nigdy jeszcze nie widziałem takiej transformacji.

– Może jednak trochę mniej stare, sir? – zaproponowała Polly. Bluza przypominał jej ciotkę Hattie po dwóch trzecich kieliszka sherry.

– Tak myślisz? Hm...

– I jeśli... no... jeśli pan spotka strażnika, sir, stara kobieta na ogół nie próbuje, nie próbuje...

– ...się migdalić – szepnął Maladict, którego umysł najwyraźniej pędził w dół tego samego strasznego zbocza.

– ...się migdalić – dokończyła Polly, a po chwili namysłu dodała: – Chyba że wypila kieliszek sherry.

– I naprawdę fugeruję, żeby się pan ogolił, fir.

– Słusznie – zgodziła się. – Przygotuję narzędzia, sir.

– Ano tak. Oczywiście. Nieczęsto spotyka się stare kobiety z brodą, co? Z wyjątkiem mojej ciotki Partenopy, o ile sobie przypominam. I tego... czy któryś z was nie ma może dwóch balonów?

– Ehm... Po co, sir? – zdziwiła się Stukacz.

– Obfite łono zawsze budzi wesołość – odparł Bluza. Spojrzał na krąg twarzy. – Myślicie, że to nie jest dobry pomysł? Dostałem długie brawa jako wdowa Trzęsawka w „Szkoda, że ona jest drzewem”. Nie?

– Sądzę, że Igor potrafi zszyć coś bardziej realistycznego, sir.

– Naprawdę? No, jeśli tak uważacie... – Bluza ustąpił smętnie. – Pójdę i wczuję się w rolę.

Zniknął w jedynym osobnym pokoju w budynku. Po kilku sekundach usłyszeli stamtąd „Laboga! Moje biedne nogi!” w różnych tonacjach zgrzytliwości.

Oddział zbił się w ciasną grupę.

– O co w tym chodziło? – zapytała Stukacz.

– Mówił o teatrze – wyjaśnił Maladict.

– Co to takiego?

– Obrzydliwość dla Nuggana, oczywiście. Za długo by tłumaczyć, drogie dziecko. To ludzie udający innych ludzi, aby opowiedzieć historię w wielkiej sali. Inni ludzie siedzą, oglądają ich i jedzą czekoladę. Bardzo, bardzo obrzydliwe.

– Widziałem kiedyś w mieście przedstawienie z Judy i Puncem – wyznała Kukula. – A potem tego człowieka gdzieś powlekli i stało się to Obrzydłością.

– Pamiętam... – rzekła Polly.

Krokodyle nie powinny być chyba pokazywane, jak zjadają postacie przedstawicieli władzy, chociaż prawdę mówiąc, aż do przedstawienia kukielkowego nikt w miasteczku chyba nie miał żadnego pojęcia o krokodylach. Ten fragment, w którym klaun bije żonę, także stanowił Obrzydliwość, ponieważ używał kija grubszego niż przepisowy jeden cal.

– Porucznik nie przetrwa pięciu minut – stwierdziła. – Wiecie przecież.

– Tak, ale nie chce fluchać głofu rozładku – odparła Igorina. – Zrobię, co mogę z nożyczkami i igłą, żeby zmienić go w kobietę, ale...

– Igorino, kiedy to ty mówisz, w mojej głowie powstają bardzo dziwne obrazy – wyznał Maladict.

– Przeprfam.

– Możesz się za niego pomodlić, Łazer? – poprosiła Polly.

Łazer posłusznie przymknęła na chwilę oczy i złożyła dłonie.

– Ona mówi – powiedziała nieśmiało – że tym razem indyk nie wystarczy.

– Łaz... Czy ty naprawdę...

Polly urwała, widząc wpatrzoną w siebie, rozpromienioną twarzyczkę.

– Tak – potwierdziła Łazer. – Naprawdę rozmawiam z księżną.

– Tak, pewnie, też tak kiedyś miałem – burknęła Stukacz. – Błagałem ją kiedyś. Ta głupia twarz patrzyła tylko i nic nie zrobiła. Nigdy niczego nie powstrzymała. Wszystko to... wszystko głupie... – Dziewczyna urwała. Zbyt wiele słów blokowało jej myśli. – Zresztą dlaczego miałyby odpowiadać akurat tobie?

– Bo ja słucham – odparła cicho Łazer.

– I co ona mówi?

– Czasami tylko płacze.

– Płacze?

– Ponieważ ludzie pragną tylu różnych rzeczy, a ona niczego nie może im dać. – Łazer rzuciła im jeden z tych swoich uśmiechów, które rozjaśniały pokój. – Ale będzie dobrze, kiedy tylko znajdzie się we właściwym miejscu – dodała.

– No to w porządku – zaczęła Polly, w obłoku głębokiego zakłopotania, które wzbudziła w niej Łazer.

– Tak, w porządku – zgodziła się Stukacz. – Tylko do nikogo nie będę się modlić, jasne? Nie podoba mi się to, Łaz. Porządny z ciebie dzieciak, ale nie lubię twojego uśmiechu... – Urwała. – No nie...

Polly popatrzyła na Łazer, na tę twarz szczupłą, o ostrych rysach, podczas gdy księżna na obrazku przypominała raczej przekarmionego turbota... Ale teraz ten uśmiech... ten uśmiech...

– Mam tego dosyć! – warknęła Stukacz. – Przestań natychmiast! Dreszczy od tego dostaje! Ozz, niech ona... niech on przestanie tak się uśmiechać!

– Uspokójcie się wszyscy... – zaczęła Polly.

– Tak jest! Zamknijcie się, do demona! – odezwał się Jackrum. – Człowiek nie słyszy nawet, jak żuje. Słuchajcie, wszyscy jesteście nerwowi. To się zdarza. Łazer dostał przed walką ataku religijności. To też się zdarza. A co trzeba zrobić? Zachować to wszystko dla przeciwnika. Uspokójcie się. To jest to, co my w wojsku nazywamy rozkazem. Zrozumiano?

– Perks! – rozległo się wołanie Bluzy.

– Lepiej się pospiesz – poradził Maladict. – Pewnie trzeba mu zawiązać gorset.

Bluza siedział na tym, co zostało z krzesła.

– Jesteś, Perks. Golenie poproszę.

– Och... Myślałem, że rękę ma pan już zdrową, sir.

– No... tak. – Bluza był wyraźnie zakłopotany. – Ale jest pewien kłopot, Perks. Wyznam ci szczerze: nigdy tak naprawdę sam się nie goliłem. Miałem człowieka, który to dla mnie robił w szkole, a potem w wojsku ordynansa na spółkę z Blitherskitem. Próby, które podejmowałem samodzielnie, kończyły się dość krwawo. Nigdy właściwie o tym nie myślałem, póki nie znalazłem się w Plotzu i... nagle to było krępujące.

– Przepraszam, sir.

To był dziwny świat...

– Później udzielisz mi może kilku wskazówek – ciągnął Bluza. – Trudno nie zauważyć, że zawsze jesteś gładko ogolony. Generał Froc by cię pochwalił. Słyszałem, że jest bardzo przeciwny wszelkim bokobrodom.

– Jak pan sobie życzy, sir – odparła Polly.

Demonstracyjnie naostrzyła brzytwę. Może uda się jej ograniczyć tylko do kilku drobnych skaleczeń...

– Myślisz, że powinienem mieć czerwony nos? – spytał Bluza.

– Prawdopodobnie, sir.

Sierżant wie o mnie, myślała Polly. Jestem tego pewna. Wiem, że tak. Dlaczego nic nie mówi?

– Prawdopodobnie, Perks?

– Co? Och... nie. Dlaczego czerwony nos, sir? – Polly energicznie nałożyła pianę.

– Wyglądałbym może – pff! – bardziej zabawnie.

– Nie jestem pewien, czy taki jest cel akcji. A teraz, gdyby zechciał się pan odchylić...

– Powinien pan coś wiedzieć o młodym Perksie, sir!

Polly naprawdę pisnęła ze strachu. Idąc cicho, jak tylko sierżanci potrafią, Jackrum zakradł się do pokoju.

– Tak – pff! – sierżancie? – zdziwił się Bluza.

– Perks nie wie, jak ogolić mężczyznę, sir – oświadczył Jackrum. – Podaj mi brzytwę, Perks.

– Nie wie, jak się goli?

– Nie, sir. Perks nas okłamał. Prawda, Perks?

– Dobrze, sierżancie, nie trzeba tego ze mnie wyciągać. – Polly westchnęła. – Poruczniku, jestem...

– ...za młody – dokończył sierżant. – Zgadza się, Perks? Masz dopiero czternaście, zgadza się? – Nad głową porucznika spojrzął na Polly i mrugnął.

– Eee... Skłamałem, żeby się zaciągnąć, sir. To prawda.

– Takiego młodego chłopaka nie należy wlec do twierdzy, choćby był bardzo dzielny. A nie wydaję mi się, żeby był jedynym. Prawda, Perks?

Aha, pomyślała Polly, czyli o to chodzi... Szantaż.

– Tak, sierżancie – przyznała ze znużeniem.

– Nie możemy dopuścić do masakry takich chłopaczków, sir, prawda? – ciągnął Jackrum.

– Rozumiem wasze – pff! – stanowisko, sierżancie – przyznał porucznik. Jackrum wolno przesuwiał ostrzem brzytwy po jego policzku. – Trudna sprawa.

– Lepiej więc dać sobie spokój, co?

– Z drugiej strony, sierżancie, wiem – pff! – że wy także zaciągnęliście się jako dziecko – powiedział Bluza.

Ostrze znieruchomiało.

– W tamtych czasach było trochę... – zaczął Jackrum.

– Mielście pięć lat, jak się zdaje – mówił dalej porucznik. – Widzicie, kiedy usłyszałem, że mam spotkać się z wami, legendą armii, sprawdziłem wasze akta. Pomyślałem, że może rzucę kilka dobrze dobranych żarcików, kiedy będę wręczał honorowe zwolnienie ze służby. Wiecie, takie zabawne nawiązania do czasów dawno minionych. I wyobraźcie sobie, jak się zdumiałem, gdy odkryłem, że pobieracie żołd od... trudno mieć całkowitą pewność, ale możliwe, że od sześćdziesięciu lat.

Polly dobrze wyostrzyła brzytwę, która opierała się teraz o policzek Bluzy. Przypomniła sobie morderstwo... no dobrze, zabicie... uciekającego jeńca w lesie. „To nie będzie pierwszy oficer, którego zabiłem”...

– Pewnie jedna z tych, jak im tam, pomyłek urzędniczych, sir – wyjaśnił lodowatym tonem Jackrum.

W mrocznym pomieszczeniu, którego ściany już kolonizował mech, sierżant wydawał się ogromny.

Zahuczała siedząca na kominie sowa. Jej głos odbił się echem w pokoju.

– Otóż nie, sierżancie – rzekł Bluza, najwyraźniej nieświadomy brzytwy. – Wasze akta były poprawiane. Przy licznych okazjach. Raz nawet osobiście przez generała Froca. Odjął od waszego wieku dziesięć lat i podpisał tę korektę. I nie był jedyny. Szczerze mówiąc, sierżancie, zmuszony jestem uznać, że istnieje tylko jedno wytłumaczenie.

– A jakież to, sir? – Brzytwa znów znieruchomiała, tym razem przyciśnięta do szyi porucznika. Cisza zdawała się trwać bardzo długo, ostra i rozciągnięta...

– Że był kiedyś inny żołnierz o nazwisku Jackrum – powiedział wolno Bluza. – I jego akta jakoś... się pomieszały z waszymi, a potem... Każda próba naprawienia sytuacji przez oficerów, którzy, jak by to... nie najlepiej radzili sobie z rachunkami, tylko pogłębiała chaos.

Brzytwa znowu ruszyła z jedwabistą płynnością.

– Myślę, że trafił pan bezbłędnie, sir – uznał Jackrum.

– Zamierzam napisać notkę wyjaśniającą i dołączyć ją do teczki. A rozsądek nakazuje chyba, żeby tu i teraz zapytać was o wiek. Ile macie lat, sierżancie?

– Czterdzieści trzy, sir – odparł bez namysłu Jackrum.

Polly spojrzała w górę, oczekując tradycyjnego gromu, który powinien towarzyszyć takim kłamstwom wielkości wszechświata. – Jesteście pewni? – spytał Bluza.

– Czterdzieści pięć, sir. Na mojej twarzy widać trudy żołnierskiego życia.

– Mimo to...

– Ach, przypominam sobie parę urodzin, które jakoś wypadły mi z pamięci, sir. Czterdzieści siedem, sir.

Jak zauważyła Polly, wciąż nie rozlegał się grzmot niebiańskiej dezaprobaty.

– Ehm... no tak. Bardzo dobrze. W końcu wy wiecie najlepiej, sierżancie, prawda?

Wprowadzę poprawkę.

– Dziękuję, sir.

– Tak jak przede mną generał Froc. I major Kalosh. I pułkownik Legin, sierżancie.

– Tak jest, sir. Urzędnicze pomyłki prześladowają mnie przez wszystkie dni mego życia, sir. Jestem ich męczennikiem. – Jackrum odstąpił. – Gotowe, sir. Twarz gładka jak pupa niemowlaka, sir. Tak gładki powinien być bieg spraw. Zawsze lubiłem, kiedy wszystko idzie gładko.

Patrzyli, jak porucznik Bluza idzie między drzewami do ścieżki. Patrzyli, jak dołącza do nierównej, powolnej kolumny kobiet w drodze do furtki. Nasłuchiwali krzyków, ale się nie rozległy.

– Czyżby każda kobieta się tak kołysze? – spytała Łazer, wyglądając zza krzaków.

– Legalnie chyba nie – odparła Polly. Obserwowała twierdzą przez lunetę porucznika. – Musimy chyba poczekać na jakiś sygnał, że mu się udało.

Gdzieś w górze wrzasnął myszołów.

– Przecież go złapią, jak tylko przejdzie przez te drzwi – stwierdził Maladict. – Mogę się założyć.

Zostawili na posterunku Nefryt. Po zeskrobanie farby troll tak dobrze wtapiał się w skalisty krajobraz, że nikt by jej nie zauważył, dopóki by na nią nie wpadł. A wtedy byłoby już za późno.

Wracali przez las i już prawie dotarli do ruin farmy, kiedy to się stało.

– Dobrze ci idzie, Mal – pochwaliła Polly. – Może te żołędzie jednak działają? Nie wspomniałeś o kawie od...

Maladict zatrzymał się i odwrócił powoli. Ku przerażeniu Polly jego twarz błyszczała od potu.

– Musisz mi przypominać? – wyrzucił chrapliwie. – Proszę, nie! Tak mocno się trzymałem! Tak dobrze sobie radziłem! – Runął na twarz, ale zdołał się podnieść na łokcie i kolana. Kiedy uniósł głowę, jego oczy jarzyły się czerwienią. – Sprowadź... Igorinę... – szepnął, dysząc ciężko. – Wiem, że jest na to przygotowana...

...szurp, szurp, szurp...

Łazer modliła się rozpaczliwie. Maladict spróbował wstać, znów osunął się na kolana i błagalnie wznosił ręce do nieba.

– Wynoście się stąd, póki jeszcze możecie – wymamrotał. Jego zęby wyraźnie się wydłużyły. – Ja...

Pojawił się cień, wrażenie ruchu, i wampir upadł na twarz, ogłuszony spadającym z jasnego nieba ośmiuncjowym woreczkiem ziarnistej kawy.

Polly dotarła do domku na farmie, niosąc Maladicta na ramieniu. Ułożyła go jak

najwygodniej na jakiejś prądawnej słomie, a potem oddział się naradził.

– Myślicie, że powinniśmy wyjąć mu ten woreczek z ust? – zapytała nerwowo Kukula.

– Próbowałam, ale on się broni – stwierdziła Polly.

– Przecież jest nieprzytomny!

– Ale i tak nie chce puścić! On go ssie! Przysięgam, był całkiem bez zmysłów, ale złapał woreczek i wgryzł się. A kawa spadła z jasnego nieba!

Stukacz popatrzyła na Łazer.

– Księżna przyjmuje zamówienia z dowozem? – spytała.

– Nie! Mówi, że n-nie!

– Zdarzają się dziwaczne deszcze, na przykład ryb – odezwała się Igorina, klęcząca przy Maladikcie. – To chyba możliwe, że jakaś trąba powietrzna przeorała plantację kawy, a potem być może wyładowanie błyskawicy w górnych warstwach eteru...

– A w którym momencie to wszystko przeleciało przez fabrykę robiącą małe woreczki na kawę? – przerwała wzburzona Stukacz. – Takie z wymalowanym na nich wesołym człowiekiem w turbanie, który wyraźnie mówi: „Klatchiańska Extra Palona! Kiedy kilof to za mało!”.

– No, jeffi tak to ujmujesz, rzeczywiście trochę to naciągane... – Igorina wstała. – Myślę, że zbudzi się całkiem zdrowy. Najwyżej trochę gadatliwy.

– Spróbujcie trochę odpocząć, chłopcy – zaproponował Jackrum, wchodząc do zrujnowanych zabudowań. – Trzeba dać rupertowi parę godzin, żeby wszystko zawałił, a potem możemy przemknąć dookoła doliny i dołączyć do reszty armii. Dobrze żarcie i porządne koce do spania, co? To się liczy!

– Nie wiemy, czy mu się nie uda, sierżancie – zauważyła Polly.

– Tak, jasne, może wyjdzie za mąż za dowódcę garnizonu, co? Dziwniejsze rzeczy się zdarzały, tylko że nie pamiętam kiedy. Perks i Manickle, trzymacie wartę. Reszta niech się prześpi.

Złobeński patrol minął ich w sporej odległości. Polly odprowadzała go wzrokiem, póki nie zniknął. Zapowiadał się piękny dzień – ciepły, trochę wietrzny. Dobry pogoda na suszenie. Dobry dzień, żeby być praczką. A może Bluzie się uda? Może wszyscy strażnicy są ślepi?

– Pol? – szepnęła Kukula.

– Tak, Kuku... Słuchaj, jak ci na imię w normalnym świecie?

– Betty. Zwykła Betty. Większość Piersi i Tylków jest w twierdzy, prawda?

– Podobno.

– Czyli tam mam największe szanse na znalezienie narzeczonego?

Rozmawiałyśmy o tym, pomyślała Polly.

– Możliwe.

– Ale może być dość trudno, jeśli jest tam wielu mężczyzn... – mówiła Betty, kobieta, którą coś dręczy.

– Wiesz, jeżeli dotrzemy do więźniów i popytamy, na pewno będą znali jego imię. A jak on się nazywa?

– Johnny – szepnęła Betty.

– Tylko Johnny? – upewniła się Polly.

– No... tak.

Aha, pomyślała Polly. Chyba wiem, jak to idzie dalej...

– Ma jasne włosy, niebieskie oczy, jeden złoty kolczyk w uchu i... i takie zabawne... jak to się... A tak... taki jakby pieprzyk zabawnego kształtu na pośladku.

– No tak. Tak.

– Um... Teraz, kiedy komuś opowiadam, widzę, że niewiele to pomoże.

Nie, chyba że będziemy miały możliwość urządzenia bardzo niezwyklej parady i przeprowadzenia identyfikacji, ale nie wyobrażam sobie, jak mogłoby do tego dojść.

– Powiedział, że zna go cały regiment – dodała Betty.

– Tak? To dobrze. Wystarczy zatem zapytać.

– I jeszcze, no... chcieliśmy przełamać na połowy sześciopensówkę, wiesz, tak jak zawsze robią, i gdybyśmy mieli się rozstać na rok, i tak znaleźlibyśmy właściwą osobę, bo te półówki monety by do siebie pasowały...

– O, to rzeczywiście może pomóc...

– No tak, tylko że wiesz, dałam mu sześć pensów, a on poszedł do kowala, żeby ją złamać w imadle. No i... myślę, że nagle go wezwali... – Betty ucichła.

No tak, mniej więcej tego się spodziewałam, powiedziała sobie w duchu Polly.

– I pewnie teraz masz mnie za głupią dziewczynę – wymamrotała Betty po dłuższej chwili.

– Nierozsądną kobietę, może – odparła Polly i odwróciła się, by w skupieniu oglądać krajobraz.

– To był taki, no wiesz, burzliwy romans.

– Dla mnie brzmi raczej jak huraganowy...

Betty się uśmiechnęła.

– Tak, trochę tak.

Polly odpowiedziała uśmiechem.

– Betty, to bez sensu, by w takim czasie mówić o głupocie i braku rozsądku. Niby gdzie mamy szukać mądrości? U boga, który nienawidzi układanek i niebieskiego koloru? U rządzących skamielin, którymi kieruje obrazek? W armii, która uważa, że upór jest tym samym co odwaga? Jak się o tym pomyśli, twoim jedynym błędem jest złe wyliczenie czasu.

– Ale nie chciałabym trafić do szkoły – powiedziała Betty. – Zabrali tam dziewczynę z naszej wioski, a ona kąpała i wrzeszczała...

– Więc walcz z nimi – poradziła Polly. – Masz teraz szablę, prawda? Broń się. – Spostrzegła grozę na twarzy Betty i przypomniała sobie, że nie rozmawia ze Stukacz. – Wiesz, jeśli wyjdziemy z tego żywe, pomówimy z pułkownikiem.

W końcu może twój chłopak naprawdę ma na imię Johnny i może naprawdę go wezwali. Nadzieja to cudowna rzecz... Mówiła dalej:

– Jeśli się stąd uratujemy, nie będzie już ani szkoły, ani bicia. Ani dla ciebie, ani dla żadnej z nas. Nie, jeśli mamy mózgi. Nie, jeśli będziemy sprytnie.

Betty prawie płakała, ale udało jej się raz jeszcze uśmiechnąć.

– A Łazer rozmawia z księżną. Ona wszystko naprawi.

Polly spojrzała na zalany słońcem, niezmienny pejzaż, pusty, jeśli nie liczyć myszołowa krążącego po zakazanym błękiecie.

– Nie jestem tego pewna – rzekła. – Ale ktoś tam na górze nas lubi.

O tej porze roku świt nadchodził szybko. Wciąż nie było żadnego znaku od Bluzy.

– Patrzyłem, aż już nie widziałem – mówiła Nefryt, kiedy siedziały i czekały, aż Kukuła skończy potrawkę. – Niektóre te kobiety, co wychodziły, to były te, co widziałem, jak rano wchodzą.

– Jesteś pewien? – zapytał Jackrum.

– Może jesteśmy tępe, sierżancie. – Nefryt była urażona. – Ale trolle majom wielkom... no... jak miecz... ostrość wi-zual-nom. I więcej kobiet wchodziło wieczorem.

– Nocna zmiana – stwierdziła Stukacz.

– No cóż, próbował – uznał Jackrum. – Jeśli miał trochę szczęścia, to siedzi teraz w miłej, cieplej celi, a oni znaleźli mu parę spodni. Spakujcie swoje rzeczy, chłopcy. Przekradniemy się dookoła i do naszych linii. O północy będziecie już grzecznie spali w kóżeczkach.

Polly przypomniała sobie, co godzinę temu mówiła o walce. Kiedyś trzeba zacząć.

– Chcę jeszcze raz spróbować z twierdzą – oświadczyła.

– Aha, Perks... coś takiego – odparł sierżant z ironicznym zainteresowaniem.

– Tam jest mój brat.

– To trafił w miłe i bezpieczne miejsce.

– Może być ranny. Głosuję za twierdzą.

– Głosujesz? – zdziwił się Jackrum. – Słowo daję, to coś nowego. Głosowanie w wojsku? Kto chce zginąć, chłopcy, ręka w górę! Daj sobie spokój, Perks.

– Mam zamiar spróbować, sierżancie.

– Nie, nie masz.

– Niech pan spróbuje mi przeszkodzić!

Słowa padły, zanim zdążyła je powstrzymać. To tyle, pomyślała. Cały świat słyszał ten krzyk. Nie ma już odwrotu. Przebiegłam poza krawędź i od teraz jest już tylko w dół.

Jackrum nie zmieniał wyrazu twarzy przez sekundę czy dwie. Potem zapytał:

– Ktoś jeszcze... głośuje... za twierdzą?

Polly spojrzała na Kukulę, ale ona tylko się zarumieniła.

Za to Stukacz oznajmiła twardo:

– My!

Loft obok niej zapaliła zapalnik i chwyciła ją tak, że płomień zapłonął jasno. Jak na Loft, była to całkiem wyraźna przemowa.

– Czemuż to? – zdziwił się Jackrum.

– Nie lubimy siedzieć na mokradłach. I nie lubimy, jak się nam rozkazuje.

– Powinieneś o tym pomyśleć, zanim się zaciągnąłeś do wojska, mój chłopcze!

– Nie jesteśmy chłopcami, sierżancie.

– Jesteście, jeśli ja powiem, że jesteście!

No cóż, to przecież nie jest tak, że się tego nie spodziewałam, myślała Polly. Wiele razy odgrywałam już w myślach tę scenę. Szła tak:

– No dobrze, sierżancie – powiedziała. – Pora wyznać prawdę, tutaj i teraz.

– Ooo, ehm... – powiedział teatralnie sierżant, wyławiając z kieszeni pognieciony pakiet z tytoniem.

– Co?

Jackrum usiadł na pozostałości po murze.

– Wprowadziłem tylko do rozmowy trochę bezczelności. Ale mów dalej, Perks, co masz do powiedzenia. Przewidywałem, że do tego dojdzie.

– Wie pan, że jestem kobietą, sierżancie – oświadczyła Polly.

– Jasne. Nawet sera nie dałbym ci do golenia.

Oddział patrzył, wytrzeszczając oczy. Jackrum otworzył swój wielki scyzoryk i zbadał tytoń, jakby to był najciekawszy z dostępnych obiektów do oglądania.

– No więc... eee... Co ma pan zamiar zrobić w tej sprawie? – Polly czuła się trochę zagubiona.

– Nie wiem. Ale chyba nic nie mogę zrobić. Urodziłaś się taka.

– Nie powiedział pan Bluzie!

– Nie.

Miała ochotę wytrącić mu z ręki ten straszliwy tytoń. Teraz, kiedy minęło już zaskoczenie, dostrzegała coś obraźliwego w tym braku reakcji. Całkiem jakby ktoś otworzył drzwi tuż przed uderzeniem tarana – człowiek pędzi wtedy przez budynek i nie wie, jak się zatrzymać.

– No ale my wszystkie jesteśmy kobietami, sierżancie! – wtrąciła Stukacz. – Co pan na to?

Jackrum uciął kawał tytoniu.

– I co z tego? – rzucił, skupiony na tej czynności.

– Jak to? – zdumiała się Polly.

– Myślicie, że nikt tego wcześniej nie próbował? Że jesteście wyjątkowe? Wydaje się wam, że wasz stary sierżant jest ślepy, głuchy i głupi? Możecie oszukiwać siebie nawzajem, a Rupert każdy potrafi oszukać, ale nie nabierzcie starego Jackruma! Nie miałem pewności co do Maladicta, i dalej nie mam, bo kto tam wie, jak jest z wampirami. I nie jestem pewien Karborunda, bo z trollami kogo to obchodzi. Bez urazy.

– Nie gniewam się – zahuczała Nefryt. Pochwyciła spojrzenie Polly i wzruszyła ramionami.

– Nie umiem dobrze czytać sygnałów, bo niewiele spotkałem trolli – wyjaśnił sierżant. – Ale ciebie, Ozz, poznałem od pierwszej chwili. Chyba masz coś takiego w oczach... jakbyś... no, jakbyś sprawdzała, czy dobrze ci idzie.

Do demona, pomyślała Polly.

– Ehm... Czy mam parę skarpet, która należy do pana?

– Tak. Porządnie wyprane, muszę zaznaczyć.

– To może je pan sobie teraz zabrać... – Sięgnęła do pasa.

– Nie ma pośpiechu, Perks. Nic pilnego. – Jackrum uniósł rękę. – Porządnie wyprane, jeśli można.

– Ale dlaczego, sierżancie? – spytała Stukacz. – Dlaczego nas pan nie zdradził? Przecież w każdej chwili mógł pan o nas powiedzieć.

Jackrum przerzucił kawał tytoniu spod jednego policzka pod drugi i przez chwilę żuł w milczeniu, zapatrzonego w pustkę.

– Nie, nie jesteście pierwsze – rzekł w końcu. – Widziałem już sporo takich. Zwykle pojedynczo, zwykle przestraszone... i zwykle długo nie wytrzymały. Ale jedna czy dwie zostały dobrymi żołnierzami, naprawdę dobrymi. Więc patrzyłem na was i myślałem sobie, no, myślałem: Ciekawe, co robią, kiedy odkrywają, że nie są tu jedyne. Wicie, jak wygląda lew?

Pokiwały głowami.

– No więc lew to na ogół wielki i leniwy tchórz. Jeśli ktoś szuka kłopotów, powinien zmierzyć się z lwicą. To prawdziwe zabójczynie i polują razem. Wszędzie jest tak samo. Jeśli chcesz oberwać, szukaj pań. Nawet wśród owadów, nie? Jest taki rodzaj żuka, gdzie ona odgryza mu głowę, kiedy on korzysta z praw małżeńskich, a to uważam za poważny kłopot. Z drugiej strony, jak słyszałem, on dalej robi swoje, więc może jednak z żukami jest inaczej.

Przyjrzał się ich nieruchomym twarzom.

– Nie? – mruknął. – Może więc pomyślałem, że cała grupa dziewcząt naraz, to... dziwne. Może istnieje przyczyna. – Polly zauważyła, że zerknął przelotnie na Łazer. – W każdym razie nie chciałem was zawstydzać przy takim dupku jak Strappi, potem była ta cała sprawa w Plotzu, a potem wiałyśmy co sił w nogach, wplątani w różne sprawy i bez chwili na oddech. Dobrze sobie poradziście, chłopcy. Bardzo dobrze. Wyrośliście na porządnym wojaków.

– Ja idę do twierdzy – upierała się Polly.

– Och, nie martw się o ruperta – uspokoił ją Jackrum. – W tej chwili pewnie zjada miskę skubbo. Chodził do szkoły dla młodych dżentelmenów, więc więzienie przypomni mu lata młodości.

– Mimo to wchodzimy, sierżancie. Przykro mi.

– Nie mów, że ci przykro, Perks, tak dobrze ci szło do tej chwili... – powiedział Jackrum z goryczą.

Kukuła wstała.

– Ja też pójdę – oświadczyła. – Myślę, że jest tam... mój narzeczony.

– Ja muszę – stwierdziła Łazer. – Księżna kieruje moimi krokami.

– To i ja – uznała Igorina. – Pewnie będę potrzebna.

– Jakoś nie myślę, żebym przeszła jak praczka – doszła do wniosku Nefryt. – Zostanem tu i przypilnujem Maladicta. Ha, kiedy siem obudzi i dalej będzie chciał krwi, to sobie pościera zęby.

Spoglądały na siebie w milczeniu, zakłopotane, ale stanowcze. Po chwili rozległo się powolne klaskanie.

– Bardzo pięknie – pochwalił Jackrum. – Kompania braci, co? To znaczy siostr... Ojej... Słuchajcie, Bluza to dureń. Pewnie przez książki. Chyba się naczytał, jak to szlachetnie jest zginąć za swój kraj. Ja tam nigdy za dużo nie czytałem, ale wiem, że nie na tym to polega. Trzeba zmusić tamtych drani, żeby ginęli za swój.

Przesuwał w ustach bryłę tytoniu.

– Chciałem, żebyście byli bezpieczni. Wśród masy wojska, myślałem, jakoś pomogę wam przetrwać, nieważne, ilu kumpli przyśle za wami książę. Patrzę teraz na was i myślę: Biedne chłopaki, nic nie wiecie o wojnie. Jak sobie poradzicie? Stukacz, twardziel z ciebie, ale po jednym strzale kto cię osłoni, kiedy zechcesz przeładować? Perks, znasz może jedną czy drugą sztuczkę, ale ci goście z twierdzy będą znać trzecią i piątą. Dobrze gotujesz, Kukuła, aż szkoda, że tam będzie za gorąco. Czy księżna odchyli strzały, Łazer?

– Tak! Tak uczyni!

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, mój mały. – Jackrum rzucił dziewczynie długie spojrzenie. – Osobiście przekonałem się, że religia w bitwie jest przydatna mniej więcej tak jak czekoladowy hełm. A muszę zaznaczyć, że modlitwa ci nie wystarczy, jeśli wpadniesz w ręce księcia Heinricha.

– Chcemy spróbować, sierżancie – upierała się Polly. – W wojsku nic nas nie czeka dobrego.

– Pójdzie pan z nami, sierżancie? – spytała Kukuła.

– Nie, chłopcze. Ja jako praczka? Nie wydaje mi się. Przede wszystkim nie mam ze sobą spódnicy. Ale... jedno pytanie, chłopcy. Jak chcecie się tam dostać?

– Rano. Kiedy zobaczymy, że kobiety znowu wchodzą.

– Wszystko zaplanowane, generale? I będziecie przebrani za kobiety?

– Jesteśmy kobietami, sierżancie – przypomniała Polly.

– Zgadza się, chłopcze. Ale to techniczny szczegół. Oddaliście rupertowi wszystkie swoje drobiazgi, prawda? Co powiecie strażnikom? Że po ciemku sięgnęliście nie do tej szafy, co trzeba?

Milczały zakłopotane. Jackrum westchnął.

– To nie jest porządna wojna. Ale mówiłem, że o was zadbam. Jesteście moimi małymi chłopaczkami, mówiłem. – Oczy mu błyszczały. – Nadal jesteście, chociaż świat stanął na głowie. Liczę tylko na to, że panna Perks nauczyła się od starego sierżanta paru sztuczek, choć mam wrażenie, że potrafi wymyślić kilka własnych. A teraz zajmę się waszym ekwipunkiem, co?

– Może uda się podejść i ukraść coś z wiosek, skąd przychodzą służące? – zaproponowała Stukacz.

– Od gromady biednych kobiet? – zaprotestowała Polly, bliska załamania. – Zresztą i tak wszędzie będą żołnierze.

– No to jak zdobędziemy damskie suknie na polu bitwy? – spytała Loft.

Jackrum roześmiał się, wstał, wsunął kciuki za pas i wyszczerzył zęby.

– Mówiłem wam, chłopcy, że zupełnie nic nie wiecie o wojnie.

Nie wiedziały na przykład, że wojna ma obrzeża.

Polly nie była pewna, czego się spodziewać. Ludzi i koni, to oczywiste. Oczami duszy widziała ich, toczących śmiertelny bój, ale przecież nie mogli tego robić bez przerwy. Muszą zatem być namioty... I to była maksymalna odległość, do jakiej sięgało oko jej duszy. Nie odgadło, że armia w czasie kampanii to coś w rodzaju dużego, ruchomego miasta. Ma tylko jednego pracodawcę i produkuje martwych ludzi, ale jak każde miasto przyciąga... obywateli. Trochę wyprowadzały ją z równowagi krzyki płaczących dzieci gdzieś pośród rzędów namiotów. Tego się nie spodziewała. Ani błota. Ani tłumów. Wszędzie płonęły ogniska i unosiły się kuchenne zapachy. To było oblężenie. Ludzie mieli czas, by się zadomowić.

Dotarcie po ciemku na równinę okazało się proste. Tylko Polly i Kukula wlokły się za sierżantem, który twierdził stanowczo, że więcej ludzi to za dużo, a poza tym zwracałoby uwagę. Krążyły wrogie patrole, ale sama powtarzalność widoków stępiała ich czujność. Poza tym sprzymierzeni nie spodziewali się raczej, że ktoś spróbuje przedostać się do doliny, zwłaszcza w małych grupach. No a mężczyźni w ciemności robią hałas, o wiele więcej hałasu niż kobiety. Borograviańskiego wartownika zlokalizowały po odgłosach, gdyż usiłował wyssać spomiędzy zębów resztkę obiadu. Inny jednak sam je zlokalizował, kiedy znalazły się o rzut kamieniem od namiotów. Był młody, a więc nadal gorliwy.

– Stać! Kto idzie? Przyjaciół czy wróg?

Światło ogniska błysnęło na kuszy.

– Widzicie? – szepnął Jackrum. – Właśnie w takich sytuacjach mundur jest przyjacielem.

Zadowoleni, że go zachowaliście?

Podszedł rozkołysanym krokiem i splunął tytoniem między buty młodego żołnierza.

– Nazywam się Jackrum – powiedział. – Sierżant Jackrum. Co do tej drugiej części... twój wybór.

– Sierżant Jackrum? – powtórzył chłopak i nie zamknął ust.

– Tak, mały.

– Znaczący ten, który zabił szesnastu ludzi w bitwie pod Zop?

– Było ich tylko dziesięciu, ale ładnie, że o tym wiesz.

– Jackrum, który niósł generała Froca przez czternaście mil po terytorium wroga?

– Zgadza się.

Polly zobaczyła lśnienie zębów w ciemności – to strażnik się uśmiechnął.

– Tato mówił, że walczył z panem pod Blunderbergiem!

– Ach, to była ostra bitwa, nie ma co...

– Nie, chodziło mu o gospodę, już później. Zwinął panu drinka, więc pan mu dał w głowę, on kopnął pana w klejnoty, pan mu przywalił w żołądek, on panu podbił oko, potem pan mu przyłożył stołem, a kiedy doszedł do siebie, wszyscy kumple stawiali mu piwo przez cały wieczór, bo udało mu się prawie trzy razy trafić sierżanta Jackruma. Opowiada tę historię co lato, kiedy wypada rocznica i się nawa... wspomina.

Jackrum zastanawiał się chwilę, po czym wskazał strażnika palcem.

– Joe Hubukurk, tak? – zapytał.

Uśmiech poszerzył się do etapu, w którym czubkowi głowy młodego strażnika zagroziło odpadnięcie.

– Będzie cały dzień się puszył, jak mu opowiem, że go pan pamięta, sierżancie! Podobno gdzie pan nasika, tam już trawa nie rośnie.

– Cóż może skromny człowiek na to odpowiedzieć?

Młody strażnik zmarszczył czoło.

– To zabawne, ale on myślał, że pan nie żyje, sierżancie.

– Przekaż mu tyle: Założę się o szylinga, że nie ma racji. A tobie jak na imię, chłopcze?

– Lart, sierżancie. Lart Hubukurk.

– Cieszysz się, że się zaciągnąłeś?

– Tak, sierżancie – zapewnił lojalnie Lart.

– Idziemy na przechadzkę. Powiedz ojcu, że o niego pytałem.

– Na pewno, sierżancie. – Chłopak stanął na baczność jak jednoosobowa kompania honorowa. – To dla mnie wspaniała chwila, sierżancie.

– Czy wszyscy pana znają, sierżancie? – szepnęła Polly, kiedy już odchodzili.

– Tak, właściwie tak. Przynajmniej po naszej stronie wiedzą, kim jestem. Pozwolę sobie też dumnie stwierdzić, że nieprzyjaciele, którzy mnie spotykają, potem nie wiedzą już za wiele.

– Nigdy nie myślałam, że to będzie tak wyglądało – syknęła Kukula.

– Jak? – zdziwił się Jackrum.

– Tu są kobiety i dzieci! Sklepy! Czuję piekący się chleb! To jakby... miasto!

– Owszem, ale to, czego szukamy, nie leży przy głównych ulicach. Za mną, chłopcy.

Sierżant zanurkował między dwoma stosami skrzyń i wynurzył się obok kuźni; w półmroku jarzyło się palenisko.

Namioty tutaj były otwarte z boków. Płatnerze i rymarze pracowali przy świetle latarni, a ich cienie migotały na błotnistej ziemi. Polly i Kukula musiały ustąpić z drogi kolumnie mułów, z których każdy dźwigał na grzbiecie dwie beczki. Przed Jackrumem muły zeszły na bok.

Może też je kiedyś spotkał, pomyślała Polly. Może naprawdę zna wszystkich.

Jackrum szedł jak ktoś, kto ma tytuł własności do całego świata. Sierżantom kiwał głową, leniwie salutował nielicznym spotykanym tu oficerom, a wszystkich pozostałych ignorował.

– Był pan tutaj kiedyś, sierżancie?

– Nie, mój chłopcze.

– Ale wie pan, dokąd iść?

– Zgadza się. Nie byłem konkretnie tutaj, ale znam pola bitew, zwłaszcza takie, gdzie każdy miał szansę się okopać. – Wciągnął nosem powietrze. – Aha, jest. O to chodziło. Zaczekajcie tutaj.

Zniknął między dwoma sągami drewna. Usłyszały pomruk rozmowy, a po chwili zjawił się znowu z niedużą butelką...

– Czy to rum, sierżancie? – domyśliła się Polly.

– Brawo, mój mały barmanie. Byłoby miło, gdyby to był rum, słowo daję. Albo whisky, gin czy brandy. Ale to tutaj nie ma wymyślnej nazwy. To prawdziwa siara. Czysty kat.

– Kat? – zdziwiła się Kukula.

– Jedna kropla i już nie żyjesz – wyjaśniła Polly. Jackrum rozpromienił się jak nauczyciel słuchający pilnego ucznia.

– Tak jest, Kukula. To bimber. Gdziekolwiek zbierają się ludzie, tam zawsze ktoś znajdzie coś, co może fermentować w gumiaku, da się przedestylować w starym garnku i przehandlować kumplom. Robiony ze szczurów, sądząc po zapachu. Nieźle fermentuje taki szczur. Chcesz spróbować?

Kukula cofnęła się przed podsuniętą jej butelką. Sierżant parsknął śmiechem.

– Rozsądny chłopak. Trzymaj się piwa.

– Czemu oficerowie na to pozwalają? – spytała Polly.

– Oficerowie? A co oni wiedzą? Zresztą kupiłem to od sierżanta. Ktoś nas obserwuje?

Polly wytężyła oczy w półmroku.

– Nie, sierżancie.

Jackrum wylał trochę kata na dłoń i rozsmarował sobie po twarzy.

– Auć... – syknął. – Szczypie jak demony. A teraz wytrujemy robale w zębach. Trzeba to załatwić jak należy. – Wypił trochę z butelki, wypłuł i wcisnął korek na miejsce. – Paskudztwo – mruknął. – No dobra, idziemy.

– Dokąd, sierżancie? – chciała wiedzieć Kukuła. – Wpuszczą pana, kiedy tak cuchnie pan niczym pijak?

– Tak, Kukuła, mój chłopcze. Wpuszczą – zapewnił Jackrum i ruszył dalej. – Z tego powodu, że dzwoni mi w kieszeniach i śmierdzą wodą. Każdy lubi bogatego pijaka. Aha... wzdłuż tej małej kotlinki, tam będzie nasz... Tak, miałem rację. To tutaj. Z boku, niby tak dyskretnie. Widzicie jakieś suszące się ciuchy, chłopcy?

Sporo sznurów rozciągnięto za mniej więcej sześcioma szarymi namiotami w bocznej dolince, właściwie raczej zagłębieniu wypłukanemu przez jesienne deszcze. Jeśli nawet coś na nich wisiało, już to zdjęto dla ochrony przed obfitą rosą.

– Szkoda – mruknął Jackrum. – W takim razie załatwimy to trudniejszym sposobem. Pamiętajcie, zachowujcie się naturalnie i słuchajcie, co mówię.

– Trz-rzęś się, sierżancie – szepnęła Kukuła.

– Dobrze, dobrze, bardzo naturalnie – pochwalił Jackrum. – Myślę, że to będzie tutaj. Cicho i spokojnie, nikt nas nie widzi, miła dróżka prowadzi na koniec kotlinki...

Zatrzymał się przy bardzo dużym namiocie i zastukał trzcinką w wiszącą przed wejściem deskę.

– „BryKane GołęBice” – przeczytała Polly.

– No tak, tych dam nie zatrudnia się ze względu na znajomość pisowni – mruknął Jackrum.

Odsunął klapę namiotu o złej reputacji.

Znaleźli się w niewielkim dusznym pomieszczeniu, czymś w rodzaju płóciennego przedpokoju. Dama, tęga, w czarnej sukni podobna do wrony, podniosła się z krzesła i rzuciła wchodzącej trójce najbardziej wyrachowane spojrzenie, jakie Polly w życiu widziała. Kończyło się oszacowaniem ceny jej butów.

Sierżant ściągnął z głowy czako i jowialnym, grmiącym głosem, ociekającym brandy i słodkim puddingiem, powiedział:

– Dobry wieczór, madaam... Sierżant Smith się nazywam, w samej rzeczy! Mnie i moim dzielnym chłopcom sprzyjała fortuna i wsunęła w ręce wojenne łupy, jeśli pani rozumie, co mam na myśli. I nie będziemy się skarżyć, tylko że ci dwaj napraszali się, normalnie się napraszali, żeby udać się do najbliższego domu o doskonałej reputacji, gdzie robi się z nich mężczyzn.

Małe paciorkowate oczka raz jeszcze przeszły Polly. Kukuła wpatrywała się nieruchomo w ziemię, a uszy płonęły jej jak latarnia sygnałowa.

– Wygląda na to, że robota będzie niełatwa – stwierdziła krótko kobieta.

– Nikt nie powiedziałby prawdziwszych słów, madaam! – rozpromienił się Jackrum. – Po

dwa z pani pięknych kwiatuszków powinny sobie poradzić, jak sędzę.

Brzęknęło, gdy – zataczając się lekko – Jackrum położył na kulawym stoliku kilka złotych monet.

Coś w ich lśnieniu sprawiło, że atmosfera odtajała natychmiast. Tęga dama wykrzywiła się w uśmiechu lepkim jak sos ze ślimaków.

– Zawsze zaszczyt, kiedy bawią u nas Serożercy, sierżancie. Jeśli zechcecie... panowie, przejść do hm... wewnętrznego sanktuarium...

Polly usłyszała za sobą bardzo delikatny dźwięk. Obejrzała się. Nie zauważyła dotąd człowieka siedzącego na krześle tuż przy drzwiach. Musiał być człowiekiem, ponieważ trolle nie bywają różowe; przy nim Brew z gospody w Plün wyglądałby jak byle zielsko. Miał na sobie ubranie ze skóry i to jej trzeszczenie usłyszała. Oczy miał lekko uchylone. Kiedy zauważył, że na niego patrzy, mrugnął. Nie było to przyjazne mrugnięcie.

Są takie sytuacje, kiedy plan zwyczajnie nie może się powieść. Kiedy człowiek znajduje się w samym jego środku, chwila nie jest właściwa, by się o tym przekonać.

– Ehm... sierżancie – mruknęła Polly.

Jackrum odwrócił się, dostrzegł jej gorączkowe miny i udał, że po raz pierwszy dostrzega strażnika.

– Ojoj, gdzie moje maniery... – wymamrotał.

Poczłapał z powrotem, grzebiąc w kieszeni. Wyjął złotą monetę i wcisnął ją zdumionemu mężczyźnie w dłoń. Potem odwrócił się i postukał palcem w boczną ściankę nosa, z wyrazem idiotycznej chytrłości na twarzy.

– Dobra rada, chłopcy – powiedział. – Zawsze warto dać napiwek temu, co pilnuje. To on nie dopuszcza tu hałastu. Bardzo ważne stanowisko.

Potyając się, wrócił do damy w czerni i czknął głośno.

– A teraz, madaam, chcielibyśmy poznać te wizje piękna, jakie tu ukrywasz.

Wszystko zależało od tego, uznała po chwili Polly, jak, gdzie i po wypiciu jak wiele czego miał człowiek te wizje. Słyszała o takich lokalach. Praca za barem miała ogromne walory edukacyjne. W rodzinnym mieście było kilka dam, które – jak to określała jej matka – „były nie lepsze niż powinny”. Mając dwanaście lat, Polly zarobiła klapsa za pytanie, jak dobre w takim razie być powinny. Damy te były Obrzydliwością dla Nuggana, ale mężczyźni w swej religijności zawsze znaleźli trochę miejsca, by zgrzeszyć tu i tam.

Słowem, które opisywało cztery kobiety siedzące w następnym pokoju, jeśli człowiek chciał być miłosierny, brzmiało: zmęczone. Jeśli człowiek nie chciał być miłosierny, cały zakres odpowiednich słów czekał na użycie.

Spojrzały bez większego zainteresowania.

– To Wiara, Prudencja, Gracja i Pocięcha – przedstawiła je dama w czerni. – Obawiam się, że nocna zmiana jeszcze nie przysłała.

– Jestem pewien, że te ślicznotki zapewnią cenną edukację moim bojowym chłopcom –

rzekł sierżant. – Ale... czy mogę być tak zuchwały, by spytać, jak zwracać się do pani, madaam?

– Jestem pani Smother, sierżancie.

– A czy ma pani także imię, jeśli wolno spytać?

– Dolores – odparła pani Smother. – Dla moich... specjalnych przyjaciół.

– No więc, Dolores – mówił Jackrum, a w jego kieszeni znowu brzęknęły monety. – Powiem to od razu i będę szczery, bo widzę, że jesteś kobietą światową. Te kruche kwiaty są piękne na swój sposób, gdyż wiem, że moda w tych dniach wymaga od pań, by miały na sobie mniej mięsa niż ołówek rzeźnika, ale taki dżentelmen jak ja, który cały świat okrążył i widział to czy owo, no więc taki ktoś poznaje wartość dojrzałości. – Westchnął. – Nie wspominając już o Cierpliwości i Nadziei. – Znowu brzęknęły monety. – Może ty i ja oddalimy się do odpowiedniego budduła i pogawędzimy nad jednym czy drugim kordialem?

Pani Smother przechyliła głowę na ramię i spojrzała na sierżanta, a potem na „chłopców”, zerknęła w stronę przedpokoju i znowu na Jackruma. Na jej wargach igrał oschły, wyrachowany uśmiezek.

– Ta-ak... Wspaniały z pana mężczyzna, sierżancie Smith. Chodźmy, spróbujemy zdjąć brzemień z pańskich... kieszeni.

Ujęła sierżanta pod ramię. Jackrum mrugnął szelmowsko do Polly i Kukuły.

– No to jesteście ustawieni, chłopaki. – Zachichotał. – A teraz, żeby was nie poniosło... Kiedy nadejdzie pora wyjścia, dmuchnę w gwizdek, a wtedy szybko kończcie, co robicie, cha, cha, i zaraz lećcie na spotkanie ze mną. Obowiązek wzywa! Nie zapominajcie o pięknych tradycjach Piersi i Tyłków!

Rechocząc głośno i niemal się potykając, wyszedł z pokoju, wsparty o ramię właścicielki.

Kukuła zbliżyła się szybko do Polly.

– Czy sierżant dobrze się czuje, Ozzer? – szepnęła.

– Chyba jednak trochę za dużo wypił – odpowiedziała Polly głośno.

Wszystkie cztery dziewczęta wstały.

– Ale on...

Zanim Kukuła zdążyła powiedzieć coś więcej, dostała szturchańca w żebra.

Jedna z dziewcząt starannie odłożyła robótkę na drutach, ujęła Polly za rękę i błysnęła starannie dopracowanym wyrazem zainteresowania.

– Jesteś pięknie zbudowanym młodzieńcem... A jak ci na imię, skarbie? Ja jestem Gracja.

– Oliver – przedstawiła się Polly.

Do demoni, jakie są piękne tradycje Piersi i Tyłków!?

– Widziałeś kiedyś kobietę bez ubrania, Oliverze? Dziewczęta zachichotały. Polly zmarszczyła czoło; pytanie ją zaskoczyło.

– Tak – zapewniła. – Oczywiście.

– Ho, ho, wygląda na to, że mamy tu prawdziwego Don Joo-anna, dziewczęta. – Gracja odstąpiła. – Niewykluczone, że trzeba będzie wezwać posiłki. Może więc ty, ja i Prudencja wybierzemy się do takiego miłego zakątka, jaki tu znam, a twój mały przyjaciel będzie gościem Wiary i Pocięchy. Pocięcha jest bardzo dobra z młodymi ludźmi, prawda, Pocięcho?

Sierżant Jackrum mylił się w opisie dziewcząt. Trzem z nich do zdrowej wagi rzeczywiście brakowało kilku posiłków, ale gdy Pocięcha wstała ze swego wielkiego fotela, okazało się, że to całkiem mały fotel, tyle że w większej części był Pocięchą. Jak na tak potężną kobietę, miała bardzo drobną twarz i groźnie spoglądała świńskimi oczkami. Na ramieniu nosiła tatuaż z trupią czaszką.

– Młody jest – stwierdziła Gracja. – Poradzi sobie. Chodźmy, Don Joo-annie.

W pewien sposób Polly czuła ulgę. Nie spodobały jej się te dziewczyny. Owszem, taka profesja może zniszczyć każdego, ale w domu miała okazję poznać kilka dam o niełatwej cnotcie i miały w sobie pewną zadziorność, której tym brakowało.

– Dlaczego tu pracujecie? – spytała, kiedy przeszły do mniejszego pomieszczenia o płóciennych ścianach. Rozchwiane łóżko zajmowało jego większą część.

– Wiesz, chyba jesteś trochę za młody, żeby być tego rodzaju klientem – stwierdziła Gracie.

– Jakiego rodzaju?

– No, litościwym głąbem. „Co taka dziewczyna jak ty robi w takim miejscu jak to?” i podobne gadki. Żałujesz nas? Czemu? Jeśli ktoś pójdzie za ostro, mamy przy wejściu Garry’ego, a kiedy on już skończy z tym typem, dowiaduje się pułkownik i drań trafia do pudła.

– Właśnie – zgodziła się Prudencja. – Jak słyszałam, to dla damy najbezpieczniejsze miejsce w promieniu dwudziestu pięciu mil. Stara Smother nie jest taka zła. Dostajemy pieniądze dla siebie, karmi nas i nie bije, czego się nie da powiedzieć o mężach, a przecież niebezpiecznie jest się włóczyć samotnie, prawda?

Jackrum znosił Bluzę, bo trzeba mieć oficera, myślała Polly. Jeśli ktoś nie ma swojego oficera, przejmie go inny oficer. Samotnej kobiecie brakuje mężczyzny, samotny mężczyzna sam jest dla siebie panem. Spodnie. To cała tajemnica. Spodnie i para skarpet. Nigdy nawet mi się nie śniło, że tak to wygląda. Wkładasz spodnie i świat się zmienia. Chodzimy inaczej. Zachowujemy się inaczej. Patrzą na te dziewczyny i myślę: Idiotki! Załatwcie sobie po parze spodni!

– Czy możecie się rozebrać? – poprosiła. – Myślę, że powinniśmy się spieszyć.

– Jesteś z Piersi i Tyłków, nie ma co – stwierdziła Gracja, zsuwając suknię z ramion. – Pilnuj swoich serów, Pru.

– Dlaczego to znaczy, że jestem w Piersiach i Tyłkach?

Polly z przesadną starannością rozpiniała kurtkę. Chciałaby wierzyć w cokolwiek, by móc się teraz pomodlić o gwizdek...

– Dlatego że wy, chłopcy, zawsze pilnujecie swojego interesu – odparła Gracja.

...i może naprawdę ktoś jej wysłuchał, bo gwizdek zabrzmiał głośno.

Polly chwyciła sukienki i wybiegła, nie zważając na krzyki za sobą. Na zewnątrz zderzyła się z Kukulą, potknęła o leżącego nieruchomo Garry'ego, zobaczyła, że sierżant Jackrum przytrzymuje im odchyloną klapę namiotu, i wyskoczyła w noc.

– Tędy! – syknął sierżant. Zanim przebiegła kilka kroków, chwycił ją za kołnierz i odwrócił w miejscu. – Ty też, Kukula. Już!

Wbiegł na zbocze kotlinki jak dziecięcy balon na wietrze, a one gramoliły się za nim powoli. Oburącz trzymał stos ubrań, które zaczepiały o krzaki i powiewały za nim. Wyżej wpadli w sięgającą kolan gęstwinę, zdradziecką w słabym świetle. Dziewczyny potykały się i kluczyły, aż dotarły do wyższych krzaków, a tam sierżant chwycił je i wepchnął między gałęzie. Krzyki i wołania były teraz słabsze.

– Teraz wszyscy siedzimy cicho – szepnął. – Krążą patrole.

– Na pewno nas znajdą – odpowiedziała Polly.

Kukula oddychała ciężko.

– Nie, wcale nie – stwierdził Jackrum. – Po pierwsze, pobiegną w stronę krzyków, bo to natura... tam zawsze biegają... – Polly usłyszała kolejne wołania, wszystkie z daleka. – W dodatku to durnie. Mają pilnować granic obozu, a biegną do zamieszania wewnątrz. W dodatku biegną prosto w światło lamp, więc demony biorą przyzwyczajenie oczu do ciemności. Gdybym był ich sierżantem, nieźle by oberwali. Idziemy. – Poderwał się i postawił Kukulę na nogi. – Dobrze się czujesz, mały?

– To było okropne, sierżancie! Jedna z nich położyła rękę na... na moich skarpetach.

– Coś takiego nie zdarza się często żadnemu mężczyźnie, mogę się założyć – uznał Jackrum. – Ale zrobiliście swoje jak należy. Teraz ruszamy powoli i spokojnie, bez żadnych rozmów, dopóki nie powiem. Jasne?

Szli przez dziesięć minut, okrążając obóz. Słyszeli kilka patroli, a kiedy wstał księżyc, zobaczyli kilka innych na szczytach wzgórz. Polly zdała sobie jednak sprawę, że krzyki, choć głośne, były tylko fragmentem rozbrzmiewającej w obozie mieszaniny dźwięków. Patrole tutaj prawdopodobnie nic nie słyszały. Albo dowodzili nimi żołnierze, którzy nie chcieli nieźle oberwać.

W ciemności usłyszała, jak Jackrum oddycha głęboko.

– Dobra, już dość daleko odeszliśmy. Spisaliście się całkiem dobrze, chłopcy. Teraz jesteście prawdziwymi Piersiami i Tyłkami!

– Ten ich strażnik był całkiem nieprzytomny – przypomniała Polly. – Uderzył go pan?

– Widzicie, jestem gruby – odparł sierżant. – Ludzie nie wierzą, że grubi umieją walczyć. Myślą, że grubi są śmieszni. Źle myślą. Przyłożyłem mu w krtani.

– Sierżancie! – Kukula była przerażona.

– Co? No co? Szedł na mnie z maczugą.

– Ale dlaczego, sierżancie? – spytała Polly.

– No, no, chytry z ciebie żołnierz. Dobrze, przyznaję, że właśnie uciszyłem madaam, ale bądźmy uczciwi. Wiem, kiedy ktoś mi podaje piekielnego drinka z kroplami na sen.

– Uderzył pan kobietę, sierżancie?

– Tak. I może jak się obudzi w samym gorsecie, uzna, że kiedy następnym razem zjawi się biedny pijany grubas, nie warto truć go i zabierać forsę – burknął gniewnie Jackrum. – Gdyby jej się udało, obudziłbym się w rowie bez gatek, za to z paskudnym bólem głowy. A gdybyście wy byli tępi i polecili do pułkownika na skargę, przysięgałaby, że czarne jest niebieskie, a ja nie miałem przy sobie ani pensa. Pułkownik by się nie przejął, bo jeśli sierżant jest tumanem i daje się tak załatwić, to mu się należało. Rozumiecie? Dbam o swoich chłopaczków. – Coś zadźwięczało w ciemności. – A parę dodatkowych dolarów też się przyda.

– Sierżancie, nie ukradł pan chyba ich kasy?

– Owszem. I całe naręcze garderoby też.

– I dobrze! – oświadczyła mściwie Kukula. – Nie były miłe.

– Zresztą to i tak głównie moje pieniądze – dodał Jackrum. – Tak na wagę licząc, interes szedł dzisiaj dość słabo.

– Ale to niemoralne dochody! – zaprotestowała Polly i natychmiast poczuła się jak głupek, że to powiedziała.

– Nie – sprzeciwił się Jackrum. – To były niemoralne dochody, a teraz to łup zdobyty pospolitą kradzieżą. Życie będzie o wiele łatwiejsze, jeśli nauczysz się myśleć logicznie.

Polly była zadowolona, że nie mają lustra. Najlepsze, co dało się powiedzieć o nowych kostiumach, to że ich osłaniają... Ale trwała wojna. Rzadko na kimkolwiek widywało się nowe rzeczy. Mimo to w sukienkach czuły się nieswojo. Ale kiedy w szarym świetle poranka popatrzyły na siebie, zachichotały z zakłopotaniem. Zabawne, pomyślała Polly; spójrzcie tylko na nas przebranych za kobiety!

Dziwne, ale najlepiej wyglądała Igorina. Zniknęła z plecakiem w sąsiedniej, zrujnowanej izbie. Przez dziesięć minut oddział nasłuchiwał rzadkich „auć”, a potem wróciła z jasnymi włosami do ramion. Jej twarz odzyskała właściwy kształt, bez narośli i guzów, do których zdążyły się przyzwyczaić. A szwy na czole zmniejszyły się i zniknęły na oczach zdumionej Polly.

– To boli? – spytała.

– Trochę szczypie przez parę minut – odparła Igorina. – Trzeba po prostu mieć do tego talent. No i specjalną maść, oczywiście.

– Ale dlaczego masz teraz taką wygiętą bliznę na policzku? – spytała Stukacz. – A tutaj szwy nie znikają...

Igorina skromnie spuściła wzrok. Przerobiła nawet jedną z sukienek na fartuszek, więc

wyglądała jak młoda służąca z piwiarni. Wystarczyło na nią spojrzeć, by człowiek w myślach zamawiał wielkiego precla.

– Coś jednak trzeba pokazać – odparła. – Inaczej człowiek sprawia zawód swojemu klanowi. A poza tym uważam, że te szwy są piękne.

– No dobrze – ustąpiła Stukacz. – Ale mogłabyś trochę seplenić, co? Wiem, że to niewłaściwe wrażenie, ale wyglądasz teraz, sama nie wiem... no, trochę dziwacznie.

– Zbiórka! – zarządził Jackrum. Odstąpił na krok i obrzucił je wzrokiem pełnym niemal teatralnej pogardy. – Nigdy nie widziałem takiej bandy kocmołu... praczek. Życzę wam szczęścia, bo będzie wam wściekle potrzebne. Stałe ktoś będzie obserwował drzwi, czy nie wychodzicie, ale to wszystko, co mogę wam obiecać. Szeregowy Perks, w tej misji pełnie obowiązków kaprała, bez podwyżki żołdu. Mam nadzieję, że po drodze opanowaliście jedną czy drugą lekcję. Wejść i wyjść, to wasze zadanie. Żadnych sławnych ostatnich walk, jeśli można. W razie wątpliwości kopiecie ich w klejnoty i znikacie. Chociaż jeśli ich przestraszycie tak, jak mnie przestraszyliście, nie przewiduję żadnych kłopotów.

– Na pewno nie pójdzie pan z nami, sierżancie? – spytała Stukacz, usiłując się nie śmiać.

– Nie, mój chłopcze. Nie wsadzicie mnie w kiecę. Każdy ma swoje granice. Solidnie nagrzeszyłem, i to na wiele sposobów, ale sierżant Jackrum nigdy się nie ukrywa. Jestem starym żołnierzem. I walczę jak żołnierze, w szyku, na polu bitwy. Gdybym poszedł tam i mizdrzył się w kiece, do końca życia by mi to wypominali.

– Księżna mówi, że sierżant Jackrum musi p-pójść inną ścieżką – oznajmiła Łazer.

– I nie wiem, czy to właśnie nie przeraża mnie najbardziej, szeregowy Goom. – Jackrum podciągnął swój równikowy pas. – Ale masz rację. Kiedy już tam wejdziecie, przemknę się cichutko na nasze pozycje. I jeśli nie zmontuję niedużego ataku dla odwrócenia uwagi, to nie nazywam się sierżant Jackrum. No a że się nazywam sierżant Jackrum, sprawa załatwiona. Ha, wielu jest w tej armii takich, co winni mi są przysługę... – Prychnął lekko. – I wielu takich, którzy nie rzucają w twarz odmowy. A jeszcze więcej dzielnych chłopców, którzy chcieliby opowiadać wnukom, jak to walczyli u boku Jackruma, więc dam im szansę prawdziwej wojaczki.

– Ale sierżancie, atak na główną bramę to samobójstwo! – wystraszyła się Polly.

Jackrum klepnął się po brzuchu.

– Widzisz to? To jak nosić własną zbroję. Kiedyś typ wbił mi tu nóż po rękojęć i był demonicznie zdziwiony, kiedy mu przyłożyłem. Zresztą wy, chłopcy, narobicie takiego zamieszania, że strażę będą zajęte, nie? Wy polegacie na mnie, ja polegam na was. Tak to jest w wojsku. Macie tylko dać mi sygnał, dowolny sygnał. Niczego więcej nie potrzebuję.

– Księżna mówi, że ścieżka doprowadzi pana dalej – powiedziała Łazer.

– Tak? – odparł dobrodusznie Jackrum. – A gdzie właściwie? Mam nadzieję, że w miejsce z dobrą gospodą.

– Księżna mówi, że... że powinna prowadzić do miasta Scritz.

Łazer mówiła cicho, a reszta oddziału nadal się śmiała, nie tyle z uwagi sierżanta, ile dla rozładowania napięcia. Ale Polly usłyszała.

A Jackrum był naprawdę, ale to naprawdę dobry. Przelotny wyraz zgrozy zniknął niemal natychmiast.

– Scritz? Niczego tam nie ma. Nudna dziura.

– Był tam miecz – powiedziała Łazer.

Tym razem Jackrum był przygotowany. Jego twarz nie zmieniła się ani trochę, pozostała nieruchoma, co zawsze dobrze mu wychodziło. To podejrzane, uznała Polly, bo przecież powinien jakoś zareagować, choćby się zdziwić.

– Wiele mieczy trzymałem w swoim czasie – rzekł obojętnie. – Słucham, szeregowy Halter.

– Czegoś jeszcze pan nam nie wyjaśnił, sierżancie. – Stukacz opuściła rękę. – Dlaczego nasz regiment nazywa się Piersi i Tyłki?

– Piersi do bitwy, ostatni podają tyły – odparł automatycznie.

– Więc dlaczego nazywają nas Serożercami?

– No właśnie – poparła ją Kukula. – Dlaczego? Bo z tego, co mówiły dziewczęta, powinniśmy to wiedzieć.

Jackrum cmoknął językiem z irytacją.

– Stukacz, czemu czekałeś, aż ściągniesz spodnie, zanim o to spytałeś? Teraz krępuję się wam tłumaczyć.

A Polly pomyślała: To taka przynęta, tak? Chce pan opowiedzieć. Chce pan skierować rozmowę jak najdalej od Scritzu.

– Aha – domyśliła się Stukacz. – Czyli chodzi o seks, prawda?

– Nie jako taki, nie...

– Niech pan opowie – poprosiła. – Chcę się dowiedzieć, zanim zginę. Jeśli to panu ułatwi sprawę, mogę szturchać kolegów i powtarzać „hłe, hłe, hłe!”.

Jackrum westchnął.

– Jest taka piosenka... – powiedział. – Zaczyna się „Był dzionek tuż po niedzieli, a miesiąc to był maj”...

– No to jest o seksie – oświadczyła twardo Polly. – To ludowa piosenka, zaczyna się od tego, że był dzionek, i dzieje się w maju, co było do okazania. Jest o seksie. Czy ważną rolę odgrywa w niej pasterka?

– To możliwe – przyznał Jackrum.

– Szła na targ? Żeby sprzedać swój towar?

– Bardzo prawdopodobne.

– No tak... Czyli stąd ser. I spotyka, pomyślny, żołnierza, żeglarza, wesołego parobka czy też ewentualnie mężczyznę odzianego w skóry? Nie, ponieważ to o nas, to musi być żołnierz. A że to jeden z Piersi i Tyłków... Och, czuję już, jak zbliża się ucieszna

dwuznaczność. Jedno pytanie – jaki element jej garderoby spadł na trawę lub się rozwiązał?

– Podwiązka. Słyszałeś już tę piosenkę, Perks?

– Nie, ale wiem, jakie są ludowe piosenki. Jeszcze w do... tam, gdzie pracowałam, mieliśmy ludowych pieśniarzy w dolnym barze. Zostali sześć miesięcy, a potem musieliśmy zatrudnić człowieka z fretką. A to zostaje w pamięci...

– Było migdalenie, sierżancie? – spytała z uśmiechem Stukacz.

– Raczej rodzynekowanie – stwierdziła Igorina. Odpowiedziały jej chichoty.

– Nie. On jej ukradł ser. – Polly westchnęła. – Kiedy ta biedna dziewczyna leżała i czekała, aż zawiąże jej podwiązkę, ten piekielny drań uciekł z jej serem. Mam rację?

– Nie mów „piekielny”, Ozz. Nie kiedy nosisz spódnicę – ostrzegła Stukacz.

– W takim razie nie Ozz – odparła Polly. – Napelnić czako chlebem, nalać zupy do butów! I ukraść ser, co, sierżancie?

– Szczera prawda. Zawsze byliśmy praktycznym regimentem – rzekł Jackrum. – Armia maszeruje na brzuchach, chłopcy. Na moim, oczywiście, mogliby nieść flagę.

– To przecież jej wina – uznała Loft. – Powinna lepiej wiązać podwiązki.

– Tak. I pewnie nawet chciała, żeby ktoś ukradł jej ser – mruknęła Stukacz.

– Mądre słowa – pochwalił Jackrum. – Ruszajcie więc... Serożercy!

Mgła była wciąż gęsta, kiedy przedostały się przez las do ścieżki na brzegu. Idąc, Polly zaczęła spódnicą o jeżyny. Pewnie robiła to zawsze, zanim jeszcze się zaciągnęła, ale teraz jej to przeszkadzało. Z roztargnieniem poprawiła skarpety, które rozdzieliła i użyła do wypełnienia innych miejsc. Była za chuda. W tym cały kłopot. Bardzo brakowało loków – one wyraźnie mówiły: dziewczyna. A tak musiała polegać na chuście i zapasowych skarpetach.

– W porządku – szepnęła, gdy teren się wyrównał. – Pamiętajcie, żadnych przekleństw. Chichoty, nie prychnia. Żadnego bekania. Żadnej broni. Oni tam nie mogą być aż tak głupi. Ktoś zabrał broń?

Pokręciły głowami.

– Czy zabrałaś broń, Stuk... Magdo?

– Nie, Polly.

– Żadnego przedmiotu dowolnego rodzaju, mającego cechy broni?

– Nie, Polly – zapewniła pokornie Stukacz.

– Niczego, co ma ostrze?

– Och, masz na myśli coś takiego?

– Tak, Magdo.

– Przecież kobieta może nosić nóż, prawda?

– To jest szabla, Magdo. Próbujesz to ukryć, ale to szabla.

– Ale używam jej jako noża, Polly.

- Nie za długa?
- Rozmiar nie ma znaczenia.
- Nikt w to nie wierzy. Zostaw ją za drzewem, proszę. To rozkaz.
- Och, niech ci będzie.

Po chwili odezwała się Kukula, która najwyraźniej myślała intensywnie.

- Nadal nie rozumiem, czemu nie mogła sama zawiązać sobie podwiązki.
- Kukula, niech to demon... – zaczęła Stukacz.
- ...niech to motyla noga... – poprawiła ją Polly. – I nie zapominaj, że mówisz do Betty.
- Niech to motyla noga kopnie, o czym ty gadasz, Betty? – spytała Stukacz, przewracając oczami.

– No o tej piosence, to chyba jasne. A poza tym przecież nie trzeba się kłaść, żeby zawiązać podwiązkę. Tak jest trudniej – uznała Kukula. – To bez sensu.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Teraz łatwo było zrozumieć, czemu Kukula wyruszyła ze swoją misją.

- Masz rację – przyznała w końcu Polly. – To głupia piosenka.
- Bardzo głupia piosenka – potwierdziła Stukacz.

Wszystkie się zgodziły. To była bardzo głupia piosenka.

Ruszyły ścieżką przy rzece. Przed nimi niewielka grupa kobiet właśnie mijala zakręt. Cały oddział odruchowo uniósł wzrok. Twierdza wyrastała z pionowego urwiska i trudno było zauważyć, gdzie kończy się surowa skala, a zaczynają pradawne mury. Nie widziały okien. Stąd była to po prostu ściana sięgająca ku niebu. Nie ma wejścia, głośiła. Nie ma wyjścia. W tej ścianie są tylko nieliczne drzwi i zamykają się w sposób ostateczny.

Tak blisko głębokiej, powolnej rzeki powietrze było lodowato zimne, a im wyżej patrzyły, tym wydawało się zimniejsze. Za zakrętem zobaczyły niedużą skalną platformę, gdzie była tylna furka, i grupkę kobiet rozmawiających ze strażnikiem.

– To się nie uda – mruknęła Kukula pod nosem. – Pokazują mu jakieś papiery. Ktoś zabrał swoje? Nie?

Żołnierz uniósł głowę i spoglądał na dziewczęta z oficjalną, obojętną miną człowieka, który nie szuka w życiu przygód ani sensacji.

- Idziemy dalej – szepnęła Polly. – Jeśli będzie już całkiem źle, wybuchamy płaczem.
- To obrzydliwe – uznała Stukacz.

Były coraz bliżej. Polly szła ze spuszczoną głową, jak wypada kobiecie niezamężnej. Wiedziała, że na pewno patrzą też inni. Może są znudzeni, może nie spodziewają się żadnych kłopotów, ale na tej ścianie są oczy, które się w nią wpatrują.

Dotarli do strażnika. Tuż za wąskim kamiennym przejściem czekał drugi, oparty w mroku o ścianę.

- Papiery – zażądał strażnik.
- Nie mamy, szanowny panie – odparła Polly. Po drodze przygotowywała sobie mowę.

Wojna, strach przed inwazją, uciekający ludzie, brak żywności... Nie trzeba było nic wymyślać, wystarczyło tylko poukładać sobie rzeczywistość. – Musiałam uciekać...

– Ach, jasne – przerwał jej strażnik. – Nie ma papierów? Żaden kłopot. Może porozmawiacie z moim kolegą? To miło, że chcecie pomieszkać z nami.

Odstąpił na bok i skinął w stronę mrocznego wejścia.

Zdziwiona Polly wkroczyła do twierdzy. Za nimi zamknęły się drzwi. Znalazły się w długim korytarzu z wieloma szczelinami prowadzącymi do pomieszczeń po obu stronach. Ze szczelin padało światło. Widziała za nimi cienie. Ukryci tam łucznicy mogli każdego uwięzionego w korytarzu przerobić na sieczkę.

Na końcu korytarza otworzyły się kolejne drzwi. Prowadziły do niewielkiego pomieszczenia, gdzie za biurkiem siedział młody mężczyzna w mundurze, jakiego Polly nie umiała rozpoznać. Nosił insygnia kapitana. Obok stał większy, o wiele większy mężczyzna w takim samym mundurze, czy może w dwóch mundurach zszytych razem. Miał miecz. Miał też taką cechę, że kiedy trzymał ten miecz, nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, że miecz jest trzymany i jest trzymany przez niego. Ściągał ku sobie spojrzenia. Nawet na Nefryt zrobiłby wrażenie.

– Dzień dobry, moje panie – powiedział kapitan. – Nie macie papierów, tak? Zdejmijcie chusty.

I to by było tyle, pomyślała Polly, czując, że odpada jej dno żołądka. A myślałyśmy, że jesteśmy sprytne... Teraz mogły tylko posłuchać.

– Aha. Powiecie pewnie, że obcięto wam włosy za karę, ponieważ bratalyscie się z wrogiem, tak? – rzucił kapitan, rzuciwszy tylko okiem. – Oprócz ciebie – dodał, zwracając się do Igoriny. – Nie miałas ochoty bratać się z wrogiem? Coś się nie podobało w porządnym złożeńskim chłopakach?

– Eee... nie – zapewniła Igorina.

Kapitan uśmiechnął się promiennie.

– Panowie, wyjaśnijmy sobie fakty. Chodźcie nieprawidłowo. To widać. Chodźcie nieprawidłowo i stoicie nieprawidłowo. Panu – wskazał Stukacz – zostało koło ucha trochę mydła do golenia. A pan, drogi panie, albo jest zdeformowany, albo spróbował pan starej sztuczki z wtykaniem sobie pod koszulę pary skarpet.

Polly zwiesiła głowę purpurowa ze wstydu i poniżenia.

– Wejść albo wyjść w przebraniu praczki... – mówił dalej kapitan. – Każdy poza tym durnym kraikiem zna ten numer, chłopcy, ale większość bardziej się stara. No cóż, dla was wojna się skończyła. Ta twierdza ma bardzo rozległe lochy i muszę powiedzieć, że prawdopodobnie lepiej na tym wyjdziecie niż ci na zewnątrz... Tak, czego chcesz?

Kukuła podniosła rękę.

– Mogę panu coś pokazać?

Polly nie obejrzała się. Obserwowała twarz kapitana, gdy obok zaszeleścił materiał. Nie

mogła uwierzyć – Kukula podnosiła spódnicę.

– Och... – powiedział kapitan i wyprostował się na krześle. Poczerwieniał gwałtownie.

Stukacz wybuchnęła, ale był to wybuch płaczu. Towarzyszyło mu żalosne zawodzenie.

– Oooch, idziemy z tak dalekaaa! Leżeliśmy po zagonach, żeby się schować przed żołnierzami! Nie ma jedzenia! Chcemy pracować! Nazwał nas pan chłopcami! Cemu pan jest taki okru-utny?

Rzuciła się na ziemię, wstrząsał nią szloch.

Polly przyklękła, podniosła ją i poklepała po plecach.

– To było dla nas bardzo trudne – zwróciła się do czerwonego na twarzy kapitana.

– Jeśli dasz radę go załatwić, tego drugiego uduszę paskiem od fartucha – szepnęła Stukacz między kolejnymi szlochami.

– Obejrzał pan już wszystko, co chciał pan obejrzeć? – spytała kapitana Polly. Każda sylaba dźwięczała lodem.

– Tak! Nie! Tak! Proszę! – Kapitan rzucił strażnikowi z mieczem spojrzenie człowieka, który wie, że już stał się tematem żartów całego garnizonu. – Raz zupełnie... To znaczy widziałem... Naprawdę, to mi wystarczy. Szeregowy, sprowadźcie jakąś kobietę z pralni. Bardzo mi przykro, drogie panie. Ja... ja... tylko wykonuję obowiązki...

– I lubi pan to? – spytała Polly, wciąż lodowatym tonem.

– Tak – odparł pospiesznie kapitan. – To znaczy nie! Nie, tak! Musimy być ostrożni... Ach...

Wielki żołnierz wrócił, prowadząc za sobą kobietę. Polly spojrzała.

– Nowe... ochotniczki – wyjaśnił kapitan i skinął ręką w stronę oddziału. – Pani Enid na pewno znajdzie im zajęcie...

– Oczywiście, kapitanie. – Kobieta dygnęła uprzejmie.

Polly wciąż patrzyła.

– Ruszajcie więc... panie – rzekł kapitan. – A jeśli będziecie dobrze pracować, pani Enid na pewno wyrobi wam przepustki, więc coś takiego już się nie powtórzy... ehm...

Kukula oparła dłonie o blat biurka, pochyliła się i powiedziała:

– Buu!

Krzesło stuknęło o ścianę.

– Może nie jestem sprytna – zwróciła się do Polly. – Ale nie jestem głupia.

Polly jednak nadal wpatrywała się w porucznika Bluzę. Bardzo przekonująco dygał.

Żołnierz poprowadził ich tunelem, który kończył się na platformie ponad albo jaskinią, albo hałą. Znajdowała się na tym poziomie twierdzy, gdzie trudno byłoby to odróżnić. Nie przypominała pralni, ale jakieś gorące i wilgotne zaświaty dla tych, którzy wymagali pokuty z dodatkowym szorowaniem. Para kłębiła się pod sufitem, skraplała i skapywała na podłogę, po której ciekła woda. I powtarzało się to bez końca, balia po balii. Kobiety przesuwwały się jak duchy wśród skłębionych obłoków mgły.

– Tutaj, moje panie – oznajmił i klepnął Bluzę w tyłek. – To spotkamy się wieczorem, Daphne?

– O tak! – zapiszczał Bluza.

– No to o piątej. – Żołnierz odszedł korytarzem.

– Daphne? – zdziwiła się Polly, kiedy już zniknął.

– Moje *nom de guerre* – wyjaśnił porucznik. – Wciąż nie znalazłem drogi wyjścia z dolnych poziomów, ale wszyscy strażnicy mają klucze, a ja o piątej trzydzieści będę miał klucz tego żołnierza. Coś się stało?

– Stukacz... to znaczy Magda... ugryzła się chyba w język – wyjaśniła Polly.

– Ugryzła? Ona? No tak. Dobrze, że nie wychodziecie z roli, eee...

– Polly – podpowiedziała Polly.

– Niezły wybór – pochwalił Bluza. – Dobrze, pospolite imię, odpowiednie dla służącej.

– Tak właśnie pomyślałam – odparła ponuro Polly.

– Hm... sierżant Jackrum z wami nie przyszedł, co? – zapytał porucznik odrobinę nerwowo.

– Nie, sir. Powiedział, że poprowadzi szturm na główną bramę, sir, jak tylko prześlemy mu sygnał. Mam nadzieję, że nie spróbuje bez niego.

– Wielkie nieba, ten człowiek jest szalony! – uznał Bluza. – Ale wy, chłopcy, spisaliście się znakomicie. Przypadkowy obserwator z pewnością uzna was za kobiety.

– W twoich ustach, Daphne, to prawdziwy komplement – zapewniła Polly.

O rany, myślała, coraz lepiej mi idzie zachowywanie powagi.

– Ale nie musieliście za mną przychodzić – powiedział Bluza. – Przepraszam, że nie mogłem wysłać sygnału, lecz pani Enid pozwoliła mi zostawać na noc. Rozumiecie, nocą strażnicy nie pilnują tak dokładnie, więc wykorzystałem ten czas, żeby poszukać dróg na wyższe poziomy. Niestety, przejścia są zamknięte albo bardzo silnie strzeżone. Jednakże szeregowy Hauptfidel zaczął mnie podrywać...

– Doskonale, sir! – pochwaliła Polly.

– Przepraszam, ale chcę mieć pewność – wtrąciła Stukacz. – Umówił się pan dziś na randkę ze strażnikiem?

– Tak. Zaproponuję, żebyśmy poszli w jakieś ustronne i ciemne miejsce, a kiedy dostanę już to, czego chcę, skrucę mu kark.

– Czy to nie za ostro jak na pierwszą randkę?

– Nie miał pan żadnych kłopotów przy wejściu, sir? – spytała Polly.

Dręczyło ją to. Wydawało się strasznie niesprawiedliwe.

– Nie, poszło gładko. Uśmiechnąłem się, zakołysałem biodrami i kazali przechodzić. A wy?

– Och, mieliśmy drobne problemy. Przez chwilę było już wście... nieprzyjemnie.

– A nie mówiłem? – odparł tryumfująco Bluza. – Ważny jest tylko sceniczny talent. Choć

przyznaję, chłopcy, byliście odważni, podejmując tę próbę. Chodźcie, poznać panią Enid. Bardzo lojalna dama. Dzielne kobiety Borogravii są po naszej stronie!

I rzeczywiście, we wnęce, służącej szefowej pralni za gabinet, wisiał na ścianie portret księżnej. Pani Enid nie była kobietą szczególnie obfitych kształtów, ale przedramiona miała jak Nefryt, mokry fartuch i najbardziej ruchliwe usta, jakie Polly w życiu widziała. Język i wargi rysowały każde słowo niczym wielki kształt w powietrzu; w grocie wypełnionej sykiem pary, echami, pluskiem wody i uderzeniami mokrej bielizny o kamienie, praczki obserwowały usta, gdyż uszy musiały skapitulować. Kiedy słuchała, też bez przerwy nimi poruszała, jak ktoś, kto usiłuje się pozbyć kawałka orzecha, który utknął w zębie. Rękawy nosiła podwinęte powyżej łokci.

Słuchała cierpliwie, gdy Bluza przedstawił jej oddział.

– Rozumiem – powiedziała. – Dobrze. Może pan zostawić tu swoich chłopców, sir. Powinien pan wracać do prasowania.

Kiedy Bluza odbiegł, kołysząc się w kłębach pary, pani Enid zmierzyła je wzrokiem od stóp do głów, a potem przeszła na wylot.

– Chłopcy – burknęła. – Ha! Tyle on wie, co? Kiedy kobieta ubiera się w odzież mężczyzny, jest to Obrzydliwością w oczach Nuggana!

– Ale my jesteśmy ubrane jak kobiety, proszę pani – zauważyła grzecznie Polly.

Pani Enid poruszyła gwałtownie ustami. Potem założyła ręce na piersi, jakby stawiała barykadę przed wszystkim, co bezbożne.

– To niesłuszne – oświadczyła. – Mój mąż i syn są tu więźniami, a ja zaharowuję się dla wroga, żeby tylko na nich uważać. Oni przeprowadzą inwazję, zapamiętajcie moje słowa. Niewiarygodne, co możemy usłyszeć tutaj, na dole. Więc co komu przyjdzie z uratowania naszych ludzi, kiedy i tak wszyscy będziemy jęczeć pod obcasem złobeńskiego ręcznie malowanego chodaka?

– Zlobenia nie dokona inwazji – oświadczyła pewnym głosem Łazer. – Księżna tego dopilnuje. Nie lękaj się.

Zyskała takie spojrzenie, jakie zawsze jej rzucono, gdy ktoś słyszał ją po raz pierwszy.

– Modliłaś się, co? – spytała łagodnie pani Enid.

– Nie, tylko słuchałam – odparła Łazer.

– Nuggan do ciebie przemawia?

– Nie. Nuggan jest martwy, pani Enid.

Polly chwyciła Łazer za chude jak patyk ramię.

– Przepraszam na moment, pani Enid – powiedziała.

Pociągnęła dziewczynę za wielki, napędzany wodą magiel. Jego szuranie i stuki tworzyły tło ich rozmowy.

– Łazer, to się robi... dziwne. – Ojczysty język Polly nie miał słowa oznaczającego „cudaczne”, ale gdyby je знаła, chętnie włączyłaby je do słownika. – Niepokoisz ludzi. Nie

możesz tak chodzić i opowiadać, że bóg jest martwy.

– No to odszedł. Skurczył się... Tak myślę. – Łazer zmarszczyła czoło. – Nie ma go już z nami.

– Nadal otrzymujemy nowe Obrzydliwości.

Łazer spróbował się skoncentrować.

– Nie, nie są prawdziwe. Są jak... echa. Martwe głosy w pradawnej jaskini, odbijające się tam i z powrotem, słowa zmieniające znaczenie, tracące sens... Jak flagi, kiedyś używane do sygnalizacji, ale teraz tylko trzepoczące na wietrze... – Oczy Łazer zaszkliły się, głos zabrzmiał inaczej, bardziej dorośle, pewniej: – ...I nie pochodzą od boga. Teraz nie ma tu już żadnego boga.

– Więc skąd się biorą?

– Z waszych lęków. Przychodzą z tej części was, która nienawidzi obcego, która nie chce się zmienić. Przychodzą z sumy waszej małostkowości, waszej głupoty i tępoty. Boicie się jutra i ten strach uczyniliście swoim bogiem. Księżna to wie.

Magiel stukał i skrzypiał. Wokół Polly syczały kotły, woda szumiała w ściekach. Pachniało mydłem i mokrym płótnem.

– W księżną też nie wierzę – oświadczyła Polly. – To w lesie to była tylko sztuczka. Każdy by się obejrzał. Nie wierzę w nią.

– To bez znaczenia, Polly. Ona wierzy w ciebie.

– Doprawdy? – Polly rozejrzała się po zaparowanej, wilgotnej grocie. – A czy jest tutaj? Czy zaszczyciła nas swoją obecnością?

Łazer nie знаła pojęcia sarkazmu. Kiwnęła głową.

– Tak.

Tak.

Polly obejrzała się.

– Czy to ty powiedziałaś „tak”? – spytała.

– Tak – potwierdziła Łazer.

Tak.

– Ach, to echo – uspokoiła się Polly. – Jesteśmy przecież w jaskini. Hm...

...co jednak nie tłumaczy, dlaczego mój głos się nie odbija i nie wraca...

– Łaz... To znaczy Alice... – odezwała się zamyślona.

– Słucham, Polly.

– Wydaje mi się, że naprawdę byłoby lepiej, gdybyś nie mówiła innym za dużo na ten temat. Ludziom nie przeszkadza wiara, no wiesz, w bogów i w ogóle, ale robią się nerwowi, kiedy ich przekonujesz, że bóg się objawia. Ehm... Ona się nie objawi, prawda?

– Ta osoba, w którą nie wierzysz? – spytała Łazer, demonstrując ślad bojowego ducha.

– Ja... ja nie twierdzę, że ona nie istnieje. Po prostu w nią nie wierzę i tyle.

– Jest bardzo słaba. Nocami słyszę, jak płacze.

Polly szukała dalszych informacji w skupionej twarzyczce, mając chyba nadzieję, że Łazer sobie z niej żartuje. Jednak odpowiedziało jej tylko zdziwione, niewinne spojrzenie.

– Dlaczego płacze?

– Modlitwy ją ranią.

Polly odwróciła się nerwowo, kiedy coś dotknęło jej ramienia. To była Stukacz.

– Pani Enid mówi, żebyśmy się wzięły do pracy – powiedziała. – Mówi, że strażnicy zaglądają tu i sprawdzają.

Była to praca kobieca, a zatem monotonna, mordercza i towarzyska. Wiele czasu minęło, odkąd Polly wkładała ręce do balii z praniem. Tutaj były to długie drewniane koryta, przy których mogło pracować po dwadzieścia kobiet równocześnie. Ręce po obu jej stronach ścisnęły, uderzały, wykręcały fragmenty odzieży, a potem przerzucały je do koryta z wodą do płukania. Polly włączyła się do pracy i słuchała brzęczenia rozmów wokół siebie.

Były to zwykłe plotki, ale strzępki informacji unosiły się w nich niczym bąble piany w balii. Dwóch strażników „pozwoliło sobie” na za dużo – to znaczy więcej niż do tej pory... i podobno zostali za to wychłostani. Wywołało to przy balii liczne komentarze. Podobno jakiś ważny pan z Ankh-Morpork objął dowództwo i on to nakazał. Był kimś w rodzaju maga, stwierdziła kobieta naprzeciwko. Mówią, że widzi, co dzieje się wszędzie, i żywi się surowym mięsem. Podobno ma dodatkowe ukryte oczy. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że tamto miasto jest siedliskiem Obrzydliwości. Polly, pracowicie przesuwając koszulę po tarze, zastanawiała się. Myślała o nizinym myszołowie w górskiej krainie oraz o jakimś stworzeniu tak szybkim i cichym, że było tylko sugestią cienia.

Odpracowała jakiś czas przy miedzianych kotłach, wpychając pranie pod bulgoczącą powierzchnię. Zauważyła, że w tym miejscu, gdzie nie ma żadnej broni, dano jej do użycia ciężki długi kij.

Praca, choć otepiająca, dosyć się jej podobała. Mięśnie wykonywały niezbędne myślenie, nie zajmując mózgu. Nikt nie wiedział na pewno, że księżna nie żyje. Zresztą właściwie nie miało to znaczenia. Polly jednak była przekonana o jednym: księżna była kobietą. Zwykłą kobietą, nie boginią. Pewnie, ludzie modlili się do niej w nadziei, że ich modlitwy zostaną ładnie opakowane i przesłane Nugganowi, ale nie dawało jej to prawa, żeby grzebać w głowach takim jak Łazer, która i bez tego nie miała lekko. Bogowie mogą czynić cuda, księżne pozują do portretów.

Kątem oka Polly zauważyła kolumnę kobiet niosących wielkie kosze prania z platformy na końcu sali i przechodzących przez kolejne drzwi. Odciągnęła Igorinę od koryta z praniem i poleciała do nich dołączyć.

– I uważaj na wszystko – dodała.

– Tak jest, kapralu.

– Bo wiem jedno. – Polly wskazała stosy mokrego płótna. – To wszystko trzeba gdzieś

wysuszyć.

Wróciła do pracy, włączając się czasem do rozmów, dla zachowania pozorów. Nie było to trudne. Praczki unikały pewnych tematów, zwłaszcza zbliżonych do mężów i synów. Ale tu i tam Polly wyłapywała pewne sugestie. Niektórzy siedzieli w twierdzy. Niektórzy prawdopodobnie nie żyli. Niektórzy byli gdzieś za murami. Starsze kobiety nosiły czasem Medale Macierzyństwa, przyznawane tym, których synowie zginęli za Borogravię. Marna blacha rdzewiała w wilgotnej atmosferze, a Polly zastanawiała się, czy medale przysłano im z listem od księżnej, z jej podpisem wydrukowanym u dołu i nazwiskiem syna wpisanym wąsko, żeby się zmieściło:

Odznaczamy i gratulujemy pani *L. Lapchic, ul. Studzienna, Munz* z powodu śmierci pani syna, *Otto PiotrHanLapchic* w dniu 25 czerwca w [REDACTED]

Miejsce zawsze było ocenzone, gdyż mogłoby pomóc nieprzyjacielowi i sprawić mu radość. Polly zdumiewało zawsze, że tanie medale i bezmyślne słowa rzeczywiście w pewien sposób dawały pomoc i pociechę matkom. Te z Munz, które je otrzymały, nosiły je z zawziętą, demonstracyjną dumą.

Nie była pewna, czy może całkowicie zaufać pani Enid. Jej syn i mąż siedzieli w celi, a ona miała okazję poznać Bluzę. I pewnie sama siebie pyta, co jest bardziej prawdopodobne: że Bluza wydostanie ich i zdoła zapewnić bezpieczeństwo, czy też że doprowadzi do ogólnego chaosu, w którym mogą ucierpieć wszyscy. I Polly nie potrafiłaby jej obwiniać, gdyby wyciągnęła oczywiste wnioski.

Zdała sobie sprawę, że ktoś do niej mówi.

– Hmm?

– Popatrz tylko! – Kukuła machała mokrymi kalesonami. – Piorą kolorowe razem z białymi!

– Co z tego? To przecież nieprzyjacielskie kalesony!

– Tak, ale jeśli już coś się robi, trzeba to robić porządnie. Zobacz, wrzuciły tę parę czerwonych i wszystkie inne robią się różowe!

– No i co? Kiedy miałam siedem lat, uwielbiałam różowy⁹.

– Ale jasnoróżowy? U mężczyzny?

Polly przez chwilę spoglądała na sąsiednią balię. Poklepała Kukułę po ramieniu.

– Rzeczywiście, bardzo jasne, prawda? Poszukaj lepiej jeszcze paru czerwonych sztuk.

– Ale wtedy będzie jeszcze gorzej... – zaczęła Kukuła.

– To rozkaz, żołnierzu – szepnęła jej Polly do ucha. – I dodaj krochmalu.

– Ile?

⁹ Jest potwierdzonym faktem, że mimo wszelkich działań społeczeństwa, kolor różowy jest magnetycznie atrakcyjny dla siedmioletnich dziewczynek.

– Ile tylko znajdziesz.

Wróciła Igorina. Miała bystre oczy i Polly zastanawiała się, czy kiedyś należały do kogoś innego. Mrugnęła do Polly i wystawiła kciuk. Na szczęście był to jeden z jej własnych.

Wykorzystując chwilową nieobecność pani Enid, Polly zajrzała do prasowni. W wielkiej sali przy długich deskach pracowała tylko jedna osoba – „Daphne”. Pozostałe kobiety zebrały się dookoła, jakby oglądały pokaz.

Bo oglądały.

– ...kołnierzyk, rozumiecie – tłumaczył porucznik Bluza, wymachując wielkim, parującym żelazkiem wypełnionym węglem drzewnym. – Potem mankiety, a na końcu rękawy. Front prasujemy każdą połówkę osobno. Należy je natychmiast powiesić, ale... tu użyteczna wskazówka... po prasowaniu powinny zostać trochę wilgotne. To kwestia wprawy...

Polly patrzyła zafascynowana. Ona prasowania nienawidziła.

– Daphne, mogę cię prosić na słówko? – odezwała się w chwili przerwy.

Bluza uniósł głowę.

– Och, Pe... Polly. Tak, oczywiście.

– Zdumiewające, ile Daphne wie o plisach... – odezwała się z podziwem jakaś dziewczyna. – I ściereczkach do prasowania.

– Jestem zdumiona – przyznała Polly.

Bluza oddał dziewczynie żelazko.

– Proszę, Dympho – rzekł wspaiałomyślnie. – Pamiętaj, zawsze prasuj najpierw z lewej strony, a ciemne materiały wyłącznie z lewej. To często popełniany błąd. Już idę, Polly.

Polly czekała niecierpliwie na zewnątrz, kiedy po chwili jedna z dziewcząt wyniosła wielki stos pachnącego świeżością prania.

– Wszystkie wiemy, że to mężczyzna – szepnęła, przechodząc. – Ale tak dobrze się bawi... A prasuje jak demon!

– Sir, gdzie pan się nauczył tak prasować? – spytała Polly, kiedy wrócili do głównej hali.

– W sztabie musieliśmy sami prać swoje rzeczy – wyjaśnił Bluza. – Nie stać mnie było na służącą, a ordynans okazał się ortodoksyjnym nugganitą i powiedział, że to kobiecie zajęcie. Pomyślałem więc: To przecież nie może być trudne, inaczej nie powierzalibyśmy tego zadania kobietom. Te tutaj naprawdę nie są najlepsze. Wiesz, że piorą kolory razem z białymi?

– Mówił pan, sir, że zamierza pan wykraść strażnikowi klucz, a potem skrócić mu kark?

– Rzeczywiście.

– A wie pan, jak skrócić człowiekowi kark, sir?

– Czytałem książkę o sztukach walki, Perks – wyjaśnił surowo Bluza.

– Ale pan tego nie ćwiczył, sir?

– Pewnie, że nie! Pracowałem w sztabie, a przecież nie wolno ćwiczyć na prawdziwych ludziach.

– Widzi pan, ta osoba, której kark chce pan skrócić, będzie wtedy miała broń, a pan nie, sir.

– Wypróbowałem podstawowe zasady na zwiniętym kocu – rzekł porucznik. – Wydawało się, że są bardzo skuteczne.

– A czy koc się wyrywał, wydawał głośne bulgoczące odgłosy i próbował pana kopnąć w skarpety, sir?

– W skarpety? – zdziwił się Bluza.

– Powiem szczerze, sir, że pański drugi pomysł jest lepszy – powiedziała szybko Polly.

– Tak, mój... drugi pomysł... A który konkretnie?

– Ten, w którym uciekamy z pralni przez hale do suszenia bielizny, sir, po dyskretnym obezwładnieniu trzech strażników. Na końcu tamtego korytarza jest taki jakby ruchomy pokój, wciągany aż pod dach. Dwaj żołnierze wjeżdżają nim z kobietami, sir, a na górze czeka jeszcze jeden. Działając wspólnie, załatwiamy strażników, co wydaje się pewniejsze niż pan przeciwko uzbrojonemu przeciwnikowi, z całym szacunkiem, sir. A dzięki temu znajdziemy się na pozycji, by dotrzeć po dachach w dowolne miejsce twierdzy, sir. Brawo, sir.

Przez moment trwało milczenie.

– Czy ja, no, czy wchodziłem w te wszystkie szczegóły? – upewnił się Bluza.

– Ależ nie, sir. Nie powinien pan. Szczegóły to sprawa sierżantów i kaprali. Oficerowie mają dostrzegać ogólną panoramę.

– Tak, absolutnie. A... jak ogólna była ta konkretna panorama? – porucznik zamrugał niepewnie.

– Bardzo ogólna. Rzeczywiście, niezwykle ogólna panorama.

– Aha. – Bluza wyprostował się i zrobił minę, jaką w jego opinii powinien demonstrować człowiek obdarzony panoramiczną wizją.

– Niektóre z pań tutaj pracowały wcześniej w górnej twierdzy, kiedy należała jeszcze do nas – tłumaczyła pośpiesznie Polly. – Uprzedzając pańskie rozkazy, sir, poleciłem oddziałowi nawiązanie z nimi swobodnych pogawędek na temat rozkładu budowli, sir. I świadom ogólnego kierunku pańskiej strategii, sir, odkryłem chyba drogę do lochów.

Umilkła. Wiedziała, że sprytnie go podkreśliła. Cała ta mowa byłaby niemal godna Jackruma. Posmarowała ją tyloma „sir”, iloma tylko się ośmieliła. Była bardzo dumna z „uprzedzając pański rozkaz”. Nie słyszała, żeby Jackrum z tego korzystał, ale przy pewnej ostrożności zdanie to mogło wytłumaczyć wszystko. „Ogólny kierunek strategii” też był niezły.

– Lochy – powtórzył w zamyśleniu Bluza, na moment tracąc z oczu ogólną panoramę. – Ale mówiłem chyba...

– Tak, sir. Ponieważ, sir, jeśli wyciągniemy chłopaków z lochów, będzie pan dowodził pokazną siłą wewnątrz cytadeli, sir.

Bluza urósł o cal, ale zaraz znów zmalał.

– Oczywiście, jest tam też wielu wyższych oficerów. A wszyscy wyżsi ode mnie...

– Tak jest, sir. – Polly była na najlepszej drodze do dyplomu Szkoły Bezpośredniego Kierowania Rupertami im. Sierżanta Jackruma. – Może spróbujemy najpierw wypuścić zwykłych żołnierzy, sir? Nie chcemy przecież narażać oficerów na ostrzał przeciwnika.

To było bezwstydne i głupie, ale w oczach porucznika rozjarzył się bitewny żar. Polly postanowiła jeszcze trochę go rozdmuchać, na wszelki wypadek.

– Pańskie przywództwo było dla nas wszystkich przykładem, sir – oświadczyła.

– Naprawdę?

– O tak, sir.

– Żaden oficer nie dowodził lepszymi żołnierzami, Perks.

– To się pewnie zdarzało, sir.

– A jakież człowiek ośmieliłby się mieć nadzieję na taką okazję, co? – spytał Bluza. – Nasze imiona trafią do podręczników historii. To znaczy moje trafi, naturalnie, ale na pewno postaram się dopilnować, żeby wspomniano też o was, chłopcy. A kto wie? Może zdobędę najwyższe uznanie, na jakie może liczyć dzielny oficer!

– A co to takiego, sir? – zainteresowała się Polly.

– Nadanie mojego imienia albo potrawie, albo elementowi odzieży – wyjaśnił rozpromieniony Bluza. – Generał Froc zyskał jedno i drugie, oczywiście. Frak, rodzaj surduta, oraz boeuf froc. Oczywiście nie mam aż takich ambicji. – Skromnie spuścił wzrok. – Muszę jednak wyznać, Perks, że przygotowałem kilka przepisów, na wszelki wypadek.

– Więc pewnego dnia możemy jeść bluzę, sir? – spytała Polly. Przyglądała się ustawianym na platformie koszom.

– Możliwe, możliwe. Nadzieja mnie nie opuszcza. Mój ulubiony to pierścień z ciasta wypełniony kremem i nasączony rumem...

– To rumbaba, sir – wyjaśniła odruchowo Polly.

Stukacz i pozostałe dziewczęta też obserwowały kosze.

– Jest już znany?

– Obawiam się, że tak, sir.

– A taka... no, potrawa z wątróbki i cebulki?

– Nazywa się wątróbka z cebulką, sir. Przykro mi. – Polly starała się utrzymać koncentrację. – No... Ale przyszło mi do głowy, że niektóre potrawy nazywane są na pamiątkę ludzi, którzy dokonali tylko drobnych zmian w bazowym przepisie...

– Musimy ruszać, sir! Teraz albo nigdy, sir!

– Co? Aha. Słusznie. Musimy iść!

Był to manewr taktyczny, do tej pory nieznany wojskowym kronikarzom. Na sygnał

Polly oddział zbliżył się ze wszystkich stron i stanął przy koszach, wyprzedzając kobiety, które miały je przenieść. Dziewczęta złapały uchwyty i ruszyły. Dopiero wtedy Polly zrozumiała, że prawdopodobnie nikt nie chciał wykonywać tej roboty, a praczki były chyba zadowolone i chętnie pozwoliły niemądrym nowicjuszkom przejąć ten obowiązek. Kosze były wielkie, a mokre pranie ciężkie. Łazer i Igorina ledwie zdołali wspólnie podnieść jeden z nich.

Dwaj żołnierze czekali przy drzwiach. Wyglądali na znudzonych i nie zwracali na nic uwagi. Do „dźwigu” prowadziła daleka droga.

Polly o nim słyszała, ale nie umiała go sobie wyobrazić. Trzeba było zobaczyć na własne oczy. Była to wielka, otwarta skrzynia z mocnych belek, umocowana do grubej liny biegnącej w górę i w dół rodzajem komina w skale. Kiedy znalazły się już wewnątrz, jeden z żołnierzy szarpnął za znikającą w ciemności, o wiele cieńszą linę. Drugi zapalił dwie świece, lecz nie zdołał rozproszyc ciemności.

– Tylko żadnego mdlenia teraz, dziewczęta – powiedział.

Jego kolega parsknął śmiechem.

Ich dwóch i nas siedem, myślała Polly. Przy każdym ruchu o nogę objął jej się miedziany pręt, a wiedziała dobrze, że Stukacz utyka, ponieważ przywiązał sobie pod spódnicą pałkę z kotła. Pałka była przeznaczona dla poważnych praczek – długi kij, mający na końcu coś przypominającego trójnogi stołek używany przez dojarki, co pozwalało łatwiej poruszać praniem w wielkim kotle wrzącej wody. Kij prawdopodobnie nadawał się też do rozbijania czaszek.

Platforma ruszyła do góry; kamienne ściany ze wszystkich stron zaczęły sunąć w dół.

– Jak cudownie! – pisnęła „Daphne”. – I to tak jedzie przez cały ten wielki zamek?

– Ależ nie, panienko. Najpierw musimy przedostać się przez skałę. Mnóstwo starych tuneli i różnych takich, zanim dotrzemy na górę.

– Och, a ja myślałam, że już jesteśmy w zamku... – Bluza rzucił Polly niespokojne spojrzenie.

– Nie, panienko. Na dole jest tylko pralnia, z powodu dostępu do wody. Ha, to prawdziwa wspinaczka, żeby dojść choćby do najniższych piwnic. Macie szczęście, że jest ten dźwig, co?

– Wspaniały, sierżancie – stwierdził Bluza, wciąż głosem Daphne. – A jak on działa?

– Jestem kapralem, panienko. – Ciągący linkę żołnierz dotknął palcem czoła. – Wciągają go w górę i opuszczają na dół jeńcy maszerujący w kołowym kroku.

– Och, to okropne!

– Ależ nie, panienko, całkiem humanitarne. Ehm... jeśli jesteś wolna po pracy, mógłbym ci pokazać cały mechanizm...

– Byłoby cudownie, sierżancie!

Polly zasłoniła dłonią oczy. Daphne była hańbą dla wszystkich kobiet.

Dźwig sunął powoli w górę. Wokół widziały głównie nagą skałę, ale czasem mijały stare

kraty czy zamurowane powierzchnie, sugerujące zablokowane od dawna tunele...

Poczuły szarpnięcie i platforma znieruchomiała. Żołnierze zaklęli pod nosem.

– Nie bójcie się, drogie panie – powiedział kapral. – To się często zdarza.

– A dlaczego miałybyśmy się bać? – spytała Igorina.

– Bo wisimy na linie sto stóp nad dnem szybu, a maszyna dźwigu zgubiła jakiś tryb.

– Znowu – dodał drugi żołnierz. – Nic tu nie działa jak powinno.

– Jak dla mnie to rozsądny powód – zgodziła się Igorina.

– Ile potrwa naprawa? – chciała wiedzieć Stukacz.

– Ha! Ostatnim razem tkwiliśmy tak przez godzinę!

Za długo, uznała Polly. Zbyt wiele może się zdarzyć. Spojrzała pomiędzy belkami stropu – kwadrat dziennego światła był jeszcze bardzo daleko.

– Nie możemy czekać – oświadczyła.

– Och, kto nas ocali? – jęczała Daphne.

– Może znajdziemy jakiś miły sposób zabicia czasu – stwierdził jeden ze strażników.

Polly westchnęła. Było to jedno z tych zdań – jak na przykład „No, no, co my tu mamy” – które oznaczało, że będzie gorzej.

– Wiemy, jak to jest, drogie panie – ciągnął żołnierz. – Wasi mężczyźni daleko i w ogóle. Dla nas to też ciężkie życie. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz pocałowałem swoją żonę.

– Ja też nie pamiętam, kiedy ostatni raz pocałowałem jego żonę – wtrącił kapral.

Stukacz podskoczyła, chwyciła belkę i podciągnęła się na szczyt klatki. Dźwig się zakołysał, jakiś kamień odpadł od ściany szybu i poleciał w dół.

– Zaraz! Nie wolno tak robić! – zawołał kapral.

– A gdzie to jest napisane? – zapytała Stukacz. – Polly, tu jest zamurowany tunel, tylko że większa część kamieni już wypadła. Łatwo możemy tam wejść.

– Nie wolno wam wysiadać! Bo będą kłopoty – uprzedził kapral.

Polly wyjęła z pochwy jego szablę. Było za ciasno, by cokolwiek z nią zrobić oprócz grożenia – ale ona ją miała, a on nie. To czyniło wielką różnicę.

– Już macie kłopoty – powiedziała. – Nie zmuszajcie nas, żeby dołożyć ich więcej. Wynosimy się stąd. W porządku, Daphne?

– Hm... Tak, oczywiście – zgodził się porucznik.

Drugi strażnik położył dłoń na rękojeści własnej broni.

– No dobra, dziewczęta, to zaszło już zbyt... – zaczął i osunął się bezwładnie.

Kukuła opuściła swój miedziany pręt.

– Mam nadzieję, że nie uderzyłam go za mocno...

– Kogo to obchodzi? – mruknęła Stukacz z góry. – Chodź, pomogę ci.

– Igorino, mogłabyś go obejrzeć? – spytała nerwowo Kukuła.

– Jest mężczyzną i jęczy – stwierdziła Stukacz. – Jak dla mnie to wystarczy. Chodźcie!

Samotny strażnik patrzył, jak pozostałe wciągają się na belki.

– Ehm... Przepraszam – zwrócił się do Polly, kiedy pomagała wejść Bluzie.

– Tak? Czego?

– Czy mogłabyś mnie też przyłożyć w głowę? – spytał ze smętną miną. – Bo wygląda, że nie próbowałem walczyć z bandą kobiet.

– A czemu nie próbowałeś walczyć? – zapytała. – W końcu jesteśmy tylko bandą kobiet!

– Jeszcze nie zwariowałem.

– To może ja – zaproponowała Igorina. – Ciosy w głowę są potencjalnie niebezpieczne i nie powinno się ich wymierzać niedbale. Proszę się odwrócić, sir. Proszę zdjąć hełm. Czy dwadzieścia minut utraty przytomności panu wystarczy?

– Tak, bardzo dzie...

Osunął się na podłogę.

– Naprawdę mam nadzieję, że nie zrobiłam mu krzywdy – jęczała w górze Kukula.

– On klnie – zauważyła Polly, zabierając drugą szablę. – Czyli chyba nic mu nie jest.

Podążyła do góry świecę, a potem sama została wciągnięta na rozkołysane sklepienie dźwigu. Kiedy stanęła pewnie, w wylocie tunelu znalazła kamienny odprysk i wbiła go mocno między skalną ścianę a drewnianą ramę klatki. Dźwig nie ruszy się jeszcze przez jakiś czas...

Stukacz i Loft już badały tunel. Przy świetle świecy wyglądało, że ściany ma porządnie murowane. Tylko zablokować próbowano go szybko i niestarannie.

– To pewno piwnice – uznała Stukacz. – Myślę, że ten szyb wykuli niedawno i замуrowali wszystko, co przecinał. Mogli się lepiej postarać.

– Piwnice są blisko lochów – stwierdziła Polly. – Zgaś jedną świecę, to wystarczy nam światła na dwa razy dłużej, a potem...

– Perks, pozwól na moment – odezwał się porucznik. – Tutaj.

– Tak, sir.

Kiedy odeszli od reszty oddziału, Bluzi zniżył głos.

– Nie chciałbym zniechęcać do własnej inicjatywy, ale co ty robisz?

– Uprzedzam pańskie rozkazy, sir.

– Uprzedzasz?

– Tak, sir.

– Aha. Rozumiem. To są drobne szczegóły panoramy?

– Właśnie tak, sir.

– Więc moje rozkazy, Perks, to jak najszybciej, ale z zachowaniem należynej ostrożności, doprowadzić do uwolnienia jeńców.

– Świetny pomysł, sir. Pójdziemy przez ten... przez tę...

– Kryptę – dokończyła Igorina. Rozejrzała się.

Świeca zgasła. Gdzieś przed nimi, w ciemności absolutnej i nieprzeniknionej jak aksamit, kamień zgrzytnął o kamień.

– Zastanawiam się, dlaczego ten tunel został zamurowany – rozległ się głos Bluzy.

– A ja chyba przestałem się zastanawiać, czemu tak się z tym spieszyli – mruknęła Stukacz.

– A ja się zastanawiam, kto próbował go otworzyć – dodała Polly.

Zabrział głuchy huk – jakby ciężkiej płyty spadającej z rzeźbionego grobowca. Hałas mógł mieć wiele innych źródeł, ale w myślach pojawiała się właśnie taka wizja. Martwe powietrze poruszyło się nieco.

– Nie chcę nikogo martwić – odezwała się Kukula. – Ale słyszę głos tak jakby kroków. Tak jakby powłóczących nogami.

Polly przypomniała sobie, jak żołnierz zapalał świece. Rzucił pęk zapalek na mosiężną podstawkę lichtarza, prawda? Powoli przesunęła dłoń, szukając ich po omacku.

– Jeśli nie chciałaś nikogo martwić... – z suchej ciemności dobiegł głos Stukacz – ...czemu to powiedziałaś, do demona?

Polly trafiła palcami na drewnianą drzazgę. Podniosła ją do nosa i wyczuła zapach siarki.

– Mam jedną zapalkę – oznajmiła. – Chcę spróbować znowu zapalić świecę.

Podeszła do niewidocznej ściany. Potarła zapalkę o skałę i kryptę wypełniło żółte światło.

Ktoś jęknął. Polly patrzyła, zapominając o świecy. Zapalka zgasła.

– No dobra... – odezwał się zduszony głos Stukacz. – Chodzący martwi ludzie. I co?

– Ten niedaleko przejścia to zmarły generał Puhloaver – oświadczył Bluza. – Mam jego książkę „Sztuka obrony”.

– Lepiej chyba nie prosić go teraz o autograf – stwierdziła Polly.

Oddział zbliżył się w ciasną grupę.

Znowu usłyszały jęk. Dochodził z miejsca, gdzie Polly zapamiętała stojącą Łazer. Słyszała szeptaną modlitwę. Nie potrafiła rozróżnić słów, jedynie gorączkowy, nerwowy szept.

– Może te pręty z pralni trochę ich spowolnią? – spytała niepewnie Kukula.

– Znaczy, bardziej niż to, że są martwi? – upewniła się Igorina.

Nie, szepnął głos i światło wypełniło kryptę.

Było niewiele jaśniejsze niż blask świetlika, ale w tej chthonicznej ciemności nawet pojedynczy foton mógłby wiele osiągnąć. Światło wznosiło się od klęczącej Łazer, aż osiągnęło wzrost kobiety, ponieważ była to kobieta. A przynajmniej cień kobiety. Nie... Polly widziała, że to światło kobiety, ruchoma sieć linii i błysków, w której pojawiała się i znikła – niczym wizje w płomieniach – kobieca postać.

– Żołnierze Borogravii... bacność! – powiedziała Łazer.

A pod jej ciekim głosem brzmiał cień innego głosu, szept raz po raz wypełniający długie pomieszczenie.

Żołnierze Borogravii... bacność!

Żołnierze...

Żołnierze, baczność!

Żołnierze Borogravii...

Kołyszące się figury znieruchomiały. Zawahały się. Poczłapały w tył. Po dłuższej chwili stęknąć i nieartykułowanych sprzeczek uformowali dwuszeręg. Łazer wstała.

– Idźcie za mną – powiedziała.

Idźcie za mną...

...mną...

– Sir? – Polly zwróciła się do Bluzy.

– Chyba pójdziemy, prawda? – zdecydował porucznik.

Wydawało się, że w ogóle nie zwraca uwagi na Łazer. Widział tylko, że znalazł się w obecności militarnych geniuszy wielu stuleci.

– O boże... To brygadier Kalosh... I generał-major lord Kanapcay! Generał Anorac! Czytałem wszystko, co napisał! Nigdy nie sądziłem, że zobaczę go cieleśnie.

– Częściowo cieleśnie – poprawiła go Polly i pociągnęła za sobą.

– Od pięciuset lat chowano tu wszystkich wielkich dowódców, Perks!

– Doskonale, sir! Czy moglibyśmy iść trochę szybciej, sir?

– Wiesz, mam błogą nadzieję, że kiedyś będę mógł spędzić tu całą wieczność.

– Cudownie, sir, ale nie poczynając od dzisiaj. Moglibyśmy dogonić pozostałych, sir?

Kiedy przechodzili, obszarpane ręce jedna po drugiej wznosiły się w urywanym salucie. Oczy lśniły w zapadniętych twarzach. Dziwne światło połyskiwało na zakurzonych ozdobnych sznurach, na poplamionych i wyblakłych mundurach. Był też dźwięk, ostrzejszy niż szepty, głęboki i gardłowy. Brzmiał jak skrzypienie odległych drzwi, a pojedyncze głosy wznosiły się i opadały, gdy oddział mijał martwe postacie.

Śmierć Zlobenii... dowieście ich... pamiętajcie... sprawcie im piekło... zemsta... pamiętajcie... to nie są ludzie... pomścicie nas... zemsta...

Przed nimi Łazer dotarła do wysokich drewnianych drzwi. Otworzyły się pod jej dotknięciem. Światło sunęło wraz z nią.

– Mogę tylko zapytać generała-majora... – zaczął Bluza, ciągnąc Polly za rękę.

– Nie! Nie może pan! Proszę nie tracić czasu! Idziemy! – nakazała Polly.

Dotarli do drzwi, a Stukacz i Igorina zatrzasnęli je za nimi. Polly oparła się o ścianę.

– To chyba był... najdziwniejszy moment mojego życia – stwierdził Bluza, gdy ucichły echa.

– Myślę, że ten jest mojego... – Polly z trudem chwyciła oddech. Światło wciąż się jarzyło wokół Łazer, która odwróciła się do oddziału z błogim wyrazem twarzy.

– Musicie przemówić do naczelnego dowództwa – powiedziała.

Musicie przemówić do naczelnego dowództwa, wyszeptaly ściany.

– Bądźcie dobrzy dla tego dziecka.

Bądźcie dobrzy dla tego dziecka...

...tego dziecka...

Polly złapała Łazer, zanim dziewczyna uderzyła o ziemię.

– Co się dzieje? – spytała Stukacz.

– Myślę, że księżna naprawdę przez nią przemawia – stwierdziła Polly.

Łazer była nieprzytomna; wywróciła oczy, widać było same białka.

– Daj spokój, księżna to tylko obrazek! Ona nie żyje!

Czasami człowiek nie wytrzyma. Dla Polly tym czasem był okres, kiedy szli przez kryptę. Jeśli ktoś nie wierzy, jeśli nie chce uwierzyć, jeśli nawet zwyczajnie nie ma nadziei, że jest coś wartego wiary, to po co się odwracać? Jeśli nie wierzy, komu może zaufać, że wyprowadzi go z uścisku martwych ludzi?

– Nie żyje? – powtórzyła. – Co z tego? Co z żołnierzami z tamtej sali, którzy nie odeszli? Co ze światłem? A jak brzmiał głos Łazer?

– Tak, ale... Przecież takie rzeczy nigdy się nie zdarzają nikomu, kogo znasz... – tłumaczyła Stukacz. – Zdarzają się, no... nawiedzonym religijnym dziwakom. Znaczy, przecież ona parę dni temu uczyła się głośno pierdzieć!

– Ona? – szepnął Bluza do Polly. – Ona? Dlaczego...

Raz jeszcze umysł Polly opanował nagły atak paniki.

– Słucham cię, Daphne?

– Aha... No tak. Oczywiście... Nigdy dość... Jasne... – mruczał porucznik.

Igorina uklękła przy dziewczynie i dotknęła jej czoła.

– Cała płonie – stwierdziła.

– Modliła się przez cały czas, kiedy byliśmy w Szarym Domu – powiedziała Loft i także uklękła.

– Tak, jasne, trzeba się było dużo modlić, jeśli nie byłaś silna – warknęła Stukacz. – A każdego przekłętego dnia modliłyśmy się do księżnej, żeby podziękować Nugganowi za pomyje, których człowiek nie dałby świniom. I wszędzie ten nieszczęsny obrazek, to rybie spojrzenie... Nienawidzę go! Może doprowadzić do oblędu! To właśnie zdarzyło się Łazer, prawda? A ty chcesz, żebym uwierzyła, że tłusta stara czarownica traktuje naszą przyjaciółkę jak... marionetkę czy coś? Nie wierzę. A jeśli to jest prawda, to ja się nie zgadzam!

– Ona płonie, Magdo – odezwała się cicho Loft.

– Wiesz, czemu się zaciągnęłyśmy? – spytała czerwona na twarzy Stukacz. – Żeby się wydostać! Wszystko byłoby lepsze od tego, co nas tam czekało. Ja miałam Loft, Loft miała mnie, a trzymałyśmy się was, ponieważ nie było innego wyboru. Wszyscy powtarzają, że Złobeńcy są straszeni, tak? Ale oni nigdy nam nic nie zrobili, nie skrzywdzili nas. Jeśli chcą przybyć tutaj i powiesić paru drani, mogę im dostarczyć listę. Wszędzie, gdzie dzieje się coś niedobrego, gdzie małostkowi dręczyciele wymyślają nowe okrucieństwa, nowe sposoby poskramiania nas, patrzy na wszystko to przekłęte oblicze! A ty mówisz, że jest tutaj?

– My jesteśmy tutaj – rzekła Polly. – I ty jesteś. I zrobimy to, co postanowiłyśmy zrobić,

a potem się stąd wyrwiemy, rozumiesz? Pocałowałaś obrazek i wzięłaś szylinga!

– Ale na pewno nie pocałowałam jej gęby! A szyling to najmniej, co są mi winni!

– Więc idź! – wrzasnęła Polly. – Dezerteruj! Nie zatrzymamy cię, bo rzygać mi się już chce od twoich... twoich bredni! Ale zdecyduj się teraz, natychmiast, rozumiesz? Bo kiedy spotkamy się z nieprzyjacielem, nie chcę myśleć, że jesteś tam, żeby wbić mi nóż w plecy!

Słowa pofrunęły, zanim zdążyła je powstrzymać. I żadna potęga na świecie nie potrafiła ich już cofnąć.

Stukacz pobladła, jakby część życia spłynęła jej z twarzy niczym woda z lejka.

– Co powiedziałaś?

Słowa „Dobrze słyszałaś” czekały już, by spłynąć z ust, lecz Polly się zawahała. To nie musi się tak potoczyć, powiedziała sobie. Nie muszę pozwalać, żeby mówiła za mnie para skarpet.

– Głupio powiedziałam – odparła. – Przepraszam. Wcale tak nie myślę.

Stukacz uspokoiła się trochę.

– No... dobrze – ustąpiła niechętnie. – Ale pamiętaj, że jesteśmy tu dla oddziału, jasne? Nie dla armii i nie dla tej przeklętej księżnej.

– To wywrotowe gadanie, szeregowy Halter! – odezwał się porucznik Bluza. Wszyscy oprócz Polly zdążyli o nim zapomnieć, bo stał z boku jak obiekt łatwy do zapomnienia. – Jednakże – ciągnął – zdaję sobie sprawę, że wszyscy jesteśmy trochę... – Spojrzał na swoją suknię. – Trochę skonfundowani i oszołomieni tempem wydarzeń...

Stukacz starała się unikać wzroku Polly.

– Przepraszam, sir – burknęła ponuro.

– Muszę wyraźnie zaznaczyć, że nie życzę sobie znów słuchać takich dyskusji.

– Tak jest, sir.

– To dobrze – wtrąciła Polly. – W takim razie...

– Ale tym razem pominię to milczeniem – ciągnął Bluza.

Polly widziała, że w Stukacz coś pęka. Uniosła lekko głowę.

– Pominie pan? – powtórzyła. – Pominie pan milczeniem?

– Ostrożnie – mruknęła Polly tak głośno, żeby usłyszała ją tylko Stukacz.

– Może powiem panu coś o nas, poruczniku... – Dziewczyna uśmiechnęła się przerażająco.

– Jesteśmy tutaj, szeregowy, kimkolwiek jesteśmy – warknęła Polly. – A teraz poszukajmy więźniów!

– Jesteśmy całkiem blisko – odezwała się Igorina. – Myślę, że chyba widzę znak. Hm. Jest na końcu tego korytarza. Hm... Zaraz za tymi trzema dość zdziwionymi i uzbrojonymi mężczyznami z, hm... groźnymi z wyglądu kuszami. Hm... Myślę, że to, co mówiliście, było ważne i powinno być powiedziane. Tylko, hm... niekoniecznie akurat w tej chwili? I może nie tak głośno?

Dwóch strażników powoli uniosło kusze. Trzeci biegł korytarzem i krzyczał.

Oddział jak jeden mąż – albo żona – pomyślał to samo: Oni mają kusze. My nie. Oni zaraz dostaną wsparcie. My nie. Wszystko, co mamy, to ciemność pełna niespokojnych umarłych. Teraz nie mamy już nawet modlitwy.

Bluza podjął jednak próbę. Głosem Daphne zapiszczał:

– Ach, panowie porucznicy... Chyba się zgubiłyśmy w drodze do toalety...

Nie zostali zamknięci w lochu, choć po drodze mijali ich wiele. Wiele było ciemnych kamiennych korytarzy, wiele ciężkich drzwi ze sztabami, wiele, bardzo wiele rygli i wielu uzbrojonych ludzi, których praca stałaby się pewnie ciekawa dopiero wtedy, gdyby zniknęły wszystkie rygle. Oddział zamknięto w kuchni. Nie w takiej, w której sieka się zioła i nadziewa grzyby. Ta była ogromna, posępna, miała ściany szare i brudne od sadzy. Tutaj zapewne kucharze szykowali posiłki dla setek wygłodniałych ludzi.

Od czasu do czasu otwierały się drzwi i różni ludzie zagłądali. Nikt nic nie mówił.

– Spodziewali się nas – mruknęła Kukula.

Oddział siedział na podłodze, oparty o potężny, wiekowy pień do rąbania mięsa. Igorina opiekowała się nieprzytomną Łazer.

– Nie mogli jeszcze podciągnąć dźwigu – stwierdziła Polly. – Zaklinowałam go kamieniem mocno i solidnie.

– To może praczki nas wydały? – zastanowiła się Stukacz. – Nie podobają mi się mina pani Enid.

– Teraz to już bez znaczenia, prawda? – Polly westchnęła. – Czy to jedyne drzwi?

– Na drugim końcu jest spiżarnia. Bez wyjścia. Tylko kratka w podłodze.

– Możemy tamtędy uciec?

– Chyba że w kawałkach.

Spoglądały posępnie na dalekie drzwi. Znowu się otworzyły i dobiegły odgłosy przyciszonej rozmowy prowadzonej na korytarzu. Stukacz spróbowała się tam zbliżyć, ale w progu stanęli żołnierze z szablami.

Polly obejrzała się na Bluzę. Siedział nieruchomo pod ścianą i patrzył tępo w sufit.

– Lepiej mu powiem... – stwierdziła.

Stukacz wzruszyła ramionami.

Bluza uśmiechnął się blado, kiedy podeszła.

– To ty, Perks... Prawie nam się udało...

– Przykro mi, że pana zawiedliśmy, sir – powiedziała Polly. – Mogę usiąść?

– Traktuj te dość chłodne kamienie, jakby należały do ciebie... Ale obawiam się, że to ja was zawiodłem.

– Ależ nie, sir! – zaprotestowała.

– Byliście moimi pierwszymi podkomendnymi – mówił Bluza. – To znaczy oprócz

kaprała Drebbę, ale on miał siedemdziesiąt lat i tylko jedną rękę, biedak. – Rozmasował grzbiet nosa. – I moim zadaniem było jedynie doprowadzić was do doliny. Nic więcej. Ale nie, przyśnił mi się świat, w którym pewnego dnia każdy będzie nosił bluzę. Albo może jadł. Powinienem słuchać sierżanta Jackruma! Och, czy spojrzę jeszcze kiedyś w oczy mej ukochanej Emmelinie?

– Nie wiem, sir.

– To miał być raczej retoryczny krzyk rozpacz niż rzeczywiste pytanie, Perks.

– Przepraszam, sir. – Polly nabrała tchu, gotowa dać nura w lodowate głębiny prawdy. – Sir, powinien pan wiedzieć, że...

– Kiedy tylko odkryją, że nie jesteśmy kobietami, zamkną nas w lochach – ciągnął porucznik. – Bardzo wielkich i bardzo brudnych, jak słyszałem. I zatłoczonych.

– Sir, my jesteśmy kobietami, sir – oznajmiła Polly.

– Ładnie się starasz, Perks, ale naprawdę nie musimy już udawać.

– Nie rozumie pan, sir. Naprawdę jesteśmy kobietami. Wszystkie.

Bluza uśmiechnął się nerwowo.

– Myślę, że trochę... ci się pomieszało, Perks. Przypominam sobie, że coś podobnego zdarzyło się z Wrigglesworthem...

– Sir...

– ...choć muszę przyznać, że doskonale potrafił dobrać zasłony...

– Nie, sir. Byłam... jestem dziewczyną, ale ścięłam włosy i udawałam chłopca, i wzięłam szylinga księżnej, sir. Musi mi pan wierzyć na słowo, sir, bo naprawdę nie mam ochoty wchodzić w szczegóły. Oszukałyśmy pana, sir. Właściwie to nie całkiem oszustwo, ale każda z nas miała powody, żeby być kimś innym, sir, a w każdym razie nie być tam, gdzie była. Kłamałyśmy.

Bluza wytrzeszczył oczy.

– Jesteś pewien?

– Tak, sir. Jestem żeńskiej proweniencji. Codziennie sprawdzam, sir.

– I szeregowy Halter?

– Tak, sir.

– I Loft?

– O tak, sir. Obie, sir. Proszę się w to nie zagłębiać.

– A Kukula?

– Spodziewa się dziecka.

Bluza przeraził się nagle.

– O nie! Tutaj?

– Jeszcze kilka miesięcy, sir.

– A biedny mały szeregowy Goom?

– Dziewczyna, sir. Igor to naprawdę Igorina. I gdziekolwiek jest teraz, Karborund to w

rzeczywistości Nefryt. Wciąż nie mamy pewności co do kaprała Maladicta. Ale cała reszta stanowczo miała różowe kocyki, sir.

– Ale nie zachowywaliście się jak kobiety!

– Nie, sir. Zachowywaliśmy się jak mężczyźni, sir. Przykro mi, sir. Chciałyśmy tylko odszukać naszych mężczyzn, wyrwać się, udowodnić coś albo jeszcze co innego. Przykro mi, że trafiło to akurat na pana, sir.

– Jesteś pewien tego wszystkiego?

Jakiej odpowiedzi się spodziewasz? – myślała Polly. „Oj, właściwie, kiedy tak się zastanawiam, to faktycznie, sir, jesteśmy jednak mężczyznami”...

– Tak, sir – rzuciła tylko.

– Czyli... naprawdę nie masz na imię Oliver?

Polly miała wrażenie, że porucznikowi trudno to wszystko zaakceptować. Na różne sposoby zadawał stale to samo zasadnicze pytanie, w nadziei że w końcu uzyska odpowiedź inną niż ta, której nie chce słyszeć.

– Nie, sir. Jestem Polly, sir.

– Tak? Wiesz, jest taka piosenka o...

– Tak, sir – przerwała mu stanowczo. – Proszę mi wierzyć, sir, będę wdzięczna, jeśli powstrzyma się pan nawet od nucenia jej.

Bluza gapił się w przeciwną ścianę. Oczy mu się zaszkliły. Oj, pomyślała Polly.

– Podjęłyście straszne ryzyko – powiedział zamyślony. – Pole bitwy to nie miejsce dla kobiet.

– Ta wojna nie trzyma się pól bitewnych, sir. W takim czasie para spodni jest najlepszym przyjacielem dziewczyny.

Bluza znów umilkł. I nagle Polly zrobiło się go żal. Był trochę głupi, w ten szczególny sposób, w jaki bywają głupi ludzie bardzo inteligentni, ale przecież nie był złym człowiekiem. Przyzwoicie traktował swój oddział i troszczył się o żołnierzy. Nie zasłużył na to, co go spotkało.

– Przepraszam, że pana wciągnęliśmy, sir – powiedziała.

Bluza uniósł głowę.

– Przepraszasz? – Dziwne, ale wydawało się, że jest w lepszym nastroju niż przez cały miniony dzień. – Wielkie nieba, nie musisz za nic przepraszać. Znasz trochę historię, Polly?

– Czy możemy zostać przy Perks, sir? Nadal jestem żołnierzem. Nie, nie znam specjalnie historii, sir. Przynajmniej nie taką, której bym wierzyła.

– Czyli nigdy nie słyszałeś o Amazonkach, wojowniczkach z Samothripu? Przez setki lat były najgroźniejszą formacją bojową. Wyłącznie kobiety! Absolutnie bezlitosne w bitwie! Śmiertelnie skutecznie posługiwały się długim łukiem, choć aby uzyskać maksymalny naciąg, musiały sobie odcinać jedną um... ehm... Ale wy, moje panie, nie odcięłyście sobie um... ehm...

– Nie, sir, nie odcinałyśmy żadnych um ehmów. Tylko włosy.

Bluza przyjął to z wielką ulgą.

– No więc była jeszcze kobieca gwardia króla Samuela w Howondalandzie. Wszystkie miały po siedem stóp wzrostu i używały włóczni. W Klatchu oczywiście wiele jest legend o kobietach wojowniczkach walczących u boku swoich mężczyzn. Straszne i nieustraszone, o ile mi wiadomo. Mężczyźni woleli raczej dezercję niż walkę z kobietami, Perks. Nie potrafili sobie z nimi radzić.

Po raz kolejny Polly miała trochę irytujące wrażenie, że próbowała skoku przez przeszkodę, której tam wcale nie było. Szukała więc ucieczki w typowym:

– Jak pan myśli, sir, co się teraz z nami stanie?

– Nie mam pojęcia, Perks. Hm... Co właściwie dolega młodej Goom? Jakaś mania religijna?

– Możliwe, sir – przyznała Polly ostrożnie. – Księżna do niej mówi.

– Ojoj... – zmartwił się Bluza. – Ona...

Drzwi się otworzyły. Kilkunastu żołnierzy wbiegło do środka i ustawiło się po obu stronach. Mieli różne mundury – głównie złobeńskie, ale też kilka, które Polly poznawała już jako ankhmorporkiczne, czy jak je tam nazywali. Wszyscy byli uzbrojeni i trzymali broń jak ludzie, którzy spodziewają się, że będą jej używać.

Kiedy ustawili się już i spoglądali groźnie na oddział, do wnętrza wkroczyła mniejsza grupka. I znowu: mundury nosili różne, jednak wyraźnie droższe. Takie, jakie przysługują oficerom – wyższym oficerom, sądząc po wzgardliwych minach. Najwyższy z nich, który wydawał się jeszcze wyższy z powodu kawalerskiego hełmu z pióropuszem – spoglądał na kobiety znad zadartego nosa. Miał jasnoniebieskie oczy, których wyraz sugerował, że właściwie niczego nie chce tutaj zobaczyć, przynajmniej dopóki nie zostanie to porządnie wyszorowane.

– Kto tu jest oficerem? – zapytał. Mówił jak prawnik.

Bluza wstał i zaszalutował.

– Porucznik Bluza, sir. Dziesiąty Regiment Piechoty.

– Rozumiem. – Oficer z pióropuszem obejrzał się na pozostałych. – Myślę, panowie, że możemy już odesłać strażę. Tę sprawę należy załatwić dyskretnie. I na miłość niebios, czy ktoś mógłby temu człowiekowi znaleźć parę spodni?

Odpowiedziało mu kilka pomruków. Oficer z pióropuszem skinął sierżantowi straży i uzbrojeni ludzie wyszli, zamykając za sobą drzwi.

– Nazywam się lord Rust – oświadczył. – Dowodzę korpusem Ankh-Morpork. A przynajmniej... – pociągnął nosem – ...korpusem wojskowym. Czy był pan dobrze traktowany? Nie stosowano przemocy? Widzę, że na podłodze leży... młoda dama.

– Zemdlą, sir – wyjaśniła Polly.

Niebieskie oczy skierowały się w jej stronę.

– A wy jesteście...?

– Kapral Perks, sir! – odpowiedziała. Zauważyła u oficerów ledwie skrywane uśmiechy.

– Aha. O ile pamiętam, szukasz brata?

– Skąd pan wie?

– Jesteśmy, hm, efektywną armią – odparł Rust i też pozwolił sobie na uśmieszek. – Twój brat ma na imię Paul? – Tak!

– Zlokalizujemy go w końcu. I jak rozumiem, inna z pań poszukuje pewnego młodzieńca...

– To ja, sir. – Kukula dygnęła nerwowo.

– Jego również znajdziemy, jeśli powiesz nam, jak się nazywa. A teraz proszę, wysłuchajcie mnie uważnie. Pani, panno Perks, i pani koleżanki zostaniecie zabrane stąd dziś wieczorem i bez szwanku odprowadzone w głąb waszego kraju tak daleko, jak mogą dotrzeć nasze patrole, a jak podejrzewam, oznacza to naprawdę daleko. Rozumiecie? Otrzymacie to, po co przyszłyście. Miło, prawda? I już tu nie wrócicie. Troll i wampir zostali schwytani i otrzymają tę samą ofertę.

Polly obserwowała oficerów. Wydawali się zdenerwowani...

...z wyjątkiem tego z tyłu. Myślała, że wszyscy strażnicy wyszli, ale choć tamten był ubrany jak strażnik – a właściwie ubrany jak źle ubrany strażnik – to wcale się tak nie zachowywał. Stał oparty o ścianę przy drzwiach, palił połówkę cygara i uśmiechał się. Miał minę, jakby oglądał przedstawienie.

– Bardzo wielkodusznie postanowiliśmy objąć tą ofertą również pana, poruczniku... Bluza, prawda? – ciągnął Rust. – Ale w pańskim przypadku, jeśli da pan słowo, trafi pan do pewnego domu w Zlobenii, bardzo przyjemnego, jak rozumiem, zdrowe spacerować po okolicy i tak dalej. Muszę zaznaczyć, że pańscy zwierzchnicy nie otrzymali takiej propozycji.

Więc dlaczego nam ją składacie? – zastanawiała się Polly. Przestraszyliście się? Gromady dziewczyn? To przecież bez sensu.

Człowiek z cygarem mrugnął do Polly porozumiewawczo. Miał bardzo staroświecki mundur – stary hełm, półpancerz, trochę zardzewiałą kolczugę, wielkie buty. Nosił go tak, jak robotnik nosi swój kombinezon. W przeciwieństwie do złocen i błysków, które widziała przed sobą, swym uniformem przekazywał tylko jedną informację – że nie zamierza dać się zranić. Nie nosił żadnych insygniów, Polly zauważyła tylko przypiętą do pancerza niedużą tarczę.

– Jeśli panowie pozwolą – rzekł Bluza – chciałbym się naradzić z moimi ludźmi.

– Pańskimi ludźmi? – rzucił Rust. – Przecież to banda kobiet, człowieku!

– W tej chwili, sir – odparł chłodno Bluza – nie wymienilibym ich na dowolnych sześciu żołnierzy, jakich mógłby pan zaproponować. Czy zechcą panowie poczekać na zewnątrz?

Źle ubrany człowiek z cygarem zaśmiał się cicho. Jednak pozostali wyraźnie nie podzielali jego poczucia humoru.

– Chyba nie myślicie poważnie o odrzuceniu naszej oferty! – zirytował się lord Rust.

– Mimo to, sir... proszę o kilka minut. Jestem przekonany, że panie woląby mieć chwilę tylko dla siebie. Jedna z nich spodziewa się dziecka.

– Co? Tutaj? – Cała grupa cofnęła się jak jeden. – Jeszcze nie, jak sędzę. Ale gdyby panowie wyszli z kuchni... Gdy oficerowie wycofali się do bezpiecznego korytarza, porucznik zwrócił się do swojego oddziału.

– I jak, żołnierze? To bardzo atrakcyjna propozycja, muszę przyznać.

– Nie dla nas – odparła Stukacz.

Loft kiwnęła głową.

– Ani dla mnie – dodała Kukula.

– Czemu nie? – zdziwił się Bluza. – Dostałabys męża.

– To może być trochę trudne – wymamrotała. – A poza tym, co z inwazją?

– Nie pozwolę się odesłać do domu jak pakunek – oświadczyła Igorina. – Zresztą ten człowiek ma obraźliwą strukturę kości.

– Szeregowy Goom chwilowo nie może się włączyć do dyskusji – westchnął Bluza. – Zostałaś tylko ty, Polly.

– Dlaczego oni to robią? – spytała Polly. – Dlaczego chcą nas usunąć z drogi? Czemu zwyczajnie nas nie zamkną? Przecież cel tu nie brakuje.

– Och, może są wyczuleni na słabości waszej płci – powiedział Bluza i natychmiast zaczął się smażyć w ich spojrzeniach. – Nie mówiłem przecież, że ja jestem – dodał szybko.

– Mogliby zwyczajnie nas pozabijać – uznała Stukacz. – No, mogliby... Dlaczego nie? Kto by się tym przejął? Nie wydaje mi się, żebyśmy się liczyły jako jeńcy wojenni.

– Ale nie zabili – przypomniała Polly. – I nawet nam nie grożą. Są bardzo ostrożni. Wydaje mi się, że się nas boją.

– Tak, akurat – mruknęła Stukacz. – Pewnie myślą, że zechcemy ich gonić, żeby każdemu dać gorącego i wilgotnego całusa?

– No dobrze, zgadzamy się, że nie przyjmujemy oferty – podsumował Bluza. – I dobrze, niech to demony... Och, przepraszam...

– Wszyscy znamy te słowa, sir – uspokoiła go Polly. – Proponuję, żebyśmy się teraz przekonali, jak bardzo się nas boją.

Oficerowie czekali ze źle skrywanym zniecierpliwieniem. Mimo to Rust, wchodząc do kuchni, zdołał się przelotnie uśmiechnąć.

– I jak, poruczniku? – zapytał.

– Starannie rozważyliśmy pańskie oferty, sir – oświadczył Bluza. – I nasza odpowiedź brzmi: niech pan je sobie wetknie w... – Pochylił się do Polly, która wyszeptała coś gorączkowo. – Kto? A tak, rzeczywiście. W swój golf. Niech pan je sobie wetknie pod swój golf, ściśle mówiąc. Nazwany na pamiątkę pułkownika Henriego Golpha, o ile dobrze pamiętam. Użyteczne wełniane okrycie, rodzaj swetra, jednak z wysokim kołnierzem

obejmującym szyję; sam sweter, jak sobie przypominam, zawdzięcza swoją nazwę starszemu sierżantowi sztabowemu Swetowi. I tam właśnie może je pan sobie wetknąć, sir.

Rust przyjął to spokojnie. Polly zastanowiła się, czy może nie zrozumiał. Człowiek z cygarem, znowu opierający się o ścianę, musiał jednak zrozumieć, bo uśmiechał się szeroko.

– Jasne – rzekł Rust. – Rozumiem, że to odpowiedź od was wszystkich? W takim razie nie pozostawiacie nam wyboru. Zegnam.

Jego próba dumnego wyjścia za drzwi została mocno utrudniona przez innych oficerów, którzy nie mieli takiego wyczucia dramatyzmu. Drzwi się zatrzasnęły, ale ostatni z wychodzących odwrócił się szybko i wykonał znaczący gest. Można było go przeoczyć, ale Polly nie przeoczyła.

– Poszło chyba dobrze – stwierdził Bluza.

– Mam nadzieję, że nie czekają nas z tego powodu kłopoty – westchnęła Kukuła.

– Kłopoty w porównaniu z czym? – zapytała z irytacją Stukacz.

– Ostatni wystawił do góry kciuk i mrugnął – oświadczyła Polly. – Zauważyliście go? Nie nosił nawet munduru oficerskiego.

– Pewnie chciał się umówić – uznała Stukacz.

– W Ankh-Morpork to znaczy „jest dobrze” – wyjaśnił Bluza. – W Klatchu, zdaje się, oznacza „Mam nadzieję, że twój osioł eksploduje”. Zauważyłem tego człowieka. Moim zdaniem wyglądał jak sierżant straży.

– Nie miał pasków – stwierdziła Polly. – Dlaczego chciał nam pokazać, że jest dobrze?

– Albo dlaczego tak nienawidzi naszego osła? – spytała Kukuła. – Jak Łazer?

– Śpi – powiedziała Igorina. – Tak myślę.

– Nie jesteś pewna?!

– No więc nie wydaje mi się, żeby była martwa.

– Nie wydaje ci się? – powtórzyła Polly.

– Tak. Żałuję, że nie potrafię jej ogrzać.

– Mówiłaś chyba, że jest rozpalona.

– Była. Teraz jest lodowata.

Porucznik Bluza podszedł do drzwi, chwycił za klamkę i ku powszechnemu zdumieniu otworzył je szarpnięciem. Cztery klingi skierowały się w jego pierś.

– Mamy tu chorego – warknął do zdumionych wartowników. – Potrzebujemy koców i drewna na opał. Natychmiast!

Zatrzasnął drzwi.

– Może się uda – mruknął.

– Te drzwi nie mają zamka – zauważyła Stukacz. – To użyteczny fakt, Polly.

Polly westchnęła.

– W tej chwili chciałabym coś zjeść. To przecież kuchnia. Tutaj może być jedzenie.

– To kuchnia – zgodziła się Stukacz. – Tutaj mogą być tasaki.

Dla każdego irytujące jest odkrycie, że przeciwnik był równie sprytny jak on. Znalazły studnię, ale siatka prętów u góry nie przepuszczała niczego większego niż wiadro. A ktoś zupełnie pozbawiony wyczucia narracji i przygody usunął z pomieszczenia wszystko, co posiadało ostrą krawędź. A także, z nieznanых powodów, wszystko, co nadawałoby się do jedzenia.

– Chyba że chcemy posilić się świecami – rzekła Kukuła i wyjęła ich pakiet z kredensu. – W końcu to łój. Założę się, że stary Scallot zrobiłby z nich świecowe skubbo.

Polly sprawdziła komin, który pachniał, jakby ogień nie palił się tam od bardzo dawna. Był wielki i szeroki, ale sześć stóp od podłogi wisiała ciężka krata obwieszona czarnymi od sadzy pajęczynami. Wydawała się stara i przerdzewiała. Pewnie do jej usunięcia wystarczyłoby dwadzieścia minut pracy z łomem, lecz łomu nigdy nie ma pod ręką, kiedy jest potrzebny.

W spiżarni znaleźli kilka worków starej, suchej i zakurzonej mąki. Źle pachniała. Był jakiś aparat z lejkiem, uchwytem i kilkoma tajemniczymi śrubami¹⁰. Było kilka wałków do ciasta, ociekacz do sałaty, parę chochli... i widelce. Mnóstwo widelców do opiekania. Polly czuła się zawiedziona. Wprawdzie to śmieszne oczekiwać od kogoś, kto postanowił uwięzić ludzi w zaimprovizowanej celi, że zostawi w niej wszystko co niezbędne do skutecznej ucieczki, ale mimo to miała wrażenie, że złamano jakąś uniwersalną zasadę. Widelcami do opiekania można kłuć ludzi, ociekaczem do sałaty można kogoś uderzyć, a wałki do ciasta to przynajmniej tradycyjna kobieca broń. Natomiast aparatem z lejkiem, uchwytem i kilkoma tajemniczymi śrubami można było najwyżej kogoś zdziwić.

Drzwi się otworzyły. Wkroczyli uzbrojeni mężczyźni, którzy mieli ochraniać dwie kobiety niosące koce i drewno. Weszły ze spuszczonymi głowami, złożyły swoje ładunki i natychmiast umknęły na korytarz. Polly podeszła stanowczo do strażnika, który wydawał się dowódcą. Cofnął się przed nią. U pasa wisiał mu wielki pęk kluczy.

– Następnym razem pukajcie, co? – powiedziała.

Uśmiechnął się nerwowo.

– Tak. Jasne. Mówili, że mamy z wami nie rozmawiać...

– Naprawdę?

Dozorca rozejrzał się wokół.

– Ale uważamy, że wściekle dobrze sobie radzicie jak na dziewczyny – oświadczył konspiracyjnie.

– To znaczy, że nie będziecie strzelać, kiedy się stąd wyrwiemy?

Uśmiech zniknął.

¹⁰ Każda długo działająca kuchnia ma coś takiego i nikt nie pamięta po co. Na ogół służy to do czegoś, czego i tak nikt już nie robi, a nawet kiedy robił, to bez wielkiego entuzjazmu – na przykład do obierania selera, siekania orzechów czy też, w najgorszym przypadku, faszerowania koszatek jadalnych.

– Nie próbujcie nawet.

– Ależ pan ma wielki pęk kluczy, sir! – odezwała się Stukacz z podziwem.

Mężczyzna sięgnął ręką do pasa.

– Zostań, gdzie stoisz! – krzyknął. – Sytuacja jest wystarczająco fatalna. Nie zbliżaj się!

Zatrzasnął drzwi. Po chwili usłyszały, jak strażnicy przysuwają do nich coś ciężkiego.

– No więc teraz mamy przynajmniej ogień – stwierdził Bluza.

– Wiem...

To była Loft. Tak rzadko się odzywała, że wszyscy popatrzyli na nią wyczekująco. Urwała zakłopotana.

– Słucham, Loft... – zachęciła ją Polly.

– Wiem, jak otworzyć te drzwi. Tak żeby zostały otwarte.

Gdyby to mówił ktoś inny, pewnie by się roześmiali. Ale słowa Loft, nim zostały wypowiedziane, wyraźnie były wielokrotnie analizowane.

– Ehm... brawo – rzekł Bluza.

– Myślałam o tym – zapewniła Loft.

– Dobrze.

– To będzie działać.

– Dokładnie tego nam trzeba – zapewnił Bluza tonem człowieka, który wbrew wszelkim przeciwnościom stara się zachowywać pogodę ducha.

Loft spojrzała na osmolone belki biegnące pod sufitem przez całe pomieszczenie.

– Tak – powiedziała.

– Ale nadal pozostaną na zewnątrz strażnicy – przypomniała Polly.

– Nie – odparła Loft. – Nie zostaną.

– Nie?

– Bo sobie pójdą.

Loft urwała z miną kogoś, kto powiedział już wszystko.

Stukacz wzięła ją pod rękę.

– Pójdziemy sobie pogadać, co? – zaproponowała.

Odprowadziła przyjaciółkę na drugi koniec kuchni. Tam porozmawiały szeptem. Loft prawie przez cały czas stała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Po chwili Stukacz wróciła.

– Potrzebne będą te worki mąki ze spiżarni i sznur ze studni. I jedna z tych... jak się nazywa te duże okrągłe rzeczy do przykrywania talerzy? Te z uchwytem na górze?

– Pokrywy? – odpowiedziała Kukuła.

– I świeca – ciągnęła Stukacz. – I dużo beczek. I dużo wody.

– I co to wszystko zrobi? – zapytał Bluza.

– Wielki wybuch. Tilda zna się na ogniu, możecie mi wierzyć.

– Kiedy mówisz, że się zna... – zaczęła niepewnie Polly.

– To znaczy, że spłonęło każde miejsce, w którym pracowała.

Przetoczyły puste beczki na środek i napełniły je wodą z pompy. Korzystając z monosylabicznych wskazówek Loft i sznura ze studni, jak najwyżej podciągnęły trzy sypiące się worki mąki. Teraz worki kręciły się wolno nad podłogą pomiędzy beczkami a drzwiami.

– Aha... – Polly cofnęła się trochę. – Chyba rozumiem. Dwa lata temu wybuchł młyn po drugiej stronie miasta.

– Owszem – przyznała Stukacz. – To zrobiła Tilda.

– Co?!

– Bili ją. I gorzej. A Tilda już taka jest; patrzy tylko i myśli, aż gdzieś w środku wszystko się układa. I następuje wybuch.

– Ale zginęły dwie osoby!

– Młynarz i jego żona. Tak. Ale słyszałam, że inne dziewczęta, które tam wysyłali, w ogóle nie wracały. Mam ci powiedzieć, że Tilda była w ciąży, kiedy po pożarze przyprowadzili ją z powrotem do Szarego Domu? Urodziła, zabrali dziecko i nie wiemy, co się z nim stało. Ale ją znowu zbili, bo była Obrzydliwością dla Nuggana. Czy teraz czujesz się lepiej? – Stukacz przywiązała sznur do nogi stołu. – Jesteśmy tylko my, Polly. Tylko ona i ja. Żadnego dziedzictwa, żadnego miłego domu, do którego można wrócić, żadnych krewnych, o których byśmy wiedziały. Szary Dom jakoś łamie nas wszystkie. Łazer rozmawia z księżną. Ja nie mam... średniego tempa, a Tilda przeraża mnie, kiedy dostaje w ręce pudełko zapalek. Ale powinnaś wtedy zobaczyć jej twarz. Cała się rozświeć. Lepiej niech wszyscy przejdą do spiżarni, zanim zapalimy świecę.

– Chyba Tilda powinna to zrobić?

– Zrobi. Ale musimy ją odciągnąć, bo zostanie, żeby patrzeć.

To się zaczęło jako gra. Nie myślała o tym jako o grze, ale było nią – grą nazywaną „Niech Polly zachowa księżną”. To już nie miało znaczenia. Ułożyła bardzo wiele planów, a teraz była już poza etapem planowania. Radziły sobie wściekle dobrze jak na dziewczyny. Ostatnia beczka z wodą została umieszczona – po krótkiej dyskusji – przed drzwiami do spiżarni. Polly spojrzała ponad nią na Bluzę i resztę oddziału.

– Słuchajcie, wszyscy, zaraz... no... zaraz to zrobimy – powiedziała. – Czy jesteśmy pewne, Stukacz?

– Tak.

– I nic się nam nie stanie?

Stukacz westchnęła.

– Ta mąka eksploduje. To proste. Fala wybuchu sunąca w tę stronę trafi na beczki pełne wody, które prawdopodobnie wytrzymają dość długo, żeby ją odbić. Najgorsze, co może nam grozić, to że nas przemoczy. Tak uważa Tilda. Będziesz się kłócić? Natomiast w przeciwnym kierunku są tylko drzwi.

– Jak ona to wymyśla?

– Nijak. Po prostu widzi, jak powinno wyglądać. Ten sznur przechodzi nad belką i z powrotem w dół, do pokrywki. Może pan przytrzymać, poruczniku? Ale niech pan nie ciągnie, dopóki nie powiem. Poważnie. Chodźmy, Polly.

W przestrzeni między beczkami a drzwiami Loft zapalała świecę. Robiła to powoli, jakby to była pradawna ceremonia, której każdy element ma ogromne, skomplikowane znaczenie. Zapaliła zapalkę i trzymała ją, aż rozjarzył się płomień. Przesunęła nią u podstawy świecy, a potem mocno tę świecę przycisnęła do kamieni podłogi, żeby gorący воск utrzymał ją w odpowiedniej pozycji. Później przyłożyła zapalkę do knota i klęczała przez chwilę, wpatrzona w płomień.

– No dobrze – powiedziała Stukacz. – Ja ją teraz zabiorę, a ty ostrożnie opuść pokrywę na świecę. Jasne? Chodź, Tildo.

Ostrożnie postawiła dziewczynę na nogach, szepcząc do niej przez cały czas. Potem skinęła na Polly, która zakryła świecę z niemal nabożną ostrożnością.

Loft szła jak we śnie. Stukacz zatrzymała się przy nodze ciężkiego kuchennego stołu, do której przywiązała koniec liny przytrzymującej worki z mąką.

– Jak dotąd w porządku – powiedziała. – Teraz rozwiążę węzeł, złapiemy Loft za ręce i biegniemy. Rozumiesz, Polly? Biegniemy! Gotowa? Trzymasz ją? – Szarpnęła linę. – Biegiem!

Worki z mąką spadły, ciągnąc za sobą smugi białego pyłu, a potem rozpadły się przed drzwiami. Mąka uniosła się jak mgła. Dziewczęta przebiegły do spiżarni i zwały się za beczką.

– Już, poruczniku! – wrzasnęła Stukacz.

Bluza pociągnął sznurek, który uniósł pokrywę, i płomień świecy dosięgnął...

To nie dźwięk brzmiał „luumpf!”. Całe doświadczenie było „luumpf!”. Miało własność docierania wszystkimi zmysłami. Potrząsnęło światem jak kartką, pomalowało go na białą, wypełniło zapachem grzanki. A skończyło ułamek sekundy potem, nie pozostawiając niczego prócz dalekich krzyków i łoskotu spadających kamieni.

Zwinięta w kłębek Polly wyprostowała się i spojrzała Bluzie w twarz.

– Myślę, że teraz chwytały nasze rzeczy i uciekamy – powiedziała. – Wrzaski pomogą.

– Chyba dam sobie radę z wrzaskiem – mruknęła Kukula. – To nie jest kształcące doświadczenie.

Bluza ścisnął chochlę.

– Mam nadzieję, że nie będzie to nasza sławna ostatnia walka.

– Raczej będzie to nasza pierwsza, sir – odparła Polly. – Proszę o zgodę na wydanie ścinającego krew w żyłach ryku.

– Udzielam zgody, Perks.

Podłoga była zalana wodą i zasłana kawałkami – bardzo małymi kawałkami – beczek. Pół komina runęło do paleniska, a sadza paliła się gwałtownie. Polly zastanowiła się, czy w głębi doliny zostanie to uznane za sygnał.

Drzwi zniknęły. Podobnie jak spora część ściany wokół nich. Dalej...

Dym i kurz wypełniały powietrze. Leżący ludzie jęczeli, inni snuli się wśród gruzów jak pijani. Kiedy przybył oddział, nie tylko nie podjęli walki, ale w ogóle nic nie rozumieli. Albo nie usłyszeli. Dziewczęta opuściły broń. Polly zauważyła sierżanta, który siedział na podłodze i otwartą dłonią uderzał się w głowę.

– Oddaj klucze! – zażądała.

Spróbował się skupić.

– Co?

– Klucze!

– Wezmę brązową, jeśli można.

– Dobrze się czujesz?

– Co?

Polly schyliła się i zerwała pęk kluczy z jego pasa. Rzuciła je Bluzie.

– Zechce pan czynić honory, sir? Wydaje mi się, że już niedługo będziemy tu mieli licznych gości. – Zwróciła się do oddziału. – Odbierzcie im broń!

– Niektórzy są mocno poranieni, Polly. – Igorina przyklęknęła obok. – Tam jest taki, który ma wielokrotne.

– Co wielokrotne? – spytała Polly, obserwując schody.

– Po prostu... wielokrotne. Wielokrotne wszystko. Ale wiem, że mogę mu uratować rękę, bo ją znalazłam, o tam. Musiał trzymać szablę, kiedy...

– Zrób, co możesz, dobrze?

– Przecież to wrogowie! – zawołała Stukacz, sięgając po szablę.

– To fşprawa Igorów – oświadczyła Igorina, zdejmując plecak. – Przykro mi, ale nie zrozumieć.

– Już zaczynam... – Stukacz podeszła do Polly. Wokół jęczeli ludzie i zgrzytały kamienie. – Ciekawe, jakich szkód narobiłyśmy. Strasznie dużo tam kurzu...

– Niedługo przybiegnie tu wielu ludzi – oświadczyła Polly spokojniej, niż się w rzeczywistości czuła.

Teraz będzie inaczej, myślała. Nie pojawi się indyk, żeby nas uratować. Teraz się przekonam, czy jestem mięsem, czy metalem...

Słyszała traski otwieranych przez Bluzę drzwi, wołania zamkniętych wewnątrz...

– Porucznik Bluza, Dziesiąty Regiment Piechoty – powtarzał. – Przychodzimy na ratunek, zasadniczo. Przepraszamy za ten bałagan.

To ostatnie zdanie dodawała prawdopodobnie jego wewnętrzna Daphne, uznała Polly.

Korytarz wypełnił się uwolnionymi ludźmi, a ktoś powiedział:

– Co tu robią te kobiety? Na miłość boga, dziewczyno, oddaj tę szablę!
I w tej konkretnej chwili nie miała ochoty się kłócić.

Mężczyźni przejmują dowodzenie. Dzieje się tak prawdopodobnie z powodu skarpet.

Oddział wycofał się do kuchni, gdzie pracowała Igorina. Działała szybko, efektywnie i z niewielką tylko ilością krwi. Duży plecak stał otwarty obok. Słoje wewnątrz były niebieskie, zielone i czerwone; niektóre dymiły, kiedy je otwierała, albo emitowały dziwne światło. Jej palce rozmywały się od prędkości. Tworzyła fascynujące widowisko, przynajmniej dla tych, którzy ostatnio nie jedli.

– Oddział baczność! To major Erick von Moldvitz! Chciał was poznać.

Obejrzały się, słysząc głos Bluzy. Przyprowadził kogoś ze sobą – major był młody, ale o wiele mocniej zbudowany od porucznika. Miał bliznę na policzku.

– Spocznij, chłopcy – powiedział. – Bluza opowiedział mi, jak świetną robotę wykonaliście. Doskonale! Przebrani za kobiety, co? Mielście szczęście, że was nie wykryli!

– Tak, sir – zgodziła się Polly.

Z zewnątrz dobiegały krzyki i odgłosy walki.

– Nie zabraliście swoich mundurów? – zapytał major.

– Byłoby ciężko, gdyby je przy nas znaleźli. – Polly spoglądała na Bluzę.

– I tak by było, gdyby chcieli was przeszukać, co? – Major mrugnął porozumiewawczo.

– Tak, sir – odparła posłusznie Polly. – Porucznik Bluza opowiedział panu wszystko, prawda?

Za majorem Bluza wykonywał uniwersalny gest. Polegał na uniesieniu obu rąk dłońmi w górę i gwałtownym machaniu z wyprostowanymi palcami.

– Ha... tak. Ukradliście ubrania z zamtużu, co? Tacy młodzi chłopcy jak wy nie powinni bywać w takich lokalach. Jeśli właściwie prowadzone, są Obrzydliwością! – oświadczył major i teatralnie pogroził im palcem. – W każdym razie idzie nam dobrze. Na tak niskich poziomach prawie nie ma straży. Całą twierdzę zbudowano przy założeniu, że nieprzyjacieli będzie na zewnątrz. Zaraz, co ten człowiek robi temu człowiekowi na stole?

– Fkładam go, fir – wyjaśniła Igorina. – Przyfytam mu rękę.

– To nieprzyjacieli, prawda?

– Kodeks Igorów, fir – odpowiedziała z wyrzutem Igorina. – Podamy rękę, kiedy trzeba, fir.

Major pociągnął nosem.

– Trudno się z wami kłócić, prawda? Ale kiedy skończysz, mamy wielu innych, którym się przyda twoja pomoc.

– Oczywiście, fir.

– Jakies wiadomości o moim bracie, sir? – spytała Polly. – Paul Perks?

– Tak, Bluza mi o nim wspomniał, Perks, ale nasi ludzie są pozamykani wszędzie, a w tej

chwili mamy trochę zamieszania, co? – przyznał otwarcie major. – A z innych spraw... Wsadzimy was do spodni, jak się da najszybciej, żebyście też mieli trochę zabawy, co?

– Zabawy – powtórzyła Stukacz głucho.

– A zabawa to...? – spytała Polly.

– Dotarliśmy już do czwartego poziomu – wyjaśnił von Moldvitz. – Nie odbiliśmy jeszcze całej twierdzy, ale opanowaliśmy zewnętrzne dziedzińce i niektóre wieże. Do rana będziemy kontrolować, kto wchodzi i kto wychodzi. Wracamy do wojny! Teraz nie będzie już żadnej inwazji. Większa część ich wyższych dowódców tkwi w wewnętrznej twierdzy.

– Wracamy do wojny – mruknęła Polly.

– I zwyciężymy – zapewnił major.

– Niech to motyla noga... – rzuciła Kukula.

Coś musiało pęknąć, Polly zdawała sobie z tego sprawę. Stukacz miała taką minę, jak zawsze przed wybuchem, a nawet Kukula wierciła się niespokojnie. To tylko kwestia czasu, nim Loft znajdzie pudełko zapalek, które Polly ukryła w kredensie.

Igorina zapięła plecak i uśmiechnęła się radośnie do majora.

– Możemy iść, fir.

– Przynajmniej ściągnij perukę, co?

– To moje własne włosy, fir.

– Wyglądają trochę... mazgajowato – uznał major. – Byłoby lepiej...

– Jestem w rzeczywistości kobietą, sir. – Igorina zrezygnowała z seplenienia. – Może mi pan zaufać. Jestem Igorem, znamy się na takich rzeczach. A moje szycie nie ma sobie równych.

– Kobieta? – powtórzył major.

Polly westchnęła.

– Wszystkie jesteście kobietami, majorze. Prawdziwymi kobietami. Nie tylko przebranymi za kobiety. I w tej chwili wołę nie wkładać spodni, bo byłabym kobietą przebraną za mężczyznę przebranego za kobietę przebraną za mężczyznę, i wtedy tak by mi się wszystko pomieszało, że nie wiedziałabym nawet, jak przeklinać. A w tej chwili mam ochotę przeklinać, sir, i to bardzo.

Major spojrzał sztywno na Bluzę.

– Wiedział pan o tym, poruczniku?

– No więc... tak, sir. W końcu tak. Ale mimo to, sir, chciałbym...

Ta cela służyła kiedyś za wartownię. Była wilgotna i miała dwa trzeszczące łóżka.

– Tak ogólnie – stwierdziła Stukacz – było lepiej, kiedy trzymał nas w niewoli nieprzyjaciel.

– Tam jest kratka w suficie! – zawołała Kukula.

– Za mała, żeby się przecisnąć – uznała Polly.

- Nie, ale możemy się powiesić, zanim oni to zrobią.
- Słyszałam, że to bardzo bolesny sposób umierania – stwierdziła Polly.
- Od kogo? – zainteresowała się Stukacz.

Od czasu do czasu przez wąskie okienko dobiegały odgłosy bitwy. Głównie były to krzyki. Czasem wrzaski. Zabawy nie brakowało. Igorina wpatrywała się w swoje dłonie.

– Co im się w nich nie podoba? Czy nie przyszyłam tej ręki jak należy? Ale nie, boją się, że mogą dotknąć ich części prywatnych.

- Może obiecaj, że będziesz operować tylko publicznie – zaproponowała Stukacz.

Nikt się nie roześmiał. I pewnie żadna z nich nie próbowałaby nawet uciekać, gdyby nagle otworzyły się drzwi. Ucieczka od nieprzyjaciela to rzecz piękna i szlachetna, ale jeśli ktoś ucieka przed własną stroną, to dokąd właściwie mógłby uciec?

Łazer spała jak niedźwiedź zimą. Trzeba było obserwować ją przez dłuższą chwilę, by się przekonać, że oddycha.

- Co mogą z nami zrobić? – spytała nerwowo Kukula. – No wiecie... naprawdę zrobić?
- Nosiliśmy męskie ubrania – przypomniała Polly.
- Za to grozi tylko chłosta.
- Och, znajdą inne zarzuty, możesz mi wierzyć – mruknęła Stukacz.
- Przecież uwolniliśmy ich z lochów! To nasze wojsko!

Polly westchnęła.

– Właśnie dlatego, Kukula. Nikt nie chce wiedzieć, że gromada dziewczyn przebrała się za żołnierzy, wdarła do wielkiej fortecy i uwolniła pół armii. Wszyscy wiedzą, że kobiety nie są do tego zdolne. Żadna ze stron nas tu nie chce, rozumiesz?

- Kto na polu bitwy będzie się przejmował kilkoma dodatkowymi ciałami?
- Nie mówcie tak! Porucznik Bluza nas bronił!

– Daphne? – spytała pogardliwie Stukacz. – Ha! To tylko następne zwłoki. Prawdopodobnie gdzieś go zamknęli, jak nas.

W oddali zabrzmiały wiwaty, które trwały przez dłuższą chwilę.

- Chyba opanowali budynek – uznała Polly.
- Mamy szczęście. – Stukacz splunęła.

Po chwili w drzwiach otworzyła się nieduża klapka i milczący mężczyzna wsunął przez nią garnek skubbo i talerz końskich sucharów. Nie było to złe skubbo, a przynajmniej nie było złe według standardów złego skubbo. Wyniknęła krótka dyskusja, czy to, że się je karmi, oznacza, że nie grozi im egzekucja. W końcu jednak któraś przypomniała tradycję Ostatniego Porządnego Posiłku.

Igorina wyraziła opinię, że oceniając skubbo po zawartości, był to raczej Posilek Chaotyczny. Ale przynajmniej gorący.

Kilka godzin później tą samą drogą wsunięto im bańkę salupy i kubki. Tym razem strażnik mrugnął.

Godzinę później drzwi zostały otwarte. Do środka wszedł młody człowiek w mundurze majora.

Co tam, możemy ciągnąć tak, jak zaczęliśmy, pomyślała Polly. Poderwała się na nogi.

– Oddział baa-czość!

W rozsądnym tempie oddział zdołał się ustawić w linii prostej. Major przyjął to, stukając trzcinką w daszek swojego czaka. Trzcinka była o wiele cieńsza niż cal.

– Spocznij... kapralu, prawda?

– Tak, sir.

To brzmiało obiecująco.

– Jestem major Clogston ze sztabu żandarmerii – przedstawił się major. – I chciałbym, żebyście mi wszystko opowiedziały. Będę notował, jeśli wam to nie przeszkadza.

– O co tu chodzi? – spytała Stukacz.

– A ty jesteś... szeregowy Halter – stwierdził Clogston. – Mam za sobą długą rozmowę z porucznikiem Bluzą.

Odwrócił się, skinął stojącemu w progu strażnikowi i zamknął drzwi. Zamknął też klapkę.

– Staniecie przed sądem – oznajmił, siadając na wolnym posłaniu. – *Politicos* chcieliby, żeby osądził was pełen trybunał nugganiczny, ale tutaj byłoby to trudne, no a nikt nie chce, by sprawa trwała dłużej, niż musi. Poza tym nastąpiło dość... niezwykle wydarzenie. Ktoś wysłał do generała Froca komunikat, w którym pyta o was, wymieniając wszystkie z imienia... A przynajmniej – dodał – z nazwiska.

– Czy to lord Rust, sir?

– Nie, to ktoś, kto nazywa się William de Worde. Nie wiem, czy trafiliście na jego azetę? Zastanawialiśmy się, skąd wie, że zostaliście schwytane.

– No, my mu nie powiedziałyśmy – zapewniła Polly.

– To czyni sytuację nieco... złożoną – mówił Clogston. – Chociaż, z waszego punktu widzenia, bardziej optymistyczną. Niektórzy ludzie w armii zastanawiają się... powiedzmy, że nad przyszłością Borogravii. To znaczy chcieliby, żeby jakaś była. Moje zadanie to przedstawić waszą sprawę trybunałowi.

– Czy to sąd wojenny? – chciała wiedzieć Polly.

– Nie, nie są aż tak głupi. Nazwanie tego sądem wojennym sugerowałoby, że uznają was za żołnierzy.

– Pan uznał – przypomniała Kukuła.

– De facto to nie to samo co de iure – wyjaśnił Clogston. – A teraz, jak już mówiłem... proszę opowiedzieć mi swoją historię, panno Perks.

– Będę wdzięczna za „kapralu”. Dziękuję.

– Przepraszam za tę pomyłkę. Proszę mówić...

Clogston otworzył teczkę, wyjął okulary, które włożył na nos, ołówek oraz coś białego i kwadratowego. – Jak tylko będziecie gotowa, kapralu...

– Sir, naprawdę chce pan pisać na tej kanapce z dżemem?

– Co? – Major spojrzał i wybuchnął śmiechem. – Nie. Bardzo przepraszam. Muszę jeść regularnie. Cukier we krwi, rozumiecie...

– Tylko że ona już przecieka, sir. Proszę się nami nie krępować, już jadłyśmy.

Zajęło to godzinę, z licznymi wtrąceniami, poprawkami i dwoma kolejnymi kanapkami. Major zapisał sporą część notesu. Czasami musiał przerwać i popatrzeć w sufit.

– ...i potem wrzucili nas tutaj – zakończyła Polly.

– Wcisnęli, tak naprawdę – poprawiła ją Igorina. – Wepchnęli.

– Mhm... – Clogston się zastanawiał. – Mówiłaś, że kapral Strappi, którego poznałyście, nagle... nagle bardzo się rozchorował na wieść o tym, że rusza do bitwy?

– Tak, sir.

– A potem w tawernie w Plün naprawdę w zamieszaniu kopnął księcia Heinricha?

– Na pewno się zmieszał, sir. Ale wtedy nie wiedziałam, że to księżę Heinrich.

– Nie wspomniałaś ataku na wzgórze, gdzie według porucznika Bluzy szybką akcją zdobyłaś książkę szyfrów...

– Nie ma o czym wspominać, sir. Nie na wiele się nam przydała.

– No, nie wiem. Ze względu na ciebie i tego miłego człowieka z azety dwa regimенты sprzymierzonych truchtały tam i z powrotem po górach, szukając jakiegoś partyzanckiego przywódcy zwanego Tygrysem. Księżę Heinrich się uparł i sam stanął na czele. Można powiedzieć, że nie umie przegrywać. Plotka głosi, że zupełnie nie umie.

– Ten pisarz z azety w to wszystko uwierzył? – Polly była zdumiona.

– Nie wiem, ale na pewno to zapisał. Naprawdę lord Rust proponował, że pozwoli wam wszystkim dyskretnie wrócić do domów?

– Tak, sir.

– I uzgodniłyście, że może...

– Wcisnąć to sobie pod golf, sir.

– A tak. Nie mogłem odczytać własnego pisma. G... O... L... – Clogston starannie zapisał słowo dużymi literami. – Nie mówię tego i w ogóle mnie tu nie ma, ale niektórzy... wysoko postawieni ludzie po naszej stronie zastanawiają się, czy może odeszłybyście dyskretnie...?

Pytanie zawisło w powietrzu niczym ciało z belki pod sufitem.

– Zanotuję to sobie także jako „golf” – zdecydował major Clogston.

– Niektórzy z nas nie mają dokąd pójść – powiedziała Stukacz.

– Ani z kim pójść – dodała Kukula.

– Nie zrobiłyśmy nic złego – powiedziała Polly.

– Czyli golf – podsumował major. Schował okulary, po czym westchnął. – Nie chcą mi nawet powiedzieć, jakie padną zarzuty.

– Że jesteśmy Niedobrymi Dziewczętami – uznała Stukacz. – Kogo pan chce oszukać, sir? Nieprzyjaciół chciał tylko dyskretnie się nas pozbyć, a generałowi zależy na tym samym.

Na tym polega kłopot z dobrymi i złymi facetami: to są faceci.

– Czy dostałybyśmy medale, sir, gdybyśmy były mężczyznami? – zapytała Kukuła.

– Tak. Na pewno. A Bluzę czekałby szybki awans, jak podejrzewam. Ale toczymy akurat wojnę i chwila nie jest odpowiednia...

– ...żeby dziękować gromadzie Obrzydliwych kobiet? – podpowiedziała Polly.

Clogston się uśmiechnął.

– ...żeby tracić koncentrację. To wszystko naciski gałęzi politycznej, oczywiście. Nie chcą pozwolić, żeby wieści o tym się rozeszły. A dowództwo chce szybko zamknąć sprawę. Z tego samego powodu.

– I kiedy wszystko się zacznie?

– Mniej więcej za pół godziny.

– To głupie – zirytowała się Stukacz. – Są przecież w samym środku wojny, a jednak chcą marnować czas na proces kilku kobiet, które w dodatku nic złego nie zrobiły?

– Generał nalegał – wyjaśnił Clogston. – Chce to mieć za sobą.

– Na jakiej podstawie opiera się autorytet takiego trybunału? – zapytała zimno Polly.

– Tysiący ludzi pod bronią – odparł major. – Przepraszam. Kłopot polega na tym, że jeśli powiedzieć generałowi „Pan i jaka armia?”, wystarczy mu wskazać za okno. Zamierzam jednak wykazać, że proces powinien się odbyć przed sądem wojennym. Wszystkie pocałowałyście księżną? Wzięłyście szylinga? Zatem, moim zdaniem, to sprawa wojskowa.

– A to dobrze, tak?

– No, to znaczy, że obowiązują procedury. Ostatnie Obrzydliwości Nuggana to puzzle. Takie układanki. Rozbijają świat na drobne kawałki. To w końcu skłoniło ludzi do zastanowienia. Armia jest może szalona, ale szalona według regulaminu. Przewidywalna w swym szaleństwie. Hm... Wasza śpiąca koleżanka... zostawicie ją tutaj?

– Nie – oznajmił oddział jak jedna żona.

– Wymaga ciągłej opieki – wyjaśniła Igorina.

– Gdybyśmy ją zostawiły, mogłaby dostać ostrego ataku znikania bez śladu.

– Trzymamy się razem – oświadczyła Polly. – Nie zostawiamy swoich.

Pomieszczenie wybrane na posiedzenie trybunału było kiedyś salą balową. Odzyskano już ponad połowę twierdzy, jak dowiedziała się Polly, lecz jej podział między walczące strony był dość przypadkowy. Sprzymierzenie wciąż trzymało główne budynki i zbrojownię, ale było całkowicie otoczone przez siły Borogravii. Obecnie walki toczyły się o kompleks głównej bramy, zbudowany nie po to, by wytrzymywać ataki od wewnątrz. To, co się działo, przypominało bójkę, nocną awanturę w barze, tyle że na wielką skalę. A ponieważ rozmaite maszyny wojenne stały na szczytach wież, zajmowanych obecnie przez obie strony, twierdza sama siebie ostrzeliwała.

Podłoga pachniała pastą i kredą. Zestawione stoły tworzyły nierówny półokrąg, za którym

zasiadło, jak oceniła Polly, co najmniej trzydziestu oficerów. A potem zobaczyła z tyłu inne stoły, mapy, ludzi wchodzących i wychodzących... I zrozumiała, że nie tylko o nie tu chodzi. W tym pokoju mieścił się sztab.

Oddział został wprowadzony do środka i stanął na baczność. Igorina skłoniła dwóch strażników, by wnieśli Łazer na noszach. Jej rząd szwów pod okiem wart był więcej niż insygnia pułkownika – żaden żołnierz nie chciał się narazić Igorom.

Czekały. Od czasu do czasu jakiś oficer zerkał na nie, a potem wracał do oglądania mapy albo do rozmowy. W pewnej chwili Polly zauważyła wymieniane szeptem polecenia i ogólne poruszenie w kierunku półkola krzeseł. Panowało wyraźne poczucie, że będzie to męczące zadanie, który niestety trzeba wykonać.

Generał Froc nie patrzył wprost na oddział, dopóki nie zajął miejsca pośrodku grupy i nie ułożył równo papierów. Nawet wtedy przesuwiał po nich wzrokiem szybko, jakby obawiał się zatrzymać. Polly nigdy go jeszcze nie widziała. Był przystojny, miał piękną siwą czuprynę. Blizna na policzku minimalnie mijała oko i była wyraźnie widoczna wśród zmarszczek.

– Sprawy toczą się dobrze – powiedział, zwracając się do wszystkich obecnych. – Właśnie się dowiedzieliśmy, że lotna kolumna, prowadzona przez niedobitki dziesiątego, zbliża się do twierdzy i atakuje główną bramę od zewnątrz. Ktoś musiał zauważyć, co się tu dzieje. Armia ruszyła.

Rozległy się dość dyskretnie oklaski. Generał znów popatrzył na oddział.

– Czy to już wszyscy, Clogston?

Major, który dostał mały stolik dla siebie, wstał i zasalutował.

– Nie, sir – powiedział. – Czekamy...

Drzwi otworzyły się znowu. Weszła Nefryt między dwoma o wiele większymi trollami. Za nią wlekli się Maladict i Bluza. Chyba w całym pośpiechu i zamieszaniu nikomu nie udało się znaleźć dla niego spodni. Maladict trochę się rozmazywał, a jego łańcuchy brzęczały bezustannie.

– Protestuję przeciwko łańcuchom, sir – odezwał się Clogston.

Generał szeptem naradził się z kilkoma oficerami.

– Owszem, nie chcemy przecież zbędnych formalności. – Skinął na strażników. – Rozkujcie ich. Trolle, możecie odejść. Chcę tylko, żeby straż została przy drzwiach. A teraz przystąpmy do rzeczy. Wszystko to trwa już za długo. Słuchajcie – powiedział, siadając na krześle. – To naprawdę całkiem proste. Z wyjątkiem porucznika Bluzy, zgodzicie się wrócić do domu pod opiekę mężczyzn. Zrozumiano? I więcej nie będzie już mowy o tej sprawie. Wykazałyście się sporą odwagą, trudno zaprzeczyć, ale niewłaściwie skierowaną. Jednakże nie jesteśmy niewdzięcznikami. Rozumiemy, że żadna z was nie jest mężatką, dlatego otrzymacie od nas odpowiednie, nawet całkiem spore posagi... Polly zasalutowała.

– Mogę coś powiedzieć, sir?

Froc popatrzył na nią, po czym spojrzał znacząco na Clogstona.

– Później będziecie mieli okazję, by przemówić, kaprału.

– Ale cośmy złego zrobiły? – spytała Polly. – Powinni nam to powiedzieć.

Froc zwrócił się w stronę końca półkola krzeseł.

– Kapitanie...

Wstał niski oficer. Na twarzy Polly fala rozpoznania sunęła przez bagna nienawiści.

– Kapitan Strappi, wydział polityczny, sir – zaczął. Dopiero kiedy ucichł chóralny jęk oddziału, Strappi odchrząknął i mówił dalej. – Według prawa nugganicznego popełniono dwadzieścia siedem Obrzydliwości, sir. Podejrzewam, że było ich o wiele więcej. Według prawa wojskowego mamy prosty fakt, że udawały mężczyzn, by się zaciągnąć. Byłem na miejscu, sir, i wszystko widziałem.

– Kapitanie Strappi, czy mogę pogratulować błyskawicznego awansu? – odezwał się Bluza.

– W samej rzeczy, kapitanie – zgodził się Clogston. – Jeszcze kilka dni temu był pan skromnym kapralem.

Biały pył opadł z sufitu, gdy coś ciężkiego uderzyło w mur od zewnątrz. Froc otrząpał swoje papiery.

– Mam nadzieję, że to żaden z naszych – mruknął do wtóru krótkich śmiechów. – Proszę dalej, kapitanie.

Strappi zwrócił się do generała.

– Jak pan wie, sir, niekiedy jest konieczne, byśmy my, z wydziału politycznego, przyjmowali niższą rangę, by zyskać ważne informacje. Zgodnie z regulaminem, sir – dodał.

Spojrzenie, jakie rzucił mu generał Froc, w sercu Polly zamieszało filizankę nadziei. Nikt nie mógł lubić czegoś takiego jak Strappi, nawet matka.

Generał zwrócił się do Clogstona.

– Czy to ma związek ze sprawą, majorze? – spytał gniewnie. – Wiemy przecież, że przebrały się za...

– ...kobiety, sir – dokończył gładko major. – To wszystko, co wiemy, sir. Poza zeznaniem kapitana Strappiego, a zamierzam potem zasugerować, że nie jest w pełni wiarygodne, nie poznałem jeszcze żadnych dowodów, że ubierały się w dowolny inny sposób.

– Przecież widzimy na własne oczy, człowieku!

– Tak jest, sir. Noszą sukienki, sir.

– I są praktycznie łyse!

– Rzeczywiście, sir. – Clogston sięgnął po grubą książkę, aż gęstą od zakładek. – Księga Nuggana, sir: „Pięknem jest dla Nuggana, gdy kobieta krótkie nosi włosy, aby miłosnych skłonności mężczyzny w ten sposób nie rozpalać”.

– Nie widuję wielu łysych kobiet – warknął Froc.

– Istotnie, sir. To jedno z tych oświadczeń, które sprawiają ludziom spore kłopoty, jak choćby to o niekichaniu. W tym momencie uprzedzę tylko, sir, że zamierzam wykazać, iż

Obrzydliwości są rutynowo popełniane przez nas wszystkich. Praktycznie biorąc, nabraliśmy zwyczaju ignorowania ich, co otwiera pole dla interesującej debaty. W każdym razie krótkie włosy są nugganicznie poprawne, a te damy nie były zamieszane w nic innego niż trochę prania, wypadek kuchenny oraz uwolnienie pana z celi.

– Widziałem je! – zawołał Strappi. – Wyglądały jak mężczyźni i zachowywały się jak mężczyźni!

– Dlaczego trafił pan do zespołu werbowniczego, kapitanie? – zapytał major Clogston. – Trudno podejrzewać, że to gniazdo działalności wywrotowej.

– Czy ma to związek ze sprawą, majorze? – spytał generał.

– Nie wiem, sir. Dlatego spytałem. Nie chcielibyśmy chyba, by ktoś nam zarzucił, że te panie nie miały sprawiedliwego procesu.

– Kto zarzucił? – zapytał Froc. – Mogę polegać na dyskrecji moich oficerów.

– Może nam to zarzucą właśnie te damy?

– Musimy więc zażądać, by z nikim nie rozmawiały.

– Coś takiego... – mruknął Bluza.

– A jakie środki pan zastosuje, by je zmusić, sir? – zainteresował się Clogston. – Przeciwno tym kobietom, które, jak się wszyscy zgodziliśmy, wyrwały pana z paszczy wroga?

Oficerowie mruzcili coś między sobą.

– Majorze Clogston, czy jadł pan obiad? – spytał generał.

– Nie, sir.

– Pułkownik Vester twierdzi, że staje się pan trochę... nie zrównoważony, kiedy nie zje pan posiłku...

– Nie, sir. Staję się drażliwy, sir. Ale wydaje mi się, że w tej chwili pewna drażliwość będzie całkiem na miejscu. Zadałem kapitanowi Strappiemu pytanie, sir.

– Dobrze. Kapitanie, może zechce pan wyjaśnić, co pan robił w zespole werbowniczym? – zapytał ze znużeniem generał.

– Prowadziłem... śledztwo w sprawie pewnego żołnierza, sir. Podoficera. Zwrócono naszą uwagę na nieprawidłowości w jego aktach, a gdzie są nieprawidłowości, tam zwykle trafiamy na działalność wywrotową. Nie chciałbym o tym mówić, sir, gdyż ów sierżant oddał panu pewne przysługi...

– Hrumf! – powiedział głośno generał. – Ta sprawa nie powinna być tu omawiana, jak sądzę.

– Chodzi o to, że według dokumentów kilku oficerów pomagało...

– Hrumf! To nie jest sprawa dla tego sądu! Zgadza się, panowie?

– Oczywiście, sir, tylko że major mnie zapytał, więc ja... – tłumaczył zdumiony Strappi.

– Sugeruję, kapitanie, żeby nauczył się pan znaczenia hrumf! – ryknął Froc.

– No to czego szukałeś, kiedy grzebałeś w naszych rzeczach? – spytała Polly, gdy Strappi

skulił się wystraszony.

– Mmmoja kkkawa! – odezwał się Maladict. – Uuukradłeś mmmoją kkkawę!

– I uciekłeś, kiedy się okazało, że masz iść na front, ty psi futku! – dodała Stukacz. – Polly mówiła, że złałeś się w gacie!

Generał Froc wałnął pięścią w stół, ale Polly zauważyła, że kilku oficerów stara się ukryć uśmiechy.

– Nie są to kwestie interesujące dla niniejszego śledztwa! – oznajmił.

– Chociaż, sir, jedna czy dwie z nich powinny stać się tematem późniejszych śledztw – zauważył pułkownik, siedzący nieco dalej przy stole. – Rzeczy osobiste żołnierzy mogą być przeszukiwane jedynie w ich obecności, generale. Może to się wydawać drobnostką, ale w przeszłości ludzie buntowali się z tego powodu. Czy wierzył pan, kapitanie, że żołnierze ci są kobietami, kiedy pan to robił?

Och, powiedz tak, proszę, powiedz tak, myślała Polly, gdy Strappi się wahał. Bo kiedy dojdziemy do tego, w jaki sposób ci kawalerzyści tak łatwo nas znaleźli, okaże się, że nasłali ich na grupkę borogravianskich dziewcząt. Zobaczymy, jak to zagrasz w Plün! A jeśli nie wiedziałeś, to czemu grzebałeś w naszych rzeczach?

Strappi wołał jednak młot od kowadła. Po dziedzińcu za oknem przetoczył się kamień i kapitan musiał podnieść głos.

– Ja, tego... miałem ogólne podejrzenia wobec nich, bo byli bardzo gorliwe...

– Protestuję, sir! – zawołał Clogston. – Gorliwość u żołnierza nie jest przestępstwem.

– Umiarkowana rzeczywiście nie – przyznał Froc. – I znalazł pan jakieś dowody, kapitanie?

– Znalazłem halkę, sir – oświadczył Strappi, ostrożnie badając sytuację.

– Więc czemu... – zaczął Froc, ale Strappi mu przerwał.

– Przez pewien czas służyłem z kapitanem Wigglesworthem, sir – powiedział.

– I...? – zdziwił się Froc. Siedzący obok oficer pochylił się natychmiast i szepnął mu coś do ucha. – Ach, z tym Wigglesworthem... No tak... Oczywiście. Doskonały oficer. Wielki entuzjasta, ehm...

– Teatru amatorskiego – odpowiedział spokojnie pułkownik.

– Tak, zgadza się. Dobre dla morale są takie występy. Tak. Hrumf.

– Z całym szacunkiem, generale, chyba mogę wskazać wyjście z tej sytuacji – zaproponował inny żołnierz w randze generała.

– Naprawdę, Bob? No dobrze... nie krępuj się. Proszę zaprotokołować, że oddaję głos generałowi Kzupiemu.

– Przepraszam, sir, ale wydawało mi się, że to posiedzenie nie jest protokołowane – przypomniał Clogston.

– Tak, tak, oczywiście, dziękuję, majorze, za wspomnienie mojej pamięci. Jednakże gdybyśmy mieli protokół, to właśnie by się w nim znalazło. Bob?

– Drogie panie... – zaczął generał Kzupi, błyskając uśmiechem. – I oczywiście pan, poruczniku, oraz... – Spojrzał niepewnie na Maladicta, który nieruchomo patrzył mu w oczy. – Oraz pan, sir. – Generał Kzupi jednak nie należał do tych, których gapiący się wampir może wyprowadzić z równowagi. – Przede wszystkim chciałbym, w imieniu nas wszystkich, jak sądzę, wyrazić naszą wdzięczność za naprawdę niesamowite wyczyny, jakich dokonaliście. Wspaniała akcja. Niestety jednak, świat, w którym żyjemy, ma pewne... reguły, co zapewne rozumiecie. Szczerze powiem, kłopot nie polega na tym, że jesteście kobietami. Nie w ścisłym sensie. Ale upieracie się przy rozcłaszaniu, że nimi jesteście. Rozumiecie? Nie możemy się na to zgodzić.

– Chce pan powiedzieć, sir, że gdybyśmy znowu włożyły mundury, dłużyły w nosie, bekały i powtarzały: „Hłe, hłe, nabraliśmy wszystkich”, to byłoby w porządku? – spytała Polly.

– Może ja mógłbym pomóc? – odezwał się inny głos.

Froc spojrzał wzdłuż stołu.

– Ach, to brygadier Stoffer. Tak?

– To wszystko jest piekielnie durne, generale...

– Hrumf – przerwał mu Froc.

– Co takiego powiedziałem? – zdziwił się Stoffer.

– Są wśród nas damy, brygadierze. Na tym właśnie polega kłopot, nieprawdaż...

– Prawda jak szlag! – zawołała Stukacz.

– Rozumiem to, generale. Jednakże oddziałem dowodził mężczyzna, prawda?

– Porucznik Bluza zapewnia mnie, że jest mężczyzną, sir – oświadczył Clogston. – A że jest oficerem i dżentelmenem, wierzę mu na słowo, sir.

– No to problem mamy rozwiązany. Te młode damy mu pomagały. Przemyciły go do twierdzy i tak dalej. Udzielały wsparcia. Według najlepszych tradycji kobiet Borogravii i tak dalej. Wcale nie były żołnierzami! Dajmy temu człowiekowi wielki medal, zrobmy go kapitanem i zapomnijmy o sprawie.

– Przepraszam na moment, generale – rzekł Clogston. – Skonsultuję się z osobami, które nazwałbym oskarżonymi, gdyby ktokolwiek zechciał mnie oświecić co do natury zarzutów.

Podszedł do oddziału.

– To zapewne najlepsza propozycja, na jaką możecie liczyć – powiedział cicho. – Chyba uda mi się wydostać też dla was pieniądze. Co wy na to?

– Przecież to śmieszne – zirytował się Bluza. – One wykazały się wyjątkową odwagą i zdecydowaniem. Bez nich to wszystko byłoby niemożliwe.

– Zgadza się, Bluza. I będziesz mógł to wszędzie powtarzać. Stoffer zaproponował całkiem sprytnie rozwiązanie. Wszyscy dostają to, czego chcieli, a wy macie tylko unikać sugerowania, że gdziekolwiek działaliście jako żołnierze. Dzielne borograviańskie kobiety ruszyły na pomoc walecznemu bohaterowi. To działa. Możecie przyjąć pogląd, że czasy się

zmieniają, a wy pomagacie im zmieniać się szybciej. I jak?

Oddział porozumiał się wzrokiem.

– Mnie to odpowiada, jeśli innym też – odezwała się Kukula.

– Czyli godzisz się mieć dziecko bez męża? – spytała Polly.

– On pewnie i tak nie żyje, kimkolwiek był. – Dziewczyna westchnęła.

– Generał ma wpływy – wtrącił Clogston. – Mógłbym...

– Nie, ja tego nie kupuję – oświadczyła Stukacz. – To takie wredne małe kłamstewko. Do demona z nimi.

– Loft? – rzuciła Polly.

Loft zapaliła zapalnik i patrzyła. Wszędzie potrafiła znaleźć zapalnik.

Rozległ się kolejny łoskot. Wysoko nad nimi.

– Maladict?

– Nniech gggra sssię ttoczy. Mmmówię nnnie.

– A pan, poruczniku? – spytał Clogston.

– To niehonorowe – uznał Bluza.

– Ale jeśli się pan nie zgodzi, może pan mieć kłopoty. Z dalszą karierą.

– Nie wydaje mi się, żebym miał przed sobą karierę, majorze, niezależnie od tego, co się stanie. Nie, nie chcę żyć w kłamstwie. Wiem już, że nie jestem bohaterem. Jestem tylko kimś, kto chciał nim zostać.

– Dziękuję panu, sir – powiedziała Polly. – Nefryt?

– Jeden z tych trollów, co mnie aresztował, uderzył mnie maczugom, no to ja rzuciłam w niego stołem – wyznała Nefryt, wbijając wzrok w podłogę.

– To niewłaściwe traktowanie jeń... – zaczął Bluza.

– Nie, poruczniku – przerwał mu Clogston. – Wiem co nieco o trollach. Są bardzo... fizyczne. Czyli... to dość atrakcyjny chłopak, prawda, szeregowy?

– Mam dobre przeczucia – odparła zarumieniona Nefryt. – I nie chcę być odesłana do domu. I tak nic tam dla mnie nie ma.

– Szeregowy Igor... ina? – spytał Bluza.

– Myślę, że powinniśmy ustąpić – rzekła Igorina.

– Czemu?

– Bo Łazer umiera. – Uniosła dłoń. – Nie, proszę, nie stawajcie przy niej. Niech ma dość powietrza. Nic nie jadła. Nie mogę jej zmusić do wypicia choć odrobiny wody. – Spojrzała podkrążonymi oczami. – Nie wiem, co robić...

– Księżna do niej mówiła – przypomniała Polly. – Wszyscy słyszeliście. I wiecie, co widzieliśmy na dole w krypcie.

– A ja w to wszystko nie wierzę! – rzekła Stukacz. – To jej... umysł. Doprowadzili ją do obłądzenia. Byliśmy tak zmęczone, że mogliśmy zobaczyć cokolwiek. I jeszcze to gadanie, że powinniśmy się dostać do dowództwa! No więc teraz stoimy przed nimi, a jakoś nie widzę

żadnych cudów. Może wy?

– Nie sądzę, żeby ona chciała, żebyśmy ustąpiły – uznała Polly.

Nie.

– Słyszeliście to? – spytała Polly, choć nie była pewna, czy słowo dotarło do niej przez uszy.

– Nie słyszałam – oświadczyła Stukacz. – Wcale tego nie słyszałam.

– Myślę, że nie możemy się zgodzić na taki kompromis – poinformowała majora Polly.

– No to ja też nie – poparła ją natychmiast Kukula. – Ja nie... To nie był.. Przyszłam tylko dlatego, że... Ale... Oczywiście, że jestem z wami. Co oni mogą nam zrobić?

– Prawdopodobnie zamknąć was w więzieniu na bardzo długo – wyjaśnił major. – Teraz traktują was łagodnie...

– Łagodnie? – powtórzyła Polly.

– No... myślą, że traktują was łagodnie. A mogą o wiele gorzej. Jest wojna. Nie chcą wyjść na okrutników, ale Froc nie został generałem dlatego, że jest miły. Musiałem was ostrzec. Nadal odrzucacie propozycję?

Bluza obejrzał się na swoich żołnierzy.

– Tak, majorze.

– To dobrze – odrzekł Clogston i mrugnął.

Dobrze.

Clogston wrócił do stolika i przerzucił papiery.

– Rzekomo oskarżeni, sir, niestety odrzucają ofertę.

– Tak właśnie myślałem, że mogą odrzucić – przyznał Froc. – W takim razie wrócą teraz do celi. Zajmiemy się nimi później. – Tynk posypał się z góry, kiedy znów coś uderzyło w zewnętrzny mur. – Tego już za wiele!

– Nie damy się zamknąć w celi! – krzyknęła Stukacz.

– To bunt! – stwierdził Froc. – A z buntem umiemy sobie radzić.

– Przepraszam, generale – wtrącił Clogston. – Czy to oznacza uznanie przez trybunał faktu, że te damy są żołnierzami?

Generał spojrzał na niego gniewnie.

– Nie próbujcie, majorze, krępować mi rąk proceduralnym nonsensem!

– To wcale nie nonsensem, sir, to zasadniczy...

Unik.

Słowo było najsłabszą, najlżejszą sugestią w umyśle Polly, ale wydawało się bezpośrednio podłączone do jej centralnego systemu nerwowego. I nie tylko jej. Cały oddział pochylił się gwałtownie, a Igorina rzuciła się na ciało pacjentki.

Pół sklepienia się zapadło. Żyrandol runął w dół i rozpadł się w kalejdoskopie strzaskanych kryształów. A potem nastała przynajmniej relatywna cisza, przerywana tylko stuknięciami ostatnich kawałków tynku czy brzękiem spóźnionego odprysku szkła.

Teraz...

Kroki zbliżyły się do wejścia przy końcu sali, gdzie strażnicy dopiero podnosili się z podłogi. Otworzyły się drzwi.

Za nimi stał Jackrum. Jaśniał niczym słońce o zachodzie. Światło odbijało się od godła na czako, wypolerowanego do punktu, w którym mogło oślepić swym strasliwym blaskiem. Sierżant twarz miał czerwoną, ale kurtkę czerwienią, a sierżancka szarfa była czystą czerwienią, samą jej esencją – czerwienią konającego słońca i konających żołnierzy. Krew ściekała z wsuniętych za pas kordów. Strażnicy, wciąż oszołomieni, próbowali opuścić piki, by zagrozić mu drogę.

– Nawet nie próbujcie, chłopcy – powiedział Jackrum. – Słowo honoru, nie jestem facetem skłonny do przemocy, ale czy wam się zdaje, że sierżant Jackrum da się zatrzymać zestawem głupich sztuców?

Żołnierze spojrzeli na Jackruma, z trudem powstrzymującego wybuch wściekłości, potem na zdumionych generałów – i podjęli decyzję z własnej rozpaczliwej inicjatywy.

– Dobrze chłopaki – pochwalił Jackrum. – Za pańskim pozwoleniem, generale Froc.

Nie czekał na odpowiedź, ale pomaszerował naprzód krokiem godnym placu defilad. Buty aż trzasnęły, kiedy stanął na baczność przed oficerami, wciąż jeszcze strzepującymi tynk z mundurów. Zasalutował z precyzją semafora.

– Chcę zameldować, sir, że opanowaliśmy główną bramę, sir! Pozwoliłem sobie uformować grupę szturmową z Piersi i Tyłków, Prawem i Lewem oraz Z Boku na Boków, zobaczyłem wielką chmurę płomieni i dymu nad twierdzą i dotarłem do bramy, akurat kiedy znaleźli się tam pańscy chłopcy, sir. Wzięliśmy ich z obu stron, sir!

Ze wszystkich stron zabrzmiały oklaski, a generał Kzupi pochylił się do Froca.

– Wobec tak radosnego rozwoju wydarzeń, sir, może należałoby się pospieszyć i zakończyć tę...

Froc uciszył go gestem.

– Jackrum, ty stary opryszku – powiedział i oparł się wygodnie. – Słyszałem, że nie żyjesz. Jak się miewasz, do demona?

– Sprawny i gotów do walki, sir! – odparł Jackrum. – Wcale nie zginąłem, wbrew nadziejom niektórych!

– Miło mi to słyszeć. Ale choć zawsze z przyjemnością oglądam twoją rumianą gębę, zebraliśmy się tutaj...

– Czternaście mil pana niosłem, sir! – zahuczał Jackrum. Pot ściekał mu po twarzy. – Wyciągnąłem panu strzałę z nogi. Posiekałem tego demonicznego kapitana, który ciął pana toporem w twarz, sir, i z satysfakcją stwierdzam, że blizna całkiem dobrze wygląda. Zabiłem tego biednego wartownika, tylko żeby ukraść jego manierkę z wodą dla pana, sir. I dla pana spoglądałem na jego konającą twarz. Nigdy nie prosiłem o nic w zamian, sir. Prawda, sir? Froc roztarł podbródek i uśmiechnął się lekko.

– Chyba sobie przypominam drobną sprawę poprawienia kilku szczegółów, zmiany kilku dat... – wymruczał.

– Z całym szacunkiem, sir, niech pan mi tu nie zalewa takimi pomyjami! To nie było dla mnie, ale dla armii! Dla księżnej, sir. I owszem, widzę przy tym stole jeszcze kilku dżentelmenów, którzy wyświadczili mi podobną przysługę. Dla księżnej! A gdyby miał mi pan zostawić tylko jeden miecz, i tak stanę przeciwko dowolnemu żołnierzowi z pańskiej armii, choćby był nie wiem jak młody i pełen musztardy!

Jednym ruchem wyrwał kord zza pasa i uderzył w dokumenty między dłońmi Froca. Ostrze wbiło się w blat i tam już pozostało.

Froc nawet nie drgnął. Podniósł tylko głowę i powiedział spokojnie:

– Choć jesteście bohaterem, sierżancie, obawiam się jednak, że tym razem posunęliście się za daleko.

– Czy na pełne czternaście mil, sir? – spytał Jackrum.

Przez moment w ciszy było słycać tylko gasnącą wibrację kordu. Froc odetchnął.

– No dobrze – rzekł. – O co chcecie prosić, sierżancie?

– Stoją przed panem moi chłopaczkowie, sir. Słyszałem, że mają drobne kłopoty, sir!

– Te dziewczęta, sierżancie, mają być zatrzymane w bezpiecznej celi, sierżancie. Pole bitwy to nie jest dla nich właściwe miejsce. I taki wydałem rozkaz, sierżancie.

– Powiedziałem im, kiedy podpisywali, sir, tak im powiedziałem: Gdyby ktoś was próbował wyciągnąć, to będzie musiał ciągnąć i mnie, sir!

Froc kiwnął głową.

– To bardzo lojalna postawa, sierżancie, i bardzo do was pasuje. Mimo to...

– Posiadam też informacje kluczowe dla tej sprawy, sir. Jest coś, o czym muszę panu powiedzieć, sir!

– No to na co czekasz, człowieku? Nie mamy całego...

– To wymaga, by niektórzy z was, panowie, opuścili tę salę – odparł zdesperowany Jackrum. Wciąż stał na baczność, wciąż salutował.

– Prosisz o zbyt wiele, Jackrum – odarł Froc. – To lojalni oficerowie jej łaskawości!

– Nie wątpię, sir! Słowo honoru daję, że nie lubię plotek, sir, ale to, co wiem, ujawnię tym, których wybrałem, albo całemu światu! Są sposoby, by to uczynić, sposoby paskudne i nowomodne! Pański wybór, sir!

Froc zaczerwienił się i wstał gwałtownie.

– Naprawdę poważnie mi grozisz, że byś...

– To moja sławna ostatnia walka, sir! – Jackrum znów zasalutował. – Zwycięstwo albo śmierć!

Wszyscy patrzyli na Froca. Generał się uspokoił.

– No dobrze. Wysłuchanie was, sierżancie, nie może przecież zaszkodzić. Bóg świadkiem, że na to zasłużyliście. Tylko się spieszcie.

– Dziękuję, sir.

– Ale spróbujcie tego znowu, a wpadniecie w największy wychodek, jaki możecie sobie wyobrazić.

– Nie ma zmartwienia, sir! Nie przepadam za wychodkami! Teraz, za pańskim pozwoleniem, wskażę pewnych oficerów...

Stanowili mniej więcej połowę obecnych. Wstali z większymi czy mniejszymi protestami, ale wstali pod szafirowym spojrzeniem Froca. Wyszli na korytarz.

– Protestuję, generale! – zawołał przechodzący pułkownik. – Wyrzuca się nas z pokoju jak nieposłuszne dzieci, gdy tymczasem te... te kobiety...

– Tak, tak, Rodney. Jeśli nasz przyjaciel sierżant nie potrafi tego wściekle dobrze wytłumaczyć, osobiście ci go przekażę, byś ustalił szczegóły kary – obiecał Froc. – Ale jeśli ktokolwiek, to przede wszystkim on ma prawo do swej ostatniej szaleńczej szarży. Wyjdź, proszę, bądź dobrym kolegą i pilnuj tej wojny, dopóki nie dołączymy. Skończyliście ten dziwaczny spektakl, sierżancie? – dodał, kiedy wyszedł ostatni z oficerów.

– Jeszcze jedno, sir – rzekł Jackrum i podszedł do wartowników.

Stali już na baczność, a mimo to zdołali baczyć jeszcze bardziej.

– Wy, chłopcy, pilnujcie za drzwiami – powiedział sierżant. – Nikomu nie wolno się zbliżyć, rozumiecie. I wiem, chłopcy, że nie będziecie podsłuchiwać, a to z powodu tego, co bym wam zrobił, gdybym to kiedyś odkrył. Biegiem marsz, hop, hop, hop!

Zamknął za nimi drzwi i atmosfera się zmieniła. Może szczęk zamka dał sygnał: „To jest nasza tajemnica”, a wszyscy obecni poczuli się do niej dopuszczeni.

Jackrum zdjął swoje czako i ostrożnie położył na stole przed generałem. Potem ściągnął kurtkę i oddał ją Polly.

– Trzymaj, Perks. To własność jej łaskawości!

Podwinął rękawy. Poluzował gigantyczne czerwone szelki. A potem, ku przerażeniu, chociaż nie zdziwieniu Polly, wyjął pakiet swojego paskudnego tytoniu do żucia i poczerniały scyzoryk.

– Tego już... – zaczął jakiś major, ale kolega uciszył go szturchnięciem.

Nigdy jeszcze człowiek odcinający porcję czarnego tytoniu nie był obiektem takiej skupionej, zafascynowanej uwagi.

– Sprawy na zewnątrz idą dobrze – powiedział Jackrum. – Szkoda, że was tam nie ma, co? No, ale prawda też jest ważna. I dlatego zebrał się ten trybunał, nie mam wątpliwości. Musi być ważna ta prawda, inaczej by was tu nie było, mam rację? Pewnie że mam.

Zakończył cięcie, wsunął tytoń do ust i ułożył go wygodnie pod policzkiem. Z zewnątrz dochodziły odgłosy bitwy. Jackrum odwrócił się i podszedł do majora, który przed chwilą się odezwał. Oficer skulił się trochę na krześle.

– Co ma pan do powiedzenia na temat prawdy, majorze Derbi? – zapytał Jackrum swobodnym tonem. – Nic? No a co ja mogę powiedzieć? Co powiem o kapitanie, który na

widok kolumny Złobenców odwrócił się i uciekł z płaczem, porzucając własnych żołnierzy? Czy mam powiedzieć, jak stary Jackrum go przewrócił, przyłożył parę razy i napełnił serce bojaźnią... Jackrumową, a ów kapitan wrócił i odniósł tego dnia wspaniałe zwycięstwo nad dwoma przeciwnikami, z których jeden krył się w jego własnej głowie? A potem, pijany walką, powiedział może Jackrumowi więcej, niż powinien...

– Ty draniu! – szepnął major.

– Czy powiem dzisiaj prawdę... Janet? – spytał Jackrum.

Odgłosy bitwy zabrzmiały nagle o wiele głośniejsze. Wlewały się do sali jak woda, pędząca, by wypełnić otwór w dnie oceanu. Jednak wszystkie dźwięki świata nie wypełniłyby tej naglej, straszliwej ciszy. Jackrum podszedł do kolejnego oficera.

– Miło tu pana zobaczyć, pułkowniku Sourdutte – powiedział uprzejmie. – Oczywiście, kiedy służyłem pod pana komendą, był pan tylko porucznikiem Sourdutte. Dzielny był z pana chłopak, kiedy prowadził nas pan do ataku na ten oddział z Kopelies. Potem oberwał pan brzydkie cięcie w tumulcie, albo trochę powyżej, ale wyciągnąłem pana za pomocą rumu i zimnej wody. I odkryłem, że chociaż dzielny, chłopakiem jednak pan nie jest. Och, strasznie dużo pan mówił w gorączkowym delirium... Owszem, tak. Taka jest prawda... Olgo.

Przeszedł za stół i ruszył za plecami oficerów. A ci, których mijał, patrzyli nieruchomo przed siebie, nie śmiejąc wykonać żadnego ruchu, który zwróciłby jego uwagę.

– Można powiedzieć, że wiem coś o was wszystkich – mówił sierżant. – Całkiem sporo o niektórych, akurat dosyć o większości. O kilku z was, cóż, mógłbym pewnie napisać książkę.

Zatrzymał się za Frokiem, który zeszywniał.

– Jackrum, ja...

Sierżant położył mu ręce na ramionach.

– Czternaście mil, sir. Dwie noce, bo za dnia się chowaliśmy, a było aż gęsto od patroli. Fatalnie był pan pocięty, nie ma co, ale założę się, sir, że miał pan u mnie lepszą opiekę niż u jakichkolwiek konowałów. – Pochylił się, aż jego usta znalazły się przy uchu generała. I mówił dalej scenicznym szeptem. – Czy zostało coś jeszcze, czego o tobie nie wiem? A teraz... czy rzeczywiście szukasz prawdy... Mildred?

Sala zmieniła się w muzeum figur woskowych. Jackrum splunął na podłogę.

– Niczego nie udowodnicie, sierżancie – oświadczył Froc ze spokojem lodowca.

– No owszem, właściwie nie. Ale ciągle ktoś mi powtarza, że to już nowy świat, sir. Właściwie nie potrzebuję dowodu. Znam człowieka, który wysłucha tej historii, by ją przekazać. I po paru godzinach jego przekaz dotrze do Ankh-Morpork.

– Jeśli wyjdzie pan żywy z tej sali – odezwał się głos. Jackrum uśmiechnął się najbardziej nieprzyjemnym uśmiechem i niczym lawina ruszył w stronę źródła groźby.

– Aha... Tak myślałem, że jedna z was tego spróbuje, Chloe, ale widzę, że jakoś nie awansowałaś powyżej majora. Nic dziwnego, bo zawsze usiłujesz blefować, choć nie masz w ręku żadnej karty. Owszem, niezła próba. Tylko że po pierwsze, odeślę cię do kostnicy, zanim

jeszcze wartownicy tu przybiegną, słowo honoru daję. A po drugie, nie masz pojęcia, co gdzie zapisałem i kto jeszcze wie. W takim czy innym czasie uczyłem was wszystkie, dziewczęta, a część waszego sprytu, część musztardy, część rozumu... macie ode mnie. Zgadza się? Więc niech żadna nie myśli, że zdoła mnie przechytrzyć, bo jeśli idzie o chytrą, to jestem Panem Lisem.

– Sierzancie, sierzancie... – odezwał się Froc ze znużeniem. – Czego właściwie chcecie?

Jackrum zakończył obchód i znów stanął naprzeciw generała, jak człowiek przed swymi sędziami.

– Niech mnie demony porwą – rzekł cicho, spoglądając na rząd twarzy. – Nie wiedziałyście, prawda? Nie wiedziałyście... Czy jest wśród was... czy jest ktoś, kto wiedział? Myślałyście, każda z was, bez wyjątku, że jest całkiem sama. Zupełnie. Biedactwa. Spójrzcie teraz na siebie. Stanowicie ponad jedną trzecią sztabu generalnego tego kraju. Osiągnęłyście to samodzielnie, drogie panie. A do czego byście doszły, gdybyście działały ra...

Zatrzymał się, a potem zrobił krok w stronę Froca, który przyglądał się rozrąbanym papierom.

– Ile ich zauważyłaś, Mildred?

– Raczej „generale”, sierzancie. Nadal jestem generałem, sierzancie. Wystarczy zresztą „sir”. A odpowiedź brzmi: Jedną, może dwie, sierzancie.

– I awansowałaś je, jeśli były tak dobre jak mężczyźni?

– Absolutnie nie, sierzancie. Za kogo mnie bierzecie? Awansowałam je, jeśli były lepsze od mężczyzn.

Jackrum rozłożył szeroko ręce jak cyrkowiec na arenie zapowiadający kolejny numer.

– A co pan powie na chłopców, których przyprowadziłem, sir? Taka dziarska grupa, jakiej dawno nie oglądałem. – Popatrzył przekrwionymi oczami na siedzących przy stole. – A potrafię ocenić chłopaka, jak wszyscy dobrze wiecie. Przyniosą chwałę pańskiej armii, sir!

Froc spojrzała na kolegów po obu stronach. Niewypowiedziane pytanie sprowokowało bezgłośnie odpowiedzi.

– No tak – powiedziała. – W świetle nowych wydarzeń wszystko wydaje się jasne. Kiedy młodzi chłopcy, jeszcze bez zarostu, przebijają się za dziewczęta, nic dziwnego, że może wyniknąć zamieszanie. I z tym właśnie mamy do czynienia, sierzancie. Zwykle zamieszanie. Pomyłone tożsamości. Wiele hałasu, trzeba przyznać, o nic. Wyraźnie są to przecież chłopcy. Mogą teraz wrócić do domu po honorowym zwolnieniu ze służby.

Jackrum parsknął, wysunął dłoń wnętrzem do góry i pomachał palcami jak człowiek, który się targuje. I znowu nastąpiło połączenie umysłów.

– Dobrze. Jeśli chcą, mogą nadal służyć w armii – ustąpiła Froc. – Przy zachowaniu dyskrecji, naturalnie.

– Nie, sir!

Polly popatrzyła na Jackruma i dopiero wtedy sobie uświadomiła, że słowa te padły z jej

ust.

Froc uniosła brwi.

– Przypomnij, jak się nazywasz...

– Kapral Perks, sir! – Polly zasałutowała.

Patrzyła, jak twarz Froc przybiera wyraz wzgardliwej pobłażliwości. Jeśli powie teraz „moja droga”, chyba zacznę kląć, pomyślała.

– Cóż, moja droga...

– Nie pani droga, sir albo madame. – W teatrze duszy Polly gospoda Pod Księżną płonęła i zmieniała się w żużel, złuszczało się dawne życie, czarne jak węgiel drzewny, a ona pędziła jak pocisk, za szybko, za wysoko, i nie potrafiła się zatrzymać. – Jestem żołnierzem, generale. Podpisałam kontrakt. Pocałowałam księżną. Nie wydaje mi się, żeby generałowie zwracali się do żołnierzy „moja droga”, prawda?

Froc odchrząknął. Uśmiech pozostał, miał jednak dość przyzwoitości, by być bardziej powściągliwy.

– A szeregowi żołnierze nie zwracają się w ten sposób do generałów, panienko, prawda? Więc może pominiemy tę sprawę.

– Tutaj, w tym pokoju, nie wiem, co jest pomijane, a co pozostaje – rzekła Polly. – Ale wydaje mi się, że jeśli pani nadal jest generałem, to ja nadal jestem kapralem, sir. Nie mogę mówić w imieniu pozostałych, lecz ja nie chcę ustąpić dlatego, generale, że pocałowałam księżną, że ona wiedziała, kim jestem i... nie odwróciła się, jeśli pani rozumie, sir.

– Dobrze powiedziane, Perks – pochwalił Jackrum.

Polly brnęła dalej.

– Sir, gdybym parę dni temu uratowała swojego brata, wróciłabym do domu i uznała, że dobrze się spisałam. Zależało mi na bezpieczeństwie. Ale teraz widzę, że nie ma żadnego bezpiecznego miejsca, dopóki trwa to... ta głupota. Dlatego myślę, że muszę zostać i wziąć w tym udział. Postarać się, by uczynić to mniej głupim. I chcę być sobą, nie Oliverem. Pocałowałam księżną. Jak my wszystkie. Nie powie nam pani, że nie albo że to się nie liczy, bo to sprawa między nią a nami...

– Wszystkie pocałowałyście księżną – odezwał się głos. I miał... echo.

Wszystkie pocałowałyście księżną...

– Myślałyście, że to bez znaczenia? Że to zwykły całus?

Myślałyście, że to bez znaczenia...

...zwykły całus...

Szeptane słowa odbijały się od ścian jak fala przyboju i wracały silniejsze, harmonijne.

Wszystkie całus bez znaczenia całus myślałyście całus znaczenia całus...

Łazer stała. Oddział patrzył skamieniały, jak mija je chwiejnym krokiem. Podeszła do Polly.

– Jak dobrze jest znów nosić ciało – powiedziała. – I oddychać. Oddychanie jest

cudowne.

Jak dobrze...

Oddychać cudowne ciało znowu oddychanie...

W twarzy Łazer było coś niezwykłego. Jej rysy się nie zmieniły, pozostały całkiem zwyczajne. Nos tak samo spiczasty i zaczerwieniony, policzki tak samo zapadnięte... Ale pojawiły się też subtelne zmiany.

Uniosła dłoń i zgięła palce.

– Aha... – powiedziała. – Więc...

Tym razem nie było echa, a głos wydawał się silniejszy i głębszy. Nikt nigdy by nie powiedział, że głos Łazer jest atrakcyjny, ale ten był. Podeszła do Jackruma, który osunął się na tłuste kolana i zerwał czako.

– Sierżancie Jackrum, wiesz, kim jestem. Brodziłeś dla mnie po morzach krwi. Może powinniśmy inaczej ułożyć twe życie, ale twoje grzechy to grzechy żołnierza, w dodatku nie z tych najgorszych. Awansujesz więc na sierżanta sztabowego, bo lepszego kandydata nie spotkałam. Jesteś zaprawiony w chytrości, sprycie i przypadkowych występkach, sierżancie Jackrum. Dobrze sobie poradzisz.

Jackrum, ze spuszczonego wzrokiem, dotknął dłonią czoła.

– Nie jestem godny, wasza łaskawość...

– Oczywiście, że nie. – Księżna się rozejrzała. – Gdzie jest moja armia... aha...

W głosie nie pozostał nawet ślad echa, zniknęło gdzieś przygarbienie i spuszczonego wzroku Łazer. Księżna stanęła przed Frokiem, który rozdziawiał usta.

– Generale Froc, musisz uczynić mi jeszcze jedną przysługę.

Generał spoglądał ponuro.

– Kim ty jesteś, u demona?

– Czy musisz pytać? Jackrum jak zawsze myśli szybciej od ciebie. Znasz mnie. Jestem księżną Annagovią.

– Ale przecież... – zaczął któryś z oficerów, lecz Froc uniosła rękę.

– Ten głos... jest znajomy – powiedziała cicho.

– Tak. Pamiętasz bal. Ja też go pamiętam. Czterdzieści lat temu. Byłeś najmłodszym kapitanem w historii. Tańczyliśmy, ja dość sztywno. Zapytałam, jak długo jesteś kapitanem, a ty odpowiedziałeś...

– Trzy dni... – szepnęła Froc, zaciskając powieki.

– Jedliśmy poduszcзки z brandy, piliśmy koktajl, który nazywał się, o ile pamiętam...

– Łzy anioła – dokończyła Froc. – Wciąż mam menu, wasza łaskawość. I karnet.

– Tak – zgodziła się księżna. – Zachowałeś je. A kiedy stary generał Scaffer cię odprowadzał, powiedział: „Będiesz mógł o tym opowiadać wnukom, mój chłopcze”. Ale byłeś... tak oddany, że nigdy nie miałeś dzieci... mój chłopcze...

... mój chłopcze... mój chłopcze...

– Widzę tu bohaterów! – Księżna spojrzała na zebranych oficerów. – Wszyscy poświęciliście... wiele. Ale żądam jeszcze więcej. O wiele więcej. Czy jest między wami ktoś, kto dla mojej pamięci nie zginie w bitwie? – Popatrzyła wzdłuż rzędu stołów. – Nie. Widzę, że nie. Ale teraz chcę, żebyście zrobili to, co ignoranci mogą uznać za łatwiejsze. Musicie powstrzymać się od ginięcia w bitwach. Zemsta niczego nie przywróci. Zemsta to koło, które obraca się do tyłu. Martwi nie są waszymi panami.

– Czego chcesz ode mnie, pani? – wykrztusiła Froc.

– Wezwij swoich oficerów. Zawrzyj pakt, jakie są teraz konieczne. To ciało, to biedne dziecko, poprowadzi cię. Jestem słaba, ale mogę przemieszczać małe obiekty. Może myśli. Pozostawię jej coś... światło w oczach, ton głosu. Idźcie za nią. Musicie dokonać inwazji.

– Oczywiście. Ale jak...

– Musicie dokonać inwazji na Borogravię! W imię normalności, musicie wracać do domów. Nadchodzi zima, ufne zwierzęta nie są karmione, starzy ludzie umierają z zimna, kobiety noszą żałobę, kraj się rozpada. Walczcie z Nugganem, ponieważ jest teraz niczym, jest tylko zatrutym echem waszej ignorancji, małostkowości i złośliwej głupoty. Poszukajcie sobie godniejszego boga. I pozwólcie... mi... odejść! Wszystkie te modlitwy, wszystkie błagania... do mnie! Zbyt wiele złożonych rąk, które wysiłkiem i wytrwałością mogłyby lepiej na te modlitwy odpowiedzieć. Kim byłam? Tylko dość głupią kobietą, kiedy żyłam. Ale wierzyliście, że czuwam nad wami, że was słucham... Więc musiałam, musiałam słuchać, wiedząc, że nie ma pomocy... Chciałabym, by ludzie bardziej uważali na to, w co wierzą. Ruszajcie. Przed wami inwazja na jedyne miejsce, którego nigdy nie podbiliście. Te kobiety pomogą... Bądźcie z nich dumni. I abyście nie przekreśliли moich słów, byście nie wątpili... pozwólcie, że przed odejściem zwrócę wam dar. Pamiętajcie. Pocałunek.

...pocałunek...

...pocałunek pocałunek zwrócę pocałunek...

...pamiętajcie...

Jak jedna kobieta, jak jeden mąż, wszyscy w sali z wahaniem sięgnęli do lewych policzków. A Łazer osunęła się bardzo powoli, delikatnie jak westchnienie.

Froc odezwała się pierwsza.

– To było... Musimy chyba...

Zająknęła się i umilkła.

Jackrum wstał, otrząsał swoje czako, wcisnął je sobie na głowę i zasalutował.

– Mogę coś powiedzieć, sir?

– Wielkie nieba, Jackrum! – odparła Froc z roztargnieniem. – W takiej chwili? No dobrze...

– Jakie są pańskie rozkazy, sir?

– Rozkazy? – Froc zamrugła i rozejrzała się niepewnie. – Rozkazy, rozkazy... Tak. Przecież jestem dowódcą, mogę poprosić... Tak, mogę poprosić o rozejm, sierżancie...

– Sierżancie sztabowy, sir! – poprawił ją Jackrum. – Słuszna decyzja, sir! Zorganizuję gońca do sprzymierzonych!

– Przypuszczam, że biała flaga byłaby...

– Zrobione, sir. Proszę zdać się na mnie, sir. – Od Jackruma wręcz była skuteczność działania.

– Tak, oczywiście... Ehm... Zanim przejdziemy dalej... panie i panowie, ja... tego... niektóre z rzeczy, jakie zostały tu powiedziane... Cała ta sprawa kobiet zaciągających się jako... kobiety... – Froc znowu, jakby zdumiona, uniosła dłoń do policzka. – Będą serdecznie witane. Pozdrawiam je. Ale dla tych z nas, które przyszły wcześniej, może jeszcze... jeszcze nie nadszedł czas. Rozumiecie?

– Co? – zdziwiła się Polly.

– Gęby na kłódkę, sir! – oświadczył Jackrum. – Może pan na mnie polegać, sir. Oddział kapitana Bluzy... bacność! Otrzymacie mundury! Na boga, nie możecie ciągle chodzić przebrani za praczki!

– Jesteśmy żołnierzami? – upewniła się Polly.

– Oczywiście, inaczej bym na was nie wrzeszczał, nieżnośna pannico! Świat stanął na głowie! A jest trochę ważniejszy od was, nie? Masz to, o co ci chodziło, nie? To teraz złap jakiś mundur, zorganizuj sobie czako i przynajmniej wytrzymaj twarz! Zaniesiesz wrogom formalną propozycję rozejmu!

– Ja, sierżancie?

– Zgadza się! Jak tylko oficerowie napiszą oficjalny list. Stukacz, Loft... Poszukajcie, czy znajdziecie dla Perks jakieś łachy. Perks, nie daj się zastraszyć, graj twardziela. Reszta, zwijać się i czekać.

– Sierżancie Jackrum, znaczy: sierżancie sztabowy... – zaczął go Bluza.

– Tak, sir?

– Nie jestem kapitanem, wiecie...

– Nie? – Jackrum wyszczerzył się w uśmiechu. – Może pan to zostawić Jackrumowi. Zobaczymy, co dzień przyniesie, prawda? To drobiazg, sir. Na pańskim miejscu, sir, pozbyłbym się tej sukienki.

Jackrum odmaszerował z wypiętą piersią, czerwoną jak u gila i dwa razy bardziej niebezpieczną. Krzyczał na ordynansów, dręczył wartowników, salutował oficerom... I wbrew wszystkiemu, z czerwonej od żaru stali paniki wykuł klingę celowości. Był sierżantem sztabowym w sali pełnej zagubionych rupertów, i był tym zachwycony bardziej niż terier w becze ze szczurami.

Przerwanie bitwy jest o wiele trudniejsze niż jej rozpoczęcie. Rozpoczęcie wymaga tylko, żeby ktoś krzyknął „Naprzód!”. Ale kiedy chce się ją przerwać, wszyscy są bardzo zajęci.

Polly czuła, jak rozchodzą się wieści: To dziewczyny! Biegający tam i z powrotem

adiutanci przyglądali się im, jakby były dziwnymi owadami. Ciekawe, ile z nich Jackrum przeoczył. Ciekawe...

Pojawiały się elementy munduru. Nefryt zdobyła pasujące spodnie – znalazła kancelistę wzrostu Polly, podniosła w górę i ściągnęła je z niego. Zorganizowano kurtkę. Loft ukradła nawet czako odpowiedniego rozmiaru i do połysku wypolerowała rękawem odznakę. Polly zapinała właśnie pas, kiedy zauważyła postać na drugim końcu sali. Zupełnie o nim zapomniała.

Idąc już, dociągnęła pas i przecisnęła skórę przez klamrę. Potem ruszyła szybciej, manewrując między grupami ludzi. Strappi zauważył ją, ale było już za późno. Nie miał drogi odwrotu, chyba że by uciekł, ale przecież kapitanowie nie uciekają przed kaprałami. Stał więc w miejscu jak królik zahipnotyzowany przez podchodzącą lisicę. Kiedy była już blisko, uniósł dłonie.

– Spokojnie, Perks. Jestem kapitanem i wypełniałem obowiązki... – zaczął.

– A myślisz, że długo zachowasz tę rangę... sir? – syknęła. – Kiedy już powiem generałowi o naszym drobnym konflikcie? I jak nasłałeś na nas księcia Heinricha? Jak się znęcałeś nad Łazer? I co z moimi włosami, ty lepka, nędzna namiastko mężczyzny? Kukuła jest lepszym mężczyzną od ciebie, chociaż jest w ciąży!

– Och, wiedzieliśmy, że kobiety dostają się do wojska – zapewnił Strappi. – Nie mieliśmy tylko pojęcia, jak głęboko sięga zgnilizna...

– Zabrałeś moje włosy, bo myślałeś, że coś dla mnie znaczą. No więc możesz je sobie zatrzymać! Wyrosną mi nowe i nikt mi w tym nie przeszkodzi, rozumiesz? Aha, i coś jeszcze. Oto jak głęboko sięga zgnilizna!

Nie spoliczkowała go, lecz wyrznęła w głębie tak, że aż się potoczył. Ale był Strappim, więc podniósł się chwiejnie i mściwie wrzasnął:

– Uderzyła starszego stopniem!

Odwróciło się kilka głów. Ludzie spojrzeli na Strappiego. Spojrzeli na Polly. A potem z uśmiechami wrócili do pracy.

– Na twoim miejscu bym uciekła – doradziła Polly.

Odwróciła się na pięcie, czując żar jego bezsilnej wściekłości.

Miała właśnie pójść do Nefryt i Maladicta, kiedy ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła się błyskawicznie.

– Co? Och... Przepraszam, majorze Clogston.

Czuła, że jeśli po raz drugi stanie przed Strappim, nie obejdzie się bez morderstwa. A to sprowadzi na nią kłopoty, nawet teraz.

– Chciałbym ci podziękować za bardzo interesujący dzień – rzekł major. – Robiłem, co mogłem, ale chyba wszyscy zostaliśmy zdeklasowani.

– Dziękuję, sir – odpowiedziała Polly.

– To była przyjemność, kaprału – zapewnił Clogston. – Z zaciekawieniem i zazdrością

będę śledził twoją przyszłą karierę. Gratulacje. A że protokół tutaj zwisa sobie i powiewa, pozwól, że uścisknę ci dłoń.

Podali sobie ręce.

– Muszę teraz wracać do swoich obowiązków – rzekł Clogston, kiedy zjawiała się Nefryt z płachtą na kiju. – Aha, przy okazji... Mam na imię Christine. I wiesz, wątpię, czy potrafię znów się przyzwyczaić do noszenia sukienki.

Do eskorty wybrano Maladicta i Nefryt. Trolle dlatego, że trolle zawsze wzbudzają szacunek, a wampira dlatego, że wampiry go wymagają. Kiedy łokciami torowali sobie drogę przez zatłoczone korytarze, słyszeli stęknienia i wiwaty, ponieważ wieści dotarły już wszędzie. To kolejny powód, by zabrać Nefryt – trolle umieją się przepychać.

– No dobrze – rzekł Jackrum, zamykający tyły. – U stóp tych schodów są drzwi, a za nimi terytorium nieprzyjaciela. Najpierw wsuń tam białą flagę. To taka wskazówka dotycząca bezpieczeństwa.

– Nie może pan iść z nami, sierżancie?

– Kto? Ja? Jest tam parę osób, które strzeliłyby do mnie, nie dbając o żadne białe flagi. Ale ty się nie przejmuj. Wiadomość poszła.

– Jaka wiadomość, sierżancie?

Jackrum schylił się jej do ucha.

– Nie będą strzelać do dziewczyny, Perks.

– Powiedział im pan?

– Uznajmy po prostu, że wieści szybko się rozchodzą. Wykorzystaj przewagę. A ja poszukam twojego brata, zanim wrócisz, słowo honoru daję! Aha, jeszcze coś... Spójrz na mnie, Perks...

Polly odwróciła się w zatłoczonym, ciasnym korytarzu. Jackrumowi błyszczały oczy.

– Wiem, że mogę ci ufać, Perks. Ufam ci, jak zaufałbym sam sobie. Życzę ci szczęścia. I wykorzystaj to jak najlepiej. Pocałunki nie wystarczają na długo.

Nie mógł tego powiedzieć wyraźniej, uznała Polly. Uzbrojeni wartownicy przy drzwiach przepuścili ich naprzód.

– Trzymajcie się ścian, drogie panie. I spieszcie się z tą szmatą.

Rozwarły się ciężkie wrota. Kilka strzał odbiło się od muru i wirując w powietrzu, poleciało dalej korytarzem. Kolejna przebiła białą flagę, którą Polly machała desperacko. W końcu rozległy się dalekie krzyki, potem brawa.

– Dobra, ruszajcie! – Wartownik pchnął ją naprzód.

Wyszła na jaskrawe światło dnia. Dla pewności kilka razy machnęła jeszcze flagą nad głową. Ludzie stali na dziedzińcu i na blankach dookoła. Były też trupy.

Kapitan w przesiąkniętym krwią mundurze przekroczył ciało zabitego i wyciągnął rękę.

– Możecie oddać je mnie, żołnierzu – powiedział.

– Nie, sir. Muszę dostarczyć pismo komendantowi i poczekać na odpowiedź.

– Więc dajcie mi je, żołnierzu, a ja przyniosę wam odpowiedź. W końcu to wy się poddaście.

– Nie. Tu chodzi o rozejm. To nie to samo. Muszę przekazać pismo osobiście, a pan nie stoi dostatecznie wysoko. – Przyszło jej coś do głowy. – Żądam spotkania z komendantem Vimesem!

Kapitan rzucił jej niechętnie spojrzenie, a potem przyjrzał się uważniej.

– Czy jesteś jedną z tych...?

– Tak – odparła Polly.

– Zakuliście ich w łańcuchy i wyrzuciliście klucz?

– Tak – przyznała Polly. Czowała, że życie zaczyna się jej przewijać przed oczami.

– Musieli kicać całe mile, w kajdanach, ale za to bez ubrań?

– Tak!

– I jesteś tylko... kobietą?

– Tak. – Polly postanowiła chwilowo pominąć milczeniem to „tylko”.

Kapitan pochylił się i przemówił, usiłując nie poruszać wargami:

– Doła rołota. Zuchy. Czas, zęły ktoś wreszcie dołożył tełu aroganckiełu dranioł! – Wyprostował się. – A zatem do komendanta Vimesa. Proszę za mną...

Kiedy szli przez centralną część twierdzy, Polly czuła na sobie spojrzenia setek oczu. Usłyszała kilka gwizdów, ponieważ było tu więcej żołnierzy, w tym kilka trolli. Nefryt schyliła się, chwyciła kamień i cisnęła w jednego. Trafiła prosto między oczy.

– Spokój! – Maladict zamachał nerwowo, gdy setka żołnierzy uniosła broń. – To była trollowa wersja przesłania całusa!

I rzeczywiście, trafiony troll machał do Nefryt, choć odrobinę niepewnie.

– Możemy na razie przerwać te miłosne igraszki? – zaapelowała Polly. – Mogą to źle zrozumieć.

– Ale przestali gwizdać – zauważył Maladict.

Coraz więcej ludzi przyglądało się, jak pokonują kolejne partie kamiennych schodów. Polly widziała teraz, że nie da się zdobyć tej budowli. Każde schody były widoczne z góry, do każdego przybysza można było wymierzyć, zanim on sam cokolwiek zobaczy.

Kiedy dotarli na kolejne piętro, z cienia wynurzyła się jakaś postać. Była to młoda kobieta w staroświeckim pancerzu ze skóry i kolczugi, z napierśnikiem. Miała długie, bardzo jasne włosy i po raz pierwszy od wielu dni Polly poczuła ukłucie zazdrości.

– Dziękuję, kapitanie, przejmę ich od tego miejsca – powiedziała i skinęła Polly głową. – Dobry wieczór, kaprału Perks. Proszę za mną.

– To kobieta! I jest sierżantem! – szepnął Maladict.

– Tak, widzę.

– Ale ona wydała rozkaz temu kapitanowi!

– Może jest politrukiem...

– Ale jest bardzo wyraźnie kobietą!

– Nie jestem ślepa, Mal – odparła Polly.

– A ja nie jestem też głucha. – Kobieta obejrzała się z uśmiechem. – Nazywam się Angua. Jeśli zechcecie tu poczekać, każę podać kawę. W tej chwili toczy się tam drobna kłótnia.

Byli w rodzaju przedpokoju – poszerzonym kawałku korytarza ze wstawionymi ławkami. Na końcu widzieli ciężkie podwójne drzwi, zza których dobiegały podniesione głosy. Angua wyszła.

– Tak po prostu? – zdziwił się Maladict. – Co nas powstrzyma przed opanowaniem tego miejsca?

– Wszyscy ci ludzie z kuszami, których mijaliśmy po drodze – mruknęła Polly.

Dlaczego my? – myślała, wpatrując się tępo w ścianę.

– A tak. Oni. Fakt. Ehm... Polly...

– Tak?

– Naprawdę jestem Maladicta. – Wyprostowała się. – A jednak. Powiedziałam komuś.

– To miło – stwierdziła Nefryt.

– Dobrze – mruknęła Polly.

Myślała: Mniej więcej w tej chwili zabierałabym się do popołudniowego płukania wygódek. To przecież musi być lepsze niż tamto, prawda?

– Sądziłam, że świetnie mi idzie – mówiła Maladicta. – Wiem, co myślicie. Myślicie: Wampiry i tak mają nieźle, niezależnie od swojej płci. Zgadłam? Tylko że wszędzie wygląda to tak samo. Aksamitne suknie, usztywnione nocne koszule, a do tych „kąpieli w krwi dziewic” to nawet nie podchodzi! O wiele poważniej cię traktują, jeśli jesteś mężczyzną.

– Zgadza się – przyznała Polly.

Tak ogólnie to był męczący dzień, myślała. Przydałaby się kąpiel.

– No więc sądziłam, że świetnie mi idzie, aż do tej historii z kawą. Naszyjnik z palonych ziaren, to jest rozwiązanie. Następnym razem będę lepiej przygotowana.

– Tak – zgodziła się Polly. – Dobry pomysł. Z prawdziwym mydłem.

– Mydło? A jak działa mydło?

– Co? – zdziwiła się Polly. – Och... Przepraszam.

– W ogóle słyszałaś coś z tego, co mówię?

– O tamtym? Tak. Dzięki, że mi powiedziałaś.

– I to wszystko?

– Tak. Ty jesteś tobą. To dobrze. Ja jestem mną, kimkolwiek bym była. Stukacz to Stukacz. Wszystkie są... po prostu ludźmi. Słuchaj, jeszcze niedawno najciekawszą chwilą mojego dnia było czytanie nowych napisów w męskiej wygodce. Zgodzisz się chyba, że wiele

się przez ten czas wydarzyło. Nie sędzę, żeby coś jeszcze zdołało mnie zaskoczyć. Nawiasem mówiąc, ten naszyjnik z kawowych ziaren to rozsądny pomysł. – Niecierpliwie przytupywała. – W tej chwili chciałabym tylko, żeby się tam pospieszyli.

Siedziały i nasłuchiwały. A potem Polly zauważyła wąską smużkę dymu unoszącą się zza ławki po drugiej stronie poczekalni. Podeszła i zajrzała za oparcie. Leżał tam mężczyzna; opierał głowę na ramieniu i palił cygaro. Skinął na powitanie, gdy zobaczył twarz Polly.

– Tam to jeszcze potrwa całe wieki – oświadczył.

– Czy jest pan tym sierżantem, którego widziałam w kuchni? Robił pan miny za lordem Rustem z Ankh-Morpork?

– Nie robiłem min, panienko. Zawsze tak wyglądam, kiedy przemawia lord Rust. Owszem, byłem kiedyś sierżantem, ale spójrz: nie noszę pasków.

– Zrobiłeś pan minem o raz za dużo? – zgadywała Nefryt.

Mężczyzna z cygarem roześmiał się głośno. Chyba się dziś nie ogolił.

– Coś w tym rodzaju, rzeczywiście. Chodźmy do mojego gabinetu, tam jest cieplej. Przychodzę tutaj, bo ludzie się skarżą na dym z cygara. Nie przejmujcie się tymi za drzwiami, mogą poczekać. Do mnie jest stąd tylko kawałek korytarzem.

Poszły za nim. Od drzwi rzeczywiście dzieliło je tylko kilka kroków. Mężczyzna otworzył, przeszedł przez nieduży pokój i usiadł w fotelu. Biurko przed nim było zasypane papierami.

– Uda się chyba dostarczyć dość żywności, żebyście przetrwali zimę – powiedział, sięgając po kartkę papieru, na pozór całkiem przypadkową. – Ziarna trochę brakuje, ale mamy akurat nadwyżkę białej kapusty polnej; znakomicie się magazynuje, zamawia dużo witamin i minerałów... chociaż lepiej nie zamykać okien, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Nie patrz tak. Wiem, że ten kraj tylko miesiąc dzieli od głodu.

– Ale przecież nikomu nawet nie pokazałam tego listu! – zaprotestowała Polly. – Nie wie pan, co...

– Nie muszę go czytać. Tu chodzi o żywność i żołądki. Na miłość bogów, nie musimy nawet z wami walczyć. Wasz kraj sam się rozleci. Wasze pola są pozarastane, wasi farmerzy są starzy, większa część żywności trafia do armii. A armie nie dbają specjalnie o rolnictwo, co najwyżej chwilowo podnoszą żywność pola bitwy. Honor, duma i chwała... żadna z nich nie ma znaczenia. Ta wojna się skończy albo Borogravia umrze. Rozumiesz?

Polly przypomniała sobie wymiecione wiatrem pola i ratujących co się da starych ludzi.

– Jesteśmy tylko posłańcami, sir – powiedziała. – Nie możemy negocjować...

– Wiecie, że wasz bóg jest martwy? Nie zostało nic oprócz głosu, jak twierdzą niektórzy z naszych kapłanów. Ostatnie trzy Obrzydliwości dotyczyły kamieni, uszu i akordeonistów. Owszem, w tym ostatnim nawet go popieram, ale... kamienie? Możemy wam coś doradzić. Jeśli zechcecie znaleźć sobie nowego, Om jest ostatnio bardzo popularny. Bardzo nieliczne obrzydliwości, nie wymaga specjalnej odzieży, a hymny można śpiewać w kąpieli. Przy

waszych zimach raczej nie ściągniecie tu Offlera, boga krokodyla, a Nieortodoksyjny Kościół Ziemiaka jest chyba trochę za skomplikowany jak dla...

Polly wybuchnęła śmiechem.

– Proszę posłuchać, sir, jestem tylko... Jak się pan nazywa, jeśli wolno?

– Sam Vimes. Specjalny wysłannik, to znaczy ktoś taki jak ambasador, tylko bez małych złotych czekoladek.

– Rzeźnik Vimes? – upewniła się Maladicta.

– O tak. Już to słyszałem. – Vimes wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Wasi ludzie nie opanowali pięknej sztuki propagandy. A mówię wam to, ponieważ... Słyszałyście o Omie?

Pokręciły głowami.

– Nie? No więc w „Starej Księdze Oma” jest opowieść o jakimś mieście pełnym grzechu i występku. Om postanowił spalić je świętym ogniem, bo działo się to w dawnych czasach porażania, zanim jeszcze mieli religię. Ale biskup Horn protestował przeciwko temu planowi, więc Om obiecał, że oszczędzi miasto, jeśli Horn znajdzie w nim jednego dobrego człowieka. No więc biskup pukał do wszystkich drzwi, ale wrócił sam. A kiedy już cała okolica została zmieniona w szklistą równinę, okazało się, że mieszkało tam prawdopodobnie sporo dobrych ludzi, tylko że się tym nie chwalili. Śmierć ze skromności, coś strasznego. Wy, moje panie, jesteście jedynymi mieszkańcami Borogravii, o których coś wiem, poza wojskowymi, ale oni nie są rozmowni. Nie wydajecie się tak obłąkane jak polityka zagraniczna waszego kraju. Jesteście jedynym obiektem międzynarodowej sympatii, jaki jeszcze pozostał. Młode chłopaki przechytzyli doświadczonych kawalerzystów! Kopnęli w męskość księcia Heinricha! Ludzie byli zachwyceni. A teraz okazuje się, że jesteście dziewczętami? Będą was uwielbiać. Pan de Worde bardzo się ubawi, kiedy to odkryje.

– Ale nie mamy żadnej władzy! Nie możemy negocjować...

– Czego chce Borogravia? Nie kraj. Chodzi mi o ludzi.

Polly otworzyła usta, zamknęła je znowu i zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Żeby nas zostawili w spokoju – oświadczyła. – Wszyscy. Przynajmniej na jakiś czas. Potrafimy dokonać zmian.

– Przyjmiecie żywność?

– Jesteśmy dumnym narodem.

– A z czego jesteście dumni?

Padło to szybko, jak cios. I Polly zrozumiała, jak wybuchają wojny. Wystarczyło zatrzymać ten impuls, który przez nią przebiegł, pozwolić mu wrzeć...

...jest może zepsuty, ciemny i głupi, ale nasz...

Vimes obserwował jej twarz.

– Ja z za tego biurka widzę – powiedział – że jedynym, z czego wasz kraj może być dumny, jesteście wy, kobiety.

Polly milczała. Wciąż usiłowała zapanować nad gniewem. Było tym gorzej, że wiedziała,

iż Vimes ma rację.

Mamy swoją dumę... I jesteśmy z tego dumni. Jesteśmy dumni z bycia dumnymi...

– Jak chcesz... Może więc kupicie żywność? – zaproponował Vimes, obserwując ją uważnie. – Na kredyt? Przypuszczam, że macie jeszcze w kraju kogoś, kto słyszał o tego rodzaju kontaktach międzynarodowych, które nie wymagają użycia ostrej broni...

– Ludzie by się na to zgodzili, owszem... – odparła Polly chrapliwie.

– Dobrze. Jeszcze wieczorem wyślę sekara do domu.

– A dlaczego jest pan taki wielkoduszny, panie Ankh-Morpork?

– Ponieważ przybywam z miasta mającego cudownie dobre serce, kapralu... Nie, nie potrafię tego mówić z poważną miną – rzekł Vimes. – Chcesz znać prawdę? Większość mieszkańców Ankh-Morpork nie słyszała nawet o waszym kraju, dopóki nie runęły wieże semaforowe. Tu w okolicy jest w końcu kilkanaście takich państweczek, które sprzedają sobie nawzajem ręcznie malowane chodaki i piwo z rzepy. Za to potem się dowiedzieli, że jesteście obłąkanymi idiotami, którzy walczą ze wszystkimi. Teraz znają was jako ludzi, którzy, no... robią to, co oni sami by zrobili. Jutro będą się śmiać. A są też inni ludzie, ludzie, którzy siedzą i codziennie myślą o przyszłości, którzy wierzą, że warto się trochę postarać, by nawiązać przyjaźń z takim krajem jak wasz.

– Dlaczego? – spytała podejrzliwie Maladicta.

– Ponieważ Ankh-Morpork jest przyjacielem wszystkich miłujących pokój narodów! – oświadczył Vimes. – Bogowie, to chyba przez sposób, w jaki to mówię... *Ze chzy Brogocia proztfik!* – Zauważył ich zdziwione miny. – Przepraszam, zbyt długo nie byłem w domu. I szczerze mówiąc, chętnie bym tam wrócił.

– Ale dlaczego pan powiedział, że jest pan wiśniowym naleśnikiem? – spytała Polly.

– Czy nie powiedziałem raczej, że jestem obywatelem Borogravii?

– Nie. *Brogocia* to wiśniowy naleśnik, *Borogvia* to kraj.

– W każdym razie się starałem. Widzicie, wolelibyśmy raczej, żeby księżę Heinrich nie został władcą dwóch państw. To zmieniłoby je w jedno całkiem spore państwo, o wiele większe niż różne sąsiednie. W rezultacie stałoby się pewnie jeszcze większe. On chciałby, żeby było jak Ankh-Morpork. Ale naprawdę chce władzy i wpływów. Nie chce na nie zapracować, nie chce do nich dorosnąć ani trudniejszym sposobem uczyć się z nich korzystać. Po prostu chce je mieć.

– To polityczne gry! – stwierdziła Maladicta.

– Nie. To prawda. Zawrzyjcie z nim pokój, oczywiście. Zostawcie w spokoju wieże i drogę. Żywność dostaniecie i tak, niezależnie od ceny. Artykuł pana de Worde już o to zadba.

– To pan przysłał nam kawę – domyśliła się Polly.

– To był kapral Buggy Swires, moje oko na niebie. Jest gnomem.

– I pan nasłał na nas wilkołaka?

– Nasłał? To trochę za mocne określenie. Angua was śledziła, dla bezpieczeństwa. Jest

wilkołakiem, owszem.

– Ta dziewczyna, którą spotkaliśmy? Nie wyglądała na wilkołaka!

– No bo one nie wyglądają na ogół – odparł Vimes. – Aż do chwili, kiedy już wyglądają, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. A tropiła was, bo szukałem czegokolwiek, co pozwoli tysiące ludzi uratować przed śmiercią. I to też nie jest polityka. – Vimes wstał. – A teraz, drogie panie, muszę iść i przedstawić wasze dokumenty przywódcom sprzymierzonych.

– W odpowiedniej chwili wyszedł pan zapalić, prawda? Wiedział pan, że idziemy, i postarał się pan spotkać nas pierwszy.

– Oczywiście. Czy mogłem to zostawić bandzie... a tak, rupertów?

– Gdzie jest mój brat, panie Vimes? – spytała oschle.

– Wydajesz się całkiem pewna, że wiem... – mruknął Vimes, nie patrząc jej w oczy.

– Jestem pewna, że pan wie.

– A dlaczego?

– Bo nie wie nikt inny!

Vimes zgasił cygaro.

– Angua nie myliła się co do ciebie – stwierdził. – Istotnie, zaaranżowałem wszystko, by umieścić go w areszcie prewencyjnym. Jest zdrowy i cały. Jeśli chcesz, Angua zaraz cię do niego zaprowadzi. Twój brat, możliwość zemsty, szantażu, kto wie co jeszcze... Pomyślałem, że dla jego bezpieczeństwa lepiej, jeśli będę dokładnie wiedział, kto ma klucze.

Koniec podróży, pomyślała Polly. Ale wcale nie... Już nie. Miała silne wrażenie, że siedzący naprzeciwko człowiek czyta jej w myślach.

– O to ci tylko chodziło, prawda? – zapytał.

– Nie, sir. Tak się tylko zaczęło.

– No to tak się teraz kontynuuje. Przed nami ciężki dzień. W tej chwili zaniósę waszą propozycję rozejmu do pokoju na końcu korytarza i przedstawię ją bardzo ważnym ludziom...

– głos zabrzmiał bezbarwnie, gdy Vimes wymawiał ostatnie słowa – ...którzy właśnie dyskutują, co zrobić z Borogravią. Dostaniecie swój rozejm, żywność, prawdopodobnie też inną pomoc.

– Skąd pan wie? – zdziwiła się Polly. – Jeszcze o tym nie mówili. – Jeszcze nie. Ale, jak już wspomniałem... byłem kiedyś sierżantem. Angua!

Drzwi się otworzyły i weszła Angua. Jak powiedział Vimes: nie dało się poznać, że jest wilkołakiem, dopóki człowiek się o tym nie przekonał..

– Muszę się ogolić, zanim pójdę na to spotkanie z ważnymi ludźmi – stwierdził Vimes. – Oni przywiązują wielką wagę do golenia.

Polly była trochę zakłopotana, schodząc po schodach za sierżant Anguą. Jak zacząć rozmowę? „Więc jesteś wilkołakiem” brzmi dość idiotycznie. Cieszyła się, że Nefryt i Maladicta zostały w poczekalni.

– Tak – powiedziała Angua. – Jestem.

– Ale ja nic nie mówiłam! – wystraszyła się Polly.

– Nie, ale jestem przyzwyczajona do takich sytuacji. Nauczyłam się poznawać sposoby, w jakie ludzie nie mówią pewnych rzeczy. Nie przejmuj się.

– Śledziłaś nas – stwierdziła Polly.

– Tak.

– Czyli musiałaś wiedzieć, że nie jesteśmy mężczyznami.

– O tak – przyznała Angua. – Mój zmysł węchu jest o wiele bardziej czuły niż wzrok, a mam dobre oczy. Ludzie to mocno pachnące stworzenia. Ale chcę cię zapewnić, że nie powiedziałabym panu Vimesowi, gdybym nie usłyszała, jak ze sobą rozmawiacie. Każdy mógł was podsłuchać, nie trzeba do tego wilkołaka. Ale wszyscy mają swoje tajemnice, których woleliby nie rozgłaszać. Pod tym względem wilkołaki przypominają trochę wampiry. Jesteśmy tolerowane... jeśli jesteśmy ostrożne.

– To rozumiem – westchnęła Polly. Tak jak my, pomyślała.

Angua zatrzymała się przed ciężkimi, okutymi drzwiami.

– On jest w środku – powiedziała. Wyjęła klucz i przekręciła go w zamku. – Wróć pogadać z resztą. Daj mi znać, kiedy będziecie gotowi...

Z bijącym sercem Polly wyszła do środka i zobaczyła Paula. Był też myszołów na żerdzi przy otwartym oknie. A na ścianie, gdzie Paul pracował tak skoncentrowany, że wystawił język z kącika ust i w ogóle nie zauważył, że otworzyła drzwi, drugi myszołów odlatywał ku wschodzącemu słońcu.

W tej chwili Polly była skłonna wybaczyć Ankh-Morpork niemal wszystko. Ktoś przyniósł Paulowi pudełko kolorowej kredy.

Długi dzień wydłużał się jeszcze bardziej. Miała coś jakby władzę. Wszystkie miały. Ludzie się przed nimi rozstępowali. Walki ustały, one były tego przyczyną, a nikt nie wiedział dlaczego.

Były też zabawniejsze momenty. Może i miały władzę, ale rozkazy wydawał generał Froc. A generał Froc może i wydawał rozkazy, ale można było przypuszczać, że sierżant sztabowy Jackrum je uprzedza.

Może właśnie dlatego Kukuła poprosiła Polly i Stukacz, by z nią poszły. Wprowadzono je do pokoju, gdzie dwóch strażników stało po bokach zbaraniałego młodego człowieka o imieniu Johnny, który miał jasne włosy i niebieskie oczy, złoty kolczyk w uchu i spodnie spuszczone do kolan, gdyby Kukuła chciała sprawdzić jego kolejną wyróżniającą cechę.

Miał też podbite oko.

– Czy to ten? – zapytała major Clogston, która stała oparta o ścianę i gryzła jabłko. – Generał kazał ci przekazać, że dostaniesz wiano w wysokości pięciuset koron w złocie, z najlepszymi życzeniami od armii.

Johnny poweselał trochę, słysząc tę obietnicę. Kukula zmierzyła go długim, uważnym spojrzeniem.

– Nie – uznała w końcu i odwróciła się. – To nie on. Johnny otworzył usta, ale Polly krzyknęła:

– Nikt was nie pytał o zdanie, szeregowy!

A taka była natura owego dnia, że się zamknął.

– Obawiam się, że to jedyny kandydat – stwierdziła Clogston. – Mamy dowolną liczbę kolczyków, jasnowłosych głów, niebieskich oczu i Johnnych. Oraz sporo różnych pieprzyków. Ale ten jedyny ma wszystko. Jesteś pewna?

– Całkowicie. – Kukula raz jeszcze przyjrzała się chłopcu. – Mój Johnny musiał zginąć.

Clogston podeszła i zniżyła głos.

– W takim razie generał kazał nieoficjalnie przekazać, że może zorganizować świadectwo ślubu, obrączkę i wdowią rentę.

– Może to zrobić? – szepnęła Polly.

– Dla jednej z was? Dzisiaj? Zdziwiłabyś się, co jest możliwe – zapewniła Clogston. – Nie myślcie o niej źle. Chciała jak najlepiej. Jest bardzo praktycznym oficerem.

– Nie – odparła Kukula. – Ja... To jest... Nie. Dziękuję, ale nie.

– Jesteś pewna? – spytała Polly.

– Całkowicie.

Kukula zrobiła wyzywającą minę. A że nie była z natury osobą wyzywającą, efekt nie był dokładnie taki, jak sądziła i jaki być powinien; budził natomiast pewne skojarzenia z osobą cierpiącą na hemoroidy. Ale robił wrażenie.

– Jeśli jesteście pewna, szeregowy... – powiedziała Clogston. – No to w porządku. Odprowadźcie tego człowieka, sierżancie.

– Jedną chwileczkę – poprosiła jeszcze Kukula. Stanęła przed Johnnym i wyciągnęła rękę. – Zanim cię stąd wyprowadzą, oddaj mi sześć pensów, ty sukinsynu!

Polly wyciągnęła rękę do Clogston, a major uściśnęła ją z uśmiechem. To było kolejne drobne zwycięstwo. Jeśli lawina jest dostatecznie potężna, potoczą się nawet kwadratowe kamienie.

Polly skierowała się do sporej celi przeznaczonej na kobiece koszary, a raczej koszary dla oficjalnych kobiet. Mężczyźni prześcigali się w wysiłkach, żeby dostarczyć tam poduszki albo drewno na opał. Wszystko to było bardzo dziwne. Polly odnosiła wrażenie, że są traktowane jak coś niebezpiecznego i delikatnego, powiedzmy na przykład, jak wielka i piękna waza pełna trucizny.

Kiedy skręciła za rogiem na wielki dziedziniec, zobaczyła tam de Worde'a i pana Chrieka. Nie było przed nimi ucieczki. Wyraźnie kogoś szukali.

De Worde rzucił jej spojrzenie pełne wyrzutu, ale i nadziei.

– Ehm... Czyli jesteście kobietami, tak? – zapytał.

– No... tak – przyznała Polly.

De Worde wyjął notes.

– To niezwykła historia – powiedział. – Naprawdę przebiliście się aż tutaj i weszłyście do środka przebrane za praczki?

– Wie pan, jesteśmy kobietami i zdarzało nam się prac. Wydaje mi się, że było to bardzo chytne przebranie. Można nawet powiedzieć, że weszliśmy do środka, w ogóle się nie przebierając.

– Generał Froc i kapitan Bluza mówią, że są z was bardzo dumni.

– Och, czyli dostał awans...

– Tak. A Froc mówi, że sprawiłyście się wspaniale jak na kobiety.

– No, chyba rzeczywiście – zgodziła się Polly. – Tak. Bardzo dobrze jak na kobiety.

– Generał oświadczył także... – De Worde sprawdził w notesie. – Oświadczył, że przynosicie chwałę kobietom tego kraju. Czy chciałabyś to jakoś skomentować?

Miał niewinną minę i może nie rozumiał zaciętego sporu, jaki właśnie wybuchł w głowie Polly. „Chwała dla kobiet tego kraju. Jesteśmy z was dumni” – te słowa jakoś usuwały je na bok, wskazywały właściwe miejsce, głaskały po głowie i odsyłały z cukierkiem. No ale od czegoś trzeba zacząć.

– To bardzo miło z jego strony – stwierdziła. – Chciałyśmy tylko wykonać swoje zadanie i wrócić do domu. Tego pragnie każdy żołnierz. – Zastanowiła się. – I jeszcze gorącej, słodkiej herbaty.

Ku jej zdumieniu starannie to zanotował.

– Ostatnie pytanie, panienko. Czy sądzisz, że świat bardzo by się zmienił, gdyby więcej kobiet było żołnierzami?

Zauważyła, że de Worde znów się uśmiecha, więc było to zapewne pytanie żartobliwe.

– Och, chyba powinien pan spytać generała Froca – odpowiedziała Polly.

I pomyślała: Chciałabym widzieć wtedy jej minę...

– Ale co ty o tym myślisz, panienko?

– Kapralu, jeśli można...

– Przepraszam, kapralu... I...?

Ołówek zawisł nad kartką. Wokół niego obracał się świat. Zapisywał wszystko, a potem jego słowa docierały wszędzie. Pióro niekoniecznie jest potężniejsze od miecza, ale prasa drukarska jest chyba cięższa od machin oblężniczych. Kilka słów może zmienić wszystko...

– No więc – zaczęła Polly – ja...

Jakieś zamieszanie wybuchło nagle przy bramie na drugim końcu dziedzińca. Wjechało przez nią kilku oficerów kawalerii. Byli chyba oczekiwani, bo Złobeńcy ruszyli tam z wielkim pośpiechem.

– Aha... Widzę, że wrócił książę – stwierdził de Worde. – Chyba nie będzie zachwycony

rozejmem. Wysłali mu na spotkanie kurierów.

– Czy może coś zmienić?

De Worde wzruszył ramionami.

– Zostawił tu kilku najwyższych rangą oficerów. Gdyby spróbował, byłoby to naprawdę szokujące.

Wysoki mężczyzna zeskoczył z siodła i teraz kroczył w stronę Polly, a raczej, jak sobie uświadomiła, do szerokich drzwi obok. Za nim sunęli rozgorączkowani urzędnicy i oficerowie, których ignorował. Ale kiedy przed twarzą ktoś pomachał mu białym prostokątem papieru, porwał go i zatrzymał się tak gwałtownie, że kilku oficerów wpadło na niego z tyłu.

– Hm... – mruknął de Worde. – To pewnie wydanie z rysunkiem. Hm...

Azeta została ciśnięta na ziemię.

– Tak, to chyba to.

Heinrich się zbliżał. Już widać było jego twarz jak burzowa chmura. De Worde przewrócił kartkę w notesie i odchrząknął.

– Będzie pan z nim rozmawiał? – zdziwiła się Polly. – W takim nastroju? Zabije pana!

– Muszę – wyjaśnił de Worde. A kiedy książę z asystą dotarli do drzwi, zrobił krok naprzód i odezwał łamiącym się nieco głosem: – Wasza wysokość? Czy zechciałby pan powiedzieć kilka słów?

Heinrich odwrócił się, by spiorunować go wzrokiem, i zobaczył Polly. Przez chwilę patrzyli na siebie.

Adiutanci znali swojego księcia. Kiedy sięgnął do szabli, cały tłum rzucił się na niego i otoczył całkowicie. Rozległy się gorączkowe szepty, wśród których dały się słyszeć głośniejsze akordy Heinricha w ogólnej tonacji „Co?”, a potem toccatę na „Niech to piekło pochłonie!”.

Tłum znowu się rozstał. Książę bardzo powoli i bardzo starannie strzepnął ze swej nieskazitelnej kurtki jakiś pyłek, zerknął przelotnie na Ottona z de Worde’em, a potem – ku zgrozie Polly – ruszył ku niej...

...wyciągając dłoń w białej rękawiczce.

O nie, pomyślała. Jest sprytniejszy, niż sądzi Vimes. Potrafi nad sobą zapanować. I nagle ja staję się maskotką...

– Dla dobra naszych wspaniałych krajów – powiedział Heinrich – zasugerowano mi, że w dowód przyjaźni powinniśmy publicznie uścisnąć sobie ręce.

Uśmiechnął się, a przynajmniej pozwolił się unieść kącikom ust.

Ponieważ nie umiała wymyślić nic lepszego, Polly ujęła tę wielką dłoń i potrząsnęła nią posłusznie.

– Aha, bardzo dopsze. – Otto chwycił obrazkowe pudełko. – Mogę zrobić tylko jedno, oczywiście, ponieważ niestety muszę użyć lampy. Jedną chwilę...

Polly odkrywała właśnie, że forma sztuki, która dzieje się w ułamkach sekund, wymaga

jednak długiego czasu; w tym czasie uśmiech tężeje w obłąkany, a w najgorszych przypadkach śmiertelny grymas. Otto mruczał coś pod nosem, ustawiając sprzęt, a Polly i Heinrich wciąż ściskali sobie dłonie i patrzyli na obrazkowe pudełko.

– Czyli – wymruczał książę – żołnierz nie jest naprawdę żołnierzem. Masz szczęście.

Polly uśmiechała się nieruchomo.

– Czy często pan grozi wystraszoną kobietom? – spytała.

– Och, to był drobiazg! Jesteś w końcu zwykłą wiejską dziewczuchą! Co ty wiesz o życiu? Ale pokazałaś, że masz temperament!

– Wszyscy uśmiech! – nakazał Otto. – Raz, dwa, trzy... Ożeż...

Zanim zgasły powidoki, Otto znów stał na nogach.

– Któregoś dnia znajdę v końcu filtr, który działa – mruczał. – Dziękuję wszystkim.

– To było za pokój i przyjaźń między narodami – powiedziała Polly. Uśmiechnęła się słodko i puściła dłoń księcia. Cofnęła się o krok. – A to, wasza wysokość, za mnie.

Właściwie to nie kopnęła. Życie jest procesem odkrywania, jak daleko można się posunąć, choć łatwo się w tym procesie posunąć za daleko. Tu jednak wystarczyło lekkie drgnienie nogi, by zobaczyć, jak ten idiota przykuca w śmiesznej, obronnej pozie.

Odeszła dumnym krokiem. Serce w niej śpiewało. To nie był bajkowy zamek i nie istniało coś takiego jak bajkowe zakończenie, ale czasem udaje się zagrozić pięknemu księciu kopniakiem w parówkę i dwa na twardo.

A teraz pozostał jeszcze jeden drobiazg.

Słońce zachodziło, nim Polly znów znalazła Jackruma. Krwistoczerwone światło wlewało się przez wysokie okna największej kuchni twierdzy. Jackrum siedział samotnie przy długim stole koło ognia, w pełnym umundurowaniu, i jadł grubą pajdę chleba ze smalcem, popijając piwem. Przyjaźnie skinął jej głową, wskazując wolne krzesło. Wokół krzątały się kobiety.

– Porządny smalec z solą i pieprzem, i piwo – powiedział. – To podstawa. Możesz sobie schować wymyślną kuchnię. Chcesz trochę? – Machnął ręką na jedną z podkuchennych, która go obsługiwała.

– Nie w tej chwili, sierżancie.

– Na pewno? – spytał Jackrum. – Jest takie stare przysłowie: Pocałunki nie wystarczają na długo, gotowanie tak. Mam nadzieję, że nie będziesz miała powodu go rozważać.

Polly usiadła.

– Jak dotąd pocałunki wystarczają.

– Kukula załatwiona? – spytał Jackrum. Pstryknął palcami i wskazał służącej pusty kufel.

– Ku własnemu zadowoleniu, sierżancie.

– Bardzo dobrze. Lepiej chyba się nie da. I co dalej, Perks?

– Nie wiem, sierżancie. Zostanę chyba z Ła... z Alice i armią, żeby zobaczyć, co się

stanie.

– Życzę szczęścia. Pilnuj ich, Perks, bo ja nie idę.

– Jak to, sierżancie? – Polly była wstrząśnięta.

– Widzisz, wygląda na to, że chwilowo jesteśmy o jedną wojnę do tyłu, co? Zresztą mam dość. Koniec drogi. Zrobiłem swoje. Nie mogę ciągnąć tego dalej. Żeśmy się starli z generałem i moim zdaniem on bardzo się ucieszy, kiedy zobaczy moje plecy. Poza tym wiek już robi swoje. W dzisiejszym szturmie zabiłem pięciu biedaków, a potem odkryłem, że się zastanawiam dlaczego. To niedobrze. Pora odejść, zanim moje ostrze się stępi.

– Jest pan pewien, sierżancie?

– Tak. Wydaje mi się, że to stare „mój kraj, dobry czy zły, ale mój” już się przeżyło. Pora usiąść wygodnie i sprawdzić, o co walczyliśmy. Na pewno nie chcesz smalcu? Ma takie chrupiące skwarki. W smalcu to jest to, co nazywam stylem.

Polly machnęła ręką na podsuwaną jej kromkę nasmarowanego tłuszczem chleba. Patrzyła w milczeniu, jak Jackrum ją pochłania.

– Właściwie to zabawne – stwierdziła po chwili.

– Co takiego, Perks?

– Odkrycie, że nie chodzi o mnie. Człowiek myśli, że jest bohaterem, a okazuje się, że jest częścią cudzej historii. Ludzie zapamiętają Łaz... Alice. My tylko miałyśmy ją tutaj doprowadzić.

Jackrum nie odpowiedział. Wyjął z kieszeni – co Polly mogła łatwo przewidzieć – pognieciony pakiet tytoniu. Sama też wsunęła dłoń do kieszeni i znalazła niedużą paczuszkę. Kieszenie, myślała. Musimy zachować kieszenie. Żołnierze potrzebują kieszeni.

– Niech pan spróbuje tego, sierżancie. Dalej, niech pan otworzy. Był to nieduży mieszek z miękkiej skóry, z rzemykiem do zaciągania. Jackrum obracał go na wszystkie strony.

– Wiesz, Perks, słowo honoru daję, nie jestem facetem skłonny do przekleństw... – zaczął.

– Nie, nie jest pan. Zauważyłam – zgodziła się Polly. – Ale ten brudny papier działał mi już na nerwy. Dlaczego nigdy nie kazał pan sobie uszyć porządnego kapciucha? Jeden z rymarzy zrobił go dla mnie w pół godziny.

– Takie jest życie, nie? Codziennie myślisz sobie: „Na bogów, pora już, żebym kupił nowy kapciuch”, ale potem jest tyle roboty, że ciągle używasz starego. Dzięki, Perks.

– No bo pomyślałam: Co mogę dać człowiekowi, który ma wszystko? I tylko na to było mnie stać – wyjaśniła Polly. – Ale pan nie ma wszystkiego, sierżancie. Wszystkiego nie, prawda?

Wyczuła, że zeszywniał.

– Nie idź dalej, Perks – ostrzegł, zniżając głos.

– Pomyślałam sobie, że może chciałby pan komuś pokazać swój medalion, sierżancie – ciągnęła niewinnie. – Ten z pańskiej szyi. I niech pan nie patrzy tak ponuro, sierżancie.

Pewnie, mogłabym odejść i nigdy nie miałabym pewności, a może pan nigdy by go nikomu nie pokazał, ani nie opowiedział tej historii. Aż pewnego dnia oboje byśmy nie żyli i... Co za strata, prawda?

Jackrum spoglądał na nią wrogo.

– Słowo honoru by pan dał, że nie jest pan facetem nieuczciwym – rzekła Polly. – Niezły numer, sierżancie. Powtarzał pan to codziennie.

Wokół nich, jakby poza niewidzialną kopułą, krzątały się kobiety. Zdawało się, że przez cały czas robią coś rękami: trzymają dzieci albo garnki, albo talerze, albo wełnę, albo miotłę, albo igłę. Nawet kiedy rozmawiały, trwała krzątania.

– Nikt ci nie uwierzy...

– A komu chciałabym opowiedzieć? – spytała Polly. – Zresztą to prawda, nikt mi nie uwierzy. Ale ja panu uwierzę, sierżancie.

Jackrum patrzył na kufel piwa, jakby w pianie usiłował zobaczyć własną przyszłość. Zdawało się, że w końcu podjął decyzję. Spod brudnej koszuli wyciągnął złoty łańcuszek, odpiął medalion i otworzył go delikatnie.

– Masz – powiedział i podał jej. – Ale niewiele ci z tego przyjdzie.

Po obu stronach medalionu były miniaturowe portrety – ciemnowłosej dziewczyny i młodzieńca o jasnych włosach, w mundurze Piersi i Tyłków.

– Dobrze pan wyszedł – stwierdziła Polly.

– Spróbuj powiedzieć coś innego, nie dam się nabrać.

– Nie, poważnie. Patrzę na ten obrazek, patrzę na pana... I widzę pańską twarz w jej twarzy. Bledsza, oczywiście. Nie tak... pełna. A kim był ten chłopak?

– William. Tak miał na imię – powiedziała Jackrum.

– Pański ukochany?

– Tak.

– I za nim poszedł pan do wojska?

– Tak. Ta sama stara historia. Byłam dużą, silną dziewczyną i... no, widzisz na portrecie. Artysta bardzo się starał, ale nigdy nie nadawałam się na obraz olejny. Najwyżej na akwarelę. Tam, skąd pochodzę, mężczyzna szukał sobie na żonę dziewczyny, która pod każdą pachą potrafi unieść prosiaka. I parę dni później niosłam prosiaki pod pachami, bo pomagałam ojcu, chodak utknął mi w gnoju i mój staruszek zaczął na mnie wrzeszczeć. Do demona z tym, pomyślałam. Willie nigdy nie wrzeszczał. No więc zdobyłam męskie łachy, mniejsza o to, w jaki sposób, obciąłam włosy, pocałowałam księżną i po miesiącu byłam już Wybrańcem.

– Kto to taki?

– Tak wtedy nazywaliśmy kaprała. Wybraniec. Tak, też mnie to bawiło. I zaczęła się moja kariera. Armia to łatwizna w porównaniu z prowadzeniem świńskiej farmy i opiekowaniem się trójką leniwych braci.

– Jak dawno to było, sierżancie?

– Prawdę mówiąc, trudno określić. Przysięgam, że nie wiem, ile mam lat. To szczerą prawdą – zapewniła Jackrum. – Tyle razy kłamałam co do swojego wieku, że w końcu sobie uwierzyłam.

Zaczęła bardzo starannie przekładać tytoń do nowego kapciucha.

– A ten młody człowiek? – spytała Polly cicho.

– Och, przeżyliśmy piękne, cudowne chwile. – Jackrum umilkła na chwilę, wpatrzona w pustkę. – Nigdy nie dostał awansu, bo się jąkał. A ja miałam dobry, mocny głos, a oficerowie to lubią. Williamu to nie przeszkadzało, nawet kiedy zostałam sierżantem. A potem zginął pod Sepple, tuż obok mnie.

– Tak mi przykro...

– Nie musi ci być przykro, nie ty go zabiłaś – odparła spokojnie Jackrum. – Ale przekroczyłam jego ciało i przebiłam drania, który to zrobił. Nie jego wina. Nie moja. Byliśmy żołnierzami. Parę miesięcy później przeżyłam sporą niespodziankę. Dałam mu na imię William, po ojcu. Dobrze się złożyło, że miałam trochę urlopu, co? Moja babcia go wychowała i zadbała, żeby miał fach w ręku. Został płatnerzem w Scritzu. Dobry zawód, nie ma co. Nikt nie zabije dobrego płatnerza. Podobno wygląda całkiem jak jego ojciec. Kapitan, którego kiedyś spotkałam, kupił od niego wściekle dobrą szablę. Pokazał mi, nie znając tej historii. Pieknie dobra szabla. Miała zdobienia na głowni i wszystko. Broń z klasą. Ożenił się i ma już czwórkę dzieciaków, jak słyszałam. Ma też powóz z zaprzęgiem, służbę, wielki dom... Tak, widzę, że uważnie słuchasz...

– Łazer... no, raczej Łazer i księżna mówiły...

– Tak, tak. Mówiły o Scritzu i mieczu. To właśnie wtedy zrozumiałam, że nie tylko ja dbam o was, chłopaczki. Wiedziałam, że przeżyjecie. Staruszka was potrzebowała.

– Czyli musi pani tam pojechać, sierżancie!

– Muszę? A kto mi każe? Służyłam staruszce przez całe życie i teraz nie jej do mnie. Jestem wolnym człowiekiem, zawsze byłam.

– Na pewno, sierżancie? – spytała Polly.

– Ty płaczesz, Perks?

– No... To raczej smutna historia, sierżancie.

– Przyznam, że i ja szlocham raz na jakiś czas. – Jackrum wciąż pakowała tytoń do kapciucha. – Ale kiedy trochę się zastanowić, to miałam dobre życie. Widziałam, jak łamie się szarża kawalerii w bitwie pod Slomp. Stałam w Cienkiej Czerwonej Linii, która odparła ciężką brygadę w Baranim Dryfie. Pod Raladan uratowałam imperialny sztandar przed czterema prawdziwymi sukinsynami. Widziałam wiele obcych krajów i poznałam sporo ciekawych ludzi, których w większości później zabiłam, zanim oni zdążyli załatwić mnie na dobre. Straciłam kochanka, lecz mam syna. Wiele jest kobiet, które spotkał gorszy los. Możesz mi wierzyć.

– I... wypatrywała pani innych dziewcząt...

– Tak. To się stało takim jakby hobby. Większość z nich to były przerażone dzieciaki uciekające od bóg wie czego. Szybko je wykrywali. Sporo było takich jak Kukula, idących za swoim chłopakiem. Ale niektóre miały to, co nazywam błyskiem. Trochę ognia. Trzeba było tylko wskazać im właściwy kierunek. Lekko je popychałam, można powiedzieć. Sierżant ma czasem sporo możliwości. Tu słowo, tam skinienie, czasem nawet jakieś poprawki w dokumentach, szept w ciemności...

– ...para skarpet – dokończyła Polly.

– Właśnie. – Jackrum uśmiechnęła się szeroko. – Zawsze strasznie się przejmowały tym latrynowym interese. To najmniejsze z waszych zmartwień, powtarzałam zawsze. W czasie pokoju nikogo to nie obchodzi, w czasie bitwy wszyscy sikają tak samo i szybko. Jasne, pomagałam im. Byłam dla nich, jak to się nazywa, taką szarą eminencją, która szarą maścią smaruje im drogę na szczyt. Chłopaczki Jackruma... tak je nazywałam.

– Niczego nie podejrzewały?

– Jak mogły podejrzewać Wesołego Jacka Jackruma, pełnego rumu i octu? – Drwiący uśmiezek sierżanta wrócił na miejsce. – Jacka Jackruma, który beknięciem umie przerwać bijatykę w barze? O nie. Mam wrażenie, że niektóre coś podejrzewały. Niektóre może doszły nawet do tego, że coś gdzieś się dzieje. Ale ja byłam tylko wielkim i grubym sierżantem, który znał wszystkich i pił wszystko.

Polly przetarła oczy.

– A co pani teraz robi, jeśli nie chce pani jechać do Scritzu?

– Och, odłożyłam sobie trochę – odparła Jackrum. – Prawdę mówiąc, nawet więcej niż trochę. Rabunek, plądrowanie, grabież... I nie wysikałam tego pod ścianą, jak inne chłopaki. Chyba pamiętam większość tych piekielnych miejsc, gdzie je zakopałam. Zawsze myślałam, że założę sobie gospodę albo mały zamtuzyk. Porządny lokal z klasą, nic takiego jak tamten cuchnący namiot. Nie, chodzi mi o taki z szefem kuchni i kandelabrami, mnóstwem czerwonego aksamitu... bardzo ekskluzywny. Znalazłabym jakąś elegancką damę na szefową, a sama byłabym wykidajką i barmanem. Dam ci wskazówkę, mały, która pomoże w karierze; niektórzy z moich chłopaczków sami to odkryli: czasem pomaga, jeśli odwiedzasz te grzeszne miejsca, bo inaczej ludzie zaczną się zastanawiać. Zawsze zabierałam tam książkę do czytania i sugerowałam młodej damie, że powinna się przespać, bo nie ma łatwej pracy. Polly zostawiła tę kwestię.

– Czyli nie chce pani zobaczyć wnuków?

– Nie chcę mu się pakować na głowę, mały – odparła Jackrum stanowczo. – Nie śmiałabym. Mój syn jest szanowanym obywatelem miasta. Co mu mogę zaproponować? Nie chciałby, żeby tłusta starucha pukała do kuchennych drzwi, pluła wszędzie tytoniem i tłumaczyła, że jest jego matką.

Przez chwilę Polly wpatrywała się w ogień. Nagle poczuła, że nowa myśl wkrada się jej do głowy.

– A gdyby tak zasłużony sierżant sztabowy, błyszczący od galonów, brzęczący medalami, podjechał wspaniałą karocą przed drzwi *frontowe i wytłumaczył mu, że jest jego ojcem?*

Jackrum milczała.

– Wojenne losy i takie tam – tłumaczyła Polly. Jej myśli pędziły jak szalone. – Młodzieńcza miłość. Potem wzywa obowiązek. Rodziny się rozdzielają. Poszukiwania bez nadziei. Mijają dziesięciolecia. Czułe wspomnienia. Potem.. no, podsłuchana w barze rozmowa, owszem, to musi działać. Budzi się nadzieja. Nowe poszukiwania. Smarowanie rąk. Wspomnienia starej kobiety. I wreszcie adres...

– Co ty wygadujesz, Perks?!

– Jest pani kłamcą, sierżancie – stwierdziła Polly. – Najlepszym, jakiego znam. I to ostatnie kłamstwo zapłaci za wszystko! Czemu nie? Może mu pani pokazać medalion. Opowiedzieć o dziewczynie, która została w domu...

Jackrum odwróciła głowę.

– Prawdziwie drańskie masz myśli, Perks. A niby skąd miałabym wziąć wspaniałą karocę?

– Och, sierżancie! Dzisiaj? Są... ludzie na stanowiskach, którzy w tej chwili dadzą wszystko, o co pani poprosi. Zwłaszcza jeśli dzięki temu zobaczą, jak pani odchodzi. Nigdy nie naciągała ich pani specjalnie. Na pani miejscu, sierżancie, odebrałabym kilka przysług, póki można. Jak to Piersi i Tyłki, sierżancie. Trzeba chwytać ser, póki jest, bo pocałunki nie trwają długo. Jackrum odetchnęła głęboko.

– Pomyślę o tym, Perks. A teraz spadaj stąd, dobrze?

Polly wstała.

– Niech pani dobrze pomyśli, sierżancie. Jak pan sam powiedział, każdy, komu ktoś został, ma w tej chwili przewagę. Czwórka wnuków? Ja tam byłabym dumnym dzieciakiem, gdyby mój dziadek potrafił tak splunąć tytoniem, żeby trafić muchę na ścianie.

– Ostrzegam cię, Perks...

– To taka przypadkowa myśl, sierżancie.

– Tak... akurat – burknęła Jackrum.

– Dzięki, że nas pani przez to wszystko przeprowadziła, sierżancie.

Jackrum nie podniosła wzroku.

– To chyba już pójdę, sierżancie.

– Perks! – zawołała Jackrum.

Polly stała już prawie w drzwiach, ale wróciła.

– Tak, sierżancie?

– Ja... prawdę mówiąc, spodziewałam się po nich czegoś lepszego. Myślałam, że będą lepsze od mężczyzn. Ale kłopot polega na tym, że były lepsze od mężczyzn w byciu mężczyznami. Mówią, że armia z każdego robi mężczyznę, nie? No więc... cokolwiek masz zamiar teraz robić, Perks, rób to jako ty. Dobrze czy źle, ale jako ty sama. Padnie za wiele

kłamstw, a potem nagle nie ma już prawdy, do której można wrócić.

– Postaram się, sierżancie.

– To rozkaz, Perks. Aha, Perks...

– Tak, sierżancie?

– Dziękuję, Perks.

Polly zatrzymała się jeszcze przy drzwiach. Jackrum siedziała i patrzyła w ogień. Wokół niej krzątała się kuchnia.

Minęło sześć miesięcy. Świat nie był doskonały, ale wciąż się kręcił.

Polly zbierała artykuły z azety. Nie oddawały prawdy dokładnie, nie we wszystkich szczegółach, ponieważ piszący opowiadał historie, a nie to, co się naprawdę wydarzyło. Były jak obrazy dla człowieka, który widział wszystko na żywo. Ale była prawda o marszu na zamek i o Łazer na białym koniu na czele, niosącej flagę. To prawda, że ludzie wybiegali z domów i przyłączali się do niej, tak że do zamku dotarła nie armia, ale coś w rodzaju zdyscyplinowanego tłumu, który krzyczał i wiwatował. To prawda, że gwardziści tylko na nich spojrzeli i poważnie zastanowili się nad swoją przyszłością, a brama otworzyła się, zanim jeszcze kopyta konia Łazer zastukały o zwodzony most. Nie było walki, żadnej walki. Balon pękł. Kraj odetchnął.

Polly nie sądziła, by portret księżnej, samotny na sztalugach w wielkiej sali tronowej, rzeczywiście się uśmiechnął, gdy Łazer szła w jego stronę. Polly była tam i tego nie widziała, ale wiele osób przysięgało, że to prawda. I po jakimś czasie człowiek zaczynał się zastanawiać, czym jest w istocie prawda albo czy może jest wiele różnych jej rodzajów.

W każdym razie wszystko się udało. A potem...

...wróciły do domu. Jak wielu żołnierzy w czasie tego kruchego rozejmu. Spadł już pierwszy śnieg i jeśli ludzie chcieli wojny, zima im jej dostarczyła. Przybyła z lodowym lancami i strzałami głodu, zasypała przełęcz śniegiem i uczyniła resztę świata równie daleką jak księżyc...

Wtedy właśnie otworzyły się stare kopalnie krasnoludów i spod ziemi zaczęły wychodzić kuce. Zawsze opowiadano, że tunele krasnoludów sięgają wszędzie. I nie tylko tunele, również ukryte kanały pod górami, nabrzeża, ciągi śluz, które w pracowitej ciemności mogą podnieść barkę o milę, głęboko poniżej wichrów na szczytach gór.

Kuce przywiozły kapustę i ziemniaki, warzywa i jabłka, i baryłki tłuszczu – to, co łatwo przechować. Zima została pokonana, roztopy zahuczały w kotlinach, a Kneck wykreśliła nowe przypadkowe zygzaki w szlamie doliny.

Wróciły do domu i Polly zastanawiała się, czy naprawdę gdzieś odchodziła. Czy były żołnierzami? Oklaskiwano je w drodze do PrinceMarmadukePiotreAlbertHansJoseph-BernhardtWilhelmsbergu, traktowano o wiele lepiej, niż sugerowała ranga. Specjalnie dla nich zaprojektowano nawet odpowiednie mundury. Ale w jej pamięci wciąż pojawiała się

wizja Dziślaka Abbensa...

Nie byliśmy żołnierzami, uznala. Byliśmy dziewczętami w mundurach. Byliśmy rodzajem amuletu. Byliśmy maskotkami. Nie byliśmy prawdziwe, zawsze służyliśmy jako symbol czegoś. Wspaniale się sprawiliśmy jak na kobiety. No i byliśmy chwilowe.

Stukacz i Loft nikt już nie miał zaciągnąć z powrotem do szkoły; poszły własną drogą. Łazer została w domu generała, miała pokój tylko dla siebie, starała się pomagać i nigdy nie była bita. Drobnym kanciastym pismem napisała do Polly list. Wydawała się szczęśliwa – świat bez bicia był rajem. Nefryt i jej narzeczony odeszli gdzieś robić coś ciekawszego, jak trolle rozsądnie czynią. Kukula... Kukulę obowiązywał własny kalendarz. Maladicta zniknęła. A Igorina zamieszkała sama w stolicy i zajęła się problemami kobiet – tymi problemami kobiet, które nie są mężczyznami.

Najwyżsi oficerowie armii udekorowali je medalami i z lekkimi, nieruchomymi uśmiezkami patrzyli, jak odchodzą. Pocałunki nie trwają długo.

Zresztą... to nie tak, że działo się dobrze. Raczej tak, że przestało się dziać źle. Stare kobiety nadal zrędziły, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Nikt nie znał kierunku, nie miał mapy, nikt nie był całkiem pewny, kto właściwie rządzi. Kłótnie i dyskusje wybuchały na każdym rogu – to było przerażające i radosne. Każdy dzień stanowił nowe terytorium. Do mycia podłogi w głównej sali Polly wkładała stare spodnie Paula, ale groziło jej za to najwyżej rzadkie „hurrumpf”. Aha, i jeszcze Szkoła Zawodu dla Dziewcząt spłonęła, a tego samego dnia dwóch zamaskowanych bandytów obrabowało bank. Polly uśmiechnęła się, gdy o tym usłyszała. Kukula przeprowadziła się Pod Księżną. Dziecko miało na imię Jack. Paul za nim przepadał.

A teraz...

Ktoś znowu pisał po ścianach męskiej wygódki. Polly nie potrafiła tego zmyć, więc ograniczyła się do poprawienia anatomii. Potem kilkoma wiadrami wody splukała całą wygódkę do czysta – przynajmniej według standardów męskich wygódek przy karczmach – i uznała, że zadanie jest wykonane. Tak samo robiła każdego ranka. Kiedy wróciła na salę, zobaczyła grupę niespokojnych mężczyzn, którzy rozmawiali z jej ojcem. Chyba troszkę się wystraszyli, gdy stanęła w progu.

– Co się dzieje? – spytała.

Jej ojciec skinął na Dziślaka Abbensa i wszyscy pozostali trochę się odsunęli. Tryskająca ślina i nieprzyjemny oddech sprawiały, że nikt nie chciał nawiązywać z Dziślakiem bliskich kontaktów.

– Te brukwiojady znów zaczynają! – oświadczył Dziślak. – Zrobią inwazję, bo księżę uważa, że teraz należymy do niego.

– Chodzi o to, że jest dalekim kuzynem księżnej – wyjaśnił ojciec Polly.

– Ale słyszałam, że to wciąż nie jest ustalone! – oburzyła się Polly. – Zresztą mamy przecież rozejm!

– Wychodzi na to, że on to właśnie uształ – odparł Dziaślak.

Reszta dnia minęła w przyspieszonym tempie. Ludzie w grupkach rozmawiali nerwowo na ulicach, tłum zebrał się przy bramie ratusza. Co jakiś czas wychodził stamtąd urzędnik i przybijał do drzwi następny komunikat. Tłum zaciskał się wokół niego jak pięść, a potem otwierał jak kwiat. Polly precisięła się do przodu, ignorując gniewne pomruki. Przeczytała ogłoszenia.

Te same stare nonsensy. Znowu werbowali do wojska. Te same stare słowa. To samo stare krakanie dawno poległych żołnierzy, którzy zapraszali, by żywi do nich dołączyli. Generał Froc mogła być kobietą, ale była też – jak określiliby Bluza – trochę stara. Albo to, albo męczył ją już ciężar epoletów.

Pocałunki nie trwają długo. Pewnie, księżna ożyła przed nimi i na jakiś czas postawiła świat na głowie, i może każdy postanowił wtedy być lepszym człowiekiem. I z niepamięci powstała możliwość swobodnego oddechu.

Ale z drugiej strony... Czy to się zdarzyło naprawdę? Nawet Polly miała wątpliwości, a przecież była przy tym. Może to tylko głos w ich głowach, rodzaj halucynacji? Przecież wszyscy słyszeli, że niektórzy żołnierze w rozpaczliwej sytuacji mają wizje bogów i aniołów... Jakoś tak podczas długiej zimy pamięć cudu przyblakła, a ludzie mówili: No tak, ale trzeba być praktycznym.

Dostaliśmy szansę, myślała Polly. Żadnego cudu, żadnego ratunku, żadnej magii. Tylko szansę.

Wróciła do gospody, a myśli szumiały jej w głowie. Na miejscu czekała na nią przesyłka – całkiem długa i ciężka.

– Dotarła tu wozem aż ze Scritzu – opowiadała podniecona Kukula. Pracowała w kuchni... która teraz stała się jej kuchnią. – Ciekawe, co jest w środku – dodała znacząco.

Polly podważyła wieko drewnianej skrzynki i przekonała się, że jest pełna słomy, a na samym wierzchu leży koperta. Otworzyła ją.

Wewnątrz był ikonogram. Wyglądał na kosztowny – sztywna grupa rodzinna z firanami i palmą doniczkową w de, żeby nadać wszystkiemu właściwy styl. Po lewej stronie stał mężczyzna w średnim wieku, z dumną miną, po prawej kobieta, pewnie żona, wyglądająca na trochę zagubioną, ale jednak zadowoloną, że mąż jest szczęśliwy. Tu i tam, spoglądając na patrzącego z różnymi stopniami uśmiechu i zmrużenia powiek, z minami sięgającymi od zaciekawienia po nagle przypomnienie, że przed pozowaniem należało pobiec do wygodki, stały dzieci – od wysokiego i chudego po małe i słodkie.

A na fotelu, jak punkt centralny wszystkiego, siedział sierżant sztabowy Jackrum i błyszczał jak słońce.

Polly odwróciła obrazek. Z tyłu napisano dużymi czarnymi literami: „Ostatnia walka sierż. szt. Jackruma”. I pod spodem „Już ich nie potrzebuję”.

Uśmiechnęła się i rozgarnęła słomę. W skrzynce, owinięte w płótno, leżały dwa kordy.

– To stary Jackrum? – spytała Kukula, sięgając po obrazek.

– Tak, odnalazł syna. – Polly odwinęła klingę.

Kukula zadrżała na ten widok.

– Paskudne pamiątki.

– W każdym razie pamiątki. – Polly ułożyła oba kordy na stole i już miała odsunąć skrzynkę, kiedy w słomie na dnie zauważyła coś małego, podłużnego i owiniętego w miękką skórę.

To był notes, w taniej oprawie, ze stęchłymi, żółknącymi kartkami.

– Co to? – zdziwiła się Kukula.

– Myślę... że to jest książka adresowa – odparła Polly, przerzucając kartki.

To jest to, myślała. Zapisał tu wszystko. Generałowie, majorowie, kapitanowie, ojej... Muszą ich być... setki. Może tysiące! Nazwiska, prawdziwe nazwiska, awanse, daty... wszystko.

Wyjęła biały kartonowy prostokąt wsunięty między kartki jak zakładka. Ukazywał dość ozdobny herb i wydrukowane słowa:

William de Worde

REDAKTOR, „PULS ANKH-MORPORK”

„Prawda cię wywali”

ul. Błyskotna, Ankh-Morpork

s-mail: WDW@Puls.AM

Ktoś w słowie „wywali” dopisał ołówkiem literę „z” po „y”, a także skreślił „a” i nad nim wpisał „o”.

To był dziwny, nagły kaprys.

Na ile sposobów można prowadzić wojnę? – zastanawiała się Polly. Mamy teraz sekary. Znam człowieka, który wszystko zapisuje. Świat się kręci. Dzielne małe kraiki, szukające samookreślenia... mogą być użyteczne dla wielkich krajów, mających własne plany.

Pora złapać ser.

Polly wpatrywała się w ścianę. Wyraz jej twarzy przeraziłby sporą liczbę ważnych postaci. Jeszcze bardziej zaniepokoiłby je fakt, że Polly przez następne kilka godzin pisała. Przyszło jej bowiem do głowy, że generał Froc nie znalazłaby się na miejscu, które dzisiaj zajmuje, gdyby była głupia, a zatem warto wziąć z niej przykład. Skopiowała cały notes i zamknęła go szczelnie w starym słoju po dżemie, który schowała pod dachem w stajni.

Napisała kilka listów. A potem wyjęła z szafy mundur i przyjrzała mu się krytycznie.

Te mundury, zaprojektowane specjalnie dla nich, prezentowały pewną szczególną, dodatkową właściwość, którą można określić słowem... dziewczęce. Miały więcej szamerunków, były lepiej uszyte i zamiast spodni dodano im długie spódnice z turniurą. I pióropusze na czakach. Jej kurtka miała paski sierżanta. To był żart – sierżant kobiet. W końcu przecież świat stanął na głowie.

Były maskotkami, amuletami na szczęście. I może w czasie marszu na Prince-MarmadukePiotreAlbertHansJosephBernhardtWilhelmsberg taki żart właśnie był wszystkim potrzebny. Ale może, kiedy świat staje na głowie, i żart można odwrócić dołem do góry. Dzięki ci, Dziaślak, nawet jeśli nie wiedziałeś, czego naprawdę mnie uczysz. Kiedy się z ciebie śmieją, przestają uważać. A kiedy nie uważają, można w tłumie ich kopnąć.

Przyjrzała się sobie w lustrze. Jej włosy były teraz akurat tak długie, by przeszkadzać, nie wyglądając atrakcyjnie, więc zaczesła je tylko i dała spokój. Włożyła mundur, ale spódnice wciągnęła na spodnie i usiłowała stłumić irytujące uczucie, że przebiera się za kobietę.

Gotowe... Wyglądała zupełnie nieszkodliwie. Może trochę mniej nieszkodliwie z dwoma kordami i kawaleryjską kuszą na plecach, zwłaszcza jeśli ktoś wiedział, że od jej bezustannych ćwiczeń wszystkie tarcze do strzałek w gospodzie miały pośrodku wielkie dziury.

Przeszła ostrożnie korytarzem do okna wychodzącego na dziedziniec. Paul stał na drabinie i malował szyld. Ojciec trzymał tę drabinę i wykrzykiwał z dołu instrukcje w zwykły sposób, to znaczy sekundę czy dwie po tym, jak Paul zaczął już je wykonywać. A Kukula – choć Polly była jedyną osobą Pod Księżną, która tak ją jeszcze nazywała i wiedziała dlaczego – przyglądała im się, trzymając Jacka na rękach. Wyglądali pięknie. Polly przez chwilę żałowała, że nie ma medalionu.

Gospoda Pod Księżną była mniejsza, niż jej się kiedyś wydawało. Ale gdyby przyszło jej bronić, stając z mieczem na progu, byłoby już za późno. Aby troszczyć się o drobne rzeczy, trzeba najpierw zatroszczyć się o wielkie, a teraz może nawet świat to za mało.

List, jaki zostawiła w kuchni na stole, brzmiał: „Kukula, mam nadzieję, że ty i Jack będziecie tu szczęśliwi. Paul, dbaj o nią. Tato, nigdy nie brałam zapłaty, ale teraz potrzebuję konia. Spróbuję go potem odesłać. Kocham was wszystkich. Jeśli nie wrócę, spalcie ten list i szukajcie w stajni pod dachem”.

Wyskoczyła przez okno, osiodłała konia i wymknęła się tylną bramą. Pojechała ku rzece.

Wiosna sunęła przez kraj. Podnosiły się soki. W lesie co minutę wyrastała tona drewna. Wszędzie śpiewały ptaki.

Strażnik przy promie przyglądał się jej niepewnie, gdy wprowadzała konia na pokład, a potem uśmiechnął się szeroko.

– Dzień dobry, panienko – powiedział zadowolony.

No cóż... pora zacząć. Polly stanęła przed zdziwionym mężczyzną.

– Próbujesz być sprytny? – zapytała o kilka cali od jego twarzy.

– Nie, panienko...

– Sierzancie, jeśli można! Spróbujemy jeszcze raz. Pytałam, czy próbujesz być sprytny?

– Nie, sierzancie!

Polly przysunęła się, aż znalazła się z nim nos w nos.

– Dlaczego nie?

Uśmiech znikł. Nie był to żołnierz podążający ścieżką szybkiego awansu.

– Co? – wykrztusił.

– Jeśli nie próbujesz być sprytny, człowieku, to jesteś zadowolony ze swojej głupoty! – krzyknęła Polly. – A głupich mam już potąd, zrozumiano?

– Tak, ale...

– Ale co, żołnierzu?

– Tak, ale... no... ale... nic, sierzancie – ustąpił żołnierz.

– To dobrze. – Polly skinęła głową przewoźnikom. – Pora ruszać? – zasugerowała tonem rozkazu.

– Paru ludzi zbliża się drogą, sierzancie – odezwał się jeden z nich, widocznie bystrzejszy.

Zaczekali. Okazało się, że to trzy osoby. Jedną z nich była Maladicta w pełnym umundurowaniu.

Polly milczała, dopóki nie znaleźli się na środku rzeki. Maladicta rzuciła jej uśmiech, do jakiego tylko wampiry są zdolne. Byłby zbaraniały, gdyby barany miały inne zęby.

– Pomyślałam, że znowu spróbuję – powiedziała.

– Poszukamy Bluzy – odparła Polly.

– Jest teraz majorem. I jest szczęśliwy jak pchełka, bo podobno nazwali na jego cześć rodzaj rękawiczki bez palców. Po co jest nam potrzebny?

– Zna się na sekarach. Zna inne sposoby prowadzenia wojny. A ja znam... ludzi – oświadczyła Polly.

– Ach, masz na myśli: „Słowo honoru daję, nie jestem facetem skorym do kłamstw, ale znam ludzi”?

– To właśnie miałam na myśli, owszem.

Woda pluskała o burty promu.

– Dobrze – rzuciła Maladicta.

– Tylko że nie wiem, do czego to doprowadzi – dodała Polly.

– Aha. Tym lepiej.

Wtedy Polly uznała, że poznała prawdę dostatecznie, by działać. Wrogami nie są mężczyźni ani kobiety, ani starcy, ani nawet umarli. Są nimi potwornie głupi ludzie, którzy trafiają się we wszystkich odmianach. A nikt nie ma prawa być głupim.

Przyjrzała się dwóm pozostałym pasażerom, którzy niepewnie weszli na pokład. Byli to

zwykli wiejscy chłopcy w źle dopasowanych, wystrzępionych ubraniach. Starali się trzymać jak najdalej od niej i w skupieniu wpatrywali się w deski pokładu. Ale wystarczyło jej jedno spojrzenie. Świat stanął na głowie, historia się powtarzała. Z jakiegoś powodu nagle poczuła się bardzo szczęśliwa.

– Chcecie się zaciągnąć, chłopcy? – spytała. Odpowiedziały jej niewyraźne pomruki z motywem przewodnim „Tak”.

– Dobrze. No więc wyprostujcie się – poleciła. – Niech wam się przyjrzę. Głowy w górę! Aha. Dobrze. Szkoda, że nie ćwiczyliscie chodzenia w spodniach. Zauważam też, że nie wzięlyście dodatkowej pary skarpet.

Patrzyły z otwartymi ustami.

– Jak się nazywacie? – spytała Polly. – Ale prawdziwe imiona poproszę.

– Eee... Rosemary – wymamrotała jedna.

– Jestem Mary – dodała druga. – Słyszałam, że przyjmują dziewczęta do wojska, ale wszyscy się śmiali, więc pomyślałam, że lepiej udawać...

– Och, jeśli chcecie, możecie się zaciągnąć jako mężczyźni. Przydadzą się nam twardzi mężczyźni.

Dziewczęta spojrzały na siebie.

– Macie wtedy do dyspozycji lepsze przekleństwa – wyjaśniła Polly. – I spodnie są wygodne. Ale to wasz wybór.

– Wybór? – zdziwiła się Rosemary.

– Oczywiście – zapewniła Polly. Położyła im dłonie na ramionach, mrugnęła do Maladicty i dodała: – Jesteście moimi małymi chłopaczkami... albo nie, co też jest możliwe... i ja o was zadbam.

A nowy dzień był jak wielka, ogromna ryba.